

O. TEOFIL KAPUSTA OCD

MISYJNY TRUD

Opracowano na podstawie materiałów archiwalnych



1983

Wydawnictwo OO. Karmelitów Bosych

31-510 Kraków, ul. Rakowicka 18

Redaktor książki
O. CZESŁAW GIL OCD

Okładkę projektowała
BARBARA SZCZERBIŃSKA

L 4543/81/82

IMPRIMATUR

Kraków, dnia I II 1982 r.

+ ALBIN MAŁYSIAK

wik. gen.

KS. JAN DYDUCH

kanclerz

WSTĘP

Nie jest to mile widziane przez misjonarzy, kiedy podkreśla się, że ich praca jest trudna, że wyjeżdżając na misje dokonują wielkiej ofiary i poświęcenia. „Czyż ludzie nie podejmują stokroć trudniejszych prac – pytają – a nikt nie nazywa ich z tego powodu bohaterami?”. Dlatego też, gdy dowiedziałem się, że z okazji dziesięciolecia pracy misyjnej polskich Karmelitów Bosych w Burundi postanowiono wydać książkę pt. *Misyjny trud*, niemal odruchowo zapytałem: „Czy już nie można zmienić tego tytułu?”. Okazało się, że nie można. Ze względu na stan mojego zdrowia nie mogę na razie wyjechać do Afryki. Postanowiono zatem, że właśnie ja mam zająć się „ulożeniem” tej książki. Niełatwo pracować nad książką, której tytuł nam nie odpowiada. Próbowałem zatem uczynić sobie ten tytuł znośniejszym. Mówiłem sobie: Dlaczego „wybrzydząć się” na podsunięty tytuł? Czy np. na Soborze Watykańskim II nie wspomniano o trudach podejmowanych przez misjonarzy? Ojcowie Soboru mówili: „Instytuty zakonne, oddane życiu czynnemu i kontemplacyjnemu, miały dotychczas i mają największy udział w ewangelizacji świata. Święty Sobór z zadowoleniem uznaje ich zasługi i dziękuje Bogu za tyle trudów poniesionych na chwałę Bożą i dla dobra dusz. I zachęca je, aby w podjętym dziele niezmordowanie trwały, świadome tego, że cnota miłości, którą na mocy powołania obowiązane są doskonalej praktykować, pobudza je i zobowiązuje do ducha i trudu prawdziwie katolickiego¹.”

Postawiłem sobie też następne pytanie: „Czy twierdzenie, że w twojej pracy misyjnej nie odczuwałeś trudu, nie jest znakiem braku pokory? Czy nie wygląda to na przechwałkę w stylu: „Dla innych może to i trudna praca, ale nie dla mnie!”? Pomyśl, nawet taki wielki Apostoł pogan, jak św. Paweł z Tarsu, wspomina bardzo pokornie o swojej pracy i umęczeniu. Czy nie czuł się bardziej od innych apostołem, właśnie ze względu na swój apostołski trud²?

Powiedziałem sobie wreszcie: Któż ci powiedział, że masz opowiadać o swoim trudzie misyjnym, albo o trudzie twoich współtowarzyszy? Czy nie powinna to być przede wszystkim, a przynajmniej także, opowieść o trudzie tych wszystkich, którzy bardzo się natrudzili, aby wasza posługa misyjna była brzemieniem lekkim?³

To mnie ostatecznie przekonało. Przecież to na nas – polskich misjonarzach w Burundi – sprawdziło się powiedzenie Jezusa Chrystusa: „Ja was wysłałem żąć to, nad czym wyście się

¹ Dekret o działalności Misyjnej Kościoła DM. 40

² 2 Kor. 11, 23 i 27

³ Mt. 11, 30

nie natrudzili. Inni się natrudzili, a w ich trud wyście weszli.⁴”

„Inni się natrudzili”. Z głęboką wdzięcznością wspominamy misjonarzy Afryki, którzy nas poprzedzili w Burundi. Słowa Jana Pawła II wypowiedziane dnia 11 lipca 1980 roku o misjonarzach Brazylii odczytujemy z takim wzruszeniem, jakby wypowiedziane zostały o naszych poprzednikach w Afryce. Papież mówił do współczesnych misjonarzy znad Amazonki: „Ze wzruszeniem składam hołd tysiącom misjonarzy, którzy od odkrycia po dziś dzień trudzili się w całej Brazylii (...). Ilu z nich przybyło tu ze swych krajów w Europie, by więcej do nich nie wrócić; ilu; wyniszczonych trudem lub chorobami, wyczerpało swe młode siły; ilu, pochłoniętych przez wody, znalazło tu śmierć; ilu, w jakimś zakątku niezmierzonej puszczy, pod mogiłą bez imienia, śpi ostatnim snem. Klękam przed każdym z tych grobów, a bardziej jeszcze przed każdą z tych postaci misjonarzy, ludzi jak my, z wadami i słabościami, lecz powiększonych przez świadectwo całkowitej ofiary z siebie na rzecz misji.

Oni są waszymi poprzednikami: nie ulegajcie nigdy łatwej pokusie przekonania, że misja zaczyna się od was, lecz opierajcie się na tym wszystkim, co wam zostawili ci bracia. Niech wielu spośród nich, oglądających dziś oblicze Boga, będzie waszymi orędownikami.⁵”

Tak, „inni się natrudzili”, bo przecież nie od nas zaczęła się misja w Burundi. Zaczęła się od czterech Ojców Białych, którzy 28 lipca 1879 roku stanęli nad brzegami jeziora Tanganika. Dwaj z nich zostali zamordowani dnia 4 maja 1881 roku. Padli więc w ziemię Burundi jako pierwsze ziarna pszeniczne Bożego zasiewu, by wydać plon obfity.⁶ Tak więc już od stu lat trudziło się wielu przy zasiewie ziarna w Burundi, ziarna, którym „jest Słowo Boże.”⁷ Niejeden raz siali we łzach, postępowali naprzód wśród płaczu, niosąc ziarno na zasiew. Dziś weszliśmy w ich trud, by żąć w radości⁸ i wyhodowane przez nich plony zasiewać dalej. Ze wzruszeniem składamy im hołd wdzięczności.

Nie tylko im, bo przecież w naszym żniwowaniu, w naszym zasiewaniu i w całym misyjnym trudzie, także dzisiaj wielu innych się trudzi. Chciałbym, aby książka pt. „Misyjny trud”, była pokornym uznaniem, była hołdem wdzięczności za trud tych wszystkich, którzy bardzo się natrudzili i nadal się trudzą, aby nasza praca misyjna była lżejsza, abyśmy nie odczuwali jej trudu.

Niestety, nie sposób wyliczyć tu tych wszystkich, którzy swój trud włączyli całym sercem w naszą pracę misyjną w Burundi. Któż potrafi ocenić trud Biur Misyjnych działających przy naszych karmelitańskich klasztorach w Poznaniu, Krakowie, Wadowicach, Wrocławiu? Któż doceni pracę i trud Zelatorów Misyjnych zabiegających o nasze sprawy przy innych naszych klasztorach? A cóż powiedzieć o trudzie tylu dobrych ludzi, którzy z wielkim poświęceniem organizowali zbiórkę lekarstw dla Burundi, którzy pakowali i wysyłali niezliczoną ilość paczuszek i paczek? Trzeba by tu opowiedzieć o działalności Sekcji Misyjnej KIK-u w Krakowie, Poznaniu i tylu innych miastach, o działalności licznych grup młodzieżowych, studenckich, o działalności Stowarzyszeń Misyjnych przy wielu polskich parafiach. Nie można nie wspomnieć ze wzruszeniem Kólek Misyjnych ministrantów i dzieci szkolnych, a wśród nich tak blisko związanych z Burundi dzieci i młodzieży z „Bunga-Bunga” działającej w Łaskach koło Warszawy. Nie, nie sposób wyliczyć tu wszystkich, ale o wszystkich pamiętamy i trud ich doceniamy.

Chociaż trudno odnaleźć Burundi na mapie Afryki, bo bardzo to mały kraj, chociaż grupa polskich karmelitów podjęła pracę w najbardziej zapadłym zakątku tego kraju, to przecież pracę tę dostrzegli liczni nasi Rodacy z wielu krajów świata i pośpieszyli ze swoją pomocą. Znowu należałoby wymienić tu liczne grupy i Koła Misyjne działające przy polskich parafiach w Anglii, Kanadzie i USA. Tylko sam Bóg potrafi należycie docenić trud

⁴ J. 4, 38

⁵ L'Osservatore Romano, wyd. polskie, rok 1, nr.9, wrzesień 1980, s. 20- 21

⁶ Por. J. 12, 24

⁷ Łk. 8, 11

⁸ Por. Ps.125/126, 5-6

„Komitetu Pomocy Polskim Misjom” przy parafii św. Jacka w Ottawie, trud wielu Sekcji Misyjnych Sodalitacji Mariańskich i Akcji Miłosierdzia „Gazety Niedzielnej” w Londynie, trud „Jutrzenki” przy naszym klasztorze w Munster. Osobny hymn wdzięczności należałoby wyśpiewać na cześć Drogich Sióstr św. Piotra Klawera, które za wzorem błogosławionej M. Teresy Ledóchowskiej wciąż okazują się „Matkami Afryki”.

Z głęboką wdzięcznością musimy tu stwierdzić, że pomagali nam także indywidualnie liczni Rodacy z USA, Kanady, Anglii, Szwecji, Francji, Szwajcarii, Niemiec, a nawet dalekiej Australii i Nowej Zelandii.

Czy tylko Rodacy? Nie! Bylibyśmy niesprawiedliwi, gdybyśmy nie wspomnieli tu pomocy Generalnego Sekretariatu Misji Karmelitańskich w Rzymie, pomocy różnych międzynarodowych organizacji, pomocy Sióstr Karmelitanek Bosych z różnych krajów, a także pomocy indywidualnej chrześcijan różnych narodowości. Pozwólcie, że wspomnę tu akcję zorganizowaną w Kolonii przez rodzinę Katarzyny i Hansa Schmitz. Przesłali oni do Burundi wiele bardzo wartościowych paczek.

Chciałbym, aby ta książka była hołdem uznania i wdzięczności za poświęcony czas, za odmawianie sobie nie tylko przyjemności, ale często i tego, co konieczne, byle tylko wspomóc Chrystusa w najbiedniejszych. Bywało przecież i tak, że przyniosła ofiarę na misję staruszka i wyjaśniła z prostotą: „Już od dłuższego czasu, zamiast jeździć tramwajem, chodziłam pieszo i tak zaoszczędziłam te pieniądze na głodujących i chorych w Burundi”. Szkoda, że nie można tu opowiedzieć wszystkich wzruszających historii ludzkiej dobroci, której doświadczyliśmy i wciąż doświadczamy.

Wszystkim, których z konieczności musimy pominąć, ale o których nigdy nie zapominamy w modlitwach i w ofierze Mszy św., która w każdą sobotę i w każdą niedzielę składana jest w ich intencjach w Mpindze – powtarzamy tu słowa uznania Pawła VI z adhortacji *Evangelii nuntiandi*: „Nasze szczególne uznanie wyrażamy tym wszystkim świeckim, którzy przystają na poświęcenie części swego czasu i sił, a nawet całego życia na rzecz świętych misji.”⁹

To jednak jeszcze nie wszystko. Trzeba tu koniecznie wspomnieć z wdzięcznością o darze bardzo cennym, który zawsze towarzyszył tej materialnej pomocy. Darem tym były nieustanne modlitwy, ofiarowane w intencjach misjonarzy trudy codziennej pracy i ofiarowane cierpienia. Wiem, że niezliczony zastęp ludzi utrudzonych i cierpiących mógłby się podpisać pod słowami śp. Barbary Lizoń: „...Wieloletnia przyjaźń braterska z o. Teofilem sprawiła, że sprawy misji są mi bardzo bliskie. W tej intencji modłę się i oddaję Panu wszystkie trudy, jakie mi przed wielu laty „zadał” przez chorobę – paraliż dziecięcy. Od wielu lat żyję „na kółkach” czyli na wózku inwalidzkim, ucząc się, pracując i chwalcę Pana za ŻYCIE, za łaskę współdziałania z Chrystusem unieruchomionym, kochającym i zbawiającym świat...”¹⁰

Listów, które zapewniają o duchowej pomocy dla naszej misji i poszczególnych misjonarzy otrzymaliśmy i otrzymujemy wiele. Np. M. B. z Krakowa pisze: „Mobilizuję się do jeszcze gorętszej modlitwy za misję. Za Ojca Eliasza ofiarowuję jeden dzień w tygodniu: piątek – dzień Zbawiciela cierpiącego. Wszystkie moje słowa i uczynki, wszystkie prace i sprawy moje pragnę w tym dniu łączyć z trudami Ojca Eliasza”¹¹. M. P. z Cieszyna w liście z 10 stycznia 1981 roku tak motywuje prośbę o adres misjonarza: „Pragnę w jego intencji wszystkie moje cierpienia i modlitwy ofiarować”.

To właśnie te modlitwy i cierpienia ofiarowane w naszych intencjach użyźniają Bożą łaską naszą misyjną rolę i sprawiają, że nasz misyjny trud – jak ufamy – nie pozostaje daremny w Panu.¹²

⁹ *Evangelii nuntiandi*, 73

¹⁰ Z listu do Biura Misyjnego Karmelitów Bosych w Krakowie, 10. 01.1979

¹¹ j. w. 30. 03.1980

¹² Por. 1 Kor. 15, 58

„Zbawia się tylko na krzyżowej drodze. Jeżeli misjonarz ma zbawiać, ma prowadzić ludzi do zbawienia, to jego droga musi być krzyżowa, jak krzyżowa była droga Jezusa Chrystusa. Na krzyżowej zaś drodze człowiek ogląda się za Cyrenejczykiem i za Weroniką. Jeżeli znajdzie się Cyrenejczyk, to chociaż trochę ulży mu w niesieniu krzyża. Jeżeli znajdzie się Weronika, to umęczone oblicze zaczyna jaśnieć na nowo. Wielu z Was stało się dla nas Cyrenejczykami i Weronikami. Wielu z Was! Składamy Wam za to z całego serca «Bóg zapłać»!¹³»

Szczególnie gorące „Bóg zapłać!” należy się na tym miejscu Siostrom Karmelitankom Dzieciątka Jezus, które bezpośrednio włączyły się w naszą posługę misyjną. Włączyły się do tego stopnia, że już nie można mówić czy pisać o pracy misyjnej Karmelitów Bosych w Burundi bez wspomnienia o pracy tych dzielnych misjonarek.

Niech za to Bogu będą dzięki!

Niech ta książka - dla wszystkich, którzy podjęli wraz z nami misyjny trud w Burundi, będzie bardzo szczerym, gorącym „Bóg zapłać!”

Napisałem wyżej, że to mnie zlecono „ulożenie” książki pt. *Misyjny trud*. Miałem ją „ulożyć” na podstawie listów misjonarzy. Po przeglądnięciu materiałów zgromadzonych przez Biuro Misyjne Ojców Karmelitów Bosych w Krakowie, plan książki sam się narzucił. Skoro ma to być opowieść o dziesięcioleciu pracy misyjnej Karmelitów Bosych w Burundi należy:

1. uwzględniając myśl przewodnią każdego roku, podać jego kronikę wydarzeń, 2. kronikę tę zilustrować listami misjonarzy.

Zaistniała tu jednak pewna trudność. W roku 1980 w Wydawnictwie OO. Karmelitów Bosych w Krakowie ukazały się drukiem *Listy polskich misjonarzy z Burundi*. Zbiór ten obejmuje wybór listów od 1971 do początków 1975 roku. Dlatego też, nie chcąc powtarzać świeżo wydanych listów i nie chcąc odstąpić od powziętego planu książki, postanowiłem opowiedzieć własnymi słowami historię pierwszych lat naszej działalności misyjnej w Burundi. Opowiem ją szerzej przede wszystkim dla tych Czytelników, którzy wspomnianych *Listów polskich misjonarzy z Burundi* nie posiadają. Kronikę wydarzeń następnych lat postaram się ilustrować listami samych misjonarzy.

Cóż powiedzieć o tych listach? Przede wszystkim należy pamiętać, że nie były one pisane do druku. Były skierowane do rodzin, do krewnych i przyjaciół misjonarzy. Tylko niektóre z nich były informacją o aktualnie przeprowadzanej pracy, o troskach, o zamiarach, o przeżyciach, informacją skierowaną do Przyjaciół i Współpracowników naszej misji w Burundi. Były odpowiedzią na ich pytania. Tu może kogoś zaskakiwać fakt, że czasem odpowiedzi na jedno i to samo pytanie bywają różne, że listy misjonarzy z Burundi tak odmienne malują obrazy, jakby pisane były z różnych krajów. Pozwólcie, że dla wyjaśnienia przytoczę tu kilka zdań na ten temat z listu pisanego w 1972 roku. Wspomniałem tam, że „w naszym małym kraju można spotkać: od nędzy, brudu, nagości, choroby i trądu – do znośnego dobrobytu, zdrowia, sytości. W zależności od tego na co autor listu zwróci w danej chwili uwagę, tak nam, na podstawie jego listu, przedstawi się Afryka. Gdy ktoś np. opíše tutejsze barwne stroje i egzotyczne tańce w cieniu palm – to Afryka może się jawić komuś jako roztańczony, beztroski, słoneczny świat. Z innego listu może się jawić jako świat ponurej nędzy, trądu, głodu, zabobonów. Tymczasem jest tu jedno i drugie. Dopiero wiele listów może dać jaki taki obraz tego, co tu widzimy i przeżywamy. (...)

W listach odbija się także aktualne usposobienie autora. „Czasem duszę ogarnia jakiś czarny pesymizm, czasem czarny w pomarańczowe kropki. Czasem znowu ogarnia ją

słoneczny optymizm i cały świat widzi się na różowo.¹⁴„

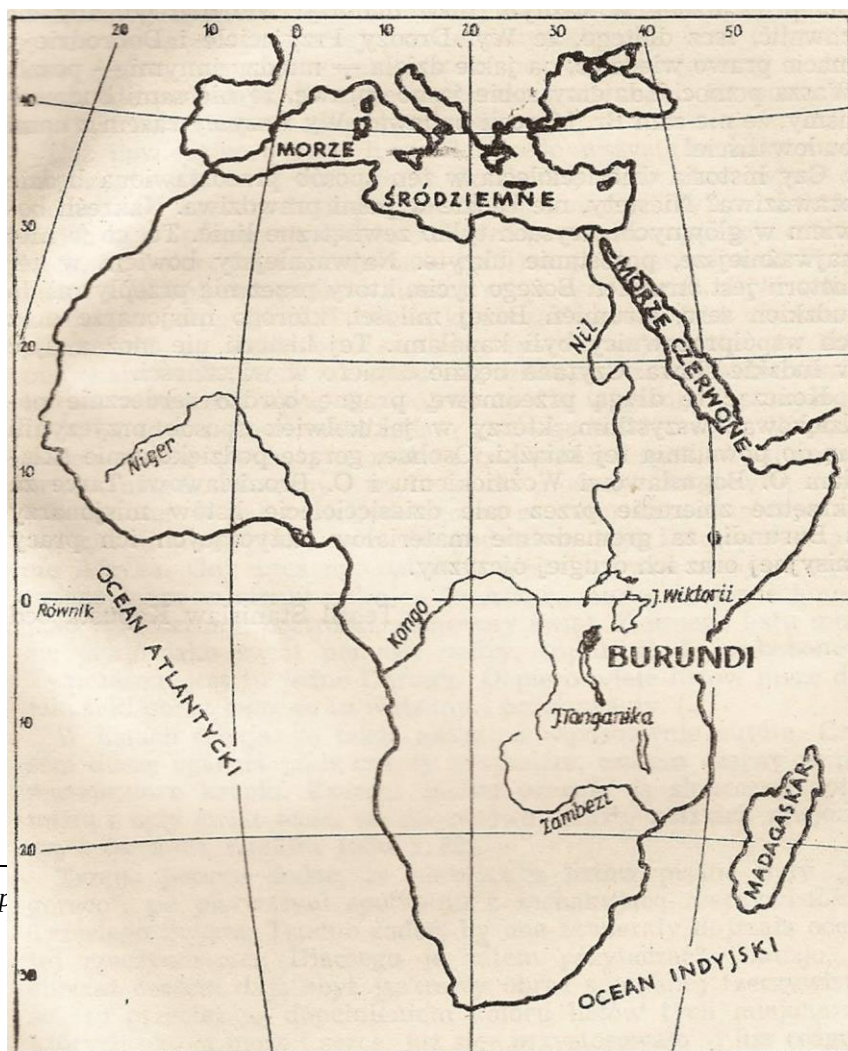
Trzeba jeszcze dodać, że niektóre z listów pisane były „na gorąco”, po pierwszym spotkaniu z zaskakującą rzeczywistością Trzeciego Świata. Trudno żądać, by one zawierały dojrzałą ocenę tej rzeczywistości. Dlaczego je zatem przytaczać? Dlatego, że chociaż czasem dają zbyt jaskrawy obraz spotkanej rzeczywistości, to przecież są dopełnieniem koloru listów tych misjonarzy, których oko, a może i serce, już się „przystosowało” i nie reaguje tak żywo na niektóre bolesne nawet sprawy. Dopiero jedno i drugie listy mogą właściwie odmalować rzeczywistość Trzeciego Świata.

Obraz dziesięciolecia naszej pracy misyjnej w Burundi nie byłby pełny, gdyby w nim nie można było znaleźć odpowiedzi na pytanie: „Co zbudowaliśmy?” Dlatego postaram się wyliczyć przeprowadzone w każdym roku budowy. Nie dlatego, aby się chwalić, lecz dlatego, że Wy, Drodzy Przyjaciele i Dobrodzieje, macie prawo wiedzieć, na jakie dzieła – między innymi – poszła Wasza pomoc. Zdajemy sobie jasno sprawę, że nie sami budowaliśmy, że nie sam Br. Marceli budował. Wy wszyscy razem z nami budowaliście!

Czy historia dziesięciolecia w ten sposób przedstawiona będzie prawdziwa? Niestety, nie będzie w pełni prawdziwa. Nakreśli bowiem w głównych zarysach tylko zewnętrzne linie. To, co w niej najważniejsze, pozostanie ukryte. Najważniejszy bowiem w tej historii jest strumień Bożego życia, który przez nią przepływał do ludzkich serc, strumień Bożej miłości, którego misjonarze oraz ich współpracownicy byli kanałami. Tej historii nie można ująć w ludzkie słowa. Czytana będzie dopiero w wieczności.

Kończąc tę długą przedmowę, pragnę bardzo serdecznie podziękować wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do powstania tej książki. Osobne, gorące podziękowanie składam O. Bogusławowi Woźnickiemu i O. Bronisławowi Tarce za skrzętne zbieranie przez całe dziesięciolecie listów misjonarzy z Burundi, za gromadzenie materiałów dotyczących ich pracy misyjnej oraz ich drugiej ojczyzny.

o. Teofil Stanisław Kapusta OCD



1971

„Wyjdź z twojej ziemi rodzinnej i z domu twego ojca do kraju, który ci ukaze.¹⁵”
„Idźcie i nauczajcie wszystkie narody, udzielając im chrztu w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Uczcie je zachowywać wszystko, co wam przykazałem. A oto Ja jestem z wami przez wszystkie dni, aż do skończenia świata.”¹⁶

Obraz Abrahama opuszczającego rodzinny dom i rodzinny kraj, by udać się do kraju ukazanego mu przez Boga i obraz Chrystusa wysyłającego Apostołów do wszystkich narodów zdają się ujmować w skrócie wydarzenia pierwszego roku misyjnej działalności Karmelitów Bosych w Burundi. Spróbujemy prześledzić te wydarzenia.

Zanim nadszedł rok 1971

Modlitwy, ofiarowane cierpienia i trudy oraz pomoc materialna wielu ludzi dobrej woli, zostały włączone w działalność misyjną polskich Karmelitów Bosych w Burundi. Nie wszyscy jednak, nawet z tych, którzy całym sercem włączyli się w tę działalność, wiedzą, jakie były jej początki. Dlatego należy tu krótko odpowiedzieć na pytanie:

Jak ta działalność się zaczęła?

Dziesięciolecie działalności misyjnej polskich Karmelitów Bosych w Burundi obejmuje lata 1971-1981. Grupa pierwszych misjonarzy karmelitańskich wyjechała bowiem z Polski i stanęła na afrykańskim lądzie, nad brzegami jeziora Tanganika, w Burundi, właśnie w 1971 roku. Historia tej działalności misyjnej zaczęła się jednak daleko wcześniej. Kiedy?

Św. Teresa od Jezusa, Doktor Kościoła, pragnąc zaradzić wielkim potrzebom Kościoła Świętego założyła w 1562 roku pierwszy klasztor karmelitanek reformowanych w Avili. Żyjąc ściśle według pierwotnej reguły zakonu, przestrzegając wiernie klauzury, oddając się postom i innym umartwieniom, miały one w ustawicznej modlitwie polecać Bogu wszystkie troski Kościoła. Wydaje się, że podobną formę życia zamierzyła św. Teresa dla reformowanych karmelitów, których pierwszy klasztor powstał 28 listopada 1568 roku w Duruelo. Kościół jednak potrzebował nie tylko oddanych modlitwie eremitów, potrzebował też bardzo światłych teologów i świętych kaznodziejów. Św. Teresa swoim wielkim i miłującym sercem obejmowała te wszystkie potrzeby Kościoła. Miłość i zatroskanie o sprawy Kościoła przekazała swym duchowym synom. Nic więc dziwnego, że surowość życia i gorliwość w modlitwie zaczęli oni łączyć z gorliwością apostołską. Już w 1582 roku pierwsza ekipa Karmelitów Bosych wyrusza na misje do Konga w Afryce.

Nie miejsce tu na opowiadanie o osiągnięciach Karmelitów Bosych na polu misyjnym. Na to trzeba by osobnej książki. My chcemy mówić o posłudze misyjnej polskich Karmelitów Bosych.

Musimy więc zapytać skąd wzięli się Karmelici Bosi w Polsce?

Można powiedzieć, że historia Karmelu Reformowanego na ziemiach polskich zaczęła się właśnie od misji. Był rok 1604. Karmelici zreformowani w Hiszpanii posiadali już we Włoszech odrębną kongregację. W lipcu ojcowie tejże włoskiej kongregacji wyruszyli na misje do dalekiej Persji. Wybrali drogę lądową przez Polskę i Rosję. Zaskakujące to nieco dla nas, żyjących w dobie odrzutowych samolotów. Przez Polskę jednak wiodła ich droga, ponieważ morze Śródziemne było wówczas opanowane przez okręty tureckie.

Surowość życia reformowanych karmelitów, ich wierność modlitwie przy równoczesnej gorliwości apostołskiej spodobały się bardzo w Polsce. Już w 1604 roku zaproponowano im

¹⁵ Rdz. 12, 1

¹⁶ Mt. 28, 19-20

założenie klasztoru w Krakowie. Wkrótce Zakon Karmelitów Bosych mocno się zakorzenił na lechickiej ziemi. Powołań nie brakowało, klasztory powstawały jeden po drugim. Kwitła w nich bogomyślność, rozwijały się karmelitańskie wydawnictwa, sanktuaria maryjne ściągaly pielgrzymów. Niektóre z klasztorów utrzymywały ścisły kontakt z misjami karmelitańskimi w Persji. Synowie polskiej Prowincji także pracowali na terenach misyjnych.¹⁷

Nie o przeszłości misyjnej polskich Karmelitów Bosych chcemy tu opowiadać. Mamy przecież opowiedzieć historię dziesięciu lat działalności misyjnej polskich Karmelitów Bosych w Burundi. Przeszłość jednak zawsze jakoś rzutuje na teraźniejszość i przyszłość. Tak było i w tym wypadku.

Rozbiory Polski spowodowały upadek życia zakonnego na jej terenach. Z licznych klasztorów Karmelitów Bosych pozostał tylko jeden, w Czernej k. Krzeszowic. W roku 1880 odnowiono w nim dawny styl życia karmelitańskiego. Przy personalnej pomocy zakonników z innych prowincji, Reformowany Karmel na ziemiach polskich zaczął się powoli odradzać. Dopiero jednak 1 maja 1920 roku z odrodzonych klasztorów utworzono samodzielną Polską Prowincję zakonną. Wspominam o tym, bo właśnie 50-lecie wskrzeszenia Polskiej Prowincji Karmelitów Bosych obchodzone uroczystie w 1970 roku, miało wpływ na podjęcie decyzji o powrocie do misyjnych tradycji tejże Prowincji. Na Kapitule Prowincjalnej w 1969 roku była mowa o ostatecznych przygotowaniach do bliskiego już jubileuszu. Była to równocześnie Kapituła obradująca nad przystosowaniem prawodawstwa zakonnego do współczesnych potrzeb Kościoła zgodnie ze wskazaniem Soboru Watykańskiego II. Sobór ten mówił dużo o ożywieniu ducha misyjnego w Kościele. Nie można było pominąć tego zagadnienia na Kapitule.

Właśnie to wpłynęło na powzięcie postanowienia, by polscy Karmelici Bosi podjęli pracę misyjną jako dar wdzięczności za 50-lecie swojej Prowincji.

Dnia 27 czerwca Kapituła podjęła uchwałę: „Żądają Ojcowie, aby tradycja misyjna naszej Prowincji była kontynuowana. Dlatego należy wyznaczyć kilku odpowiednich zakonników, odznaczających się troską o zbawienie dusz, na misje zagraniczne”.

Wprowadzenie w życie uchwał Kapituły Prowincjalnej w dużej mierze zależy od dobrej woli Prowincjała i jego Rady. W tym wypadku okazali oni dużo dobrej woli. Wypadki więc potoczyły się szybko. Już w lutym 1970 roku Prowincjał O. Remigiusz Czech polecił O. Leonardowi Kowalówce, sekretarzowi prowincjalnemu misji, przebywającemu wówczas w Rzymie, wyszukanie odpowiedniej, samodzielnej placówki misyjnej w Afryce. Wybór O. Leonarda padł na Kongo (Zair) i Burundi, chodziło bowiem o strefę języka francuskiego. W maju wyjechał do Afryki. Po przeprowadzeniu rozmów z biskupami niektórych diecezji Zairu i z arcybiskupem Makarakizą w Burundi wracał już wysłannik Polskiej Prowincji do Rzymu. W stolicy Burundi, Bujumburze, musiał czekać dwa dni na odpowiedni samolot do Europy. Bóg w realizacji Swoich zamiarów posługuje się czasem takimi nieprzewidywanymi okolicznościami. Nadarzyła się tymczasem okazja wyjazdu do diecezji Bururi. Skorzystał z niej O. Leonard, chciał przecież jak najwięcej dowiedzieć się o pracy misyjnej w Afryce. W Bururi nastąpiło spotkanie z biskupem Józefem Martin, który zaproponował karmelitom szerokie możliwości pracy misyjnej w swojej diecezji. Zaraz też nakreślił projekt umowy między diecezją, a Polską Prowincją Karmelitów. W projekcie była już mowa o objęciu przez karmelitów parafii w Mpindze.

Konkretnie propozycje, a przede wszystkim głębokie pragnienie biskupa, aby Karmelici Bosi nie tylko prowadzili pracę parafialną, lecz równocześnie przez działalność specjalistyczną starali się przeszczepić życie karmelitańskie do Burundi, zadecydowały, że **Rada Prowincjalna w dniu 10 listopada 1970 roku postanowiła przyjąć misje w Burundi, i to właśnie w diecezji Bururi.** Zaraz też skierowano list do zakonników całej Prowincji z prośbą, aby ci z nich, którzy pragną podjąć pracę misyjną, zgłosili się

dobrowolnie na wyjazd do Burundi.

To wszystko dokonało się, zanim nadszedł rok 1971.

Pierwszy rok dziesięciolecia

21 stycznia – Prowincjał Polskiej Prowincji zwraca się do Definitorium Generalnego Karmelitów Bosych z prośbą o pozwolenie na podjęcie samodzielnej misji przez swoją Prowincję. Z góry było wiadomo, że taka prośba zostanie przez Generalny Zakon przyjęta z radością. Należało ją jednak wnieść dla porządku prawnego.

5 lutego – Definitorium Generalne udziela pozwolenia na podjęcie pracy misyjnej przez Polską Prowincję.

17 lutego – Rada Prowincjalna zdecydowała wysłać na misje do Burundi jedenastu misjonarzy. Wybrano ich spośród dwudziestu, którzy zgłosili gotowość wyjazdu.

Szczęśliwymi wybranymi byli:

o. Leonard Kowalówka,
o. Teofil Kapusta,
o. Kasjan Dezor,
o. Jan Kanty Stasiński,
o. Klaudiusz Spyra,
o. Edmund Wrzesiński,
o. Sylwan Zieliński,
o. Eliaz Trybała,
o. Kamil Ratajczak.
br. Marcei Szłószczyk,
br. Sylwester Szypowski.

Dla wybrańców rozpoczął się teraz trudny okres przygotowania się do wyjazdu. Mówię „trudny”, bo należało przekazać innym własne obowiązki i prowadzone prace, należało załatwić wiele spraw paszportowych, trzeba było przygotować i wysłać bagaż przesiedlenia. O. Sylwan miał jeszcze złożyć licencjacki egzamin, a O. Eliaz zdać końcowe egzaminy z teologii i przyjąć święcenia kapłańskie. Niektórzy z przyszłych misjonarzy mieli przyjęte w różnych parafiach wielkopostne rekolekcje, których już nie mogli przekazać innym, musieli je zatem przeprowadzić. Wszyscy musieli pożegnać swoje rodziny i przyjaciół oraz urządzić uroczyste pożegnanie w rodzinnych parafiach. Przy tym wszystkim należało „odnowić” znajomość języka francuskiego, zapoznać się, na ile to w Polsce możliwe z krajem przeznaczenia i wreszcie studiować zagadnienia misyjne. Przyszli misjonarze powinni przecież wiedzieć o misjach więcej od innych kapłanów i zakonników.

Ostatecznie grupa wyjeżdżających na misje karmelitów zebrała się w naszym klasztorze w Poznaniu, by pod kierunkiem O. Leonarda przygotowywać się do „wyjścia z ziemi rodzinnej i z domu ojca, by udać się do kraju wskazanego im przez Pana.”¹⁸

12-16 maja – Bawi w Polsce ks. bp Józef Martin, ordynariusz diecezji w Bururi. Dostojny Gość z Burundi odwiedza klasztory Karmelitów Bosych, odwiedza niektóre seminaria duchowne, składa wizyty rodzinom swoich przyszłych misjonarzy. Swoją prostotą, bezpośredniością i dobrym humorem z miejsca podbija serca swoich misjonarzy, a odpowiedziami na liczne pytania, którymi go zasypali, bardzo im przybliży ich przyszłą

ojczyznę. Ukoronowaniem jego pobytu w Polsce była Msza św. koncelebrowana wspólnie z misjonarzami przed cudownym obrazem Matki Bożej na Jasnej Górze (16 maja).

8-12 czerwca – Św. Marek Ewangelista tak opisuje wybór Apostołów: „Potem (Jezus) wyszedł na górę i przywołał do siebie tych, których sam chciał, a oni przyszli do Niego. I ustanowił Dwunastu, aby Mu towarzyszyli, by mógł wysyłać ich na głoszenie nauki...”¹⁹

Pierwszym zatem obowiązkiem apostoła i podstawowym warunkiem, aby mógł być wysyłany na głoszenie nauki, jest „towarzyszenie” Panu. Pamiętali o tym wybierający się na misje karmelici. Dlatego przed wyruszeniem na głoszenie nauki, chcieli być sam na sam z Panem przynajmniej przez kilka dni. Od 8-12 czerwca odprawili wspólnie rekolekcje pod kierunkiem ks. Pawlaczuka, dyrektora dzieł misyjnych w archidiecezji poznańskiej.

16 czerwca – Wysyłani na misje synowie Karmelu są równocześnie synami Kościoła Świętego w Polsce. Nic więc dziwnego, że przed wyruszeniem do Afryki udają się do Prymasa Polski, ks. kard. Stefana Wyszyńskiego, by prosić Go o błogosławieństwo. Rozmówiony w Maryi Prymas, Braciom Najświętszej Dziewicy z Góry Karmelu wraz z błogosławieństwem składa bardzo cenny dar: wierną kopię Obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej.

Z tej okazji kieruje do nich gorące słowa:

„Zebrani tu przed Obrazem Pani naszej Częstochowskiej, pragnę gorąco powierzyć opiece Niepokalanej Matki Was i cały Wasz Zakon, który jest poświęcony w sposób szczególny na służbę i chwałę Maryi. Pragniemy powierzyć Was Tej, która pierwsza poniosła Wcielone Słowo z Nazaretu do Ain Karim. Trzymała Ona w Swoich ramionach Syna Bożego, który stał się Człowiekiem. W Jej macierzyńskiej opiece powierzamy, Bracia Najmilsi, Was i wszystkich tych, którzy pociągnięci Waszym przykładem wkroczą za Wami na drogę apostołstwa misyjnego.

Wiemy o Waszym gorącym pragnieniu posiadania Obrazu naszej Pani Częstochowskiej, aby oddać się na służbę Ludowi Bożemu podobnie jak Maryja, i z Maryją, Służebnicą Pańską i Współpracownicą w dziele Odkupienia. Dlatego mamy przygotowaną wierną Kopię Obrazu, abyście wzięli Ją na Wasze misje i aby Ona była z Wami. (...)

Jestem głęboko przekonany, że Wasi Bracia, których będziecie prowadzili do Chrystusa, gorąco Ją pokochają i zrozumieją. Jest przecież do nich podobna.

Mam nadzieję, moi najmilszy Synowie, że kiedy pojedziecie w Jej imieniu do Czarnych Narodów, Ona, Czarna Madonna, Siostra najmilsza wszystkich dzieci Bożych, a zwłaszcza Ludów Czarnych, będzie Wam potężną pomocą. Przez to, że powierzamy Wam Obraz Częstochowskiej Pani, dajemy Wam równocześnie i nasze serca, zapewniając Was o naszych ojcowskich uczuciach. Bądźcie pewni, że nie jesteście sami i nie zostaniecie opuszczeni. Gdy będziecie potrzebować pomocy, udzielimy jej Wam z całego serca w miarę naszych możliwości.

Właśnie dzisiaj w tym domu zebrała się Komisja Episkopatu Polski do spraw kultu Maryi. Wszyscy członkowie tej Komisji są tu obecni i modlą się z Wami.

Umocnieni tą modlitwą i jednomyślni z Przełożonymi Waszego Zakonu posyłamy Was w imieniu Maryi do Czarnych Narodów Afryki.

O Ty, cudowna Nosicielko Boga Żywego, pozwól tym kapłanom z Polski, aby Cię powieźli w swoich rękach. Oni, którzy chcą głosić Dobrą Nowinę wszystkim narodom odkupionym przez Twojego Syna. Prosimy Cię, o Matko, okryj płaszczem Twej opieki tych wszystkich zakonników Karmelitańskiego Zakonu, którzy wyruszają na misje. Czuwaj nad nimi, Pani, czuwasz nad ich misjami, czuwasz nad każdym z nich, gdyż wszyscy są Twoimi dziećmi, odkupionymi przez Twojego Syna. Spraw, żeby ich praca misyjna i apostołska wydała owoce na chwałę Bożą i na wielką radość ludzi, do których teraz się udają. Ty

Maryjo, bądź patronką misji, kraju, w którym będą się poświęcać. O łaskawa, o litościwa, o słodka Panno Maryjo²⁰!”

22 czerwca – W kościele poznańskim Ojców Karmelitów Bosych przy licznych udziale wiernych, odbyło się uroczyste pożegnanie wyjeżdżających do Burundi misjonarzy. Wszystkie pożegnania, także te uroczyste, pełne są wzruszeń i osobliwego smętku. To było bardzo wzruszające, tak dla żegnanych jak i dla żegnających. W czasie Mszy św. koncelebrowanej o godz. 18.00 pod przewodnictwem ks. bpa Jana Wosińskiego, Dyrektora Krajowego Papieskich Dzieł Misyjnych w Polsce, misjonarze odnowili swoje śluby zakonne i otrzymali krzyże misyjne.

We Mszy św. oprócz wspomnianego ks. bpa Wosińskiego, wzięli udział: przebywający wówczas w Polsce Generał Karmelitów Bosych O. Michał Anioł Batiz, Prowincjał O. Remigiusz Czech, delegacje klasztorów karmelitańskich, delegacja Kurii Metropolitalnej w Poznaniu, delegacje parafii Poznania i jego okolic, w których nasi misjonarze pracowali, a przede wszystkim rodziny misjonarzy i licznie zebrani ich przyjaciele.

Obejmowała ich wszystkich matczynym wejrzeniem Maryja z Częstochowskiego Obrazu, który wniesiono w procesji i ustawiono obok ołtarza. Rozumiała ich dobrze. Przecież sama żegnała kiedyś swego Syna, który wyruszył z rodzinnego domu, aby głosić Ewangelię Zbawienia. Przed obrazem płonęło jedenaście świec.²¹

Wypowiedziano w czasie pożegnania wiele głębokich i wzruszających słów. Szkoda, że nie utrwalono tekstów tych przemówień. Nasze wspomnienie tych wzruszających chwil zakończmy jedynym tekstem, który się zachował, tekstem przemówienia wygłoszonego w imieniu młodzieży związanej z klasztorem karmelitów i osobiście z misjonarzami więzami przyjaźni.

„Ukochani nasi Ojcowie Misjonarze!

W obecnej chwili nie chcemy myśleć, że to jest pożegnanie. W tej chwili chcemy myśleć i myślimy o tym, że Kościół święty, że duch Karmelu w pełni żyje i wnosi swój potencjał wewnętrzny w szeroki świat.

Potężnego echa Chrystusowych słów... idźcie!... głoscie!... nauczajcie!... nie zagłuszył hałas techniki XX wieku. Jednym z wyraźnych tego dowodów jest chwila obecna, w której przeżywamy i rozważamy Waszą, Drodzy Ojcowie, odpowiedź na wezwanie Kościoła Powszechnego.

Dano Wam wiele – czego byliśmy świadkami i doświadczaliśmy przez wiele lat przebywając z Wami – i dziś, Wy drodzy Ojcowie, świadomi tych łask, nie chcecie Bożych skarbów gromadzić w spichlerzach, gdy na szerokim świecie głód, głód prawdy, dobroci, miłości, łaski i chleba. Kapłaństwo Wasze, ożywione karmelitańskim duchem modlitwy i ofiary jest zdolne nieść te wielkie dobra Chrystusowe tam, gdzie tysiące rąk spragnionym gestem wyciąga się po nie. Dlatego dziś wypada nam podziękować Wam – Drodzy Ojcowie nasi – za Waszą decyzję, która głęboko i naszej całej grupy dotyka. Niech i ten nasz współudział w Waszej ofierze będzie włączony do skarbcza wielkich intencji misyjnych polskiego Karmelu.

Niech łaska Ducha Przenajświętszego wieńczy zwycięstwem każdy Wasz trud, a Matka i Królowa Karmelu niech błogosławi na stokrotny plon. Jesteśmy i będziemy z Wami!”

23 czerwca – Już od godz. 16.30 na Głównym Dworcu w Poznaniu zbierać się zaczęły licznie rodziny i przyjaciele naszych misjonarzy. Pożegnaniom nie było końca. Nikogo nie dziwiły płynące łzy. Wreszcie, albo raczej „już” o godz. 17.12 ruszył pociąg, by grupę polskich karmelitów przenieść – w pierwszym etapie ich misyjnej drogi – do Paryża.

²⁰ Fragm. przemówienia ks. kard. Stefana Wyszyńskiego, 16.06.1971

²¹ Symbol jedenastu misjonarzy wyjeżdżających do Afryki,

1-30 lipca – Kurs letni języka francuskiego w Instytucie Katolickim w Paryżu. Nie było czasu „dumać na paryskim bruku”, nie było czasu na bliższe zapoznanie się z wielką metropolią świata. Mieliby na to ochotę, bo przecież prawie wszyscy znaleźli się poza granicami Ojczyzny po raz pierwszy. Otwierali szeroko oczy, by chłonąć ten „inny świat”, „świat pierwszy”. Pamiętali jednak, że przyjechali tu dla Trzeciego Świata. Zdali wstępne egzaminy i już od 1 lipca weszli w atmosferę letniego kursu j. francuskiego dla obcokrajowców, który zgromadził wielu młodych ludzi z 69 krajów wszystkich kontynentów świata. Dawało to szerokie możliwości do wielu interesujących spotkań. Atmosfera wytworzyła się niemal rodzinna. Niestety, wymiana myśli nie mogła być całkowicie swobodna z powodu wciąż jeszcze słabej znajomości języka francuskiego. Ten język „wkuwali” nasi misjonarze z zapalem równym upałom tamtego lata. To był ich pierwszy misyjny trud. W tym też czasie jeden z nich, mianowicie O. Kamil Ratajczak, miał okazję do pierwszej misyjnej ofiary: nie mógł wrócić do Poznania na pogrzeb swego ojca, który zmarł niespodziewanie. Przeżywali to z nim wszyscy inni.

1 sierpnia – W sierpniu misjonarze rozpoczynają nowy kurs j. francuskiego w Alliance Française. Atmosfera tu jeszcze bardziej międzynarodowa, chociaż może mniej rodzinna niż w Instytucie Katolickim.

14 sierpnia – Patronką Misji Kościoła Powszechnego jest Karmelitanka bosa z Lisieux, św. Teresa od Dzieciątka Jezus. Nic więc dziwnego, że polscy Karmelici Bosi – Misjonarze – chcieli koniecznie poprosić o Jej błogosławieństwo dla swej wyprawy misyjnej. Dnia 14 sierpnia pojechali na pielgrzymkę. Złożyli Najśw. Ofiarę Mszy św. w Bazylice w Lisieux. Rozmawiali długo i serdecznie z siostrami karmelitankami, które przyrzekły wspierać ich pracę swoją modlitwą. Jakże bardzo pragnęli stanąć na tej ścieżce ogrodu klasztornego, na której z ust wyczerpanej chorobą siostry Teresy padły słowa: „... wie siostra, co mi dodaje siły? Oto chodzę na intencję jednego z misjonarzy. Myślę, że tam gdzieś, daleko, jeden z nich zmęczony jest może apostołskimi podróżami, ofiarowuję więc Bogu moje zmęczenie, by zmniejszyć jego trud.”²² Należało jednak uszanować święte prawa zakonnej klauzury.

Mogli za to wchłaniać do woli atmosferę rodzinnego domu św. Teresy Martin w Buissonnets, miejscu szczególnie drogim sercu każdego karmelitańskiego misjonarza. To tu czternastoletnia dziewczyna, pragnąca z całego serca być misjonarką, przerywa nagle lekturę Roczników Sióstr Misjonek, mówiąc: „Nie chcę więcej tego czytać; już i tak bardzo pragnę zostać misjonarką, do czego by doszło, gdybym się jeszcze przyglądała obrazkom tego apostołatu! Chcę być karmelitanką!”. Zaskakująca decyzja? Zaskakujący wybór? Tylko pozornie! Dla młodej dziewczyny z Lisieux wybór Karmelu nie równa się zdradzie misyjnego powołania. Jest to wybór trudniejszej, lecz pełniejszej formy. To tu Teresa wyjaśniła swoją decyzję słowami: „Chcę być karmelitanką (...), aby więcej cierpieć w monotonii surowego życia, a przez to zbawić więcej dusz!”²³

Każdy z naszych misjonarzy miał wiele do powiedzenia swojej Siostrze w Zakonie, Patronce Misji. Jakże trudno im było rozstać się z tym domkiem, z tym ogrodem ... z Lisieux!

23 sierpnia – Dzisiaj kończą się „pracowite wakacje” naszych misjonarzy w Paryżu. Jasnym promieniem tych wakacji była pielgrzymka do Lisieux oraz miłe spotkanie z ks. bpem Józefem Martin, który przed odlotem z Europy do Afryki odnalazł ich jeszcze w Paryżu. Jasnymi promieniami były także serdeczność i życzliwość, z którymi wszędzie się spotykali. Grupa jedenastu misjonarzy budziła też szczery podziw dla Kościoła w Polsce, podziw, że ten Kościół może „na raz aż tylu misjonarzy wysłać!”. To było miłe. Ze szczególną

²² *Dzieje duszy*, Kraków 1977, s. 258

²³ j. w., s. 289

wdzięcznością będą też zawsze wspominać życzliwość, którą otoczono ich w Polskim Seminarium Duchownym na rue des Irlandais, gdzie otrzymali mieszkanie na czas pobytu w Paryżu.

Nasi bracia, Marceli i Sylwester, swoje „wakacje” we Francji spędzili w klasztorze karmelitów w Avon, gdzie skutecznie zaprawiali się do francuskiej mowy, przebywając wśród samych Francuzów.

Wieczorem, 23 sierpnia nasi misjonarze wyruszyli pociągiem z Paryża do Rzymu, który był drugim i ostatnim etapem ich drogi do Afryki.

24-31 sierpnia – Bardzo pragnęli polscy karmelici-misjonarze polecić Bogu swoją misyjną wyprawę u grobów świętych Apostołów w Rzymie. Na grobach świętych męczenników, w katakumbach, w Koloseum chcieli prosić o umocnienie swej wiary. Głębką i mocną wiarą musi być opromienione życie świadka Chrystusowego, jeżeli ma innych prowadzić do wiary.

Trudno powiedzieć, że zwiedzili Rzym. Nie można przecież tego uczynić w kilku dniach. Pragnieniom ich stało się jednak zadość. Mogli modlić się na wielu uświęconych miejscach. Dzięki życzliwości generalnego sekretarza misji karmelitańskich mogli także odwiedzić drogę sercu każdego Polaka Monte Cassino i pomodlić się u grobu św. Marii Goretti w Nettuno oraz na miejscu Jej męczeństwa w Ferriere.

Gorąco pragnęli przede wszystkim spotkać się w Rzymie z Ojcem Świętym i prosić go o szczególne błogosławieństwo dla swej apostolskiej pracy. Nie śmieli jednak marzyć o czymś więcej niż udział w ogólnej środowej audyencji. W czasie wakacji specjalne audyencje są przecież wstrzymane. Tymczasem, kiedy papież Paweł VI dowiedział się o tak licznej grupie misjonarzy, postanowił ich przyjąć po audyencji ogólnej w środę 25 sierpnia. Co za radość! Ubrani w białe karmelitańskie płaszcze stanęli przed Ojcem Kościoła Katolickiego. Przynieśli ze sobą Kopię Jasnogórskiego Obrazu podarowaną im przez Prymasa Polski. Wzruszającego spotkania z Ojcem Św. nie da się opisać. Zaniechano uroczystych przemówień. W swobodnej rozmowie z misjonarzami Papież dopytywał o teren ich przyszłej pracy, zachęcał do gorliwości, pobłogosławił kopię Obrazu Częstochowskiej Pani, udzielił specjalnego błogosławieństwa misjonarzom, ich rodzinom, przyjaciółom, dobrodziejom i ludowi w Burundi. Na znak szczególnej z nimi łączności każdemu osobiście wręczył różaniec. To spotkanie z Następcą św. Piotra na rzymskiej stolicy biskupiej na zawsze pozostanie żywe w ich sercach.

Głęboko przeżyli także przyjęcie w Kongregacji Rozkrzewiania Wiary, gdzie podejmował ich 30 sierpnia sekretarz tejże Kongregacji, arcybiskup Bernardin Gantin, który miał pod swoją szczególną opieką misję w Afryce.

W ostatnim dniu swego pobytu w Rzymie spotkali się jeszcze z Generalnym Sekretarzem Synodu Biskupów ks. bpem Władysławem Rubinem.

Pożegnani uroczystym obiadem w Międzynarodowym Kolegium Karmelitów Bosych w Rzymie, gdzie znaleźli miłą gościnę na czas swego pobytu w Świętym Mieście, odjechali wieczorem na lotnisko Fiumicino.

1 września – Samolot miał odlecieć o godz. 23.45, lecz wskutek opóźnienia jego start nastąpił dopiero o godz. 0.27. Opuścili więc Europę dnia 1 września, by w tym samym dniu o godz. 6.30 lądować już na afrykańskim lądzie, na razie na lotnisku w Entebe. Stąd, innym już samolotem, dotarli na godz. 11.50 do stolicy Burundi, do Bujumbury. Znaleźli się nareszcie w ziemi, którą ukazał im Pan. Na lotnisku oczekiwał ich ks. bp Józef Martin i kilku Ojców Białych. Dalej, w buszu, oczekiwali Czarni Bracia, lud Burundi.

W tym samym dniu, po obiedzie, wyruszyli drogą nad brzegami jeziora Tanganika w kierunku Bururi. Nie chciało się pomieścić im w głowach, że to naprawdę oni znaleźli się nad brzegami tego pięknego jeziora, w sercu Afryki. Pytali w sercach swoich: Czy to naprawdę aż tu zaprowadziło nas powołanie Pana do życia zakonnego, do posługi kapłańskiej i wreszcie do posługi misyjnej? Dokąd jeszcze poprowadzi nas droga, która rozpoczęła się odpowiedzią

na wezwanie: „Pójdź za Mną!” skierowane do nas przez Pana?

Na razie droga prowadziła w wysokie góry. Wieczorem znaleźli się w stolicy diecezji, na biskupstwie w Bururi. Tu, w kaplicy biskupiej, wspólnie z biskupem i księżmi, w otoczeniu siostr Bene-Mariya, złożyli Bogu pierwszą na Czarnym Łądzie ofiarę Mszy św.

Byli zmęczeni długą podróżą. Długo jednak nie mogli zasnąć. Przez głowy i serca przesuwwały się trochę pomieszane obrazy: z Polski, z Paryża, z Rzymu i te świeże – z Burundi – które dzisiaj chłonęli szeroko otwartymi oczami i sercem...

5 września – Niejeden już raz próbowali misjonarze opisać swoje pierwsze wrażenia ze spotkania z nową ojczyzną. Nigdy im się to w pełni nie udało. Ludzkie słowa okazują się tu zupełnie bezradne. Nie odmalują tego, co dzieje się w sercu misjonarza, który po raz pierwszy zobaczy uśmiech czarnego dziecka albo napotka zatroskane oczy matki żyjącej w Trzecim Świecie. Słowa nie wypowiedzą uczuć misjonarza, który spogląda na pierwszą umęczoną twarz czarnego mężczyzny albo na ręce i nogi pierwszego spotkanego na swej misyjnej drodze trędowatego. Tego nie można opowiedzieć, nie można przekazać tym, którzy sami tego nie przeżyli. Dlatego też nawet nie silę się na opisywanie pierwszych wrażeń naszych misjonarzy w Burundi. Nie to zresztą jest celem tej relacji. Mam podać tu tylko kronikę wydarzeń.

Zwiedzili biskupstwo, katedrę, szkoły, szpitalik dla trędowatych, magazyn diecezjalnego ekonomatu i różne warsztaty. To wszystko było dla nich nowe i pouczające. Wciąż jednak padało pytanie: „ale jak to jest na zwyczajnej misji, tam w buszu?” Zobaczyć to mieli później. Teraz uczyli się czytać i choć odrobinę rozumieć tekst drugiej modlitwy eucharystycznej. Postanowiono bowiem, że w niedzielę, 5 września będą koncelebrować sumę w katedrze wraz z licznymi gośćmi, którzy zjadą do Bururi na uroczystość 10-lecia diecezji.

Suma o godz. 10.30 była rzeczywiście uroczysta, koncelebrowana przez bpa J. Martin, bpa Stanisława Kaburungu, przez około 30 kapłanów i przez polskich nowych misjonarzy. Bp Martin przedstawił ich ludowi jako wielki dar dla diecezji z okazji jej dziesięciolecia. Musiał wyjaśnić, że dar ten pochodzi z dalekiej Polski, której wiara jest żywa i której miłość chrześcijańska jest tak żywa, że przynagla do składania aż takich darów.

Po sumie odbyły się uroczystości na cześć biskupa na miejscowym stadionie: tańce regionalne, liczne przemówienia, tam-tamy. W przemówieniach ministrów i władz miejscowych wyrażano wdzięczność dla bpa Martin za jego wielki wkład w rozwój tego zaniedbanego regionu kraju. Nie pominięto w przemówieniach radości z powodu przybycia do diecezji nowych misjonarzy z Polski. Zawsze zrywały się wtedy mocne i długotrwałe oklaski.

6 września – Odbył się w Bururi zjazd wszystkich księży i siostr z całej diecezji. Nie wszyscy mogli przyjechać na uroczystość w niedzielę. Misjonarze z Polski zostali przedstawieni księżom i siostram i w ten sposób włączeni w szeregi duchowieństwa pracującego w diecezji. Przy tej okazji bp Martin mówił długo i serdecznie o swojej „pielgrzymce” do Polski.

7 września – Siedmiu naszych misjonarzy wyjeżdża z Bururi do centrum języka kirundi w Muyange. Tylko siedmiu, bo dla czterech zabrakło miejsca. Pójdą na następny kurs. Na razie będą zapoznawać się z pracą misyjną w buszu. Br. Marcelli został w pobliżu Bururi, w Seminarium w Buta. Br. Sylwester odjechał do Martyazo, O. Jan Kanty do Mabandy, a O. Teofil do Mpingi.

31 grudnia – Poznawanie trudnego języka kirundi to mozolna praca naszych misjonarzy w ostatnich miesiącach pierwszego roku ich misyjnej „przygody”.

Święta Bożego Narodzenia spędzili w Muyange. Czterej „z rozproszenia” spotkali się w Mpindze. Dzielili się wrażeniami, radowali listami i zainteresowaniem, jakie budzi ich misyjna wyprawa w rodzinnym kraju. Dziękowali też Bogu za to, że mogą w duchu i prawdzie powtarzać słowa Pana: „Posłał mnie, abym ubogim niósł dobrą nowinę...”²⁴,”

1972

„Chociaż obowiązek rozszerzania wiary ciąży, w odpowiedniej części na każdym uczniu Chrystusowym, to jednak Chrystus Pan powołuje zawsze z liczby uczniów tych, których sam chce, aby byli z Nim i aby mógł ich wysyłać na głoszenie nauki narodom.”²⁵

Do tak wspaniałego dzieła przyszedł misjonarz powinien przygotować się przez specjalną formację duchową i moralną.²⁶

Te zaś rodzaje formacji tak należy uzupełnić w krajach, do których misjonarze będą wysłani, aby poznali szerzej historię, struktury społeczne i zwyczaje ludów, aby zgłębili porządek moralny i nakazy religijne i również najskrytsze pojęcia, jakie ludy te, na podstawie uświęconych tradycji wytworzyły sobie o Bogu, o świecie i o człowieku. Niech w takim stopniu opanują języki, aby mogli się nimi posługiwać poprawnie i swobodnie i aby w ten sposób znaleźli łatwiejszy dostęp do umysłów i serc ludzi. Ponadto trzeba ich nauczycie wprowadzić w specyficzne potrzeby duszpasterskie.”²⁷

Powyższe słowa Soboru Watykańskiego II można uznać za tło, na którym rozgrywają się wydarzenia drugiego roku misyjnego trudu polskich Karmelitów Bosych w Burundi. **Kurs języka kirundi w Muyange i staż pracy misyjnej na różnych misjach**, miały pomóc naszym misjonarzom w wypełnieniu programu formacji nakreślonego dla wszystkich misjonarzy przez Sobór, miały wprowadzić ich „w specyficzne potrzeby duszpasterskie” na terenie Burundi. **Przeżyli głęboko wstrząsające wydarzenia wojny domowej, która rozegrała się w tym roku w Burundi**, ale przecież postanowili, mimo trudności, trwać na posterunku, dlatego też poznanie języka i ludzi, zapoznanie się z krajem i z zasadami duszpasterstwa w Burundi, uznali za swój główny obowiązek.

Kronika wydarzeń

25 stycznia – Dzisiaj w drodze z kursu języka na staż pracy nasi misjonarze pojawili się w Mpindze. Bardzo przecież chcieli zobaczyć tę misję, która od początku była przewidziana jako teren ich przyszłej pracy.

Na staż pracy misyjnej wyjechali: O. Leonard i O. Eliaz do Rutany, O. Kasjan do Rumezy, O. Klaudiusz do Bukirasazi, O. Edmund do Butwe, O. Sylwan do Makamby. Tylko O. Kamil pozostał w Mpindze.

Tymczasem O. Teofil i O. Jan Kanty zasiadą na ławie szkolnej w Muyange. Br. Marceli

²⁴ Łk. 4, 18

²⁵ DM 23

²⁶ DM 25

²⁷ DM 26

pozostanie w Buta, a Br. Sylwester na swej nowej placówce w Rutovu.

Jak wspomniałem, kurs języka i staż pracy mają, między innymi, zapoznać naszych misjonarzy z krajem, który będzie terenem ich pracy. Razem z nimi zapoznajmy się chociaż pobieżnie z geografią Burundi.

Geografia Burundi

1. Położenie geograficzne i powierzchnia.

Granice Burundi mieszczą się między 2°45' a 4°28' szerokości południowej oraz między 28°50' a 30°50' długości wschodniej.

Kraj graniczy na północy z Rwandą, na wschodzie i południu z Tanzanią, na zachodzie zaś z Zairem.

Powierzchnia 27.834 km² pozwala zaliczyć Burundi do najmniejszych krajów Afryki.

2. Ukształtowanie, rzeźba terenu.

Burundi leży w okolicach wielkich jezior i górskich terenów środkowej Afryki. Można w tym kraju wyróżnić z łatwością cztery linie ukształtowania terenu, biegnące z północy na południe:

a) od północnego zachodu spotykamy rozległą nizinę rzeki Ruzizi, która ciągnie się na południe wąskim pasem wzdłuż brzegu jeziora Tanganika (poniżej 1000 m n.p.m.).

b) wąski grzebień górski, należący do pasma górskiego ZairNil, sięga głęboko na południe kraju. Najwyższymi jego szczytami są: Heha – 2670 m, Teza – 2665 m, Twinyoni – 2651 m i Kavumu – 2634 m. Są to góry wulkaniczne, ale ich szczyty dawno już uległy erozji. Dopiero na pograniczu Rwandy i Ugandy dostrzegamy w tym paśmie górskim niedawno wygasłe wulkany, zaś nieco dalej, już w Zairze, wciąż jeszcze czynny wulkan.

c) rozległe płaskowzgórze centralne (1500-2500 m). Jest to teren złożony z tysiąca łagodnych gór i jeszcze bardziej łagodnie ukształtowanych pagórków. Tylko gdzieś tam płaskowzgórze to poprzecinane jest głębokimi jarami. Jest to zapewne wynik głębokich wstrząsów tektonicznych.

d) wschodnią część kraju stanowią ciągnące się na południe niższe tereny (1000-1500 m). Są to tereny złożone z łagodnych pagórków i dolin.

3. Jeziora i rzeki

a) **Jeziora.** Burundi leży nad jeziorem Tanganika. Prawie 2/3 jego zachodniej granicy stanowi to właśnie jezioro.

Tanganika jest niezwykle ciekawym jeziorem. Jego długość wynosi 650 km, a szerokość waha się w granicach od 40-80 km. Poziom jego wód znajduje się na wysokości około 775 m n.p.m., głębokość zaś sięga 1470 m, a zatem leży 695 m niżej poziomu morza. Jest to, po Bajkale, najgłębsze jezioro świata.

Świadomie napisałem, że poziom wód jeziora Tanganika znajduje się na wysokości „około 775 m”, obserwuje się bowiem nieustanne wahanie się tej wysokości. To dziwne zjawisko dostrzeżono już dawno. I tak np. w roku 1850 poziom wody w jeziorze osiągnął wysokość 778 m, by w roku 1890 spaść do 773 m. W roku 1961 poziom ten znajdował się na wysokości 773,73 m, a już w roku 1964 na wysokości 777,14 m. Istnieją różne hipotezy na wytłumaczenie tego zjawiska. Dotychczas jednak wszystkie próby pozostają hipotezami.

Oprócz tych wielkich wahań, rozłożonych na lata, dostrzega się jeszcze wahania, powtarzające się w każdym roku w granicach 80 cm. Na przełomie kwietnia i maja wody jeziora osiągają swój najwyższy, zaś na przełomie października i listopada swój najniższy

roczny poziom. To zjawisko uwarunkowane jest deszczową i suchą porą roku.

Dostrzega się także codzienny przypływ i odpływ wód jeziora.

W porze suchej (chyba ze względu na silny wiatr) od 7-10 cm, w porze deszczowej od 1-2 cm.

Na granicy z Rwandą posiada Burundi jeszcze dwa większe jeziora: Rweru i Cohoha. Są to jeziora płytkie z niezliczoną ilością małych pływających wysepek, które powstały z naniesionych przez rzeki resztek papirusów, które w tych okolicach rosną w obfitości. Jezioro Cohoha posiada brzegi mocno rozgałęzione w liczne półwyspy i zatoki. Nad tymi jeziorami żyje wiele wodnego ptactwa, dlatego też popularnie nazywa się te jeziora ptasimi.

b) Rzeki. Należy stwierdzić, że Burundi posiada bogato rozbudowaną sieć wodną, złożoną z licznych rzek i jeszcze liczniejszych potoków. Ciekawostką jest fakt, że jedne rzeki Burundi kierują swe wody poprzez dorzecze Zair-Congo do Oceanu Atlantyckiego, a inne poprzez dorzecze Nilu do Morza Śródziemnego.

Dorzecze Zair-Congo. Niemal wszystkie rzeki tego dorzecza są rzekami góorskimi, bardzo rwącymi szczególnie w porze deszczowej. Spotkać na nich można większe i mniejsze wodospady.

Najważniejszymi rzekami tego dorzecza są: Ruzizi i Malagarazi. Rzeką Ruzizi jest niejako kanałem spustowym wód jeziora Kivu do jeziora Tanganika. Wpada ona do Tanganiki deltą Wielkiej i Małej Ruzizi. Właśnie ta ostatnia stanowi granicę północno-zachodnią między Zairem i Burundi.

Droga rzeki Malagarazi jest bardzo ciekawa. Rzeką tą bowiem wypływa w Burundi nie dalej niż 10 km od brzegu jeziora Tanganika i płynie 125 km z południa na północ (z pewnym odchyleniem ku wschodowi). Te 125 km stanowią granicę Burundi i Tanzanii, a na mniejszym już odcinku także granicę naszej parafii w Mpindze. Następnie rzeka Malagarazi obiera kierunek południowy (z odchyleniem ku wschodowi), by po 200 km skręcić na zachód i po następnych 150 km wpaść do jeziora Tanganika, 10 km na południe od swych źródeł.

Wody rzek dorzecza Zair-Congo wpadają do jeziora Tanganika, to zaś jezioro poprzez rzekę Lukuga, a później Lualaba i Congo odprowadza swe wody do Atlantyku.

Dorzecze Nilu. Rzeki Kagera, Kanyaru i Ruvubu są głównymi rzekami tego dorzecza. Warto tu wspomnieć przede wszystkim o Ruvubu, której źródła znajdują się na wysokości 2025 m n.p.m. Wśród licznych dopływów tej rzeki najdłuższymi są: Mubarazi i Ruvyironza. Źródła Ruvyironzy uznano za najbardziej na południe wysunięte źródła Nilu. Zbudowano przy nich małą piramidę z napisem: „Źródła Nilu”. Rzeką Ruvubu wpada już w Tanzanii do rzeki Kagera, która odprowadza swe wody do jeziora Wiktorii i dalej do Nilu. Warto jeszcze wspomnieć, że w Burundi w okolicach Bururi można spotkać ciepłe źródła.

Woda. Jeziora i liczne rzeki wskazują na obfitość wody w Burundi. Rzeczywiście wody w Burundi nie brakuje. Czasem muszą ją ludzie donosić z daleka, ale zawsze wodę można znaleźć. Istnieje jednak w Burundi problem wody, albowiem woda tamtejsza jest niezdatna do picia ze względu na ogromną ilość żyjących w niej ameb i różnych innych drobnoustrojów. Misjonarzom powtarza się, że wodę do picia należy gotować i filtrować. Ostrożniejsi mówią, że należy dwa razy gotować i dwa razy filtrować. Ludzie tamtejsi nie mogą sobie na to pozwolić. Piją wodę z rzek, z potoków, piją deszczówkę, stąd wiele u nich chorób przewodu pokarmowego, wiele chorób pasożytniczych. Powiedział ktoś: uleczyć wodę w Burundi, to uleczyć więcej niż połowę chorób tamtejszej ludności.

Czy więc problemu nie rozwiązałyby studnie? Zapewne tak. Niestety, trudno w naszych górach kopać studnie. Te kopane w dolinach wypełniłaby woda podskórna, a te na górach musiałyby być bardzo głębokie. W Musongati np. przy wierceniach w poszukiwaniu złóż

niklu znaleziono wodę dopiero na głębokości 60 metrów. Któż mógłby sobie pozwolić na tak głębokie studnie? Chociażby ją nawet wykopać i zabezpieczyć, nie można być pewnym, że utrzyma wodę. Regularnie, dwa razy w roku, odczuwa się w Burundi dosyć silne trzęsienia ziemi, które mogą spowodować zniknięcie wody. Dla przykładu przytoczę przypadek z terenu parafii w Mpindze. Było tam mianowicie małe jezioro, które po trzęsieniu ziemi zupełnie utraciło wodę.

4. Klimat

Burundi posiada umiarkowany klimat tropikalny, albo inaczej tropikalny klimat górski. Wyróżnić można trzy strefy klimatu:

- a) poniżej 1000 m klimat prawdziwie tropikalny. Roczna średnia temperatury 23°C.
- b) na płaskowzgórzu od 1000-2000 m klimat bardziej umiarkowany. Średnia roczna temperatury 18°C.
- c) w terenach górskich powyżej 2000 m klimat jest ostrzejszy. Wahanie temperatury duże. Jej średnia roczna wynosi 17°C. W górskich terenach może temperatura spadać niemal do zera, a nawet zdarza się, że spada poniżej zera. Dużo tu deszczu, pora sucha krótka.

W Burundi rozróżniamy dwie pory roku: deszczową od października do maja i suchą od czerwca do września.

5. Fauna

Jeszcze do niedawnych czasów żyło w Burundi mnóstwo rozmaitych zwierząt. Starzy misjonarze do dziś wspominają polowania na lwy, lamparty, tygrysy, słonie i inną mniejszą zwierzynę. Dzisiaj zwierzęta musiały ustąpić ludziom. Trzeba, pamiętać, że Burundi posiada wyjątkową, jak na Afrykę, gęstość zaludnienia: 153 mieszkańców na km². Nie ma już lwów, chyba że któryś przejdzie z Tanzanii. W ostatnich dziesięciu latach tylko dwa razy słyszano się o tym, że w okolicach Mpingi pożarły kilkanaście krów, poraniły, a nawet rozszarpały ludzi. Tylko raz w ciągu dziesięciu lat przemaszerowało przez Burundi stado 15 słoni. Spotyka się jeszcze trochę większych drapieżników jak cywety, żenety, itd. Żyje tu jeszcze dosyć dużo gazeli i zajęcy, dzików, kilka gatunków małp i bardzo dużo drobnych gryzoni jak szczury, myszy itp.

Zwierzęta tzw. domowe to przede wszystkim wypasane tu bydło watussi, kozy, barany. W niektórych okolicach próbuje się hodować świnie, króliki. Można też w osiedlach spotkać psy i koty.

Trzeba powiedzieć, że zwierzęta w Burundi ulegają coraz większemu wyniszczeniu. Ciągłe się na nie poluje. Na gazy itp. dla mięsa, na małpy i dziki przede wszystkim dlatego, że niszczą pola. Wiele zwierząt ginie w czasie wypalania buszu, co czyni się systematycznie.

W buszu można jeszcze spotkać kilkanaście rodzajów węży i żmij. Niektóre z nich są bardzo jadowite. Z większych węży występuje tu boa dusiciel i pyton. Ten ostatni doznaje nawet pewnej czci w Burundi. Wierzą mianowicie, że dusza pewnej księżniczki wcieliła się w pytona. Do dzisiaj nikt nie ośmielił się zabić pytona. Temu wężowi poświęcały się westalki, które pozostawały dziewicami. Ostatnia ze znanych żyła jeszcze w 1960 roku i nosiła imię Barahemana²⁸

W jeziorach i rzekach żyje dużo hipopotamów i krokodyle oraz liczne gatunki ryb.

Spotykamy też w Burundi dużo ptactwa wodnego. W lasach żyją orły, jastrzębie i dużo mniejszego ptactwa. Pewną czią otaczany jest w Burundi żuraw koroniasty. Z ptactwa

domowego znana jest jedynie kura.

Należy jeszcze wspomnieć dla pełności obrazu, że w Burundi występują w dużej ilości i różnorodności motyle, ćmy, owady, insekty. W terenach niższych żyją komary roznoszące malarię i od czasu do czasu sygnalizuje się pojawienie się muchy tse-tse. Dlatego też ludzie najchętniej budują swe domy na terenach górzystych, a w doliny schodzą tylko dla uprawiania pól.

6. Flora

Dostateczna ilość opadów i ciepły klimat sprawiły, że teren Burundi pokrył się tropikalną puszcza. Dzisiaj zachowały się tylko jej resztki. Ogromne lasy musiały ustąpić polom uprawnym i pastwiskom. Zbocza górskie i doliny nie nadające się pod uprawę, porośnięte są charakterystycznym dla Burundi buszem. Są to wysokie trawy, różne krzewy, kaktusy i gdzieś tam liche drzewa, przeważnie kolczaste. Ten busz bywa niemal rokrocznie palony przed nadejściem pory deszczowej. Przy okazji palą się czasem resztki lasów, które tu pozostały, a nawet i te, które się próbuje sadzić. Drzewo, które dzisiaj można spotkać niemal w całym kraju, to eukaliptus. Palmy występują głównie w dolinie Ruzizi i nad jeziorem Tanganika. Tu też uprawia się palmy oleiste i kokosowe. W innych okolicach kraju spotyka się różne palmy dziko rosnące. Do wyplatania mat i różnych koszów wykorzystuje się niektóre gatunki bambusów, papirusu i sizalu.

Rośliną najbardziej charakterystyczną dla Burundi i powszechnie uprawianą jest bananowiec. Uprawia się kilka gatunków. Z innych roślin uprawnych należy wymienić przede wszystkim: fasolę, groch, kukurydzę, maniok, słodkie ziemniaki. Te rośliny są podstawą wyżywienia ludności. W mniejszej już ilości uprawia się sorgo, orzeszki ziemne, ananasy, nieco trzciny cukrowej. Z owoców uprawia się małą ilość pomarańczy, cytryn, awokado, mango. Misjonarze zachęcili do uprawy cebuli, marchewki, kapusty, pomidorów i innych jarzyn. Uprawy te jednak nie są jeszcze powszechnie znane. Próbuje się uprawiać nieco jarej pszenicy, ryżu bagnistego i górskiego. Za czasów belgijskich wprowadzono uprawę kawy i herbaty. Uprawia się je na eksport, bo ludność miejscowa tych napojów nie używa.

Ogólnie należy powiedzieć, że chociaż roślinność Burundi w porównaniu z innymi krajami Afryki jest bogata, to przecież – zwłaszcza w porze suchej – odnosi się wrażenie ubóstwa. Misjonarze, przybywający do Burundi z innych krajów Afryki, nazywają ten kraj rajem. Rzeczywiście nawet w porze suchej można tu dostrzec dużo zieleni (dzięki bananowcom), a w porze deszczowej - obfitość zieleni i kwiatów. Mimo wszystko jednak, flora Burundi jest bardzo uboga, chociażby tylko w porównaniu z roślinnością Polski.

7. Bogactwa naturalne

Podobno dawniej znajdowano w niektórych okolicach Burundi odrobinę złota. Dzisiaj nie mówi się już o tym. Poszukiwania prowadzone przez ONZ wykryły dosyć bogate, jak się wydaje, złoża niklu. Poszukuje się nadal innych minerałów oraz ropy, gazu i węgla. Na razie bez rezultatu. Występuje w Burundi nieco wapna, miki.

Nikiel odkryty w latach 1972-1975 mógłby może stanowić jakieś bogactwo kraju. Czy jednak będzie wydobywany i kiedy? Burundi nie posiada jeszcze elektryczności, nie posiada dobrych dróg i dostępu do morza.

Czy na rzekach nie można budować tam i elektrowni? Wydaje się, że byłoby to zupełnie możliwe, ale na razie nie jest to opłacalne. Dlaczego? Jako odpowiedź na to pytanie niech posłuży przykład osiedla wojewódzkiego Bururi. Pewna instytucja francuska chciała temu „miastu” złożyć dar w postaci elektrowni. Zaczęto robić badania i kosztorysy. Okazało się, że istnieją dogodne warunki do zbudowania tamy i elektrowni. Powstało jednak pytanie: „ale kto

będzie z tego korzystał?”. Tylko warsztaty na biskupstwie potrzebują trochę energii. Inni nie potrzebują, bo na co? A światło? Poczta, sąd, szkoła itp. „urzędują” w ciągu dnia. Na noc potrzebują kilkadziesiąt żarówek: biskupstwo, szpitalik i wojskowe koszary. Ludziom na dwie godziny wystarczy jedna lub dwie żarówki. Dla jednej żarówki nie opłaca się przeprowadzać linii elektrycznej do rozrzuconych po wzgórzach domków. Z jakich zatem funduszy utrzymać później tamę i elektrownię? Projekt został zaniechany.

Mam nadzieję, że te strzępy wiadomości z geografii Burundi, podane na podstawie obserwacji oraz na podstawie książki Cl. Van der Velpena *Geographie du Burundi*²⁹, przybliżą nam choć odrobinę drugą ojczyznę naszych misjonarzy. O ludziach i historii Burundi porozmawiamy przy następnej dacie naszej kroniki wydarzeń.

29 kwietnia – Dzisiaj rozpoczął się krwawy dramat wojny domowej w Burundi. Cały kraj okrył się żałobą, bólem przepełniły się serca, strach przeglądał przez wszystkie oczy, czaił się w każdym zakątku. Połała się krew. Bardzo boleśnie tę tragedię kraju przeżywali wszyscy misjonarze, także nasi polscy.

Aby choć trochę zrozumieć przyczyny tego dramatu, trzeba koniecznie sięgnąć po garstkę wiadomości z historii tego ludu i tego kraju.

Ludność Burundi i historia kraju.

Burundi liczy około 4 500 000 ludności i składa się z trzech zasadniczych plemion.

1. Twa (Batwa – jak się ich w Burundi nazywa) stanowią 1% ludności. Są to pierwsi znani mieszkańcy tego kraju. Nie należą oni do czystej rasy pigmejkiej, są jednak do niej bardzo zbliżeni, są pół-pigmejami. Średnia ich wzrostu sięga 157 cm. Stali się takimi przez pomieszanie się z nieznaną ludnością tubylczą wyższego wzrostu. Z zamiłowania są przede wszystkim myśliwymi. Obecnie trudnią się również garncarstwem, a także tu i ówdzie zaczynają uprawiać rolę.

2. Hutu (85% ludności). Jest to plemię Bantu, które przybyło do Burundi z północy i północnego wschodu w bardzo odległej epoce. Bez trudu opanowali kraj. Byli i pozostali na wskroś rolnikami. Dla zdobycia terenów pod uprawę, palili i karczowali tamtejsze lasy tropikalne, wypierając tym sposobem Pigmejów. Przez zetknięcie się z przybyłymi tu później pasterzami chamiczami zajęli się także hodowlą bydła. Jest to rasa zdrowa i bardzo płodna. Ich średni wzrost wynosi 167 cm. Nasi misjonarze nazywają ich w listach „krótkimi” dla odróżnienia od „długich” (średnia wzrostu 180 cm), którzy stanowią następną grupę plemienną ludności. W opowiadaniu posługiwać się będziemy tymi określeniami.

3. Tutsi stanowią 14% ludności. Są oni prawdopodobnie pochodzenia chamiczego (Negro-Chamici). Wędrując z Azji Zachodniej przedostali się w nieznanym okresie dziejów do Afryki. Wydaje się, że już od IV wieku po Chrystusie pasterze chamiccy podejmowali próby przeniknięcia na południe Afryki. Dopiero jednak w XI i XII wieku podjęli bardziej śmiałe i skuteczne ruchy migracyjne. Dotarli najpierw aż do wrót Wielkich Jezior Afrykańskich, a później (około XV wieku) zaczęli zajmować tereny dzisiejszej Rwandy i Burundi. Posiadali wielkie stada bydła, co dawało im przewagę materialną nad uprawiającymi marne stoki górskie, rolnikami. Byli uprzywilejowani również z racji swojego wzrostu oraz pełnego dostojęstwa sposobu zachowania się. Nic zatem dziwnego, że w krótkim czasie umocnili swoją przewagę społeczną na tych terenach.

W późniejszym okresie należy jeszcze wyróżnić nieliczną grupę tzw. **Ganwa**, książąt krwi

królewskiej. Ich pochodzenie jest osłonięte pewną tajemniczością. Powszechnie uważa się jednak, że grupa ta powstała z wymieszania się warstwy panującej Hutu z najznakomitszymi rodzinami Tutsi. Stanowili oni arystokrację kraju, szlachtę, która przez długi okres dziejów dzierżyła władzę.

Te trzy plemiona, żyjące na terenie dzisiejszej Rwandy i Burundi, pod przewodnictwem wspomnianych książąt utworzyły wspólną organizację polityczną. Dokonało się to powoli, w ciągu wieków. Król - Mwami, najwyższy zwierzchnik Ganwa, był absolutnym panem wszystkiego i wszystkich. On sam wybierał i mianował, najczęściej z rodów szlacheckich, zwierzchników zarządzających jego krajem. Dynastia królów Burundi sięga prawdopodobnie XVI stulecia. Ostatni król Mwarabutsa IV jest uważany za szesnastego, znanego historii, króla Burundi.

O losie współczesnego Burundi zadecydowała w roku 1885 Międzynarodowa Konferencja w Berlinie. Burundi zostało na tej Konferencji włączone do kolonii niemieckiej w Afryce, która od roku 1890 przyjęła nazwę „Niemiecki Protektorat Afryki Wschodniej”. Okupacja niemiecka na tych terenach miała przede wszystkim charakter militarny.

W roku 1916 Burundi zostało opanowane przez oddziały belgijskie. Liga Narodów w 1919 roku uznała ten stan, powierzając Belgii administrację tego kraju.

Po drugiej wojnie światowej Burundi dostaje się pod opiekę Organizacji Narodów Zjednoczonych, pozostając pod zarządem Belgów.

Belgowie próbowali wpływać na rozwój Burundi na polu politycznym, społecznym, moralnym i ekonomicznym. Należy przyznać, że czegoś tu dokonali. Zbudowano w kraju jakieś drogi, wprowadzono uprawę kawy, zapoczątkowano szkolnictwo, zapewniono odrobinę opieki sanitarnej. Ogromną zasługę w tym wszystkim należy przyznać misjonarzom ze Zgromadzenia Ojców Białych, którzy po nieudanych próbach w latach 1879 i następnych, rozpoczęli tu żywą działalność apostolską od 1898 roku.

Dnia 1 lipca 1962 roku Burundi uzyskało niepodległość, dopiero jednak w 1965 roku wypędzono młodego króla Ntare V i proklamowano republikę. Pierwszym prezydentem został Michel Micombero. Utworzono rząd oparty na wojsku, który obiecał realizować hasło: Jedność – praca – postęp. Hasło to stało się zawołaniem jednej jedynej partii rządowej. Przewagę w rządzie osiągnęli i utrzymali „dłudzy”.

Nie jest łatwo rządzić krajem, ale szczególnie trudno jest rządzić krajem bardzo małym i bardzo ubogim, którego gęstość zaludnienia jest wyjątkowo duża, w którym brakuje szkół (zaledwie 24% dzieci zaczyna szkołę podstawową), brakuje opieki sanitarnej (1 lekarz przypadał kiedyś na 80 tysięcy mieszkańców. Ostatnio przypada chyba jeden na 100 tysięcy). Brakuje w Burundi przemysłu i nie ma nadziei na jego rozwój, nie ma tu bowiem surowców naturalnych. Wspomniane odkrycie niklu nie rozwiązuje problemu. Nie wiadomo, kiedy będzie wydobywany, skoro brak elektryczności, brak fachowców, itd. Brak dostępu do morza powoduje, że uprawiana tu kawa (zresztą w małych ilościach) nie przynosi krajowi dochodu, po opłaceniu bowiem transportu do morza i dalej, nie zostaje wiele zysku. Jak wspomnieliśmy przy omawianiu geografii, kraj to bardzo górzysty, dlatego małych pól zawieszonych na kamienistych zboczach górskich nie można inaczej uprawiać, jak tylko za pomocą zwyczajnej motyki. Wielkie ubóstwo kraju sprawia, że rokrocznie tysiące ludzi emigruje do sąsiedniej Tanzanii i dalej do Ugandy i Zairu. Wiadomo zaś, że na emigrację udają się ludzie bardziej przedsiębiorczy, którzy ukończyli chociażby kilka klas szkoły podstawowej, którzy opanowali jakieś rzemiosło, zdobyli zawód, a zatem ludzie, którzy mogliby przyczynić się do rozwoju gospodarki we własnym kraju. Nic więc dziwnego, że postęp gospodarczy w Burundi, mimo wysiłków, jest niemal niezauważalny i kraj ten wciąż znajduje się w czołówce najbiedniejszych krajów świata.

Zrozumiałe, że posiadać władzę w tak biednym kraju oznacza mieć większy od innych dostęp do szkół, do urzędów, do administracji, do grosza. Stąd krok do walki o władzę, do walki o utrzymanie się przy władzy. Jak wspomniano, władzę opanowali pełni przedsiębiorczości „dłudzy”. Ponieważ jednak stanowią tylko 14% ludności, wciąż czują się

zagrożeni.

Chyba jakoś w tym kontekście historii należy odczytywać dramat, który rozpoczął się w kwietniu. Nie można nic jasnego powiedzieć na temat początków tej wojny domowej. Opinie i sprawozdania bywają zupełnie sprzeczne ze sobą. **Wiadomo, że jakieś grupy „krótkich”, zorganizowane wśród emigrantów, zaatakowały Burundi od strony Tanzanii, Zairu i Rwandy.** Jakich to był rozmiarów atak, trudno powiedzieć. Spalono liczne domy, należące do „długich”, w nadgranicznych wioskach. Polała się krew. Nie musiała to być dobrze przygotowana wojna, skoro rząd posiadający około 6 tysięcy żołnierzy opanował ją po kilku dniach. W ataku na „buntowników” spalono wiele domów należących do „krótkich”. Kraj postawiono w stan wojenny: bariery na drogach, konieczność przepustki na przekroczenie granic prowincji, godzina policyjna, sąd wojskowy. Wielu ludzi zginęło, wielu uciekło w popłochu za granicę, wielu ukryło się w buszu. Zapanował strach i przerażenie. Po stłumieniu bowiem napadu na kraj, przystąpiono do systematycznego oczyszczania go ze wszystkich „wrogów”, którzy mieli powiązania z „buntownikami”. Wciąż ginęli ludzie. Oficjalnie wyjaśniano tę sytuację w następujący sposób: „Znaleziono listę tych, którzy już od lat przygotowywali zamach, płacąc na ten cel składki”. Na „znalezionej” liście znalazły się tysiące ludzi z plemienia „krótkich”. **Byli to przede wszystkim ludzie, którzy ukończyli jakieś szkoły, którzy umieli czytać i pisać, którzy mieli większe „wzięcie” wśród ludu we własnych wioskach, którzy mogliby zatem być użyteczni w administracji kraju po dojściu do władzy „krótkich”. Musieli zginąć. Liczbę ofiar różnie szacują: od 50-250 i więcej tysięcy. Tak „oczyszczany” kraj okrył się żałobą. Tysiące wdów i sierot znalazło się bez dachu nad głową, bez środków utrzymania, bez pewności jutra.**

Według oficjalnych zapewnień „nie chodziło tu o żadne zatargi plemienne. W Burundi ten problem już od dawna nie istnieje. To tylko kolonialści, nie wyłączając misjonarzy, dostrzegali i podkreślali jakieś rasowe różnice, chcąc w ten sposób nastawiać jednych przeciw drugim, by tym łatwiej panować nad nimi. To oni są przyczyną także obecnego nieszczęścia! Trudno, kraj musi być oczyszczony z wrogich elementów. Żadnej dyskusji. Koniec, kropka!”.

Zapytywano rząd: „Kiedy się to skończy?”. Odpowiedź brzmiała: „A czyż wy, po przeszło 20 latach, nie ścigacie jeszcze zbrodniarzy wojennych? Dlaczego chcecie, byśmy uporali się z nimi po sześciu tygodniach?!”.

Następne pytanie: „Ale czy nie zbyt wielu ginie?”. Odpowiedź: „Kto wam daje prawo do osądzania? Wy w samym Oświęcimiu zamordowaliście bodaj kilka milionów ludzi. Myśmy się wtedy do was nie wtrącali. Jakie macie prawo wtrącać się do naszych spraw?!”.

Tak mniej więcej wyglądały odpowiedzi na próby interwencji.

Jak reagował na to wszystko Kościół katolicki? Były jakieś próby interwencji z Rzymu. Cóż jednak mogły znaczyć? Kościół w Burundi nie był na coś podobnego przygotowany. Nie był dość zwarty i silny, by zdobyć się na mocny głos sprzeciwu. Pojedyncze głosy nie liczyły się. **W tej bolesnej sytuacji nawet starzy i doświadczeni misjonarze jakoś się załamywali. Musiało to być dla nich wstrząsające przeżycie: tyle wysiłku poszło na marne – powiadali.** Przecież wielu katolików nie sprawdziło się. To prawda, że często biorący udział w „oczyszczaniu” kraju z wrogów nie zdawali sobie dokładnie sprawy z tego, co czynią. Działo tu prawo strachu podsycanego od lat: „W czyjejś głowie powstał pomysł, aby twojemu dziecku odebrać szkołę, aby zabrać twoje stanowisko, twoje źródło dochodu. Jeżeli jej nie utniesz, to stracisz wszystko, twoje dzieci będą żebrakami, będą niewolnikami. Musisz bronić rodziny i siebie! Masz do tego prawo! To nie zbrodnia, to obrona! Czyż nie widzisz, że oni napadli z bronią w rękę?”.

Bronili się zatem także niektórzy katolicy. Ich ręce zostały splamiono bratnią krwią. Pytali też misjonarze z niepokojem: Czy w takiej sytuacji będzie można otwarcie głosić przykazanie miłości wzajemnej i przykazania dekalogu: nie zabijaj, nie kradnij? Niektórzy dobrowolnie opuszczali kraj. Inni narazili się i byli do tego zmuszeni. Na szczęście, tylko niektórzy się załamali. Inni postanowili pozostać. **Jeżeli bowiem kiedy, to teraz udręczony naród**

potrzebować będzie pomocy Bożej i ludzkiego wsparcia, ludzkiej pociechy. Nielatwo jest żyć tym, którzy stracili najbliższych. Równie trudno jest tym, których sumienia obciąża śmierć niewinnych ludzi. Jedni i drudzy są bardzo biedni. Jedni i drudzy potrzebują miłosierdzia.

Pozostającym misjonarzom odwagi i zachęty dodawał fakt, że przecież wielu chrześcijan odmówiło udziału w bratobójczej walce, że wielu ratowało zagrożonych i niosło pomoc nieszczęśliwym, nawet z narażeniem własnego życia. **Przecież to dopiero 75 lat ewangelizacji biednego kraju, a już pojawiły się w obfitości dojrzałe owoce miłości. Przecież wielu chrześcijan świadomie i dobrowolnie ofiarowywało swoje życie dla ubłagania u Boga pokoju i jedności w swojej ojczyźnie. Więzienia, do których trafiali na kilka dni w oczekiwaniu na egzekucję, rozbrzmiewały chrześcijańskimi pieśniami, psalmami lub szeptem nieustannie odmawianego różańca. Czyż ci mężczyźni, którzy niejednokrotnie od dłuższego już czasu nie otrzymali nawet kropli wody, mężczyźni modlący się żarliwie z wiarą, nie byli podobni do pierwszych męczenników?**

Trudno tu opisać wszystko, na co patrzyły oczy, co przeżywały serca, także polskich misjonarzy. W tym czasie odbywali staż pracy misyjnej. Byli rozproszeni po różnych placówkach misyjnych. Każdy z nich miał własne bolesne przeżycia i doświadczenia. Wydarzenia, które rozegrały się na ich oczach i o których słyszeli, zmuszały ich do postawienia sobie wielu pytań, do coraz głębszego wnikania w historię i duszę tego ludu do którego posłał ich Pan.

15 lipca – 16 sierpnia – Przed uroczystością Matki Boskiej Szkaplerznej, Królowej Karmelu, wszyscy polscy misjonarze zebrali się w Niższym Seminarium Duchownym w Buta, położonym jakieś 15 km od Bururi. Postanowili spędzić cały miesiąc wspólnie. Program tego miesiąca: wymiana zdobytych doświadczeń, wspólne rekolekcje, plany na najbliższą przyszłość, nieco odpoczynku.

W duchowym ustawieniu się wobec zaistniałej sytuacji w Burundi pomógł naszym misjonarzom regionalny przełożony Ojców Białych L. Quintard, który przeprowadził ich rekolekcje.

W ocenie zebranych doświadczeń i nakreśleniu odpowiednich planów na przyszłość pomógł wydatnie sam ks. bp Józef Martin, który w ciągu tego miesiąca poświęcił im wiele cennego czasu.

Po miesiącu podjęli na nowo staż pracy na następujących placówkach misyjnych: O. Leonard i O. Kamil w Rutanie, O. Kasjan w Rumezie, O. Klaudiusz w Makambie, O. Edmund w Butwe, O. Sylwan w Bukirasazi, O. Jan Kanty w Martyazo, O. Eliaz i Br. Sylwester w Mpindze, O. Teofil i Br. Marceli w Bururi.

20 września – Dzisiaj dociera do Burundi wiadomość, że na miejsce O. Leonarda Kowalówki Wikariuszem Prowincjalnym Misji w Burundi został wybrany przez Radę Prowincjalną O. Teofil Stanisław Kapusta.

24 października – O. Edmund Wrzeński opuszcza Burundi i wraca do Polski. Jego wielka wrażliwość nie pozwoliła mu znieść trudnej sytuacji w kraju zbroczonym krwią. Trzeba także zaznaczyć, że staż pracy wypadło mu odbywać na misji, gdzie atmosfera wcale nie sprzyjała przystosowaniu się do tej trudnej rzeczywistości, która raniła serca wszystkich. Nikt w Burundi nie zdziwił się na wieść, że jeden z naszych misjonarzy opuszcza Burundi. Raczej zdziwiono się, że tylko jeden postanowił wracać.

14 listopada – Zebrani w Mpindze misjonarze wybrali O. Jana Kantego Stasińskiego swoim przedstawicielem na zjazd w Nairobi, gdzie miał być wybrany na Kapitułę Generalną delegat wszystkich misjonarzy karmelitańskich pracujących w Afryce.

27 listopada – Ojcowie Biali z Bukirasazi otrzymali nakaz opuszczenia Burundi. Pozostał tam jedynie O. Sylwan Zieliński. Ponieważ polscy Karmelici Bosi planowali objęcie tamtejszej parafii (lub jej części), postanowiono przenieść O. Jana Kantego z Martyazo do Bukirasazi. Wprawdzie Arcybiskup obiecał przysłać tam jakiegoś księdza, ale parafia liczy 40 tysięcy katolików, więc i tak byłoby zbyt trudno O. Sylwanowi samemu.

6 grudnia – Już w październiku postanowił O. Leonard Kowalówka wyjechać z Burundi. Uważał, że już wykonał zadanie zlecone mu przez przełożonych Zakonu. To prawda, że sami misjonarze prosili go kiedyś usilnie, by pojechał z nimi do Afryki przynajmniej na rok. Liczyli się wtedy z jego zaawansowanym już wiekiem. Teraz prosili, by pozostał jeszcze na jakiś czas. Opanował przecież dobrze język kirundi i mógłby pracować, a przede wszystkim służyć im cennymi radami. On uważał jednak, że już poradzą sobie sami. Postanowił odjechać do Rzymu. Dzisiaj więc z żalem pożegnali tego, który bardzo dużo zrobił dla naszej misji w Burundi. Można go uważać za prawdziwego jej fundatora. Niech dobry Bóg nagrodzi mu stokrotnie za wszystko!

29 grudnia – Święta Bożego Narodzenia spędzili nasi misjonarze osobno, każdy na swojej placówce stażu. Dopiero dzisiaj spotkali się w Mpindze, by wspólnie kolędować i wspólnie dziękować Bogu za trudny, lecz równocześnie bogaty w doświadczenia i bogaty w pomoc Bożą, rok 1972.

1973

„... Musimy wyznać z bólem serca, że działalność Kościoła poświęcona ewangelizacji była gwałtownie hamowana, jeśli nie całkowicie udaremniana, przez władze publiczne. I dzisiaj zdarza się, że głosicielom Słowa Bożego odmawia się ich praw, prześladuje się ich, uciska groźbami i tępi, jedynie dlatego, że głoszą Jezusa Chrystusa i Jego Ewangelię. Ale mamy nadzieję na przyszłość, że pomimo tych bolesnych przeciwności, w żadnej stronie świata nie zabraknie ruchliwej działalności tychże apostołów.”³⁰

„Zachowajmy więc gorliwość ducha, pielęgnujmy słodką i pełną pociechy radość z ewangelizowania, nawet wtedy, kiedy trzeba zasiewać, płacząc. Miejmy taki zapal ducha – jaki miał Jan Chrzciciel, Piotr i Paweł, inni Apostołowie oraz owa rzesza godnych podziwu głosicieli Ewangelii przez cały ciąg dziejów Kościoła – jakiego by ani ludzie, ani rzeczy nie mogły przytłumić. Niech to będzie wielką radością nam, którzy poświęciliśmy swe życie. Oby świat współczesny, który szuka już to w trwodze, już w nadziei, przyjmował Ewangelię nie od jej głosicieli zgłębnionych lub pozbawionych nadziei, nie od niecierpliwych lub bojaźliwych, ale od sług Ewangelii, których życie jaśniałoby zapalem, od tych, co pierwsi zaczerpnęli swą radość od Chrystusa i nie wahają się poświęcić życia, byle tylko głosić Królestwo i zaszczepiać Kościół w sercu świata.”³¹

³⁰ Ewangelii nuntiandi, nr.50

³¹ j. w., s. 80

Nawet tak doniosłe wydarzenia jak podjęcie samodzielnej pracy w parafii Mpinga i przygotowania do założenia nowej parafii w Musongati nie przysłoniły w trzecim roku posługi misyjnej karmelitów Bosych w Burundi trudności, z jakimi się spotykali. Zaczęli zasiewać Ewangelię miłości nie tylko słowem, lecz także czynem. Zaraz na początku wypadło im „zasiewać, płacząc”. Bóg ma swoje sposoby wprowadzania ludzi w swoje dzieło zbawienia. Wiadomo też, że młode drzewko umacnia się, kiedy smaga i przegina je wiatr. **Nasi misjonarze starali się pielęgnować także w trudnościach radość z ewangelizowania, starali się czerpać tę radość od Chrystusa.** Czy zawsze się to udawało? W każdym razie nie ulegali przygnębieniu, niecierpliwości albo bojaźni, trwali w nadziei, pomni na burundzkie przysłowie: „Agati gateretswe n'Imana nti hagenurwa n'umuyaga” – „**Drzewka osłanianego przez Boga nie przewróci wiatr**”. **Oni byli przekonani, że są osłaniany przez Boga, który sam zaprowadził ich na swoje żniwo.**

Kronika wydarzeń

10 stycznia – O. Jan Kanty Stasiński wyjeżdża do Nairobi na zjazd misjonarzy karmelitańskich z Afryki, mający na celu wybór przedstawiciela na Kapitułę Generalną.

25 marca – Wydarzenia ubiegłego roku wciąż jeszcze rzutują na przeżycia naszych misjonarzy. Zgłosiły się do naszej grupy w Bukirasazi (O. Sylwan, O. Jan Kanty i od końca grudnia ubiegłego roku O. Kasjan) wdowy po zamordowanych „buntownikach,” powiązanych z „wrogami kraju” i gorąco prosiły o podwiezienie ich wraz z dziećmi do granicy Tanzanii, muszą bowiem uciekać, bo grozi im śmierć. Pieszo z małymi dziećmi nie potrafią uciec. Proboszcz parafii był wtedy nieobecny. Zresztą nie chciał, by o tym wiedział. Nie miały zaufania, chociaż to ksiądz czarny. Powstało pytanie: Co robić? Czy to nie jest jakaś nieuzasadniona panika? Trudno w tym wszystkim rozeznaczyć się w buszu. Postanowiono zasięgnąć rady u doświadczonych przyjaciół w stolicy. Okazało się, że obawy nie są bez podstaw, że zatem należałoby jakoś pomóc. Prawda, że to może jakoś narazić nawet całą grupę polskich misjonarzy, ale czy dla ratowania własnej skóry wolno odmówić pomocy? Pytanie retoryczne. Któż zdobyłby się na coś takiego? Czy potem do końca życia groby tych wdów i dzieci nie byłyby dla misjonarzy wyrzutem? Postanowiono pomóc.

Miał być odwożony do Mpingi przebywający czasowo w Bukirasazi Br. Sylwester. Wyjedzie się zatem jutro wcześniej rano i w tajemnicy zabierze z drogi czekające tam wdowy z dziećmi. Tak zrobiono. Nie wiadomo dlaczego jedna z wdów nie czekała na drodze. Któraś z wdów była nauczycielką w szkole. Skoro więc „nasza pani” nie zjawiła się na lekcjach, zaczęły się poszukiwania. Znalezione pusty dom. Wieść o ucieczce rozeszła się lotem błyskawicy. Podejrzenie padło na O. Sylwana. Administracja terenu interweniowała u Arcybiskupa. Do parafii przyjechał Wikariusz Generalny. Misjonarze przedstawili mu całą prawdę. Niezbyt przychylnie to przyjął, „miał za złe wtrącanie się do nie swoich spraw”. Większe zrozumienie okazał sam Arcybiskup, który pojawił się w Bukirasazi 31 marca i pozostał do 1 kwietnia, by porozmawiać z przedstawicielem karmelitów, O. Teofilem. Arcybiskup radził wysłać O. Sylwana do Europy na jakiś czas „dla uspokojenia sytuacji”. Nie odpowiadało naszym misjonarzom takie rozwiązanie sprawy. Postanowili znowu poradzić się doświadczonych misjonarzy. Zapadła decyzja, że nie zgodzą się na dobrowolny wyjazd O. Sylwana. Tę decyzję przedstawił Arcybiskupowi O. Teofil. Przy okazji starał się go przekonać, że powinien bronić swego misjonarza, bo przecież jeżeli zabrał z drogi i podwiózł proszące o to wdowy z dziećmi, to przecież żadne prawo tego nie zabrania. Jeżeli dla każdego nieporozumienia z władzami, a tym bardziej ze względu na „podejrzenie” będzie się ustępować i wysyłać misjonarzy do Europy, to wkrótce zabraknie ich w Burundi.

3 kwietnia – Podejrzanego wezwano do Gitegi i po długich przesłuchaniach nałożono na

niego areszt domowy. Miał pozostać na arcybiskupstwie i czekać do dalszych dyspozycji władz.

Sprawa przeciągała się. Niepewność o przyszłość „uwięzionego” niepokoiła całą grupę, ale szczególnie jemu samemu dawała się we znaki. Współbracia odwiedzali go często, ale „przecież nie dla wypoczynku przyjechał do Burundi!”. I doskwierające pytanie: Czy pozwolą zostać i pracować?

5 maja – Stolica Apostolska z terenów wydzielonych z diecezji Gitega i Bururi tworzy nową diecezję w Ruyigi. Jej biskupem został mianowany dotychczasowy rektor Seminarium Duchownego w Bujumburze, ks. Joachim Ruhuna. Tą decyzją Stolicy Apostolskiej parafia w Mpindze została przeniesiona do nowej diecezji.

11 maja – Minał miesiąc, a sprawa naszego „więźnia” wciąż pozostawała nie rozwiązana. Wreszcie Arcybiskup zabrał go do stolicy, gdzie sam prezydent orzekł, że nie uczynił nic tak złego, by należało go więzić lub wyrzucać z kraju, że należy przywrócić mu wolność i pozwolić pracować w Bukirasazi. Właśnie 11 maja nasz „podejrzany i uwięziony” odzyskał wolność. Wojewoda z Gitegi nie chciał się pogodzić z orzeczeniem prezydenta. Chciał na nowo uwięzić winnego. Na szczęście O. Sylwan zaraz po uwolnieniu wyjechał do Mpingi, a zatem do innej prowincji. Tu już nie mogła go dosięgnąć ręka wojewody z Gitegi. Po dłuższym czasie oddano mu także zatrzymany i podobno „gdzieś zagubiony” paszport.

Chociaż sam prezydent orzekł, że „w tym wszystkim nie było winy”, to przecież jeszcze w 1979 roku, po wyrzuceniu z Burundi O. Jana Kantego i O. Teofila, wrócono do tej sprawy. W audycjach radiowych usprawiedliwiano przed ludem wyrzucenie misjonarzy, czyniąc różne zarzuty Kościołowi i samym misjonarzom. O. Teofilowi zarzucano między innymi, że ułatwił ucieczkę „buntownikom i wrogom kraju”, wywożąc ich za granicę.

14 maja – Do przebywających w Mpindze O. Eliasza i Br. Sylwestra dołączyli O. Teofil, O. Klaudiusz i O. Sylwan. Rozpoczyna się wreszcie „wspólne życie zakonne” naszych misjonarzy. Pozostał z nimi na jakiś czas O. Jacques Hauzeur (Ojciec Biały), który miał im przekazać parafię. Radość naszych misjonarzy była wielka.

20 maja – Radość ta została jednak wkrótce bardzo zmałowana. Właśnie dzisiaj po nabożeństwie różańcowym zaaresztowano kilka osób w Mpindze i to na oczach innych. Lotem błyskawicy nadchodzą wiadomości o aresztowaniach w całej okolicy. Nie ma już wątpliwości, że to właśnie teraz przyszła kolej na „oczyszczenie z wrogów” tej okolicy kraju, która w ubiegłym roku nie ucierpiała wiele. Nazajutrz O. Teofil i O. Sylwan udają się do Bururi, by szukać pomocy u biskupa i interweniować u władz. Uwięziono katechistów i „zniknął” sekretarz parafii. Niestety, wysłany przez biskupa Wikariusz Generalny nie może dotrzeć do administracji terenu. „Nikogo nie ma na miejscu”. Poza obietnicami nic nie udało się zyskać.

Tymczasem nadchodzą coraz to nowe wieści o aresztowaniach. Nie ma już wątpliwości, że aresztowani giną na zawsze. Matki i wdowy zalane łzami. Płaczą sieroty. Coraz więcej ludzi przepada bez wieści. Niektórzy gromadnie ukrywają się w buszu. Trudno powiedzieć kto żyje, a kto nie. Żałoba, smutek, łzy, niepewność i przerażający strach wyglądają z każdego oczu, czają się w każdym zakątku parafii, którą mają właśnie teraz objąć polscy Karmelici Bosi. Sami także czują, że śledzony jest każdy ich krok. Zarzuca się im ukrywanie „wrogów kraju”. Nie były to łatwe dni.

3 czerwca – Bp Józef Martin przybywa dziś do Mpingi wraz z biskupem Joachimem Ruhuną. Chce pożegnać się z parafią, która na mocy dekretu Stolicy Apostolskiej przechodzi do nowej diecezji ze stolicą w Ruyigi. Równocześnie chce przedstawić ludowi swego następcę na tym

terenie. Ze względu na żałobę, która jakimś kirem okryła parafię, nasi misjonarze nie urządzają żadnej uroczystości. Mimo wszystko zebrała się spora gromadka ludzi. Ich uczucia mieszane: z jednej strony żal, że odchodzi wypróbowany przyjaciel tutejszego ludu, który wiele dobrego zrobił dla parafii w Mpindze, który wybudował i konsekrował jej kościół, który... nikt nie wyliczy! – z drugiej strony radość, że otrzymali „swojego” biskupa. Radość ta mocno jest stonowana, jakby mgłą osnuta, przez niepokojące wydarzenia, które rozgrywają się na tym terenie.

Przy okazji spotkania z biskupami omawiane jest zagadnienie wycofania się polskich misjonarzy z Bukirasazi. Już wcześniej uznali, że prowadzenie tak rozległych parafii jak Mpinga (13 stacji misyjnych, 60 tysięcy ludzi, w tym 18 tysięcy katolików) i Bukirasazi (9 stacji misyjnych i 40 tysięcy katolików) przerasta ich możliwości. Zgadzali się jednak na zaproponowane im objęcie części parafii w Ndavia. Ostatnio jednak poczuli się „spaleni” na tamtym terenie. Postanowili wycofać się z diecezji Gitega. Nie mogli jednak pozostawać w tak licznej grupie na jednej parafii. Są przecież parafie, które mają tylko jednego księdza, a najwyżej trzech. Ponieważ już dawniej był zaplanowany podział parafii w Mpindze i założenie nowej w Musongati, postanowili prosić biskupa o pozwolenie na przeprowadzenie tego planu. W zasadzie plan został przyjęty. Należało jednak przedstawić go jeszcze radzie diecezjalnej.

Marzyli o tym podziale w Mpindze nasi misjonarze, którzy właśnie w tym czasie objęli ją bez specjalnego „przekazywania”. Po prostu, O. Jacques Hauzeur ciężko zachorował i trzeba było odwieźć go do szpitala. Po wyzdrowieniu wpadł tylko na moment po swoje osobiste rzeczy. Proboszczem parafii w Mpindze został O. Sylwan Zieliński.

31 lipca – Z Bukirasazi do Mpingi przenosi się O. Kasjan Dezor, ponieważ tamtejszy administrator (wójt gminy) ma jakieś „ale” przeciw niemu. Konkretnie zarzuca mu zbyt wielki wpływ na młodzież. Przy okazji O. Teofil zawiadamia Arcybiskupa Makarakizę, że karmelici postanowili opuścić diecezję Gitega. Nie została zawarta żadna umowa między nimi a diecezją, więc wobec napotykanymi trudności uważają, że mogą swobodnie odejść. Arcybiskup nie chce o tym odejściu nawet słyszeć. Zrozumiałe, ostatnio zabito kilku jego księży i kilku zostało wyrzuconych. Prosi, by na miejsce „spalonego” O. Kasjana dać kogoś innego. Znając jednak nieprzejednanie tamtejszego wojewody, nie możemy się spodziewać spokoju na terenie Gitegi. Mamy nadzieję, że pomoże nam w tej sprawie ks. bp Ruhuna.

13 września – Rzeczywiście pomógł. Na początku sierpnia rada diecezjalna przyjęła projekt podziału parafii w Mpindze. Gorąco poparł ten projekt Wikariusz Generalny diecezji, O. Jan Perraudin. Biskup Ruhuna zgodził się za grupę polskich karmelitów odstąpić diecezji Gitega ekipę sześciu misjonarzy hiszpańskich. Objęli oni później utworzoną w Ndavia parafię. Abp Makarakiza zgodził się na to tym chętniej, że nowa parafia w Musongati miała przejąć z parafii Bukirasazi stację misyjną w Gakome z przeszło 3 tysiącami wiernych.

Dzień 13 września jest historyczną datą dla Musongati. Dzisiaj bowiem O. Jan Kanty z Br. Sylwestrem pojechali na tę stację, by tam zamieszkać na stałe. Gdy przygotowują jakieś warunki, dołączy do nich Br. Marceli i O. Kasjan, by kłaść podwaliny pod nową parafię. Do tej parafii już z góry „przeznaczone są” także Siostry Karmelitanki Dzieciątka Jezus, które już wyjechały z Polski i przygotowują się we Francji do pracy w Burundi.

Dokonano już administracyjnego podziału parafii. Przy parafii Mpinga pozostaną stacje: Nyamiyaga, Kiguhu, Katara, Nunga, Kiharo, Mutaha, Shembe. Żyje tu 40 tys. ludzi, w tym 13 tys. katolików. Do Musongati natomiast przejdą stacje: Shanga, Mureke, Nyanza, Katakazi. Maganahe i z parafii Bukirasazi stacja Gakome. Na tym terenie żyje ponad 25 tysięcy ludzi w tym około 9 tysięcy katolików.

21 września – Uroczystość 75-lecia Kościoła katolickiego w Burundi. Centralne uroczystości

odbywają się w Ruyigi, ponieważ w tej diecezji powstała pierwsza stacja misyjna w Muyadze. Uroczystości te połączone zostały z konsekracją biskupa Joachima Ruhuny. Ze względu na tragedię, jaką kraj przeżył w roku ubiegłym i której skutki diecezja Ruyigi odczuwa obecnie, jubileusz jest obchodzony skromnie. Wprawdzie przybył kardynał z Tanzanii i kilkunastu biskupów z sąsiednich krajów, ale na radość święta kładzie się jakiś cień smutku.

23 października – Ks. bp Joachim Ruhuna odwiedza parafię w Mpindze. Przy okazji poświęca nową kaplicę na stacji misyjnej w Shembe. Tę skromną kaplicę z suszonej cegły rozpoczął budować wspomniany wyżej O. Hauzeur, a dokończyli nasi misjonarze. Ponieważ ten teren bardzo ucierpiał w ostatnim „oczyszczaniu kraju z wrogów”, chciano sprawić trochę radości tamtejszej ludności, dlatego poproszono biskupa o poświęcenie kaplicy. Był to historyczny moment dla Shembe: po raz pierwszy pojawił się na tej stacji biskup. Przed kilku miesiącami dojechał tu pierwszy samochód po wybudowaniu przez polskich karmelitów trzech mostków na tamtejszych rzekach.

7 grudnia – Znów historyczna data! Tym razem dla Zgromadzenia Sióstr Karmelitanek Dzieciątka Jezus. Dzisiaj przybyły do Burundi: S. Julianna Jurasz i S. Zygmunta Kaszuba. Na razie tylko dwie, ale radość polskich misjonarzy wielka!

21 grudnia – Radość przeplata się ze smętkiem. Dzisiaj bowiem odjeżdża do Europy trzeci z jedenastu misjonarzy, którzy w 1971 roku wyjechali do Burundi. O. Kasjan postanowił wrócić do swego pierwotnego zamysłu. Już przed wyjazdem na misję prosił przełożonych o pozwolenie na podjęcie pracy jako „ksiądz-robotnik”. Zaproponowano mu wyjazd na misję, „gdzie będzie dosyć okazji także do pracy fizycznej”. Postanowił spróbować. Okazało się jednak, że w Burundi jest bardzo dużo ochrzczonych, a brakuje kapłanów. Dlatego bardziej od fizycznej pracy potrzebna jest praca duszpasterska każdego kapłana. Nie taki był zamysł O. Kasjana. Od władz generalnych Zakonu otrzymał więc pozwolenie na podjęcie „na próbę” pracy jako ksiądz-robotnik w Belgii. Odjechał tam właśnie dzisiaj.

Co zbudowaliśmy w 1973 roku?

1. Zaraz po przybyciu do Mpingi, w maju 1973 roku, polscy karmelici postanowili „nieco przebudować” dom na misji w celu uzyskania kilku nowych pokoi z dawnych sal i magazynów.
2. Prowadzona jest budowa kaplicy na stacji misyjnej w Shembe. Budowę rozpoczęli Ojcowie Biali.
3. Sale dawnego internatu przy szkole podstawowej, (dzisiaj nie używane) przebudowuje się na sale katechumenatu i sale zebrań dla organizacji młodzieżowych prowadzonych przy parafii.
4. Zbudowano zbiornik na wodę przy misji w Mpindze.
5. Zbudowano dom księdza w Musongati, aby mógł służyć jako tymczasowe miejsce zamieszkania dla misjonarzy, zakładających tu nową parafię.

Kronika wydarzeń, kronika trudnych przeżyć i podejmowane przedsięwzięcia zdają się świadczyć, że nasi polscy misjonarze nie załamali się w trudnościach, owszem, starali się, aby „świat współczesny, który szuka już to w trwodze, już w nadziei, przyjmował Ewangelię nie od głosicieli zgnębionych lub pozbawionych nadziei, nie od niecierpliwych lub bojaźliwych, ale od sług Ewangelii, których życie jaśniałoby zapałem.”³²

Jeżeli choć w części udało im się w tym roku być takimi sługami Ewangelii, to zawdzięczają to przede wszystkim łasce Bożej, którą wypraszały im modlitwy przyjaciół. Modlitwa ta wiernie im towarzyszyła. Zapewniały ich o tym nadchodzące z każdą pocztą listy.

1974

„Ani wielki szacunek dla tych religii (niechrześcijańskich) ani złożoność podnoszonych problemów nie skłaniają Kościoła do zamilczenia przed niechrześcijanami orędzia Jezusa Chrystusa. Przeciwnie, Kościół mniema, że te rzesze mają prawo do poznania bogactw tajemnicy Chrystusa; bo w nich – jak sądzimy – cała rodzina ludzka może w sposób pełny i wolny od uprzedzeń znaleźć wszystko to, czego szuka jakby po omacku odnośnie do Boga, do człowieka i jego przyszłego losu, do życia i śmierci i do prawdy. (...) Z tego powodu Kościół żywi i pielęgnuje swój zapal misyjny i usiłuje go spotęgować w tym naszym stuleciu. Czuje się zobowiązany wobec wszystkich narodów. Nie żałuje żadnego trudu, żeby tylko w miarę swych sił głosić Dobrą Nowinę Jezusa Zbawiciela. Zawsze przygotowuje nowe generacje apostołów do tego zadania. Konstatujemy to z radością, w czasie kiedy nie brak takich, którzy sądzą, a także mówią, że wygasł zapal i gorliwość apostołską, a epoka misyjna już się skończyła.

W odpowiedzi Synod Biskupów orzekł, że ewangelizacja misyjna nie utraciła żywotności, a Kościół zawsze będzie się trudził nad prowadzeniem tego zadania.³³”

Sądzę, że powyższe słowa papieża Pawła VI można uznać za myśl przewodnią czwartego roku naszej działalności misyjnej w Burundi. Nie wygasł bowiem zapal i gorliwość apostołską naszej Polskiej Prowincji. **Radością tego roku był przyjazd do Burundi dwóch nowych Karmelitów Bosych i dwóch Karmelitanek Dz. Jezus z Polski.** Troską i równocześnie potwierdzeniem, że epoka misyjna jeszcze się nie skończyła, było poszukiwanie nowych misjonarzy w Polsce. To było celem przyjazdu ks. bpa Joachima Ruhuny do Polski.

Kronika wydarzeń

6 stycznia – Bp Joachim Ruhuna celebrował Mszę św. w Musongati, w czasie której ogłasza tę stację misyjną pełnoprawną parafią. Radość wiernych i misjonarzy jest bardzo wielka. Pierwszym proboszczem nowej parafii zostaje mianowany O. Jan Kanty Stasiński.

Parafia, proboszcz. Te dwa znane nam słowa powtarzają się często w naszej kronice. Pytano mnie niejednemu raz, jak jest zorganizowana parafia na misjach? Na czym polega praca proboszcza w misyjnej parafii? Spróbuję odpowiedzieć w kilku zdaniach na te pytania.

Zaraz na wstępie należy zaznaczyć, że w Burundi możemy spotkać parafie bardzo zróżnicowane: od parafii miejskich do parafii w buszu. Są tu parafie, w których niemal wszyscy mieszkańcy są już katolikami i takie, w których katolików jest zaledwie 5%. Są na północy kraju (w terenach bardzo gęsto zaludnionych) parafie zwarte, w których stacje

odległe są od misji najwyżej 10-15 km i parafie rozległe (na wschodzie i południu kraju), w których do stacji trzeba jechać aż 50 km. Są parafie, w których na 40.000 wiernych jest jeden tylko kapłan i są parafie bez proboszcza, w których pracę duszpasterską próbują prowadzić siostry zakonne, a posługę kapłańską zapewniają dorywczo księża z sąsiednich parafii.

Przeciętna parafia w buszu obejmuje rozległy teren podzielony na tzw. stacje misyjne.

Na samej misji znajdują się następujące budynki: kościół parafialny, dom księży z biurami i salą parafialną oraz całym zapleczem gospodarczym, dom sióstr zakonnych (niemal na wszystkich misjach), budynek katechumenatu i alfabetyzacji, szkoła podstawowa, szkoła gospodarcza, ośrodek zdrowia, itp.

Na stacjach misyjnych znajdują się: kaplica z pokojem dla przybywającego tu od czasu do czasu księdza, sale katechetyczne, szkoła podstawowa (często niepełna). Do stacji należą także szkoły katechetyczne rozrzucone po jej terenie.

Wiernym mieszkającym w obrębie parafii posługę duszpasterską zapewnia proboszcz wraz z całą ekipą apostolską: wikarzy, siostry zakonne, katechiści, rada parafialna i rady stacji misyjnych. Pomocą w pracy duszpasterskiej służą także działające na terenie parafii organizacje katolickie. Do bardziej rozpowszechnionych w Burundi należą: Liga Najśw. Serca Jezusa, Legion Maryi, Krucjata Eucharystyczna (dzieci i młodzież), CHIRO (organizacja młodzieżowa), UGA (młodzież pracująca), Ekipa Nauczająca (nauczycielstwo), Caritas, Koło Ministrantów, itp. Organizacje te mają swoje koła także na stacjach misyjnych. Wykazują one dużo gorliwości i mogą być bardzo pomocne w szerzeniu Dobrej Nowiny pod warunkiem, że zapewni się im solidne kierownictwo i opiekę duchowną.

W biurze parafialnym prowadzi się księgi parafialne oraz kartoteki wszystkich rodzin katolickich. Każdy wierny posiada także coś w rodzaju legitymacji osobistej, w której, oprócz danych osobistych, zaznacza się daty chrztu św., uroczystej Komunii św., bierzmowania, małżeństwa oraz udział w rocznych rekolekcjach wielkopostnych i roczną ofiarę na utrzymanie katechistów. W biurze parafialnym pracuje pod kierunkiem proboszcza - sekretarz parafii.

Na misji prowadzi się normalną posługę duszpasterską: Msza św., sakrament pokuty, nauczanie religii w katechumenacie i szkole, zapisy do ślubów małżeńskich z naukami przedślubnymi, chrzest małych dzieci, sakrament chorych, pogrzeby, nabożeństwa.

Na stację misyjną dojeżdża ksiądz na 4-5 dni w miesiącu. W tych dniach zapewnia wiernym Mszę św., daje okazję do spowiedzi, udziela chrztu małym dzieciom, odwiedza chorych, odwiedza katechumenat i szkołę (nauka religii), omawia z katechistami i radą stacji bieżące sprawy duchowe i materialne stacji.

Oprócz tej zwyczajnej, codziennej posługi, należy raz w miesiącu przeprowadzić zebranie wszystkich katechistów celem ustalenia programu pracy na najbliższy miesiąc, przeanalizowania sytuacji na stacjach misyjnych, rozwiązania trudności, itd. Z okazji zebrania prowadzi się dokszałcenie katechistów, daje się im okazję do spowiedzi i zapewnia udział we Mszy św.

Raz w miesiącu także należy zwołać zebranie rady parafialnej, na którym omawia się sprawy duchowe i materialne parafii.

Dwa razy w roku przeprowadza się egzaminy wszystkich katechumenów.

Zazwyczaj raz w roku należy przygotować w parafii chrzest św. starszych (na samej misji i na większych stacjach), pierwszą i uroczystą Komunię św. Ta ostatnia jest tu pomyślana jako odnowienie przysięg uczynionych na chrzcie św. Raz do roku odbywa się także w parafii bierzmowanie. Do tych sakramentów przygotowuje się wiernych i dzieci przez specjalne pouczenia i rekolekcje.

W okresie Wielkiego Postu przeprowadza się w całej parafii rekolekcje. Zazwyczaj poświęca się dwa dni takim grupom, jak: mężczyźni, kobiety, młodzież męska, młodzież żeńska, dzieci szkolne i dzieci z katechumenatu. Wypada zatem dziesięć dni rekolekcji wielkopostnych na każdej misji i na każdej stacji misyjnej. Plan takich rekolekcji bywa następujący: 1. częstka różańca, 2. nauka rekolekcyjna, 3. praca, w czasie której najczęściej

okopuje się dwumetrowej szerokości pas graniczny wokół całej posiadłości stacji misyjnej, by uchronić przed pożarem rosnący tam las. Jeżeli planowana jest budowa, wierni znoszą kamienie lub cegłę na plac budowy. W tym czasie misjonarz spowiada pierwszą grupę wiernych, 4. droga krzyżowa, 5. nauka rekolekcyjna, 6. spowiedź (w tym czasie wierni wyspovidani rano, pracują), 7 Msza św. z dłuższą homilią i komunią św., 8. po południu spowiedź ludzi mieszkających w pobliżu stacji, 9. spotkania z poszczególnymi wiernymi, których należy „upomnieć” lub z którymi należy „wyjaśnić” różne niejasne sprawy, np. dlaczego dziecko nie chodzi na naukę religii?, dlaczego nowo narodzone jeszcze nie zostało ochrzczone?, itp. Drugi dzień rekolekcji przebiega według podobnego programu, z tym, że już mniej czasu poświęca się na spowiedź. W czasie pracy misjonarz spotyka się z każdym wiernym dla wpisania do jego „legitymacji” uczestnictwa w rekolekcjach. Przy okazji wierni płacą roczną daninę na utrzymanie katechistów. Wyznaczono w Burundi taką daninę wartości 2 dni pracy dla mężczyzn i niewiast oraz odpowiednio niższą dla młodzieży. Dzieci płacą daninę symboliczną 10 lub 20 franków burundzkich. Nie zbiera się w Burundi ofiar na tacę w czasie niedzielnej Mszy św. Wyjątkowo, od czasu do czasu, składają wierni ofiarę w pieniądzu lub naturze na ściśle określone cele, np. na ubogich, na seminarium. Przynoszą ją osobiście i składają u stóp ołtarza. Kiedy się pamięta, że są w Burundi misje, do których należy 6-10 stacji, to można sobie wyobrazić, jakiej wytężonej pracy wymaga okres Wielkiego Postu od każdego misjonarza. Często rekolekcje trzeba zacząć już przed Środą Popielcową, a jeszcze i tak niejedna grupa wiernych pozostanie na okres po Wielkanocy.

Powinien też proboszcz zapewnić szczególną opiekę duchową siostrą pracującym w jego parafii poprzez miesięczne dni skupienia i roczne rekolekcje. Osobne roczne rekolekcje wraz ze specjalnym programem dokształcania należy zapewnić katechistom.

Samo przygotowanie i przeprowadzenie tych wszystkich rekolekcji wymaga ogromnego wysiłku. Tymczasem proboszcz i jego wikarzy mają jeszcze wiele innych obowiązków. Powinni np. brać żywy udział w życiu dekanatu i w życiu diecezji. Zazwyczaj należą do którejś z diecezjalnych komisji: teologicznej, duszpasterskiej, liturgicznej, ekonomicznej, szkolnictwa, itp. Wiele czasu pożera udział w różnych zebraniach, które są konieczne i pożyteczne, ale odrywają misjonarza od spokojnej pracy w parafii. Od pracy ściśle duszpasterskiej odrywa go także konieczność zajęcia się szkołą podstawową, gospodarczą i alfabetyzacją w katechumenacie. Nie wystarcza tu troska o nauczanie religii, ale trzeba zabiegać o przydział odpowiednich nauczycieli, o zorganizowanie pomocy szkolnych. Niejeden raz przeszkodą w pracy duszpasterskiej jest troska o chorych. Wprawdzie dziedziną niesienia pomocy sanitarnej zajmują się na misjach przede wszystkim siostry misjonarki, ale często misjonarz musi pomóc, chociażby w odwożeniu do szpitala w ciężkich wypadkach, w zorganizowaniu lekarstw, itp. Bywa okres głodu, epidemii, kiedy to trzeba wiele czasu poświęcić zorganizowaniu pomocy. Tego wymaga zwyczajna miłość chrześcijańska.

Szczególnie uciążliwą przeszkodą w pracy duszpasterskiej jest konieczność prowadzenia budowy, niemal ciągłej budowy. Trzeba budować kościoły, kaplice, katechumenaty, szkoły, ośrodki zdrowia. Trzeba nieustannie poprawiać rozpadające się stare budynki. Budowa, a zatem plany, szukanie grosza na budowę, organizowanie materiałów budowlanych i narzędzi, wyszukanie odpowiednich robotników i czuwanie nad nimi w czasie budowy, a później i sprawozdania dla diecezji i dla organizacji, która udzieliła na budowę pomocy... Niełatwo jest budować w buszu, gdzie nie ma inżynierów i majstrów, gdzie tak bardzo trudno o materiały budowlane. Szczęśliwa misja, która posiada takiego budowniczego jak nasz Br. Marceli. Jakże nieocenione oddał on usługi w Musongati! Jeżeli i tam kapłani czują się przeciążeni sprawami związanymi z budową, to cóż powiedzieć o misjach, gdzie sam kapłan musi budować!?

Wiem, że te kilka zdań na marginesie naszej kroniki nie daje wyczerpującej odpowiedzi na postawione wyżej pytania, ale może pozwoli czytelnikom zrozumieć, dlaczego to nasi misjonarze tak się uradowali podziałem rozległej parafii w Mpindze i nową parafią w Musongati.

16 marca – Dwie następne Siostry Karmelitanki Dz. Jezus przyjechały do Burundi, mianowicie S. Zenobia Masłoń i S. Bogumiła Jabrucka.

Przy okazji należy odpowiedzieć na pytanie: „Co robią na misjach siostry misjonarki?”
Niemał na każdej misji siostry misjonarki :

1. **Opiekują się katechumenatem.** Same uczą religii, ale przede wszystkim pod kierunkiem proboszcza czuwają nad całokształtem tej ważnej na misjach pracy. To one starają się o materiały pomocnicze dla katechistów i katechumenów: podręczniki, katechizmy, Pismo św., książeczki do nabożeństwa, śpiewniki. One sprawdzają sposób i ortodoksyjność nauczania katechisty. Rozstrzygają spory między katechumenami i katechistą. Przygotowują przeprowadzenie egzaminów katechumenów i miesięcznych zebrań katechistów. W czasie rekolekcji przed chrztem św., przed pierwszą i uroczystą Komunią św. oraz przed bierzmowaniem czuwają nad przygotowaniem i wyjaśnieniem ceremonii, itp.

2. **Prowadzą ośrodek zdrowia i przychodnię dla chorych.** Ośrodek zdrowia opiekuje się dziećmi chorymi na kwashiorkor i małymi dziećmi. Prowadzi poradnię dla matek przed i po urodzeniu. Uczy racjonalnego odżywiania i ogólnej higieny. Przychodnia zapewnia leczenie chorych dochodzących i obłożnie chorych, przeprowadza szczepienia zapobiegawcze i szczepienia w wypadku epidemii, odbiera trudniejsze porody.

3. **Prowadzą szkołę gospodarczą,** w której uczy się dziewczęta gotowania (racjonalność żywienia), prania, szycia, uprawy roli, ogólnej higieny, czytania, pisanie, itd.

4. **Przejmują opiekę nad ubogimi.** Jest to bardzo ważny dział pracy, często bowiem misjonarze nie znajdują czasu na odpowiednie rozdzielenie uzyskanej od dobrodziejów misji pomocy. Można powiedzieć, że w Burundi niemal wszyscy są ubodzy. Trzeba jednak wiele czasu na to, by poznać rzeczywiście potrzebujących pomocy, by uchronić się przed „naciągaczami”, po prostu, by pomoc właściwie rozdzielić.

5. **Na podstawie specjalnego upoważnienia zanoszą lub zawożą komunię św. na stacje misyjne,** przede wszystkim na te, na których przed tygodniem był kapłan. Wiele ludzi, którzy nie mogliby pójść na misję, by przyjąć komunię św. (choroba, starszy wiek, zbyt wielka odległość), korzysta z tej posługi siostr.

6. **Największe jednak znaczenie dla umocnienia fundamentów młodego Kościoła ma świadectwo życia oddanego całkowicie Bogu i bliźniemu,** świadectwo cnót ewangelicznych, jakie siostry misjonarki dają.

21 lipca – Ks. bp Joachim Ruhuna udziela sakramentu bierzmowania w parafii Mpinga. Przy tej okazji poświęca uroczyście ołtarz Matki Boskiej Częstochowskiej w bocznej nawie kościoła. Kamienną mozaikę i ramę do obrazu Jasnogórskiej Pani wykonali Br. Sylwester i S. Bogumiła Jabrucka. Nareszcie obraz Matki Bożej – dar Ks. Prymasa Kard. Wyszyńskiego dla naszej misji – został oddany do czci publicznej. Ufamy, że Jej Czarne Dzieci pójdą do Niej z zaufaniem, że zrozumieją pełne zatroskanej miłości spojrzenie Czarnej Madonny.

23 września – O. Teofil wyjeżdża przez Rzym do Polski, aby odpocząć i równocześnie przygotować wizytę ks. bpa Joachima Ruhuny, który po skończonym Synodzie Biskupów w Rzymie postanowił odwiedzić Ojczyznę swoich misjonarzy.

11 października – Siostry Karmelitanki Dz. Jezus, które przez jakiś czas mieszkały w Mpindze, przenoszą się na stałe do Musongati. Zamieszkają na razie w domku, który opuścili ojcowie karmelici. Ci ostatni przenieśli się do nowo wybudowanego klasztoru.

7 listopada – Radosna wiadomość: dwaj nowi misjonarze, karmelici z Polski, przyjechali do Burundi: O. Józef Trybała i O. Jan Wołek. Pożegnani zostali uroczyście dnia 12 października

w kościele Ojców Karmelitów w Krakowie. Krzyże misyjne w czasie uroczystej Mszy św. wręczył im ks. bp Julian Groblicki. Przemówienie wygłosił bp Bernard Agré, ordynariusz diecezji Mon na Wybrzeżu Kości Słoniowej. Następnie, przez Brukselę i Rzym, udali się do Bujumbury.

8-22 listopada – Wizyta ks. bpa Joachima Ruhuny w Polsce.

Celem jego wizyty było:

1. poznanie Ojczyzny polskich misjonarzy pracujących w diecezji Ruyigi (10 Karmelitów i 4 Karmelitanki Dz. Jezus),
2. odwiedzenie rodzin tych misjonarzy,
3. nawiązanie kontaktów z Kościołem Katolickim w Polsce,
4. wyszukanie i zaproszenie do Burundi nowych polskich misjonarzy.

Program tej wizyty był mocno przeładowany. Złożyły się nań:

a) spotkanie z Ks. Prymasem Kard. Stefanem Wyszyńskim w Warszawie i spotkanie z Ks. Kard. Karolem Wojtyłą w Krakowie,

b) odwiedziny w klasztorach Karmelitów Bosych w Warszawie, Lublinie, Łodzi, Wrocławiu, Poznaniu, Krakowie, Wadowicach i Czernej,

c) odwiedziny Sióstr Karmelitanek Dzieciątka Jezus w Lublinie, Łodzi i Sosnowcu,

d) spotkania z klerykami w Seminarjach Duchownych w Lublinie, Łodzi, Poznaniu i Krakowie (tu również w Seminarium diecezji katowickiej) i nawiązanie kontaktów z Ordynariuszami tychże diecezji,

e) nawiedzenie Sanktuarium Maryjnego na Jasnej Górze (ze Mszą św. przed Cudownym Obrazem), Niepokalanowa, Lasek k. Warszawy, Oświęcimia i spotkania z profesorami i studentami na KUL-u,

f) Msze św. w różnych kościołach Warszawy, Poznania, Łodzi i Krakowa oraz spotkania z młodzieżą akademicką w tych miastach,

g) spotkania z rodzinami misjonarzy w Poznaniu i Wadowicach.

Po skończonej wizycie Ks. Biskup zapewniał, że skorzystał z niej wiele i nauczył się w Polsce dużo. Przede wszystkim podziwiał żywą wiarę ludu i młodzieży, przepełnione kościoły, podejmowane przez Kościół coraz to nowe inicjatywy duszpasterskie pomimo trudnych warunków, pełne Seminarium Duchowne.

Niestety, poza obietnicą dwóch księży z diecezji lubelskiej innych nowych misjonarzy i misjonek nie udało się znaleźć. Sądzę, że uczucia naszego Gościa musiały w tym wypadku być trochę mieszane. Może to, co chcę przez to powiedzieć, zobrazuje zdarzenie, które miało miejsce w czasie drugiej wizyty ks. bpa Ruhuny w Polsce (maj 1978 r.). Znaleźliśmy się wtedy w pięknym Seminarium pewnego Zgromadzenia. W czasie rozmowy z ks. Rektorem, bp Ruhuna dowiadyuje się, że w Seminarium jest ponad 90 kleryków, że pracuje w nim 25 profesorów i wychowawców. To prawda, że podejmują oni wykłady także na innych uczelniach, ale są przede wszystkim do dyspozycji tego Seminarium. W czasie rozmowy pojawił się brat zakonny i ks. Biskup dowiedział się, że w Seminarium pracuje ponad 20 braci, „bo różne pracownie, ogród, zaopatrzenie, itd.” – wyjaśniał Rektor. Następnie udaliśmy się na wspólną z klerykami kolację. Atmosfera wytworzyła się bardzo miła. Przez okienko do kuchni ks. Biskup dostrzegł siostrę zakonną. „To i siostry tu pracują?” – zapytał. „Tak – padła odpowiedź – mamy 10 sióstr, bo kuchnia, pralnia...”

Kiedy później serdecznie pożegnani wsiedliśmy do samochodu, dostrzegłem jakiś smutek na twarzy biskupa. Zapytałem o przyczynę. Odpowiedział bardzo szczerze: – „Wiesz, usiłuję się radować na widok tak urządzonych Seminariów. To wspaniałe, że Kościół w Polsce ma tak liczne i tak urządzone Seminarium diecezjalne i zakonne. Wiem, że to w Polsce jest bardzo potrzebne, ale powiem ci szczerze, że na widok tego wszystkiego, mimo najlepszej woli nie umiem się obronić przed pewnym uczuciem. Czuję się trochę tak, jak młodsza siostra, która nie z własnej winy znalazła się w biedzie i raz pewnego przyjechała do starszej, której powodzi się bardzo dobrze. Starsza pokazuje młodszej cały swój majątek, swoje skarby, ale

gdy ta pada na kolana i prosi o pomoc, starsza odpowiada, że bardzo jej współczuje, ale niestety nie może jej pomóc, bo to wszystko, co ma, jest jej bardzo potrzebne. Pomyśl, jak ta młodsza się czuje? Wybacz, ale tak jakoś się czuję... Sam wiesz, że my we wspólnym Seminarium dla 6 diecezji nie mamy nawet 80 kleryków, że poświęcić im możemy tylko 4 profesorów, nie licząc tych uźebranych na kilka tygodni, że tylko jednego brata ekonomów mamy i 4 siostry zakonne w Seminarium. Na więcej nas nie stać. To prawda, że może jeszcze nie wszystko zrobiliśmy dla budzenia powołań, może nie dosyć gorliwie modliliśmy się, ale sam wiesz, że jeżeli w całym kraju na rok ani 3 tysiące młodzieży nie kończy szkoły średniej, jeżeli ci młodzi bardzo potrzebni są w administracji, jeżeli niektórzy z nich otrzymują stypendia na studia zagraniczne, to wśród kogo ma biskup wybierać kandydatów do Seminarium? Ten stan nie poprawi się szybko, a coraz więcej parafii jest opuszczonych przez misjonarzy. Kiedy mówię o tym wszystkim, kiedy klękam i proszę chociaż o jednego profesora do Seminarium, chociaż jednego kapłana do opuszczonej parafii, to wiesz, jaką otrzymuję odpowiedź, sam niejeden raz słyszałeś: „Ja rozumiem, nie miej żalu, ale zechciej mnie zrozumieć...”. Zauważyłem łzy w oczach mojego Biskupa. Sam byłem wzruszony, bo przecież wiem, jak Czarni potrafią panować nad sobą.

To wszystko wydarzyło się w czasie drugiej wizyty bpa Ruhuny w Polsce. Pod koniec pierwszej radował się dwoma księżmi „zdobytymi” dla Burundi. Później okazało się, że ci księża zostali skierowani do innych krajów, „bo w Burundi już nie potrzeba misjonarzy”. Czy rzeczywiście już nie potrzeba?

Statystyki mówią, że na blisko 4.500.000 mieszkańców pracuje w Burundi około 120 księży tubylczych. Wśród nich jest kilku w bardzo podeszłym wieku i kilku chorych. Pomaga im 220 misjonarzy. Razem 340 księży. Katolicy w Burundi liczą 2.300.000. Gdyby pewnego dnia zabrakło w Burundi misjonarzy, jeden kapłan tamtejszy miałby pod opieką 20.000 wierzących i około 15.000 pogan. Razem 35.000 ludzi. Jeżeli się pamięta o wspomnianych wyżej koniecznych zajęciach, które odrywają kapłana na misjach od pracy ściśle duszpasterskiej, to łatwo sobie wyobrazić, jaką opiekę duchowną mógłby tubylczy kler w Burundi zapewnić swoim wiernym. Na szybki wzrost powołań kapłańskich, po ludzku mówiąc, nie można liczyć, wciąż przecież brakuje szkół. Słuszne uwagi na ten temat podaje książka wydana w 1979 roku w Bujumburze pt. „Les appels du Seigneur dans l'Eglise du Burundi.”³⁴

Długo jeszcze z Burundi popłynie błagalne wołanie o pomoc, o nowych misjonarzy. Ta pomoc jest konieczna, bo tam naprawdę „maleństwa o chleb błagają, a nie ma, kto by im łamał”³⁵, bo tam ludzie są „znękan i porzuceni, jak owce nie mające pasterza.”³⁶

Mam nadzieję, że tych kilka uwag na marginesie naszej kroniki pozwoli nam lepiej rozumieć wołanie o nowych pracowników na misyjnej niwie, które spotykamy w listach misjonarzy z Burundi.

25 listopada – O. Jan Kanty Stasiński wyjeżdża na swoje wakacje do Polski. Zamierzał wyjechać dopiero w przyszłym roku, ale ze względu na nagłą śmierć swojej Matki (zmarła po wypadku w październiku br.) i ze względu na daleko posuniętą chorobę (raka) swojej siostry, postanowił przyspieszyć odwiedzenie Ojczyzny.

Co zbudowaliśmy w 1974 roku?

1. Przebudowano wystrój prezbiterium w kościele parafialnym w Mpindze i zbudowano ołtarz Matki Boskiej Częstochowskiej w jego bocznej nawie.
2. Całkowicie przebudowano kaplicę na stacji misyjnej w Kiharo. Wiązania dachowe zostały

³⁴ Z jęz. francuskiego przełożył Alfred Bocian – w maszynopisie

³⁵ Lm. 4, 4

³⁶ Mt. 9, 36

zniszczone przez termyty, należało je zmienić. Przy okazji rozebrano zniszczone już ściany, kaplicę powiększono i pokryto eternitem na metalowych wiązaniach dachowych.

3. Po solidnych przygotowaniach, od maja do października wybudowano obszerną plebanię wraz z biurami i salą zebrań w parafii Musongati.

Do wzruszających wydarzeń 1974 roku należy zaliczyć fakt, że na „Apel o lekarstwa dla Burundi”, który ukazał się w „Tygodniku Powszechnym”, otworzyło się głębokie źródło ludzkiej dobroci. Paczki z lekarstwami zaczęły nadchodzić od rodaków z kraju i niemal ze wszystkich stron świata. Nadchodzą także serdeczne i pełne zatroskania listy.

1975

„Ponieważ cały Kościół jest misyjny i dzieło ewangelizacji jest podstawowym zadaniem Ludu Bożego, święty Sobór wzywa wszystkich do głębokiej odnowy wewnętrznej, aby mając żywą świadomość własnej odpowiedzialności za rozszerzenie Ewangelii, podjęli swoją część w dziele misyjnym wśród narodów.³⁷

Łaska odnowy może wzrastać we wspólnotach tylko wówczas, jeśli każda z nich rozszerza granice miłości, aż po krańce ziemi i troszczy się o tych, którzy są z dala, w podobny sposób jak o własnych członków.

W ten sposób cała wspólnota przez synów swoich, których Bóg wybiera do tego najszlachetniejszego zadania, modli się, współpracuje i działa wśród narodów. Będzie rzeczą bardzo pożyteczną – byleby nie zaniedbywać ogólnego dzieła misyjnego – utrzymywanie łączności z jakąś parafią czy diecezją misyjną, aby łączność między wspólnotami stała się widoczna i służyła ku wzajemnemu zbudowaniu.³⁸”

Przytoczone słowa Soboru Watykańskiego II można uznać za nutę wiodącą w melodii piątego roku działalności polskich Karmelitów w Burundi. Wprawdzie już w roku ubiegłym wizyta ks. bpa Joachima Ruhuny w Polsce i odwiedziny Ojczyzny przez O. Teofila i O. Jana Kantego miały służyć naszym wspólnotom do nawiązania jeszcze ściślejszej łączności i współpracy, **do uświadomienia sobie własnej odpowiedzialności za ewangelizację i do żywszego wspomagania się wzajemną modlitwą**, ale rok 1975 był tym sprawom w szczególny sposób poświęcony. Służyły im wyjazdy naszych misjonarzy na wakacje do kraju, udział delegata misji w Kapitulie Prowincjalnej oraz wizyty, które misjonarzom w Burundi złożyli: Matka Generalna Sióstr Karmelitanek Dz. Jezus (M. Cecylia Czerwińska), Prowincjał Karmelitów Bosych (O. Otto Filek) i Sekretarz Prowincjalny Misji (O. Bogusław Woźnicki).

Kronika wydarzeń

17 stycznia – Wraca z wakacji O. Teofil. W drodze powrotnej zatrzymał się na kilka dni w Rzymie, gdzie starał się nawiązać żywszą łączność z Generalnymi Przełożonymi Zakonu.

21 stycznia – Br. Sylwester ciężko zachorował na żółtaczkę. Przedtem przez dłuższy czas męczyły go ameby. Chorego musieliśmy odwieźć do szpitala w Bujumburze.

³⁷ DM 35

³⁸ j. w. 37

25 stycznia – O. Józef Trybała i O. Jan (Ryszard) Wołek wyjeżdżają na kurs języka kirundi do Muyange.

2 marca – O. Jan Kanty wraca z wakacji, w czasie których zmarła jego siostra Maria.

17 marca – Br. Marcelli i Br. Sylwester wyjeżdżają na odpoczynek do Polski. Br. Sylwester musi leczyć mocno nadszarpnięty chorobami organizm.

19 maja – Jako delegat misji w Burundi wyjeżdża na Kapitułę Prowincjalną O. Sylwan Zieliński. Przy okazji „zaliczy” swoje wakacje.

Po zakończeniu Kapituły Rada Prowincjalna wybrała ponownie O. Teofila Wikariuszem Prowincjalnym Misji.

29 lipca – Zazwyczaj sakramentu bierzmowania nie udziela się w Burundi w czasie wakacji. Chcieli jednak współbracia O. Teofila, aby na jubileuszu 25-lecia jego ślubów zakonnych był ks. bp Joachim Ruhuna, dlatego też udzielenie tego sakramentu w parafii Mpinga odłożono, aż do dnia dzisiejszego.

13 sierpnia – Wraca z wakacji wypoczęty Br. Marcelli. Zaraz zabiera się z zapalem do dalszej budowy. Br. Sylwester musiał jeszcze pozostać w Polsce ze względu na zdrowie.

25 września – Wraca z wakacji O. Sylwan Zieliński przywożąc SS. Karmelitankom Dz. Jezus oczekiwanego Gościa – Matkę Generalną. [s. 60]

10 listopada – Wyjeżdża na wakacje O. Kamil Ratajczak. Nie uśmiechał mu się wyjazd do Polski na zimowe miesiące. Planował wakacje na najbliższe lato. Zdecydował się jednak pojechać teraz ze względu na poważną chorobę swojej matki.

20 grudnia – Z wizytą do Burundi przybyli wspomniani wyżej Goście: O. Otto Filek i O. Bogusław Woźnicki.

Co zbudowaliśmy w 1975 roku?

1. Br. Marcelli z Br. Sylwestrem budują zaplecze gospodarcze przy domu misyjnym w Musongati: warsztaty, garaż, magazyny, zbiornik na wodę, itd.
2. W Mpindze i w Musongati zrobiono i wypalono dużo cegły.
3. Przygotowano budowę domu Sióstr Karmelitanek w Musongati i rozpoczęto ją w październiku.
4. Postawiono krzyż na wzgórzu obok misji w Musongati. Konstrukcja metalowa, wysokość 12 m. Krzyż ma być pamiątką Roku Świętego – 1975.

Z listów misjonarzy:

Zegar, język i „najważniejsze.”

Muyange, 23 lutego 1975

Drodzy Seminarzyści!

Dzisiaj upływa już cztery miesiące, jak wyjechaliśmy z Polski, to znaczy od 23.10.74. Przez ten czas zdążyliśmy się już zaaklimatyzować tak fizycznie jak i duchowo. Obecnie jesteśmy na kursie języka kirundi w Muyange. Lekcja za lekcją posuwamy się w głąb nieznanego nam języka kirundi.

Zapewne jesteście ciekawi, jak wygląda nasze życie, życie tutejszych ludzi, jak wygląda krajobraz Burundi. Rozumiem Wasze zainteresowanie, gdyż sam byłem bardzo ciekawy, jak wygląda ten Trzeci Świat. Wiem, że cokolwiek nawet najprostszego, najzwyczajniejszego Wam napiszę, jest to dla Was czymś nowym, tak jak było dla mnie jeszcze przed wyjazdem. Wiecie już zapewne, że u nas prawie cały rok słońce wstaje o godz. 6.00 (w Wadowicach godz. 5.00), a z nim rozpoczyna się życie w Burundi. Od tej też pory zaczyna się liczyć godziny. Sytuacja jest podobna jak w Ewangelii: o godz. 9.00 jest godz. 3.00, o godz. 15.00 – godz. 9.00, itd. Gdy słońce ukaże się nieco później z powodu zachmurzenia, wiadomo, że wierni do kościoła przyjdą później. Nie mają bowiem zegarków. Jest tu jeden wspólny, duży zegar, nigdy nie nakręcany, nie spieszy się ani nie spóźnia – to słońce. Co więcej, dzień podzielony jest na różne pory zależnie od czynności domowych. I tak: pod wieczór jest czas, kiedy krowy idą do wodopoju, kiedy wracają od wodopoju... Wtedy trudno jest jechać samochodem, bo całe stado krów zdążają drogą do wody.

Tak jak życie tu inne, inny też jest tu język, teraz dopiero na kursie poznajemy jego strukturę gramatyczną i składniową. Trzeba mieć, zwłaszcza na początku, dużo cierpliwości, aby cokolwiek pojąć z tego „niepojętego języka”, aby coś zapamiętać ze słów „nie do zapamiętania”. Proszę sobie wyobrazić, jak zapamiętać takie słowo np. „umugami” (tak się czyta, jak się pisze, a pisze się jak się umie). Z czym go sobie skojarzyć, a oznacza ono „przysłowie”... Dla większej zabawy wszystkie czasowniki w bezokoliczniku zaczynają się od „gu” lub „ku”. Trzeba dodać, że mimo wszystko język ten jest piękny, trzeba go tylko bardziej śpiewać niż mówić. Istnieje cała gama tonów wymowy... Chcąc zaś poprawnie mówić, trzeba na to „śpiewanie” bardzo uważać. W przeciwnym razie zrozumieć – rozumieją, są oni dość domyślni (Burundi – ludzie mieszkający w Burundi), ale zamiast płakać lub wzruszyć się w czasie twojej przemowy – będą się śmiać. Jakże ten misjonarz śmiesznie mówi, jak się tu powstrzymać od śmiechu. Podobnie jakby ktoś mówił zamiast „miasto” – „ciasto”, itd.

Rozpisałem się, choć nie chciałem tak dużo pisać. To przy niedzieli, kiedy jest trochę czasu, chcę z Wami porozmawiać listownie i podzielić się z Wami moimi wrażeniami tak, jak Wy dzieliliście się z nami Waszą radością w czasie spotkania w Wadowicach. Jeszcze do dziś brzmią (może już nie w uszach), ale w sercach z pewnością słowa Waszej piosenki o pracy misjonarza, o jego zadaniu, o świadectwie wśród niewiernych. Tak, wśród wielu prac i zajęć misjonarza to jest najważniejsze. Tego zaś „nauczyć się można” – jeśli to w ten sposób nazwać – nie tyle z książek, ile na modlitwie. Wszystkiego może misjonarzowi braknąć, bo są różne sytuacje, ale tego jednego i najważniejszego braknąć mu nie może. Tę umiejętność osobistego spotkania z Bogiem można i trzeba przywieźć ze sobą. Tego nie odbiorą na granicy, na to nie ma cła.

Po dłuższym okresie pobytu tutaj wszystko staje się normalne. Niczemu człowiek się nie dziwi. Nie jest to dla nas dziwne, że np. chłopiec niesie list na głowie przyłożony kamieniem, aby go wiatr nie zdmuchnął; nie jest to też dziwne, że w największy upał chłopiec ma czapkę nasuniętą na uszy i nie jest mu zbyt gorąco; chodzi się w tym, co się ma, a nie w tym, w czym się chce. Dlatego też w misjonarzu musi być „coś”, co go stale ożywia, aby w drodze nie ustał, aby mówił o radości Ewangelii, choć jej może w tej chwili akurat nie odczuwa. Wiem, że wielu z Was ma zamiar kiedyś do nas dołączyć jako młodzi misjonarze. Cieszymy się z tego i modlimy się, aby to, co Pan nam ofiarował – zachował i dał wytrwać w dobrym postanowieniu do końca. Ufamy, że Ten, Który powołuje, daje też i środki do zrealizowania tego powołania.

Zatem nasza nadzieja nie jest tylko ludzka, ale oparta na Tym, Który dotrzymuje słowa i przymierza. Innym razem, gdy znowu znajdę czas, napiszę do Was, bo wiem, że żywe jest w

Was pragnienie poznania naszej rzeczywistości, ludzi, do których przybyliśmy...

Polecamy naszych braci i nas samych Waszej modlitwie, aby Chrystus im dał światło poznania Prawdy, a nam mocy wytrwania w głoszeniu Dobrej Nowiny słowem, przykładem, pomocą we wzajemnym zrozumieniu jednej i niezgłębionej Prawdy.

Oddany Wam w Panu „stary” misjonarz, choć bez brody

O. Józef Trybała

Wielki Tydzień, chrzest i bierzmowanie.

J.M.J.

Muyange, 6 kwietnia 1975

Drogi Ojciec Wacławie!

Cieszę się, że pamiętacie o nas przez listy, paczki i zdjęcia. Dziękuję Ci za przesłane zdjęcia z mojego pożegnania. Wysły dość dobrze, choć ani aparat ani warunki do robienia zdjęć nie były najlepsze. Co do moich listów, to nie ma żadnych praw, które mogłyby zabraniać publikowania. Jeśli uważasz, że coś może się Wam przydać – proszę bardzo.

W czasie Wielkiego Tygodnia przyjechaliśmy do „domu” na święta z Muyange, aby być razem. W tym czasie brałem udział w udzielaniu chrztu i bierzmowania w Musongati. A było to tak: Zanim kandydaci zostaną dopuszczeni do chrztu, muszą uczyć się przez 4 lata katechizmu w katechumenacie, tzn. w szkole przygotowawczej. Po przejściu wszystkich egzaminów, co pół roku, kandydaci dopuszczani są do chrztu. (...)

W przeddzień jeden z katechistów, który pracuje w biurze parafialnym, wypisuje wszystkim karty chrześcijańskie, na których wypisane jest imię i nazwisko, imiona rodziców, miejsce zamieszkania, data urodzenia, data chrztu i bierzmowania oraz parafia i diecezja, do której należy. Karty te rozdaje się wszystkim kandydatom. Jednocześnie wszystkie dane wpisuje się do księgi chrztów i bierzmowania.

Nazajutrz, u nas było to w Wielką Sobotę, po południu wszyscy zbierają się w kościele godzinę lub pół przed Mszą św. W tym czasie katechiści sprawdzają obecność kandydatów, świadków chrztu i bierzmowania oraz ustawiają w pewnej kolejności wszystkich, którzy mają przyjąć chrzest. Każdy jest wyczytany głośno i mówi „ndi hano – tu jestem”, i staje w kolejności wg przeczytanej listy (coś jak u nas w czasie święceń). Jak zwykle w takiej sytuacji jest dużo zamieszania, płacz dzieci, szukanie świadków, szukanie swego współmałżonka, z którym ma się zawrzeć katolicki ślub, itp. Często przeciąga się to do godziny, zależnie od liczby kandydatów. U nas w Musongati było ich około 100. Nie wiem dokładnie, ale w innych parafiach liczba dochodzi do 700 osób.

Po sprawdzeniu obecności i ustawieniu w kościele, wyszliśmy we cztery do ołtarza, aby rozpocząć mszę św. Przedtem neofitom rozdano świece, które będą potrzebne przy chrzcie. Każdy z nas miał ampułkę z wodą chrzcielną, oleje św. i małą białą chustę. Wszystkie modlitwy, wyznanie wiary, odrzekanie się od złego ducha, przyrzeczenie chrzcielne odmawiane były wspólnie. Następnie każdy z nas udzielał chrztu mając przed sobą jeden szereg. Przed udzieleniem chrztu zapytuje się kandydata czy chce być ochrzczony, odbiera się jego kartkę, potem udziela się chrztu przez wylanie wody na głowę (czoło) i wymówienie formuły. Kandydaci na stojąco pochylają lekko głowę, a kapłan polewając wodą mówi: „kw’Izina rya Data...” Po udzieleniu chrztu są jeszcze modlitwy i zaraz potem udzielenie bierzmowania w zwykły sposób, tak jak u nas. Przed udzieleniem bierzmowania również odbiera się kartki, aby potem zaznaczyć w księdze, że ten i ten był rzeczywiście ochrzczony i bierzmowany. Po udzieleniu chrztu wkłada się białą chustę na głowę każdego neofity już bez słów, ponieważ ta modlitwa była już odmówiona wcześniej. Ponieważ było już za późno, karty chrześcijańskie rozdaliśmy w Wielką Niedzielę po Mszy św. Tak wyglądała ogólnie

biorąc ceremonia chrztu i bierzmowania.

Jeśli chodzi o nas dwóch, O. Ryszard i ja jesteśmy nadal na kursie języka kirundi w Muyange aż do końca maja. Po skończeniu kursu mamy odbyć staż pracy misyjnej na jednej z misji w Burundi, aby dobrze poznać tak język francuski, jak i przede wszystkim kirundi. Gdzieś około Bożego Narodzenia zaczniemy już normalną pracę w naszej parafii. Gdzie jeszcze będziemy, to zobaczymy. Na razie jestem przydzielony do Musongati wraz z O. Kantym, O. Kamilem, a O. Ryszard do Mpingi.

We wtorek, 1 kwietnia mieliśmy wspólne zebranie w Musongati, na którym wybraliśmy delegata na Kapitułę do Polski i oddaliśmy głosy na Kapitułę. Delegatem jest O. Sylwan, który wybiera się do Was w maju. Zatem będziecie mieć jeszcze jednego misjonarza z Burundi.

Spodziewamy się z kolei wiadomości od Was, zwłaszcza po Kapitułę. Dziękuję Ci za przesłaną nam kielbasę na święta – zawsze to coś, co „pachnie” Polską.

Proszę pozdrowić wszystkich w Studentacie, br. Świętosława i br. Witalisa oraz całe Kółko Misyjne. Serdeczne pozdrowienia od Rumcajsja dla W.O. Przeora; proszę Go zapewnić o mojej pamięci i o tym, że z moim głosem tak najgorzej nie jest.

Jeszcze raz dziękuję za wszystko i do następnego listu

O. Józef Trybała

„Bóg zapłać!” za pomoc.

Nyamiyaga, 5 września 1975

Drodzy Przyjaciele!

Lepiej późno niż nigdy – prawda?

Bodaj w którymś liście obiecywałem częściej pisać, tymczasem tak dawno już nie zdobyłem się na list: Taki los misjonarza. Każdy dzień przynosi coraz to nowe zajęcia, „wsiąka się w tutejsze sprawy, a gdy zapadnie noc, nie ma już siły do pisania. Wiadomo: to nie te lata, nie te lata...

Pewnie i dzisiaj nie zdobyłbym się na list, gdyby nie to, że znalazłem się na misyjnej stacji w Nyamiyaga. Słońce zaszło, ludzie odeszli, cichy spokojny wieczór, więc porozmawiam z Wami.

Pierwsze uczucie, jakie pragnę wyrazić, to wdzięczność, bardzo serdeczna wdzięczność! Tak by się chciało podziękować Wszystkim i za wszystko, każdemu z osobna, ale niestety nie sposób! Ufam, że list ten dotrze do wielu i zanieś moje serdeczne „Bóg zapłać”!

Przede wszystkim za to, że wytrwaliście w miłości mimo naszego milczenia. Jesteśmy zachwyceni, oszołomieni wielu znakami tej miłości! Listy, paczuszki, zatroskanie, zainteresowanie, chęć przyjscia z pomocą – wszystko to są prawdziwe „Uśmiechy Bożej Opatrzności”! Nie macie pojęcia, jak to podtrzymuje na duchu! Ile radości przynosi naszemu ludowi!

Już pod koniec maja ogłoszono u nas, że wszystkie lekarstwa, które nasz kraj uzyskał od Międzynarodowych Organizacji Zdrowia na rok 1975, zostały już rozprowadzone po ośrodkach zdrowia. Praktycznie poza odrobiną środków odkażających, poza pastylkami przeciw malarii, które wystarczają na 5 dni, nie ma już przydziału lekarstw do ośrodków zdrowia i nie będzie do końca roku. Cóż by więc zrobiła nasza s. Zygmunta bez Waszej, Kochani, pomocy? Dzięki Wam mamy jeszcze nieco lekarstw i opatrunków. Przychodzą więc chorzy do Musongati z bardzo daleka. Dzień w dzień Siostra musi przyjąć od 170 do 300 chorych, a często daleko, daleko więcej. Pracuje od rana do wieczora. Czasami i nocą musi wstawiać do cięższych przypadków. W warunkach bardzo prymitywnych i prowizorycznych musi dokonywać prawdziwych operacji. Męcząca to praca, ale s. Zygmunta szczęśliwa, że

może tylu ludziom pomagać, że tego wszystkiego może dokonać dzięki Waszej pomocy! Martwi się, że nie może wszystkim podziękować, że nie może odpisywać na listy. Sądzę, Kochani, że coraz bardziej nie będzie mogła, bo pracy przybywa, a po całodzienniej męczącej pracy musi jeszcze przygotować lekarstwa na dzień następny i musi zaczerpnąć miłości u Źródła, czyli musi się pomodlić i oczywiście musi spać. Inaczej nie podołałaby pracy.

Dlatego też w naszym imieniu, w imieniu Sióstr i w imieniu naszych licznych chorych przesyłam Wszystkim bardzo serdeczne Bóg zapłać! „Wszystkim” – bo przecież trudno tu wymieniać. Może krakowski KIK i młodzież akademicka, może Oświęcim, Wałbrzych, Poznań, Podlesie Śl. wraz z Kostuchną, może Warszawa-Tamka i Gorzów Wlkp. zasługują na szczególne wyróżnienie. Ale przecież tyle zakątków Polski odpowiedziało na nasz apel! I nasza Kochana Polonia – z Ottawy w Kanadzie, z Londynu i Reading w Anglii, ze Szwajcarii, USA i Szwecji... Nie, nie chcę wymieniać, bo już widzę, że pomijam np. Kochane Siostry Klawerianki, które ze swoją już, już błogosławioną Matką stają się rzeczywiście „Matkami Afryki”. Za wielką łaskę poczytuję sobie, że w powrotnej drodze z Polski do Burundi było mi dane uklęknąć na grobie Matki Teresy Ledóchowskiej.

Nie, nie chcę nikogo pomijać. Każdy znak Waszej przyjaźni jest głęboko odnotowany w naszych sercach. A czasem są to znaki szczególnie wzruszające. Ostatnio, taka np. paczuszka, która wędrowała cały rok od 87-letniego p. Jakuba z USA. Zawierała trochę zaoszczędzonych chusteczek, kłębek drutu pozbieranego ze śmietników. Ale jakże starannie zapakowane! Wzruszające!

A to przecież nie jedyna tego rodzaju paczuszka. Jakże bym chciał ucałować z serdeczną wdzięcznością te dobre ręce wielu Kochanych Staruszków i Staruszek i wielu młodszych. Tak, Panie Marcinie i Katarzyno z Vernon w Kanadzie, p. Zofio z Dornstad w Niemczech, p. Mario z Lund w Szwecji... i Wy, Kochani w Anglii, Francji, USA i Szwajcarii. Rozumiecie, że nie sposób wymienić Was wszystkich, bo lista byłaby bardzo długa. A gdyby tak jeszcze opisać do jakiego stopnia potraficie odjąć sobie od ust, by podzielić Wasze ubóstwo z jeszcze biedniejszymi, to byłaby to porywająca opowieść o miłości i porywające świadectwo.

Tymczasem – Wasze znaki miłości wędrują do nas czasem bardzo długo, ale docierają. Później bardzo długo nie ma czasu na odpisanie. A jeżeli już zdobędę się na liścik, to on z kolei wędruje bardzo długo, a czasem zaginie, bo znów otrzymuję zapytania, na które już odpowiedziałem. Tak, tak Droga p. Józefo z Sodalicii Mariańskiej w Londynie.

W tym wszystkim właśnie to mnie wzrusza szczególnie, że mimo wszystko nie zniechęcacie się. To coś z tego, o czym mówił św. Paweł: „miłość... cierpliwa jest... nie szuka pokłasku... wszystko przetrzyma... nigdy nie ustaje!”

A jeżeli wolno mi prosić – „ubogi ma prawo wyciągać rękę”, a proszę w imieniu ubogich – więc proszę właśnie o to: wytrwajcie w miłości! To jest cecha Miłości Bożej ku nam – „miłość nigdy nie ustaje” i to jest cecha prawdziwie chrześcijańskiej miłości. To prawda, że nasza miłość – wiemy z doświadczenia – może się jakoś zagubić, może osiąść na niej kurz, ale przecież w spotkaniu z Miłością wciąż się na nowo odnawia i „nigdy nie ustaje”. O taką miłość dla nas i dla Was modłę się gorąco. Ona zawsze jest potrzebna, a u nas „Znaki Waszej Miłości” długo jeszcze będą potrzebne. To one są jak krople deszczu padającego na wysuszoną ziemię. To porównanie pewnie dlatego, że dzisiaj spadł niespodziewanie deszcz po kilku miesiącach suszy.

Wielu z Was pyta: jakie lekarstwa przysyłać? Można odpowiedzieć: wszystkie! Przede wszystkim jednak antybiotyki, witaminy, opatrunki. Trudno dochodzą – a praktycznie nie dochodzą w małych paczuszkach lekarstwa w płynie.

A jakie u nas choroby? Przede wszystkim malaria, gruźlica, tyfus, awitaminozy, świerzb, wrzody, robaczycę – od tasiemca do ameby – i któż zresztą wszystko wyliczy? Trzeba leczyć wszystko, od przyjęcia trudnego porodu do ratowania staruszka, od głowy do palca u nogi. Próbujemy coś zrobić dla trędowatych. W Musongati objęto opieką także ponad 300 dzieci chorych na kwashiorkor. W Mpindze jeszcze na razie nie. To nie takie proste, trzeba dla nich

zdobyć mleko i trzeba przynajmniej raz w tygodniu zebrać ich matki i pouczać o sposobie racjonalnego odżywiania.

A ileż do zrobienia jeszcze na polu podstawowych zasad higieny! Wszystko staje się problemem. Np. woda, ten symbol życia, na równiku jest źródłem choroby. „Uleczyć wodę w Burundi, to uleczyć jakieś 80% chorób”. Ileż razy słyszymy to zdanie! Ale któż zdoła uleczyć wodę w Burundi? Studni u nas nie można kopać, bo żyjemy w górach – Mpinga na wysokości 1960 m n.p.m. – i jeszcze raz w górach! Wodę czerpie się z potoków, z rzek, a czasem wprost z kałuży. Czyściejszą wodę można znaleźć w tzw. źródłach. W rzeczywistości nie są to źródła, ale woda zatrzymywana w porze deszczowej przez specjalny rodzaj kamienia i „oddawana” w porze suchej. Ale i ta woda nadaje się do picia dopiero po przegotowaniu i przefiltrowaniu. Któż jednak – poza misjonarzami i Białymi – będzie tu filtrował wodę? Kto sobie na to pozwoli? Albo kto będzie wodę gotował?

Kiedy się zajdzie do zagrody naszych ludzi i zobaczy gospozię gotującą groch czy maniok na 10, 14 lub 16 osób, gospozię, która ma jeden a najwyżej dwa garnki, to jakże jej nakazać gotować wodę do picia czy kąpania małego dziecka?

Albo np. pranie. Można pouczać, jak to należy robić. Skąd jednak ludzie wezmą dostateczną ilość mydła? A jeżeli znajdą mydło i kupią, to prać pójdą nad rzekę. Nie ma mowy o przegotowaniu bielizny. To prawda, że w czasie suszenia nasze słońce zabija wiele zarazków, ale przecież bieliznę obsiadają różne muchy i nie muchy, a potem nie wyprasowaną dostatecznie gorącym żelazkiem bieliznę ubiorą ludzie...

Albo zasada: oddzielić chorego na trąd, na gruźlicę czy tyfus od innego, zwłaszcza od dzieci. Jakże to jednak zrobić praktycznie, kiedy ich dom to jedna izba podzielona najwyżej niskimi ściankami, izba tak ciasna, że musi się spać razem...

To tylko taka próba problemów związanych ze zdrowiem. I jeszcze: jedni ludzie chętnie przychodzą do przychodni z byle drobnostką. Inni natomiast czekają cierpliwie, aż wrzód czy rana się zagoją. Dopiero, gdy staną się gangreną, przyjdą do lekarza. Oni też nie przyjdą regularnie na opatrunki. Ileż to razy sam ściągałem opatrunki, pod którymi roilo się od dużych białych larw.

Nie, nie, leczyć tu bardzo trudno. Dlatego też tym bardziej podziwiam cierpliwość i oddanie, z jakim to robi Siostra Zygmunta. Prawdziwe powołanie!

Jeżeli zatem wytrwacie w Waszej miłości, będzie mogła zrobić wiele, wiele dobrego. A raczej będziemy mogli – Wy i my – zrobić wiele dobrego, a Pan powie kiedyś: byłem chory, byłem nagi, byłem głodny... a przyszliście mi z pomocą, pójďte błogosławieni!...

W niektórych Waszych listach daje się wyczuć, że zaczynacie wątpić w sens takiej Waszej pomocy. Bo cóż to jest, to kropla w morzu. Czy misjonarze nie powinni organizować pomocy na większą skalę przez organizacje międzynarodowe?

Zapewne tak byłoby prościej, ale... nie jest łatwo dotrzeć z buszu do światowych organizacji, bo np. prośby o pomoc w budowie muszą być opatrzone dokładnymi planami, kosztorysami wykonanymi przez inżynierów, opatrzone uzasadnieniami dokonanymi przez socjologów, należy podać biuro wykonawcze, itp., itd. Wszystko to słuszne od strony organizacji, która ma pomagać, ale gdzież w Burundi znaleźć inżyniera, socjologów czy jakieś firmy i biura wykonawcze? Tu brakuje bardzo prostych fachowców i rzemieślników. Władze diecezjalne, jeżeli już złożyły jakieś prośby do jednej organizacji, nie mogą się zwracać z tymi prośbami do innych, dopóki nie otrzymają odpowiedzi, na którą trzeba czasem czekać rok i dłużej. Władze terenowe są w podobnej sytuacji, a oprócz tego nie zawsze chcą się przyznać wobec świata do istniejącej nędzy i własnej bezradności. Chcą też, by wszystko przechodziło przez ich ręce i niejako „na ich rachunek”. Nie za chętnie więc popierają projekty misjonarza, bo wówczas on ma kontrolę nad realizacją i równocześnie rośnie jego popularność wśród ludu, a nie popularność władz cywilnych. Zrozumiałe.

Jeżeli już się uda uzyskać pomoc, to znów dokładne sprawozdania z każdego wydanego grosza. Znów inżynierowie, ekonomiści, itd. Słuszne, ale jakże kosztowne i ile pożerające czasu!

Problem dobrze ujął J. A. Kozłowski w liście do Redakcji „Tygodnika Powszechnego” z 28 lipca 1974. Pozwólcie, że przytoczę tekst:

„W liście do redakcji „Tygodnika” z 10 marca pani Krotowska porusza znany problem głodu w świecie.

Nie kwestionując szlachetnych pobudek autorki listu, chciałbym wylać przysłowiowy „kubek zimnej wody”.

Od prawie dwóch lat pracuję zawodowo w dziedzinie niesienia pomocy krajom Trzeciego Świata i obecnie już po raz drugi jestem z tego powodu w Afryce. Sprawa pomocy, niestety, nie jest taka prosta. Nie jest też kwestią zebrania pieniędzy, ubrań, żywności czy lekarstw i przekazania ich do kraju potrzebującego. Rzeczywistość wygląda niestety inaczej.

Określił ją lapidarnie mój przełożony: „Pomoc udzielana krajom Trzeciego Świata jest to przelew pieniędzy z kieszeni ludzi ubogich krajów zamożnych do kieszeni ludzi zamożnych krajów ubogich”!

W prywatnych rozmowach ze studentami w Addis Abebie dowiedziałem się, że rząd Etiopii przez dłuższy czas trzymał w tajemnicy klęskę głodu w prowincjach północnych. Dopiero, gdy śmiertelność przybrała monstrualne rozmiary, z zażenowaniem pozwolił na udzielenie pomocy z zewnątrz. Jednocześnie widzi się wspaniałe limuzyny i istny „wschodni przepych” bogatych Etiopów.

Korupcja prawie bez wyjątku panuje we wszystkich krajach Afryki, o czym otwarcie piszą miejscowe gazety. Stykając się z młodą, przeważnie zamożną inteligencją afrykańską, na każdym kroku stwierdzam ich postawę na wskroś konsumpcyjną (w dużo większym stopniu niż w Europie) i zadziwiającą obojętność i bezwzględność wobec otaczającej ich nędzy współziomków. Wydaje mi się, że cecha współczucia czy litości w kulturach pozaeuropejskich jest chyba nieznana, a u nas ten atrybut niewątpliwie wniosło chrześcijaństwo.

W konkluzji wydaje mi się, że wszystkie przekazy pieniężne na rzecz głodujących, powędrują do kieszeni już i tak bardzo zamożnych urzędników krajów Trzeciego Świata.

Moim zdaniem jedynie pomoc udzielana „prywatnie”, z pominięciem czynników oficjalnych, trafia we właściwe ręce. Proponuję więc pomoc misjom katolickim, bo misjonarze rzeczywiście walczą z głodem swoimi skromnymi środkami.

Inną formą pomocy, coraz bardziej popularną na Zachodzie, jest ofiara z czasu i swoich umiejętności. Różne organizacje wysyłają ochotników-specjalistów na okres paru miesięcy lub paroletni do krajów rozwijających się, między innymi, żeby na miejscu skutecznie walczyć z głodem. Jedną z głównych przyczyn głodu jest chroniczny brak wody. A więc prace irygacyjne, wiercenie studni, zakładanie pomp, budowanie wiatraków do pompowania”.

Przepraszam za ten przydługi cytat. Podpisuję się pod nim obydwoma rękami.

Z doświadczenia czterech lat widzę wielki sens Waszej „prywatnej” pomocy. To ona pozwala pomagać rzeczywiście potrzebującym!

Kończę, bo już noc i wiatr szumi w konarach drzew, co działa trochę usypiająco. Jestem w Nyamiyadze, a ta nazwa w kirundi oznacza region wiatrów.

Mpinga, 8 września 1975

Po powrocie z Nyamiyagi w niedzielę po południu wybrałem się ze współbraćmi do Musongati, bo nazbierało się trochę spraw do wspólnego omówienia. Wróciliśmy wieczorem. Dzisiaj dopiero kończę list.

I cóż powiem na zakończenie? Wybaczcie, że tak mało piszemy. Siostry bardzo zajęte: w przychodni zdrowia, w katechetyce, w szkole gospodarstwa domowego i przy wielu innych pracach. Ojcowie mają dużo pracy w naszych rozległych parafiach. Oprócz pracy duszpasterskiej, budowa i takie przeróżne prace: naprawa dachu na kaplicy lub szkole, naprawienie zamków u drzwi, zrobienie ławek i stołów do klas ...

Na szczęście wrócił już Brat Marcelli i na całego zabrał się do wypalania cegły w

Musongati (w Mpindze wypaliliśmy już w sierpniu) i równocześnie do fundamentów. Przy tym wszystkim trudno się zdobyć na częste listy. Rozumiecie – prawda?

Na zbliżający się Dzień Misyjny przesyłam Wam najserdeczniejsze wyrazy wdzięczności za dotychczasową pomoc, serdeczne życzenia wielu łask Pana, który nas wszystkich – swoich uczniów – posłał na cały świat...

W tym roku Światowy Dzień Misyjny będzie szczególnie polski ze względu na beatyfikację M. Teresy Ledóchowskiej, będzie też szczególnie afrykański, bo przecież Ona słusznie została nazwana „Matką Afryki”. Oby ten dzień we wszystkich sercach Braci Polaków rozpalił misyjny zapal!

Serdeczności dla Wszystkich wraz z zapewnieniem o naszej modlitwie i z prośbą o Waszą

Was brat
O. Teofil k.b.

„Pragnę podziękować za współpracę.”

Musongati, 8 września 1975

Drodzy Przyjaciele Misji!
Ukochane Siostry!

Tydzień misyjny to okres, kiedy więcej niż kiedykolwiek myślimy o sobie. Wy tam w kraju, my w miejscu pielgrzymki na Czarnym Łądzie.

Z okazji tego tygodnia pragnę każdej i każdemu z Was jeszcze raz serdecznie podziękować za współpracę. Myślimy o Was codziennie, bo właśnie możemy pracować dzięki Waszym lekom i innym materiałom, którymi podzieliliście się z nami. Możemy ubierać obdartusków, bo otrzymaliśmy od Was odzież. Możemy dokarmiać dzieci mlekiem, które od Was przyszło. To Waszymi igłami szturchają niezdarnie dziewczęta w szkółce s. Bogumiły. Także Waszymi agrałkami dekorują piersi dzieci i dorośli, aby w razie potrzeby przyjść natychmiast na pomoc zaatakowanym przez pchełki stopom.

Nie mam możliwości napisania do każdego z Was, z osobna, Bóg mi świadkiem, bowiem tłumy chorych obiegają nasz punkt misyjny od rana do wieczora. Pracujemy jeszcze w bardzo prymitywnych warunkach, ale pracujemy, bo mamy broń w ręku – leki. Wasze leki.

Lżej chorzy przychodzą pieszo, a ciężko chorych przynoszą w opałkach z przymocowanymi drążkami (pogotowie ratunkowe). Leżą oni w pokoiku na 5 łóżek, jak śledzie jeden obok drugiego, radzi, że dostali kawałek ziemi pod dachem. Chcąc ich badać, chodzę koło nich jak bocian. Jedną z oznak polepszenia zdrowia jest to, że wychodzą na zewnątrz i siedząc w kukki wygrzewają się na słońcu.

Tłumy chorych zwiększają się z dnia na dzień także z tego powodu, że nasi pacjenci nie dorośli jeszcze do tego, aby im dać leki do domu. Przychodzą je zażywać na miejscu. Kilka razy próbowałam dać lekarstwa do domu i chociaż chory przytakiwał, że dobrze zrozumiał, a nawet powtórzył jak ma lek zażywać, to jednak na drugi dzień lub zaraz zjadł wszystko na raz. Ale to nic, powoli rozumieją. Trzeba będzie jeszcze całych lat pracy, my zaczynamy, a inni będą na tym budować i doskonalić.

Niemalży problem mam z matkami, które są przekonane, że trzeba dać dziecku codziennie lewatywę, ale jak – ucierają liście roślin, zaparzają i własnym sposobem wprowadzają dziecku do brzuszka. I jaki skutek – dziecko czyste. Jeśli dziecko mocne – przetrzyma, a jeśli już ma biegunkę, to przynoszą je do mnie w stanie najwyższego odwodnienia i zatrucia.

A matka nie chce wierzyć, że mu zaszkodziła, tylko chce jeszcze powtarzać leki czarodziejskie, bo wierzy, że dziecko wyssało chorobę z jej piersi, lub ktoś rzucił „czar”. Kilkadziesiąt metrów od nas mieszka czarownik. Zbieramy więc owoce jego pracy. Przyjmuje ludzi w nocy, a rano przychodzą do mnie z ponacinaną skórą w przeróżne desenie.

Powoli szkolimy grupę chłopców i dziewcząt, którzy już zaczynają pomagać nam w obsłudze chorych. Oni lepiej rozumieją swoich. Dla nas to są takie tajemnice i zwyczaje, że trzeba by chyba zjeść „beczkę soli”, by je rozgryźć.

Np. dzisiaj miałam chorego ze zwichniętym barkiem, i aby go zbadać, kazałam mu zdjąć koszulę, a on się tak obraził, że wołał odejść bez udzielonej pomocy. Twierdził, że to nie było moralne, bo patrzyło na to może 5 osób. I jak to pojąć, skoro chodzą prawie półnago. Takich historyjek mamy na każdym kroku dziesiątki.

Żegnam Was, Ukochani, i dziękuję za wszystko. Życzę, aby nie zabrakło Wam siły w kraju i nam tutaj w pracy misyjnej, abyśmy mogły kontynuować opiekę nad chorymi i oni mogli się cieszyć choć małym szpitalem.

Złączona z każdym z Was w Boskim Dzieciątku Jezus

S. M. Zygmunta od Jezusa
Karmelitanka Dzieciątka Jezus

„Oto nasze życzenia”. „Aby ciemności nie były zupełne.”

Mpinga, grudzień 1975 r.

Kochani Przyjaciele!

Altana Yesu kavutse – Dziecię Jezus się narodziło! Bóg stał się Człowiekiem. W Jezusie Chrystusie stał się Bratem wszystkich ludzi. Bóg zechciał podzielić się z nami Swoim życiem, aby nas nauczyć dzielić się naszym.

Czegóż mamy Wam życzyć, Kochani, w tej radosnej chwili!

Oby radość Bożego Narodzenia w błogosławionej nadziei, którą nam przynosi, zawsze opromieniała Waszą drogę i umacniała serca! Oto nasze krótkie, ale szczere i braterskie życzenia w Jezusie Chrystusie i Maryi. Oto nasze gorące, nadprzyrodzone życzenia na nadchodzący rok 1976.

Oto nasze życzenia, które Wam składamy i które zaniesiemy do stóp Bożego Dzieciątka w Świętą Noc w naszych prawdziwie betlejemskich stajenkach-kaplicach, gdzie modlić się za Was będziemy wraz z naszym ludem.

Sami także liczymy na Waszą modlitwę. Módlcie się za nas szczególnie przy Bożym Żłóbku, byśmy umieli wykorzystać godzinę łaski, w której na nowo Bóg przychodzi ze Swoją miłością. Oby Chrystus rozgrzał na nowo nasze serca, umocnił nasze słabe siły, byśmy Mu mogli służyć szczególnie w Jego najbiedniejszych, by w ten sposób, także i u nas, wypełniły się słowa śpiewane o Bożym Narodzeniu: „Radość rozbrzmiewa wśród łez, światłość jaśnieje wśród ciemności. Miłość Boża przezwycięża egoizm, ogarnia serca biedaków, rodząc przedziwne owoce łaski. Serca otwierają się w miłości, ręce otwierają się w darze i tak zaczyna się nieustannie przychodzenie Boga, wieczne Boże Narodzenie, nadzieja na rzeczywistą miłość, pokój, dobroć i radość...”.

Tych darów Bożej radości życzę Wam Wszystkim, życzę Waszym Najbliższym i życzę także ludziom naszym, szczególnie dzieciom, które też jakoś czekają na radość Bożego Narodzenia, choć nie bardzo ośmielają się wierzyć, że ona rzeczywiście nadejdzie.

W tym czasie darów – Bóg oddał nam wszystko, oddając Syna – któż nie chciałby uczynić choć drobnego, braterskiego gestu, by podzielić i pomnożyć radość! Chcemy i my. Byłoby wiele do powiedzenia na ten temat, ale w blasku betlejemskiej szopki pragnę powiedzieć jedno: często jesteśmy zupełnie bezradni wobec nędzy, która nas otacza. Jeżeli i w tym roku mamy nadzieję wnieść z okazji Bożego Narodzenia choć odrobinę radości w życie naszych ludzi, to właśnie dzięki Wam i Waszym darom. Mam nadzieję, że potraficie zrozumieć naszą wielką, bardzo wielką wdzięczność. Bóg jest dobry, bardzo dobry, a dobroć Boża przebiega przez Wasze serca. Niech będzie błogosławiony i niech Sam będzie Waszą nagrodą!

Oto kilka bezradnych słów z okazji Świętej Nocy, słów, które chciałyby powiedzieć, jak bardzo jesteśmy z Wami wdzięcznym sercem, serdeczną życzliwością i nieustanną modlitwą.

Przy okazji świątecznego listu chciałoby się porozmawiać o wielu sprawach i odpowiedzieć na wiele Waszych pytań, ale czas jest bardzo zajęty, chcemy bowiem przygotować naszych wiernych, by mogli głębiej przeżyć radość Bożego Narodzenia.

Muszę jednak odpowiedzieć choć na jedno pytanie, które powtarza się w listach z różnymi odcieniami. Pytacie: Skoro tyle pozostaje do zrobienia dla chorych, biednych, dla katechumenów, skoro nie macie kościoła parafialnego w Musongati, skoro rozpadają się kaplice na stacjach misyjnych – dlaczegoż zaczynacie od szkoły gospodarstwa w Mpindze i od szkoły podstawowej w Musongati? – Czyż tym nie powinno się zająć państwo? - Czyż misjonarze nie powinni budować kościoła?

Kochani, wiem, trzeba przede wszystkim budować Kościół duchowy i trzeba myśleć o zbudowaniu kościoła parafialnego w Musongati, gdzie bardzo potrzebny jest także katechumenat, trzeba odnowić rozpadające się kaplice na kilku stacjach misyjnych, a jeżeli już – jak powiedział Ojciec święty Paweł VI – „niewidzialne” domaga się od nas inicjatywy w sprawach „widzialnych”, to trzeba by przede wszystkim zbudować coś dla naszych chorych. Ale na rozpoczęcie ośrodka zdrowia wciąż jeszcze brakuje grosza. Na kościół i kaplice też.

Tymczasem potrzebna szkoła gospodarstwa – tzw. foyer social – w Mpindze. Parafia Mpinga jest bowiem bardzo oddalona od jakiegoś większego ośrodka. Ludzie jeszcze bardzo biedni w obliczu trudnych warunków gospodarowania. Szerzą się różne choroby z powodu braku higieny i nieodpowiedniego odżywiania się lub niedożywienia. Przesady i czary mają jeszcze bardzo wiele do powiedzenia w naszej okolicy, a więc „czarownice” i inni spryciarze żerują na naiwności, wyzyskując i tak już biednych ludzi. Szkoła gospodarstwa domowego będzie mogła promieniować na całą okolicę choćby odrobiną wiedzy praktycznej, także sanitarnej, będzie mogła uleczyć wiele biedy wynikającej z nieświadomości ojców i matek rodzin.

W tej szkole będzie się przygotowywać chłopców i dziewczęta do życia rodzinnego; oczywiście, dwie duże klasy, duża sala zajęć praktycznych, biuro i magazyn (fundamenty pod kierunkiem O. Sylwana już założone), a kiedyś także warsztaty, nie wystarczą. Ważniejszy będzie odpowiedni personel nauczający. Ufamy, że go zdobędziemy.

To byłyby argumenty za budową foyer social w Mpindze. Ale jest jeszcze argument nad argumenty. Zdradzę Wam: mimo moich narzekań na wielkie organizacje, że nie rozumieją naszej buszowej sytuacji, otrzymaliśmy od niemieckiej organizacji wspierającej misję „Misereor” pomoc na budowę. Bez tej pomocy szkoła gospodarstwa w Mpindze musiałaby się długo mieścić w budynku, którego dach przepuszcza wodę jak sito.

Ale czy nie mógłby budową zająć się ktoś inny? Niestety, w buszu warunki są takie, że poza misjonarzem nikt nie potrafi budować.

Szkoła w Musongati. Na razie budujemy dom dla Sióstr. Chcemy jednak zaraz zabrać się do szkoły. Przy pomocy gminy w Musongati zgromadzono już kamienie na budowę szkoły. Ludzie obiecali pomoc przy budowie i jest nadzieja na pomoc pieniężną ze strony diecezji.

Szkoła jest bardzo potrzebna. Jak niemal we wszystkich krajach Afryki, tak i u nas, a może szczególnie u nas, problem szkół nie został jeszcze rozwiązany mimo ogromnego wysiłku Kościoła. Wysoki przyrost naturalny w Burundi przy dotychczasowej gęstości zaludnienia sprawia, że kraj nie nadąza z rozwojem gospodarczym na tyle, by zapewnić ludziom utrzymanie i jakie takie warunki zdrowotne, a cóż dopiero wykształcenie. Przy obecnym stanie gospodarki krajowej bardzo i niemal we wszystkim uzależnionej od krajów Europy, Ameryki i Azji, gospodarki w ręku ludzi nieodpowiednich, nie ma nadziei na wyjście z impasu.

Wciąż brakuje szkół i nauczycielstwa, szczególnie w buszu. Przez góry i doliny, w deszczu lub słonecznej spiekocie, dzień w dzień przebiegają dzieci – tam i z powrotem – odległość 10 i więcej kilometrów, by znaleźć się w szkole. Szczęśliwe, jeśli znajdzie się dla

nich miejsce.

W takich „szkołach” w buszu, gdzie dach przecieka, gdzie nie ma okien ani drzwi, gdzie nie ma ławek szkolnych, nauczyciel ma bardzo często tylko ręce i język, jako pomoc w przekazywaniu bardzo podstawowych wiadomości. Dodać należy: wielu z nich uczy tylko dla pensji, bez przekonania, bez powołania.

Dochodzi trudność, o której już kiedyś wspomniałem: rodzice z plemienia rządzącego nie chcą posyłać dzieci do szkoły, bo tylko znikomy procent tych dzieci może uzyskać miejsce w szkole średniej, a inne wracają do buszu bez świadectwa ukończenia szkoły podstawowej. Rodzice z drugiego plemienia nie posyłają, ponieważ pamiętają dobrze, że już nieraz wyniszczono ludzi (z tego plemienia) tylko dlatego, że umieli czytać i pisać. Należy też do wyjątku, jeżeli któreś dziecko z tego plemienia dostanie się do szkoły średniej. Po co zatem płacić co roku 40 franków, po co starać się o jakieś takie ubranie, a w starszych klasach o zeszyty. Po co dzieci mają marnować czas, kiedy mogą uprawiać ziemię, paść kozy, zbierać gałęzie na opał i nosić wodę. Niektórzy rodzice są rzeczywiście za biedni, by ubrać, wyżywić i kształcić dzieci.

Mimo wszystko, a raczej dlatego i aby ciemności nie były zupełne, trzeba zająć się szkołami.

Państwo, zwłaszcza u nas w buszu, nie pomoże, a nam przecież także chodzi o to, by choć kilka osób w wiosce potrafiło przeczytać Ewangelię.

Na razie w parafii Mpinga, na jakieś 3500 dzieci w wieku szkolnym, uczy się 617 dzieci. Uczą się w szopach, których nikt z Europejczyków nie nazwałby szkołą.

Rozumiecie zatem, Kochani, dlaczego odkładamy na dalszy plan budowę kościoła (budynku: bo o duchowym Kościele nie zapominamy), dlaczego zostawiamy budowę kaplic, budowę ośrodka zdrowia, a marzymy o szkole. To zresztą będzie także realizowaniem Bożonarodzeniowej radości: światłość zajaśniała wśród ciemności. Oczywiście, wcale bym się nie dziwił, gdybyście mimo wszystko nie rozumieli. Odwiedziła w październiku swoje siostry Karmelitanki Dzieciątka Jezus Matka Generalna. I coś stwierdziła: „Chociaż przeczytałam dokładnie listy misjonarzy i misjonek z Burundi, to przecież bardzo słabe miałam pojęcie o tym wszystkim, co tu widzę!”

Także i my wciąż jeszcze wielu spraw zupełnie nie rozumiemy i wiadomo, że nasi Czarni Bracia także nas nie rozumieją. Tyle tylko, że już się trochę mniej dziwimy.

Na początku było inaczej. Pamiętacie zapewne to, co opowiadałem przed rokiem w Polsce. Kiedy objęliśmy parafię w Mpindze, postanowiliśmy jakoś zagospodarować misję. Zachciało się nam świnek. Sprowadziliśmy dwa dosyć już duże białe prosiątka. Tu w okolicy nikt nie widział świni. Hodują je jedynie na północy kraju. Ponieważ misjonarze mają dosyć pracy, karmienie świnek zlecieliśmy naszemu kucharzowi, tłumacząc mu co, kiedy i jak ma dla nich gotować. Po jakimś czasie spostrzegamy, że nasze świnki zupełnie kozieją. Sierść długa, chude, tylko patrzeć jak wyrosną im rogi. Pytamy kucharza o powód. Odpowiada, że wcale nie chcą jeść gotowanego, więc daje im trochę trawy. Ale dlaczego nie chcą jeść gotowanego? Okazało się, że kucharz zanosił im koryto gorącego manioku. Głodne świnki natychmiast wsadzały ryjek i uciekały z kwikiem, więc kucharz zabierał koryto, bo nie chcą jeść i jeszcze mocniej podgrzewał maniok na kolację. Mówimy: człowieku, dlaczego im dajesz takie gorące jedzenie? – A on pełen zdziwienia: przecież ojcowie zawsze chcą wszystko gorące! Nie wiem, ale chyba myślał, że wszystko co białe, musi jeść gorące.

Zagłodzonych świnek nie dało się przekonać do jedzenia, coraz bardziej koziały, więc poszły na rzeź. Przy okazji kucharz dowiedział się, że nie wszystko co białe, musi jeść gorące. My także już wiemy, że nowemu kucharzowi trzeba przypominać, aby nam podawał gorące jedzenie. Wiemy, dlaczego Czarni lubią jedzenie chłodne. Po prostu poparzyliby sobie rajska widelec Adama, którym wciąż jeszcze posługują się przy jedzeniu. Dzisiaj wiemy już także, że ten „widelec” jest jakoś dziwnie uodporniony na gorąco. Wiemy z doświadczenia, bo

kiedys kucharz przyniósł i spokojnie postawił na stole półmisek; biały misjonarz, chcąc przesunąć półmisek ku sobie, nagle oderwał rękę i poszedł szukać środka przeciw oparzeniu. Gdy wrócił, pokazał zdumionemu kucharzowi bąble na palcach.

Tak powoli, powoli doksztalcamy się i zaczynamy orientować się w sprawach zewnętrznych, ale ileż pozostaje niezgłębionych zagadek z dziedziny ducha!

O tym jednak porozmawiamy może kiedyś później, bo przed Świętami rzeczywiście brakuje czasu.

Zresztą słyszałem, że i O. Jan Kanty wybiera się do Was z długim listem, w którym zapewne opisze wszystkie ciekawostki. Nie zapomni na pewno napisać i o ludożercy ze swej parafii i o lwach, które grasowały w sąsiedniej parafii pożerając 8 osób i raniąc inne, więc nie będę więcej pisał, tylko Wam, Kochani, powiem dobranoc i pójdę spać spokojnie, bo jeden z tych złośliwych lwów został zabity, a inne do nas nie przyjdą, bo one wysokich gór nie lubią.

Dobranoc zatem, Kochani, bo gwiazdy cichutko mrugają, wszystko śpi spokojnie i ja też jestem senny.

Łączę wiele serdecznych pozdrowień, wyrazy wdzięczności i wiele serdeczności od nas wszystkich z Mpingi i Musongati.

O. Teofil Stan. Kapusta OCD

1976

„Poruszymy jeszcze obecnie taki aspekt ewangelizacji, który nie może być zaniechany. Chcemy powiedzieć o tak zwanej dziś często «religijności ludowej».

Tak w tych regionach, gdzie Kościół jest wrośnięty już od wielu stuleci, jak i tam, gdzie właśnie zapuszcza korzenie, powstają niekiedy u ludu szczególnie zwyczaje, za pomocą których wyraża się poszukiwanie i wiarę w Boga. Te nawyki uważane długo za nie dość czyste, a nieraz traktowane z odrazą, dzisiaj prawie wszędzie uważane są ze strony współczesnych ludzi za nowy sposób dociekania i poznania. Sami Biskupi podczas ostatniego Synodu starali się jasno zrozumieć ich znaczenie, wiedzeni pastoralnym realizmem i baczną wnikliwością.

Trzeba przyznać, że ludowa religijność zamyka się w pewnych ciasnych granicach. Nierzadko jest ona podatna na wpływ wielu fałszywych form religijności i zbliża się nawet do zabobonu; często polega na najniższym poziomie kultu religijnego, który nie prowadzi do należytego aktu wiary; może też skłaniać do tworzenia sekt i stronnictw, co zagraża samej wspólnocie Kościoła.

Ale, jeśli jest należycie kierowana, zwłaszcza przez odpowiedni sposób ewangelizowania, to wtedy obfituje też w wiele dobrego. Bo nosi w sobie jakiś głód Boga, jaki jedynie ludzie prości i ubodzy duchem mogą odczuwać; udziela ludziom mocy do poświęcenia się i ofiarności aż do heroizmu, gdy chodzi o wyznawanie wiary. Daje wyostrzony zmysł pojmowania niewymownych przymiotów Boga: ojcostwa, opatrności, obecności stałej i dobroczynnej miłości. Rodzi w wewnętrznym człowieku takie sprawności, jakie gdzie indziej rzadko w takim stopniu można spotkać: cierpliwość, świadomość niesienia krzyża w codziennym życiu, wyrzeczenie się, życzliwość dla innych, szacunek (...).

Miłość pasterska tych wszystkich, których Pan postawił na czele wspólnot Kościoła, niech podda należyte zasady postępowania w odniesieniu do tej rzeczywistości, która zarówno bogata jest w owoce, jak i pełna niebezpieczeństw. Przede wszystkim trzeba się otworzyć na zrozumienie jej wewnętrznej złożoności i odkrycie jej niesfałszowanych wartości, i spieszyć jej z pomocą celem oczyszczenia z zarzewi błędów. Przy dobrym kierownictwie ta ludowa religijność może coraz więcej przyczyniać się do tego, że nasze ludowe rzesze rzeczywiście spotkają Boga w Jezusie Chrystusie.³⁹

Już od początku swej działalności w Burundi polscy misjonarze zwrócili baczną uwagę na ten „aspekt ewangelizacji, który nie może być zaniechany”. Sądzieli bowiem, że jako Polacy, w sprawie religijności ludowej mają więcej od innych do powiedzenia.

Krzyż postawiony na wzgórzu w Mpindze, krzyże stawiane w różnych wioskach parafii, wystrój kościołów i kaplic, „oprawa” pozaliturgiczna Świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy, zachęta do nabożeństwa Drogi Krzyżowej i Różańca, zachęta do nawiedzania i adorowania Najśw. Sakramentu, starannie przygotowywana uroczysta procesja Bożego Ciała, zwyczaj poświęcania nowych domów, i wprowadzony zwyczaj poświęcania narzędzi pracy w uroczystość św. Józefa Robotnika oraz ziarna przed okresem zasiewów (obydwa zwyczaje bardzo dobrze przez lud przyjęte), to oznaki poszukiwania i rozbudzania form religijności ludowej, odpowiedniej dla naszych wiernych.

Przytoczyliśmy słowa Pawła VI jako myśl przewodnią szóstego roku naszej pracy misyjnej w Burundi, **ponieważ wśród wydarzeń tego roku piesza pielgrzymka z parafii Musongati i Mpinga do sanktuarium maryjnego w Mugerze zdaje się wybijać na pierwsze miejsce**. Nie znaczy to jednak, że nie było w tym roku innych doniosłych faktów.

Kronika wydarzeń

6 stycznia – Poświęcenie krzyża na wzgórzu w Musongati, dokonane przez ks. bpa Joachima Ruhunę w obecności najstarszego biskupa Rwandy oraz O. Prowincjała Ottona Filka.

9 lutego – Po narażeniu się „władzom” O. Klaudiusz Spyрка musiał na jakiś czas opuścić Burundi. Mimo najlepszych chęci nie udało się inaczej rozwiązać trudności, która się zrodziła.

24 lutego – Przyjechała do Burundi nowa misjonarka, S. Lucyna Krystyna Dąbrowska, Karmelitanka Dzieciątka Jezus.

29 marca – O. Teofil uległ wypadkowi przy zdejmowaniu dzwonu z „naturalnej dzwonnicy” w Mpindze.

13 kwietnia – Wraca z urlopu O. Kamil Ratajczak, a wraz z nim przyjeżdża p. Tadeusz Szklarczyk, szwagier O. Sylwana. Przyjechał z zamiarem pomagania misjonarzom w pracy przez trzy lata.

19 kwietnia – Podpisanie umowy o współpracy Polskiej Prowincji Karmelitów Bosych z diecezją w Ruyigi.

30 kwietnia – Od dłuższego czasu ks. prof. Feliks Zapłata podróżuje po Afryce, badając rodzimy charakter Kościoła w Afryce i na Madagaskarze. Dzisiaj dotarł do Burundi.

1 maja – O. Eliaszy Trybała rozpoczyna bardzo zasłużone wakacje w Polsce.

16 maja – Ks. bp Joachim Ruhuna poświęca dom Sióstr Karmelitanek Dz. Jezus w Musongati.

17 maja – Zaproszeni przez Nuncjusza Apostolskiego, Mikołaja Rotunno udają się do Rwandy O. Teofil, O. Jan Kanty i Br. Marcelli. Korzystając z okazji odwiedzili placówki misyjne Księża Pallotynów w Rwandzie. Złożyli także wizytę Siostrom Karmelitankom Bosym w Kigali (stolica Rwandy), oraz hiszpańskim Karmelitom Bosym w diecezji Goma w Zairze.

13-15 sierpnia – Piesza pielgrzymka z parafii Musongati i Mpinga do maryjnego sanktuarium w Mugerze.

29 sierpnia – Ks. bp Joachim Ruhuna odwiedza parafię w Mpindze. W czasie tych odwiedzin poświęca gruntownie odbudowaną kaplicę na stacji misyjnej w Kigu.

18 września – W Musongati urządzono skromny jubileusz 25-lecia ślubów zakonnych O. Jana Kantego. W uroczystej Mszy św. i kolacji, oprócz współbraci i Sióstr Karmelitanek Dz. Jezus, biorą udział zaprzyjaźnione z karmelitami Siostry Marystki.

30 września – Do Burundi przybywają dwaj młodzi misjonarze: O. Bartłomiej i O. Nazariusz – Karmelici Bosi.

O. Bartłomiej (Jan Kurzyniec) ur. w Wadowicach dnia 1 sierpnia 1950 r., śluby zakonne składa 5 sierpnia 1969 r. Po ukończeniu studiów teologicznych w Krakowie przyjmuje święcenia kapłańskie dnia 22 maja 1976 roku.

O. Nazariusz (Władysław Kwiatkowski) ur. 14 kwietnia 1951 r. w Targowicy, śluby zakonne składa 5 sierpnia 1969 r. Po ukończeniu studiów teologicznych w Krakowie i uzyskaniu tytułu magistra teologii na KUL-u przyjmuje święcenia kapłańskie dnia 22 maja 1976 roku.

26 grudnia – W święto św. Szczepana męczennika parafia w Mpindze przeżywa podniosłą uroczystość: Ks. bp Joachim Ruhuna udziela w tamtejszym kościele parafialnym święceń diakonatu Antoniemu Sydaye. Nowy diakon pochodzi z Musongati, ale szkołę podstawową ukończył w Mpindze, ponieważ w Musongati nie było jeszcze wówczas szkoły. Posiada także w Mpindze wielu krewnych i przyjaciół. Dlatego święcenia diakonatu otrzymuje w Mpindze. Nie tylko dlatego. Jest to równocześnie okazja do „budzenia powołań” i zachęta wiernych do gorliwszej modlitwy o nowe powołania kapłańskie i zakonne.

Co zbudowaliśmy w 1976 roku?

1. Szkołę gospodarczą w Mpindze.
2. Ukończono budowę domu Sióstr Karmelitanek Dz. Jezus w Musongati oraz zbudowano zaplecze gospodarcze przy tymże domu wraz ze zbiornikiem na wodę.
3. Zbudowano magazyny i garaże na misji w Mpindze.
4. Całkowicie odbudowano kościół na stacji misyjnej w Kigu i zbudowano przy nim dom dla księdza.
5. Odbudowano zniszczony dom księdza w Nyamiyadze.
6. Wypalono ponad 140 tys. cegły w Musongati.
7. Zbudowano dwie sale i biura katechumenatu w Musongati.

Z listów misjonarzy :

Rok kapłaństwa

Mpinga, marzec 1976

Drodzy Przyjaciele!

Znów upominacie się o listy. Macie prawo. Ja jednak nie widzę innego wyjścia... nie nadążam! Wprawdzie w okresie Bożego Narodzenia z pocztą było „coś nie tak”. Mało listów przyniosła. Dopiero teraz powoli nadchodzą listy z opłatkiem, a także te z września i października. Może tak było dlatego, żebyśmy nie mieli naraz zbyt wiele radości. Mieliśmy przecież na Święta bardzo drogich gości: N. O. Prowincjała O. Ottona i naszego Sekretarza Misji O. Bogusława Woźnickiego. Wprawdzie nie zabawili tu u nas długo, ale możecie sobie wyobrazić, ile radości było w Mpindze i Musongati. To prawda, że nie mogliśmy ich ugościć tak, jakby chciało serce i nie mogliśmy im pokazać całego pięknego kraju, bo właśnie był okres egzaminów naszych katechumenów, więc często trzeba było Gości zostawiać samych. Mam jednak nadzieję, że mimo wszystko zobaczyli coś z naszego życia, zobaczyli nędzę ludzi, wśród których pracujemy, nędzę dla zwyczajnego turysty zakrytą welonem piękna przyrody i krajobrazu. Oni nie byli turystami, a już na pewno nie byli zwyczajnymi turystami, mogli zatem wejść nawet do tutejszych domów, do osiedli nędzy naszych Pigmejów, mogli zobaczyć nagość, chorobę i głód. Mogli widzieć i przeżywać w betlejemskim ubóstwie naszych kaplic prostotę i szczerą wiarę „ubogich pasterzy” – przecież koncelebrowali z nami w języku kirundi Mszę św. w Boże Narodzenie. W rozmowach z misjonarzami różnych misji, a szczególnie w rozmowie z biskupem Joachimem Ruhuną, mogli zapoznać się z największą troską tutejszego Kościoła: z brakiem kapłanów i misjonarzy. Właśnie w czasie ich pobytu w Burundi, bp Ruhuna musiał zamknąć jedną parafię w swej diecezji z powodu braku księdza...

Zakosztowali też podróży po naszych wspaniałych drogach w buszu.

Dla nas ta wizyta była odnowieniem więzi z naszą Prowincją i była nowym przeżyciem łaski misyjnego powołania. Do szczególnego uczestnictwa w tej łasce został powołany nasz Drogi O. Prowincjał: właśnie w czasie jego pobytu w Burundi, zmarła jego Dobra Mamusia. Zażądał więc od niego Bóg tej ofiary, którą misjonarz składa już z góry – nie mogąc oddać ostatniej pociechy i usługi swoim Rodzicom.

Ufamy, że ta ofiara będzie owocować w naszej misji łaskami, a Jego Mamusi przymnoży wiecznej radości, o co prosimy Pana.

Po odejździe naszych Gości wpadłem na nowo w wir pracy. Tak się złożyło, że O. Klaudiusz Spyрка musiał nagle wyjechać z Burundi. Straciliśmy zatem jednego misjonarza i to tuż przed Wielkim Postem. Przy podziale pracy na Wielki Post wypadło mi więc podjąć serię rekolekcji w każdym tygodniu. Trzeba było natychmiast zasiąść do przygotowywania nauk rekolekcyjnych. To prawda, że dzisiaj język kirundi nie sprawia już tylu trudności, niemniej jednak, musi się nauki solidnie przygotować, by wierni mogli skorzystać z tego szczególnego okresu łaski. Było też trochę pracy fizycznej, by stare kości rozruszały się – np. pomoc przy zakładaniu dachu na naszym foyer social w Mpindze. Pewnie niedługo zostanie specjalistą w tym fachu, jako że ma się tę piórkową wagę, więc nie ma obawy, że eternit popęka w czasie spacerów po dachu. Nie było zatem czasu na listy.

Teraz rekolekcje w pełni. Okres deszczów łaskawy w tym roku, więc udaje się dojechać do stacji misyjnych, nawet do tych oddalonych o 50 km. Czasem tylko trzeba poczekać na drodze jakieś trzy godziny, aż woda opadnie, potem podkłada się trochę gałęzi i jazda dalej.

Rekolekcje! Pracy wiele i to raduje misjonarza. Wprawdzie jest to radość taka trochę w

„pomarańczowe kropki”, bo wciąż odkrywa się wiele niedociągnięć wiernych i wciąż powstaje pytanie: kto tym ludziom będzie niósł światło wiary, kto będzie umacniał ich dusze chlebem Eucharystii? Przecież dzieło misyjne, to nie tylko ewangelizacja, to równocześnie uświęcenie. Nie wystarczy posiać ziarno, trzeba jeszcze podlać, okopać, obciąć gałązki dzikie, by stało się drzewem, tak „że ptaki przylatują z powietrza i gnieźdzą się na jego gałęziach”. Tymczasem coraz mniej misjonarzy i rodzimych powołań wciąż mało.

Rok obecny 1976 – Episkopat tutejszy ogłosił rokiem kapłaństwa. Z jakiej okazji? W jakim celu? Okazji jest wiele, np. 50-lecie święceń kapłańskich pierwszych Burundczyków, 50-lecie pierwszego niższego seminarium (Mugera), 50-lecie święceń kapłańskich bpa J. Martin, 25-lecie pierwszego wyższego seminarium duchownego (Burasira), 25-lecie święceń kapłańskich Arcybiskupa Gitegi A. Makarakizy, 25-lecie święceń kapłańskich Nuncjusza Apostolskiego w Burundi – Mikołaja Rotunno, 25-lecie ślubów zakonnych i kapłaństwa wielu Burundczyków i misjonarzy.

A cel? – Kościół pragnie odnowić duchowo kapłanów i misjonarzy, pragnie uwrażliwić rodziny, młodzież i wszystkich wiernych, by prosili Boga o licznych i dobrych pracowników na niwie Pańskiej, pragnie budzić nowe powołania.

Obchodzimy 50-lecie święceń kapłańskich pierwszych Burundczyków. W tych 50-ci laty wyświęcono w Burundi – 174 kapłanów, z których żyje 119. Wyższe Seminarium Duchowne w Bujumburze (jedno na cały kraj) obliczone jest na 150 kleryków. Nigdy jednak liczba seminarzystów nie przekroczyła 75. Obecnie mamy tylko 60 kleryków na 6 diecezji. Ilu z nich wytrwa w łasce powołania?

Niektórzy z Was, Kochani, pytają: Dlaczego tak jest? Przecież po 75 latach istnienia Kościół w Burundi powinien już owocować powołaniami, zwłaszcza, że jest to Kościół młody, żywy. Dlaczego tak mało powołań? My, którzy widzimy tutejszą sytuację z bliska, twierdzimy, że to znów nie tak mało. Zagadnienie powołań jest tu bardzo złożone. Pisałem już kiedyś o tym. Np. brak szkół. Właśnie mam przed sobą tutejszy tygodnik katolicki z 15.I br., w którym rodzice pytają z troską: co będzie z przyszłością naszych dzieci?

Na 17.000 dzieci (tylko), które kończą w kraju szkołę podstawową, miejsce w szkole średniej może otrzymać co roku tylko 2500 dzieci. Miejsca te zajmują dzięki różnym przekupstwom dzieci z rodzin bogatszych, w których panuje nastawienie konsumpcyjne, po prostu praktyczny materializm. Trudno z takich rodzin spodziewać się powołań. Rodziny uboższe nie mogą sobie pozwolić na posyłanie dzieci do szkoły średniej. To zbyt drogo kosztuje. Poza „łapówką” trzeba dziecku zapewnić miejsce w internacie, zakupić ubranie, podręczniki, itp. A zresztą, czy i w tych rodzinach panuje duch prawdziwie chrześcijański? Jakże mało takich rodzin!

Mamy np. w naszej parafii kilka dziewcząt, które pragną poświęcić się Bogu. Dzięki Waszej pomocy opłacamy dla nich szkołę średnią. Z okazji wizytacji duszpasterskiej w parafii, zaglądaliśmy także do ich rodzin. Aż człowiek nie może wyjść z podziwu: jak w takich warunkach może rozwijać się i dojrzewać łaska powołania? Oczywiście, co niemożliwe jest u ludzi, możliwe jest u Boga. Zatem nawet tam, gdzie ani połowa rodziny nie ochrzczona, gdzie ojciec rzucił żonę, by wziąć inną, gdzie brat żyje bez sakramentu małżeństwa – może się zrodzić łaska powołania. To jakbyś krzew bujny, zielony, kwitnący spotkał w wyschniętym buszu. Skąd czerpie soki, jak żyje i kwitnie, skoro wszystko wokoło wyschnięte? Przedziwne jest działanie łaski!

Taki krzew potrzebowałby jednak opieki. Tymczasem misjonarz nie zawsze miał czas zająć się młodym chłopcem czy dziewczyną, zdradzającymi łaskę powołania. „Nie czas ratować róż, gdy płoną lasy”. Często w parafii liczącej 40-60 tysięcy wiernych mamy tylko dwóch kapłanów. Jakże mają się zająć poszczególną rodziną czy poszczególnym człowiekiem? Poza pracą duszpasterską dochodziła i dochodzi praca społeczna. Wielu misjonarzy, zajętych szkołami, organizowaniem służby zdrowia, budową, lub choćby sadzeniem lasu, nie mogło poświęcić się całkowicie ewangelizacji i pogłębianiu życia duchowego wiernych. Był zresztą okres, kiedy zwłaszcza misjonarze z zachodu kładli

szczególny nacisk na tę pracę społeczną. Nam także z konieczności ta praca ciągle się narzuca. Odczuwamy to jako pewną przeszkodę w naszym głównym posłannictwie, w głoszeniu Ewangelii. Jakże chętnie tę pracę przekazalibyśmy misjonarzom – laikom! Tylko skąd ich wziąć?

Obraz kapłana-społecznika nie może odpowiadać tutejszym młodym ludziom, po prostu przerasta ich możliwości. Skąd otrzymają pomoc, by prowadzić tyle dzieł?

„Ale podobno macie niższe seminaria?” – Tak, mamy! W naszej diecezji jeszcze nie mamy, ale biskup marzy o nim z okazji roku kapłańskiego. Niestety, niższe seminaria nie zdają egzaminów. Dlaczego? Znowu zagadnienie złożone. Miałem okazję przyjrzeć się dobrze niższemu seminarium w diecezji Bururi w Buta. Około 300 chłopców. Ale jeżeli wśród nich jest 30, którzy marzą o kapłaństwie – to wszystko. Inni przyszli tu, bo nie ma innych szkół, a seminarium daje świadectwo ukończenia szkoły średniej. Ta większość zatem nadaje ton w seminarium i często gasi ducha powołania u innych. Jeżeli dodać, że często profesorami w niższym seminarium są młodzi Belgowie czy Francuzi, którzy tu pracują przez dwa lata w miejsce służby wojskowej, często sami bez ducha wiary i nie znający tutejszego człowieka (coż można bowiem poznać przez kilka miesięcy?), to łatwo zrozumiemy, dlaczego tak małeńki procent wychowanków przechodzi do wyższego seminarium.

A wyższe seminarium duchowne też nie jest bez „ale”. Nasz bp J. Ruhuna, który był jakiś czas rektorem, wyraźnie stwierdza, że „to coś nie tak”. Znowu np. wychowawcy i profesorowie. Zmieniają się jak w kalejdoskopie i zamiast solidnej nauki Kościoła przynoszą z Zachodu teorie, problemy i jeszcze raz problemy, w których gubi się Ewangelia Chrystusa. Skąd jednak młody Kościół w Burundi ma brać profesorów, którzy nie problemy, ale Ewangelię wtłoczyliby w głowy i w praktykę seminarzystów – jakże odmiennie od Europejczyków myślących i przeżywających!

Ot, taka próba zagadnień związanych z troską tutejszego Kościoła: brakiem pracowników na niwie Pańskiej.

Wybaczenie, Kochani, wcale nie o tym zamierzałem pisać. Jakże jednak nie pisać o tym, co się aktualnie przeżywa? Ufam, że to Was pobudzi do gorącej modlitwy o liczne i dobre powołania kapłańskie i zakonne w Burundi oraz o licznych misjonarzy dla naszego Kościoła.

Ponieważ jednak już tyle napisałem, to po prostu muszę kończyć.

Pragnę jeszcze dodać, że czujemy się dobrze i zdrowo, że pracy nie brakuje, że jesteśmy Wam bardzo, bardzo wdzięczni za wszystko, co dla nas czynicie: za paczki i paczuszki z lekarstwami, z odzieżą i przeróżnymi drobnostkami, które są dla nas bezcenne.

Dzięki Waszej pomocy S. Zygmunt może w Musongati służyć ludziom nie tylko z naszych dwu parafii, ale także z całej dalekiej okolicy. Obecnie musi także przejąć opiekę nad trędowatymi w naszym terenie. Postanowiono bowiem w kraju – jak zresztą także w innych krajach – że trędowaci nie będą gromadzeni i leczeni w specjalnych leprozoriach, ale mają być leczeni jak inni chorzy, w ośrodkach zdrowia. Odpadnie nam zatem budowa specjalnego leprozorium, wystarczy pobudować osobne pomieszczenia dla cięższych stanów trądu przy ośrodku zdrowia, który wciąż jeszcze czeka na realizację, a mówiąc szczerze, czeka na ofiary. Tym, którzy już odpowiedzieli na nasz apel, niech Bóg stokrotnie zapłaci! Nie tracimy nadziei, że w Musongati, a także w Kiguhu powstaną odpowiednie ośrodki zdrowia. Na razie S. Zygmunt, w trudnych warunkach, dokonuje cudów. Od rana do wieczora ma pełne ręce pracy. Na szczęście, pod koniec lutego przyjechała do nas nowa pielęgniarka po kursie medycyny tropikalnej w Antwerpii – S. Lucyna Dąbrowska. Będzie zatem łatwiej. Przesłane przez Was lekarstwa będą dobrze wykorzystane. Paczuszki dochodzą i są bardzo potrzebne. Wybaczenie, że nie dziękujemy – jakby należało – za każdą. W naszym zagonieniu – to niemożliwe. Niech Wam sam Bóg stokrotnie zapłaci! Nie tylko za lekarstwa, ale np. za książki także. Szczególnie pragnę podziękować za *Poradnik terapeutyczny* (przesłany przez OO. Jezuitów, Poznań), który w wielu wypadkach bardzo mi posłużył. Dziękuję serdecznie za dobre orzechy (p. Zofia, Kraków), doszły dobrze i smakowały. Dzięki za odzież, nici, guziki... i za wszystko! Wszystko bardzo nam służy w służbie Miłości. Mam nadzieję, że nasz

Sekretarz Misji (O. Bogusław Woźnicki, Poznań, ul. Działowa 25) dziękuje Wam za każdy składany na misję grosz, ale przyjmijcie też od nas bardzo szczerze Bóg zapłać! i nie zniechęcajcie się, Kochani, naszym milczeniem. To, co robicie dla misji, ma wielki sens. Przecież – jak mówi Ojciec św. Paweł VI – tu chodzi o zbawienie ludzi. Och, jakbym chciał, by dotarła do Was Wszystkich zachęta Pawła VI *Evangelii nuntiandi* z 8 grudnia 1975 r., a szczególnie słowa: „Należy się nasze szczególne uznanie tym wszystkim osobom świeckim, które zechciały poświęcić część swego czasu, swoich sił, a nawet poświęcić całe życie na usługi misji”! To jest uznanie Namiestnika Chrystusowego dla Waszej pracy. Dla nas Polaków takim uznaniem dla tego rodzaju pomocy misjom jest także beatyfikacja M. Teresy Ledóchowskiej – Matki Afryki.

Wybaczenie, ale muszę już kończyć, bo czas na napisanie listu „ukradłem” z rekolekcji.

Spod Krzyża, który dla upamiętnienia Roku Świętego postawiliśmy w Musongati (metal, 12 m wysokości), a który uroczystie poświęcono 6 stycznia 1976 roku – całym sercem życzę, by głębokie przeżycie W Postu prowadziło Was Wszystkich do pełnej radości Zmartwychwstania. Alleluja!

Zapewniam o naszej pamięci w modlitwach i we Mszach św., które w każdą sobotę i niedzielę w Waszych intencjach odprawiamy.

Z Bogiem!

W imieniu karmelitów z Mpingi i Musongati

O. Teofil Stan. Kapusta ocd

„Doświadczenia” – „Trudno wyleczyć tutejszych ludzi...”

Musongati, kwiecień 1976 r.

Ukochani Przyjaciele Misji,
Ukochane Siostry!

Na wstępie pragnę serdecznie podziękować za pamięć i modlitwy, za życzliwość i troskę.

W tej chwili siedzę w prawdziwym pokoju z normalnym oknem, przy prawdziwym stoliku. Ojcowie karmelici zbudowali nam prawdziwy dom. Z okien widać góry, szczególnie piękne przy zachodzie słońca. Domek nasz znajduje się na uboczu, z dala od gwaru, wcale nie przypomina Burundi. Jedynie szum w uszach i znużenie po całodiennej pracy – przyjechałam dziś około 300 pacjentów – przypomina mi, że to Afryka, jednak Afryka. Także latarka, przy której piszę oraz brzęczenie komarów, które mnie napastują tak, że co chwilę muszę się odrywać i robić polowanie ze ścierką, bo jak komar ukłuje, to albo trzeba łykać niwakinę albo gorączka.

Ostatnio spotkały nas dwa doświadczenia, w których Opatrzność Boża okazała swoje miłosierdzie.

Kilka tygodni przed świętami Wielkanocnymi Ojcowie nasi w Mpindze spostrzegli, że drzewo, na którym zawieszony jest dzwon kościelny – wali się. Trzeba więc było zdjąć dzwon przed ścięciem drzewa, bo mogłby się zwalić na ludzi. Zabrali się do pracy. Jeden z pracowników usiłował zdjąć dzwon, ale nie mógł. Wszedł więc O. Teofil na drzewo, dokonał dzieła, ale przy spychaniu dzwonu – spadł z wysokości mniej więcej 8 m. Opatrzność Boża czuwała – nie zabił się. Potłuczona i rozbita głowa, potłuczone żebra i nogi. Powoli wraca do zdrowia. Już chodzi na jednej nodze przy pomocy kuli. Na Wielkanoc odprawiał Mszę św., ale bardzo się zmęczył.

Niedawno znów – ofiarny bez granic brat Marceli, wszedł do nowego zbiornika na wodę, by go pokryć warstwą chemolaku i tak został odurzony tym przykrym zapachem, że był nieprzytomny. Po udzieleniu pierwszej pomocy wyciągnięto go na zewnątrz i po jakimś

czasie odzyskał przytomność. Znów dobroć Opatrzności Bożej.

Innym wydarzeniem – to zwalenie się naszego „Ośrodka Zdrowia” – budy podobnej do kopki siana, przed którą S. Bogumiła zapisywała dzieci na dożywianie.

„Chorujemy” wprost na jakieś pomieszczenie, w którym można by zatrzymywać małe dzieci, by je podleczyć i dożywić. Przychodzą mamy na dokarmienie dzieci, ale jakże biedne jest dziecko, gdy mama nie ma dla niego własnego pokarmu.

Miałyśmy przez trzy tygodnie dziecko tak chude, jak ptaszek wyrzucony z gniazdka. Dziewczynka trzymiesięczna ważyła tylko 2 kg. Po śmierci swej mamy przy jej urodzeniu przygarnęła ją babcia. Zostawiła ją u nas, bo dziecko było konające i babcia więcej się nie pokazała. Na pewno obserwowała z daleka jak przerywam pracę, by ją nakarmić mlekiem z Polski. Po tygodniu zgłosił się ojciec dziewczynki prosząc, by mu jej nie oddawać. Przez trzy tygodnie nosiłyśmy ją do punktu sanitarnego, gdzie pracuję i znów do domu. Początkowo wyglądała jak więzień oświęcimski, jadła za dwoje i po trzech tygodniach przybrała kształty normalnego człowieka i ważyła już 3 kg. Została u nas ochrzczona i otrzymała imiona: Maria-Józefa. Jej chrzestną matką była S. Zenobia. Potem została odwieziona do „Centrum dla dzieci”.

Takich przypadków mamy sporo na porządku dziennym. Przychodzą matki po mleko, a po jakimś czasie dowiadujemy się, że już to dziecko nie żyje.

Inny przypadek. Pielęgniarka – Murzynka, która pracuje ze mną, zachorowała. Innym podaje lekarstwa europejskie, ale sama udała się do czarownika. W bardzo ciężkim stanie przywiozłam ją do naszego Ośrodka Zdrowia i wyleczyłam. Tylko Pan Bóg wie, jak trudno wyleczyć tutejszych ludzi i jak im wytłumaczyć zasady higieny i inne sprawy.

Bardzo proszę o modlitwę w naszej intencji i o zdrowie dla brata Marcelego, by mógł jak najwcześniej zabrać się do budowy szpitalika, byśmy mogły jeszcze skuteczniej pomagać ludziom.

Za wszystko z całego serca dziękuję, niech Boskie Dzieciątko Jezus błogosławi Wszystkim, którzy nam tak ofiarnie pomagają.

Z Bogiem!

S. M. Zygmunta
Karmelitanka Dzieciątka Jezus

„Spadłem z drzewa”. Niedziela S. Zygmunty. Plany.

Mpinga, czerwiec 1976 r.

Drodzy Przyjaciele!

„W kraju mówią, że o. Teofil ma połamane nogi i ma wrócić do Polski” (z listu o. Eliasza Trybały).

Otrzymuję coraz więcej pełnych niepokoju listów. Z konieczności więc zabieram się do listu, w którym pragnę Was wszystkich bardzo serdecznie pozdrowić oraz zapewnić, że żyję, i że na razie do Polski się nie wybieram. „Chciałaby dusza do raju...”.

To prawda, że kiedyś (25 marca) spadłem z drzewa, ale to bardzo dawno i nie było żadnego złamania.

„A po coś tam laź?” – pytają niektórzy. Zapewniam więc uroczyście, że ani za małpami, ani za gruszkami po drzewach nie biegałem. To przecież ani wiekowi, ani urzędowi nie przystoi.

Po co więc tam laźłem? Chociaż nie wypada pisać za dużo o sobie, to gwoili Waszej ciekawości wszystko wyjaśnię: Były sobie w Mpindze przy kościelnym placu dwa wysokie eukaliptusowe drzewa. Na tych drzewach zawieszono dzwon. Taka uroczą dzwonnica, chyba jedyna w kraju. Niestety, jedno z tych drzew podgryzły termyty. Zaczęło się chylić. Była

obawa, że kiedyś niespodziewanie spadnie na przechodzące szkolne dzieci lub na wychodzących z kościoła ludzi. Przy okazji zniszczyłby się dzwon. Postanowiono zatem dzwon usunąć, a drzewo zwalić. Poszedłem zobaczyć, jak idzie robota. Oj, ta ciekawość! Właśnie zszedł z drzewa robotnik, który odkręcił dzwon i umocował go do metalowej liny. Należało jeszcze zsunąć dzwon z metalowej podstawy, tak, aby zawisnął na linie. Na to robotnik nie miał już siły. Zaproponowano mi wejście na drzewo, jako że w młodości chodziło się po drzewach i jako że nie mam lęku przestrzeni, wszedłem na drzewo. Dzwon udało się zepchnąć, ale w tym momencie coś się stało i... znalazłem się na ziemi. No cóż, nawet najsprytniejszemu może się coś takiego zdarzyć. Spadłem z wysokości 8 m i to głową w dół, ale jakimś cudem spadłem na nogi. Przy okazji zadrapałem nieco skórę na głowie, było trochę krwi i bardzo dużo atrakcji. Zaraz rozeszła się wieść po osadach, że O. Teofil nie żyje. Była to wymowna ilustracja do prawdy, którą jakoś szczególnie podkreśliłem w tegorocznych rekolekcjach wielkopostnych: czuwajcie, bo nie wiecie dnia ani godziny.

Niestety, serii rekolekcji dla mężczyzn, którą miałem rozpocząć następnego dnia, nie mogłem podjąć, bo noga, choć nie złamana, to jednak spuchnięta i nie można było na niej chodzić. Poleżałem trochę, wykorzystując czas na osobiste skupienie i na czytanie książek. Co za luksus – i to w czasie, kiedy inni mieli tyle pracy!

W tym czasie przyjechał do nas pan „Szwagier” O. Sylwana, a że zna się dobrze na obróbce drzewa, zrobił dla kaleki wspornikową kulę. W Niedzielę Palmową mogłem już odprawić Mszę św.

Powtórzono mi wiele razy, niby żartem, że jeszcze nie dojrzałem do nieba. Sam dobrze wiem, a jeszcze lepiej wie to Dobry Bóg, ile w tym rzeczywistej prawdy. Trzeba więc jeszcze „podróżować” po ziemi i dojrzewać.

Po Świątach (20 kwietnia) pojechałem do stolicy, by nogę przeświecić dla uspokojenia Współbraci. Okazało się, że kość nie była nawet pęknięta, tylko jakieś naderwanie czy zmiążdżenie mięśni. Należało nogę trochę elektrycznie łaskotać i smarować maściami. Dlatego posiedziałem nieco w Musongati.

Przy okazji mogłem być na imieninach S. Zygmunty (2 maja). Udały się imieniny, chociaż Solenizantka nie mogła wiele czasu gościom poświęcić, mimo że była to święta niedziela. Już przed południem miała do ratowania jakieś chore dziecko. W czasie obiadu znów przyniesiono umierające dziecko. Trzeba było zostawić niedojedzoną zupę dla ratowania życia. Na wszelki wypadek, proboszcz parafii, O. Jan Kanty dziecko ochrzcił. Po obiedzie nowa afera: przyniesiono 6 osób zatrutych – cztery kobiety i dwoje dzieci. Cóż się stało? Byli u czarownika, który im dał lekarstwo przeciw nieszczęściu, które jakoby miało im grozić. Nie, nie byli chorzy, ale na wszelki wypadek o wschodzie słońca wypili lekarstwo czyli jakiś wywar z kory drzewnej i ziół. Już przed południem dwu mężczyzn zmarło, a kobiety i dzieci czuły się coraz gorzej. Przyniesiono je do S. Zygmunty. Przyprowadzono także związanych czarowników i przyniesiono pełne kosze kory i ziół oraz różne „narzędzia” używane przy czarowaniu.

W towarzystwie licznych gapiów, do których (przynaję się szczerze) sam należałem, zaczęło się ratowanie zatrutych: spowodowanie wymiotów, zastrzyki, kroplówki. Przed Ośrodkiem Zdrowia zbudowano „poczekalnię” – taki prosty dach z kawałków starej blachy na wkopanych w ziemię słupkach, nędzne to, ale chroniło czekających przed słońcem i może trochę przed deszczem. W tej poczekalni rozłożono maty. Było zatem gdzie złożyć zatrutych i zastosować kroplówki. Do późnego wieczora S. Zygmunta nie odstępowała chorych. Poczuli się dobrze. Jeszcze w nocy będzie trzeba do nich zaglądać.

Takich niedziel „wolnych od pracy” ma S. Zygmunta wiele. A w poniedziałek znów przyjdą chorzy. Jeżeli to będzie zwyczajny dzień, będzie ich od 150 do 300. Ale jeżeli na dodatek trzeba organizować szczepienie dzieci lub dokształcanie matek w kwestiach opieki nad chorymi dziećmi – to pracy będzie ponad miarę. Na dodatek jest to praca w bardzo prowizorycznych warunkach, do których żadną miarą nie może się na razie przyzwyczaić nasza nowa pielęgniarka S. Lucyna. Nie może się na całego włączyć do pracy w ośrodku, bo

jeszcze musi przejść kurs języka kirundi, ale już powoli się „wciąga”; kiedyś np. w ciągu dnia sama zaszczepiła 482 dzieci. Tak na co dzień to segreguje i układa lekarstwa, te bezcenne lekarstwa z Waszych, Drodzy Przyjaciele, paczek i paczuszek. Naprawdę to bezcenne skarby! Cóż by Siostry zrobiły bez tej Waszej pomocy? Niech Wam Bóg wynagrodzi stokrotnie! Jakże szczęśliwe Musongati, że ma Siostry i że ma takie zaplecze miłości!

Wróćmy jednak do tematu. Jak sami widzicie, wcale nie mam połamanych nóg i nie zamierzam na razie wracać do Polski. A na dowód, że wcale nie jest tak źle, jak fama niesie, zdradzę Wam, że 18 maja pojechałem z br. Marcelim i o. Janem Kantym do Rwandy i Zairu. Na zaproszenie Nuncjusza Apostolskiego, pojechaliśmy tam głównie dla zobaczenia organizowanych „silosów”. Są to specjalnie budowane zbiorniki, w których przechowuje się sorgo, groch, fasolę, zakupione od ludzi w okresie zbiorów i odsprzedawane tym samym ludziom, po tych samych cenach, w okresie głodu. Są to zatem takie specjalne „banki ziarna”. Wielka to pomoc dla ludzi, którzy nie mając gdzie zabezpieczyć ziarna przed robactwem, sprzedają je za bezcen w okresie zbiorów, a na przednówku kupują od spekulantów po cenach trzy albo cztery razy wyższych. Marzymy o takich „silosach” w naszych parafiach.

Przy okazji tej podróży odwiedziliśmy polskich Księża Pallotynów, pracujących w trzech parafiach na terenie Rwandy. W Kigali odwiedziliśmy Siostry Karmelitanki Bose, które na 23 siostry mają już 19 sióstr miejscowych. Ponieważ z Rwandy już tylko krok do Zairu, wpadliśmy do hiszpańskich Karmelitów Bosych pracujących w diecezji Goma. Takie spotkania i wymiana doświadczeń dają bardzo dużo.

Ulegliśmy też pokusie i zwiedziliśmy Narodowy Park Kagera w Rwandzie. Park pięknie położony w górzystej okolicy z jeziorami. Zwierząt afrykańskich bez liku. Nawet 12 lwów spotkaliśmy. Na zwiedzenie Parku Alberta w Zairze nie starczyło już czasu. Trzeba było wracać do pracy. Wróciliśmy 1 czerwca. Czekają nas święta: Zesłanie Ducha Świętego, Uroczystości Bożego Ciała i Serca Jezusowego. Czekają nas egzaminy katechumenatów. Br. Marceli postawił fundamenty pod dwie sale i biura naszego przyszłego katechumenatu w Musongati. Musi się spieszyć z budową, bo jeszcze obok domu Sióstr musi wybudować garaż i pralnię. Musi też pomyśleć o przygotowaniu i wypalaniu cegły na przyszłe budowy. Jesienią wybiera się na kurs języka kirundi.

W Mpindze także, oprócz pracy duszpasterskiej, wiele zaplanowano na wakacje. Trzeba koniecznie zmienić dach na kaplicy w Kigu, trzeba odbudować dom księdza w Nyamiyadze, trzeba umeblować foyer social, a także zmienić część dachu na szkole w Mpindze. Może uda się także wybudować wieżę przy kościele i umieścić na niej ten nieszczęśliwy dzwon. Jest jeszcze wiele innych prac i oczywiście koniecznie wypalanie cegły, co można robić tylko w porze suchej.

Nie zdziwicie się zatem, jeżeli w czasie wakacji nie zdobędę się na nowy list i będę milczał uparcie. Na razie trochę na wolniejszych obrotach pracuję, więc znalazła się chwila na list, w którym jeszcze raz zapewniam, że jesteśmy z Wami wszystkimi bardzo wdzięcznym sercem i gorącą modlitwą.

Dodam jeszcze, że niecierpliwie czekamy na nowych misjonarzy. Spodziewamy się w tym roku trzech Ojców karmelitów. Daj Boże, by w Polsce znaleźli się jeszcze inni! Może ks. profesor Feliks Zapłata, który przez trzy tygodnie przypatrywał się tutejszemu młodemu Kościołowi, zdoła przekonać Kościół w Polsce, że jeżeli gdzie w Afryce, to przede wszystkim w Burundi, potrzeba misjonarzy. Prawda, że w Rwandzie także, ale wydaje się, że tam sytuacja jest lepsza. Parafie lepiej obsłużone. Na każdej misji i niemal na każdej stacji mają już pełne szkoły i ośrodki zdrowia. Jest też dużo szkół średnich, a zatem jest też nadzieja na coraz większą liczbę powołań kapłańskich i zakonnych. W ogóle widać, że coś się dzieje w tym kraju, że gospodarka stoi daleko wyżej niż u nas. Na dodatek u nas dużo mniej kapłanów i misjonarzy, a tak bardzo ich potrzeba.

To nic, że w Burundi już tak wysoki procent ochrzczonych. Właśnie, ci ochrzczeni potrzebują kapłanów i to zaraz, bo za kilka lat nie tysiące, ale setki tysięcy Burundczyków

pójdzie za chlebem do sąsiednich krajów. Jakie ważne, by poszli z wiarą ugruntowaną. Tę naszą troskę polecam Waszym codziennym modlitwom.

Na koniec bardzo dobrych i miłych wakacji z całego serca Wam życzę!
Szczęść Boże!

Wasz oddany sercem w Panu
br. Teofil Kapusta OCD

„Mate Seminarium Duchowne.”

Musongati, 25.07.1976 r.

Ukochani Przyjaciele Misji!

Na Wasze i nasze święto – jakim jest Niedziela Misyjna – ślemy z dalekiej, a małej Burundi, nasze najserdeczniejsze podziękowania i życzenia Łask Bożych. Zdrowia i nieustannie wzrastającej gorliwości o dobro duchowe i materialne naszych Czarnych Braci w Afryce Środkowej. Nie musimy chyba zapewniać, że my tu w Burundi i całe nasze Zgromadzenie w Polsce – modlimy się codziennie w Waszych intencjach. Dzisiaj pragniemy podzielić się z Wami miłą wiadomością – nasz ks. bp Joachim Ruhuna, który w listopadzie 1974 r. był w Polsce i na pewno wielu z Was miało szczęście Go zobaczyć, otwiera prywatne małe seminarium duchowne dla chłopców tubylczych, którzy pragną zostać kapłanami. Na pewno wielu chłopców po ukończeniu tego małego seminarium spostrzeże, że inna jest droga ich życia, ale to, co zyskają, pozostanie w nich na zawsze, bo z wiedzą wyniosą także pogłębioną wiarę przez naukę religii i praktykę życia prawdziwie chrześcijańskiego. Będą też, choć w stanie świeckim, wielką pomocą dla misjonarzy. Założenie tego seminarium pochłania wiele funduszy, toteż ks. bp Ruhuna zwrócił się do swych diecezjan, aby mu przyszli z pomocą. Jakże wzruszający był widok, gdy nasi biedni parafianie z Musongati ochotnym sercem przynosili to, co mogli. Przeważnie fasolę, której też sami nie mają wiele. Na pewno Dobry Bóg policzy im to – jako ofiarę wdowy ewangelicznej, bo i oni dawali ze swego niedostatku. Fasola stanowi ich główne wyżywienie, ale nie uprawiają jej wiele, bo nie mogą robić zapasów. W swych nędznych lepiankach nie mają odpowiedniego miejsca na jej przechowanie. Dłużej przetrzymywana, staje się łupem pasożytów.

Ale o tym już myślą nasi Ojcowie karmelici, którzy pragną zbudować duże spichlerze, by zakupioną w sezonie fasolę przechować do czasu głodu i znów po tej samej cenie sprzedać potrzebującym.

Wracając do spraw małego seminarium diecezjalnego – pragniemy zaznaczyć, że także od Was, od Dobroczyńców Misyjnych w Polsce, złożyliśmy na ręce ks. bpa Ruhuny – dar z Polski, w postaci kilkudziesięciu ręczników i sztuk mydła, które tutaj od Was zostały przysłane. Ks. bp Ruhuna bardzo ucieszył się Waszym darem i błogosławi Wam z całego serca.

Dałyśmy też wyprawę jednemu z naszych młodych parafian, kandydatowi do naszego małego seminarium – z Waszych darów. Gdy mu przedstawiono różne trudności, jakie go czekają na drodze do kapłaństwa, odpowiedział stanowczo: „mimo wszystko ja chcę zostać księdzem”. Pomódlcie się czasem za tę młodą duszę murzyńskiego chłopca.

Bardzo polecamy Waszym modlitwom rozwój pomysłu tego seminarium, aby gorliwość ks. bpa Ruhuny przyniosła chwałę Bogu, by przyszli kapłani otrzymali nie tylko wiedzę, ale byli kapłanami według Serca Bożego.

Kończąc ten list, dziękujemy Wam, Drodzy Przyjaciele Misji za Wasze modlitwy, cierpienia, trudy i dary na rzecz misji w Burundi – staropolskim „Bóg zapłać”!

Modlimy się, aby Matka Boża wypraszała Wam potrzebne łaski i opiekę na każdy dzień, za Waszą ofiarną pracę dla najbiedniejszych ludzi w Afryce. Szczęść Boże!

Załączamy podziękowanie ks. bpa Ruhuny za Wasz dar!

Siostry Karmelitanki Dzieciątka Jezus
misjonarki w Burundi

Ruyigi (Burundi), dnia 25.08.1976 r.

Drodzy Przyjaciele i Dobroczynicy z Polski!

Ksiądz Biskup diecezji Ruyigi wraz z Zarządem tutejszego seminarium duchownego, dziękuje Wam z całego serca za dar, który złożyliście dla naszego seminarium za pośrednictwem Sióstr Karmelitanek Dzieciątka Jezus, które pracują w tej diecezji.

Chociaż dzieli nas duża odległość, czujemy się prawdziwie braćmi w tym samym Kościele Jezusa Chrystusa, który to Kościół nasz Ojciec Święty Paweł VI tak mocno usiłuje utrzymać w jedności.

Z serdecznym podziękowaniem zapewniamy Was o naszej modlitwie we wszystkich Waszych intencjach.

L. Quintard

Niech Pan błogosławi wszystkie Wasze wysiłki podejmowane dla Jego chwały i w służbie bliźnim.

+ Ruhuna, biskup

„Czy ludzie w Burundi czczą Matkę Bożą?”

Mpinga, 6 września 1976 r.

(...) Budowie duchowego Kościoła w czasie tych wakacji, oprócz normalnej pracy duszpasterskiej, miały służyć: pierwsza Komunia św., bierzmowanie i uroczysta Komunia św. (ta ostatnia traktowana tu jako uroczyste odnowienie przyrzeczeń chrztu św.). Wszystko to zostało poprzedzone specjalnym przygotowaniem i rekolekcjami.

Budowie duchowego Kościoła mają służyć przeprowadzone rekolekcje i doksztalcenie całej ekipy katechistów pracujących w naszych parafiach. Ufamy także, że solidnym kamieniem w tej duchowej budowie będzie pielgrzymka z parafii Musongati i Mpingi do sanktuarium maryjnego w Mugerze. Nie należy wyobrażać sobie wielkiej Częstochowy czy Kalwarii Zebrzydowskiej. Muger to po prostu parafia, w której zbudowano skromną grotę na wzór Lourdes. Rokrocznie, 15 sierpnia; zbiera się tam trochę ludzi z okolicy. Przychodzą grupkami z różnych parafii, ale przychodzą raczej indywidualnie. Pielgrzymka z Musongati i Mpingi była chyba pierwszą zorganizowaną pielgrzymką. Poszło pieszo trzech ojców, trzy siostry i około 150 osób. Trzy dni drogi, w czasie której śpiewano pieśni, odmawiano różaniec i prowadzono rozmowy na tematy religijne.

W wioskach, przez które przechodzono, wywołało to zdumienie. Wieczorem nabożeństwo i spowiedź, rano Msza św.

Uroczystości w Mugerze były w tym roku związane z rokiem kapłańskim. Jubileusze święceń kapłańskich arcybiskupa Gitegi A. Makarakizy i wielu kapłanów i misjonarzy, jubileusze ślubów zakonnych i święceń kapłańskich zgromadziły w Mugerze 12 biskupów, licznych kapłanów, wiele osób zakonnych i kilka tysięcy ludzi. Nasi parafianie wrócili zmęczeni, ale pełni duchowej radości. Już dziś wybierają się i obiecują, że na przyszły rok pójdą grupą o wiele liczniejszą.

Biskup Ruhuna, który wciąż wspomina piesze pielgrzymki do Częstochowy, o których mu mówiono w Polsce i z których zdjęcia oglądał, marzył, by także wierni w Burundi nauczyli

się nieść wspólnie do stóp Maryi trud drogi, ofiarę i modlitwę, by stawali wspólnie przed obliczem wspólnej Matki. I oto pierwsza próba zorganizowanej pielgrzymki wypadła dobrze. Biskup był rozradowany.

Skoro już mowa o pielgrzymce do maryjnego sanktuarium, skorzystam z okazji, by odpowiedzieć na pytanie dawno już postawione w Waszych listach:

Czy ludzie w Burundi czczą Matkę Bożą?

Chrześcijaństwo przyszło do Burundi tuż po różańcowych encyklikach Leona XIII, przyszło w okresie ogłoszenia dogmatu o Wniebowzięciu NMP, w okresie poświęcenia całego świata Jej Niepokalanemu Sercu. Nie pozostało to bez echa w młodym Kościele.

Pierwsi misjonarze przyszli do Burundi z różańcem. Jeszcze dzisiaj można spotkać Ojców Białych, z zawieszonym na szyi dużym czarnym różańcem. Uczono odmawiać różaniec, o czym świadczą zachowane kazania dawnych misjonarzy i krótkie rozważania na każdy dzień października, wydane w 1954 r. Także w książeczce do nabożeństwa, oprócz innych modlitw do Matki Bożej, znajdujemy 16 stron poświęconych tajemnicom różańca św. W programie nauczania religii wiele miejsca poświęcono różańcowi. Każdy katechumen w dniu chrztu św. i każdy chrześcijanin w dniu odnowienia przyrzeczeń chrztu św. zawiesza na szyi różaniec. Wielu z nich nosi ten różaniec stale. Inni noszą medaliki Matki Bożej. W miesiącu maju i październiku wierni zbierają się wieczorem przy kościele parafialnym, przy kaplicach na stacjach misyjnych lub w swoich osadach, na wspólny różaniec. Widocznie kiedyś kładziono na to duży nacisk, bo jeszcze dzisiaj można spotkać ludzi, którzy oskarżają się w konfesjonale, że opuścili wspólny różaniec bez ważnej przyczyny.

Czy odmawiają często różaniec osobiście lub wspólnie w rodzinach? Nie potrafię na to dać wyczerpującej odpowiedzi. Niektórzy odmawiają. Zależy to w dużej mierze od gorliwości duszpasterzy w tym względzie. Dzisiaj, zwłaszcza młodzi misjonarze z Zachodu, nie wykazują tej gorliwości, bo podobno nie powinno się przeszczepiać na grunt afrykański naszych europejskich nabożeństw, bo kult Matki Bożej i Świętych mógłby zdeformować kult Chrystusa i Boga, bo... takie różne i dziwne racje!

Tymczasem wydaje się, że należałoby wykorzystać i pogłębić to, co już zrobiono w tym względzie, bo przecież nie ma pełnego chrześcijaństwa bez umiłowania Matki Chrystusa.

Co już mamy?

Święta: Mamy obowiązkowe święta: Niepokalanego Poczęcia i Wniebowzięcia NMP. W kalendarzu liturgicznym święta: święto Bożej Rodzicielki Maryi (1 stycznia), Zwiastowanie (25 marca), Nawiedzenie (31 maja), Niepokalanego Serca Maryi (26 czerwca), Narodzenie NMP (8 września), Matki Bożej Bolesnej (15 września), Matki Bożej Różańcowej (7 października) i Świętej Rodziny.

Różaniec: Odmawiany w maju i październiku, chętnie noszony na szyi.

Pieśni: Mamy już w Burundi sporo maryjnych pieśni. Pierwsza część śpiewnika kościelnego wydanego w 1966 r. zawiera ich około 80, druga wydana w r. 1974 - tylko 11. Jest jednak jeszcze wiele innych maryjnych pieśni wydawanych na powielaczu. Niektóre z tych pieśni mają głęboką treść. Mogą być szkołą wiary, tym bardziej, że nasi ludzie chętnie i dobrze śpiewają.

Książki: Można znaleźć w Burundi w języku kirundi kilka broszurek poświęconych NMP i przetłumaczony VIII rozdział Konstytucji soborowej o Kościele.

Kościoły i figury: Niemal wszystkie kościoły w Burundi poświęcone są NMP. Przy okazji przypomnę, że nasz kościół w Mpindze poświęcony jest Królowej Różańca św., kościół w Musongati Królowej Apostołów. Gdziekolwiek można spotkać figurę Matki Bożej w miejscach publicznych.

Legion Maryi: Niemal we wszystkich parafiach i na stacjach misyjnych działa stowarzyszenie „Legion Maryi”, mający za cel umacnianie wiary w oparciu o szczególną cześć oddawaną Maryi.

To wszystko już mamy. Powstaje jednak jeszcze wiele do zrobienia. Przede wszystkim należałoby kult Matki Bożej pogłębić i bardziej powiązać z codziennym życiem. Nie jest to

łatwe, ale trzeba to robić, by chrześcijaństwo w Burundi stawało się coraz pełniejsze. To w jakiś sposób wydaje się szczególnym zadaniem polskich karmelitów w Burundi. Jeżeli nie ma w Kościele żadnego świętego, który nie miłowałby w szczególny sposób Bożej Matki, to jeżeli chcemy pogłębić życie duchowe naszego młodego Kościoła, musimy starać się zaszcześcić w nim miłość ku Maryi i to wbrew wszelkim opiniom. Ona na pewno nie przesłoni nikomu Chrystusa – swego Syna – wprost przeciwnie, ukaże Go pełniej w świetle swego macierzyńskiego Serca. Ona też będzie doskonałym wzorem pełnienia woli Bożej, wzorem żywej wiary, miłości Boga i bliźniego, czystości, rozmodlenia, wzorem doskonałego życia rodzinnego. Każdy szczegół życia w świetle Jej Postaci może nabrać innych, pełniejszych wymiarów. Nie można mówić, że nasi ludzie tego nie rozumieją, że do tego nie dorośli. Które dziecko nie dorosło do matki? Ona jest Matką Kościoła i Matką każdego dziecka Bożego. Trzeba ich tylko uczyć poznawać i miłować tę Matkę i pod Jej wejrzeniem przeżywać z Chrystusem dla Boga codzienne życie. Na pewno zrozumieją.

Pamiętam, że kiedyś z okazji święta Nawiedzenia powiedziałem naszym prostym ludziom kilka zdań na temat odwiedzin. Oni lubią odwiedzać swoich krewnych, przyjaciół i znajomych. Odwiedzać, znaczy także zanieść dar. Nie można w Burundi iść w odwiedzin z pustymi rękami. Mówiłem więc o odwiedzinach. Lubicie iść ścieżkami poprzez góry 100, a nawet 200 km byle odwiedzić swoich. To znak miłości. Maryja także podjęła trud drogi przez góry, by odwiedzić swoich krewnych, ale patrz, co Ona zrobiła, co Ona im zaniósła? Zaniósła radość, zaniósła dobre słowo płynące z serca przepełnionego wiarą, miłością i łaską. Poszła do krewnych przepełniona Bogiem i te proste odwiedzin stały się świętem. A ty, co zanosisz, idąc w odwiedzin? Czy idziesz w odwiedzin z łaską uświęcającą w sercu, z Bogiem? Czy zanosisz radość? Może twoje słowa w czasie odwiedzin szarpią sławę bliźniego, ranią miłość, wzniecają niesnaski, nienawiść. Powiedz, twoje odwiedzin były podobne do odwiedzin Maryi?

Dzisiaj prosimy Matkę Bożą, by nauczyła nas tak odwiedzać bliźnich, by te odwiedzin były świętem, radością, by zawsze były z Bogiem, któremu wspólnie śpiewamy hymn dziękczynny za wielkie rzeczy, które nam uczynił.

Nie pamiętam już wszystkich myśli wypowiedzianych wtedy. Później spotkałem się z grupą wiernych, którzy powiedzieli, że jeszcze nigdy tak nie spojrzeli na swoje odwiedzin. „Trzeba coś zrobić, by one były podobne do odwiedzin Maryi, bo przecież chcemy być Jej dziećmi” – dodali. Radość moja była wielka, bo przecież zrozumieli...

Przepraszam za te osobiste refleksje, ale skoro się już napisało, niech pozostanie, byście wiedzieli, co może myśleć misjonarz, gdy usłyszy pytanie: czy ludzie w Burundi czczą Matkę Bożą?

Owszem, już czczą, ale trzeba to pogłębić, aby obraz Matki Bożej – wierna kopia obrazu Częstochowskiego, dar ks. Prymasa Polski dla naszej misji – nie tylko wisiał w kościele w Mpindze, ale aby malował się w sercach wiernych i promieniował na ich codzienne życie.

Coś podobnego należałoby powiedzieć o Świętych. Kiedyś przetłumaczono na język kirundi Żywoty Świętych na każdy dzień. Nieporadne to tłumaczenie, ale coś było. Dzisiaj książka już nieosiągalna. Powiedziałem kiedyś naszemu biskupowi, że bardzo się boję o rozwój duchowy chrześcijan i bardzo się boję o Kościół, zwłaszcza młody Kościół, który nie czci Świętych. Tymczasem „wyrzucono” nam Świętych z Kościoła. W tekstach, które przygotowano dla katechistów do czytania w niedziele na stacjach misyjnych, przez trzy lata niemal nie wspomniano o Świętych, a przecież trzeba, żeby młodzi chrześcijanie uczyli się od swoich dojrzałych w wierze i miłości braci – od Świętych. Kiedy człowiek nie umie sobie poradzić ze swoimi wadami, świadomość, że oni z tym samym się borykali i tak wspaniale odnieśli zwycięstwo nad sobą, dodaje siły. Biskup przyznał rację i sam wspominał, ile zawdzięcza przykładom z życia Świętych. Obiecał tę sprawę poruszyć na forum międzydiecezjalnym. Oby coś zrobiono w tej sprawie!

Kochani, żeby ten list Was nie zanudził, będę kończył. Jeszcze tylko bardzo, bardzo serdeczne Bóg zapłać za wszystko, co dla nas czynicie!

Wiem, że ostatnio nie można z Polski przesyłać do Burundi nawet tych małych paczuszek. Szkoda, bo one tak pomagały, bo ratowały wielu od śmierci (myślę o bezcennych dla nas lekarstwach). To one sprawiały, że polscy misjonarze mogli dorównać misjonarzom innych narodowości w niesieniu pomocy biednym, a nawet ich przewyższać. Szkoda, ale skoro nie można, to trudno. Módlcie się gorąco, by Dobry Bóg otworzył dla nas szerzej serca naszych Rodaków żyjących poza granicami kraju. Teraz tym bardziej musimy na nich liczyć.

Zapewniam Kochani, że pamiętamy o Was w naszych codziennych modlitwach. Szczególnie będziemy pamiętać z okazji Światowego Dnia Misyjnego.

Was także bardzo prosimy o modlitwę!

Szczególniej modlitwie polecamy nasze dzieci i młodzież, tę szkolną i tę, dla której brakuje szkół. Bardzo nam to leży na sercu, bo sytuacja w Burundi nie jest łatwa. Wciąż jeszcze odczuwamy skutki wydarzeń z 1972 roku. Np. w roku 1965 w szkołach podstawowych było 139750 dzieci, w roku 1970 było 182440 dzieci. Po wypadkach, już w 1975 roku mieliśmy w szkołach podstawowych tylko 130084 dzieci. Te oficjalnie podane cyfry mówią same za siebie. Cofnięto się bardzo i długo tej straty się nie odzyska, bo prawie nic się nie czyni, by szkoły zapewnić wszystkim. To z kolei rzutuje na gospodarkę kraju, na sprawę powołań kapłańskich, itp.

Gorącym modlitwom polecam Małe Seminarium Duchowne, które pod koniec września zaczyna swoją działalność w Ruyigi. Z Mpingi dwóch chłopców poszło do tego seminarium: Józef i Salwator. Z Musongati – jeden.

Nie zapomnijcie w modlitwach o naszym misjonarzu – proboszczu z Musongati – O. Janie Kantym, który 18 września świętuje 25-lecie swoich ślubów zakonnych. Jubilatowi „Szczęść Boże”.

Pamiętajcie też w modlitwach o dwóch nowych misjonarzach, O. Bartłomieju Kurzyńcu i O. Nazariuszu Kwiatkowskim, których przyjazdu do Burundi w tych dniach się spodziewamy.

To na razie tyle. Jeszcze tylko ta moja noga, o którą pytacie. Chociaż okazało się w końcu, że było jakieś pęknięcie kości, to jednak już jest dobrze. W połowie sierpnia, będąc sam na misji, poszedłem pieszo do chorego jakieś 6 km, wróciłem cało i zdrowo. Wczoraj miałem z tego powodu „pociechę”, bo młodzieniec (około 20 lat), który wtedy był umierający, przyszedł do kościoła. Przy spotkaniu wszyscy, trochę żartem, trochę na serio, powiadali, że to mój wysiłek sprawił „cud”, że to dzięki temu „szczęściu”, jakie mam, bo i wtedy tak szczęśliwie spadłem i teraz poszedłem do umierającego i on wstał. Niech im będzie! Byle tylko teraz nie prosili, żeby O. Teofil, a nie kto inny, chodził do chorych. Próbowałem zatem przypomnieć im, jakie to skutki sprawia sakrament chorych.

Z Bogiem! – do następnego listu.

Sami też napiszcie tak długie listy, jak ten mój!

Z uśmiechem! Wasz całym sercem

O. Teofil k.b.

„Garść szczegółów z podróży.”

Musongati, 15 października 1976

J.M. J.T.

Zdając sobie sprawę z tego, że niecierpliwie oczekujecie na wieści od nowo wysłanych misjonarzy, pragnę podać garść szczegółów z podróży do afrykańskiego państwa znad jeziora Tanganika – Burundi.

Zapewne wiadomo Wam, że wyjechałem z Polski w ostatnią sobotę sierpnia, tj. 28. W drodze do Brukseli, gdzie zamierzałem starać się o wizę do Burundi, zatrzymałem się na dwa dni w RFN. Odwiedziłem tam moich znajomych.

Dzięki uprzejmości jednego z Ojców Białych, czas, w jakim zmuszony byłem pozostać w Belgii, wypełniłem zwiedzaniem tego kraju. Jeździliśmy razem samochodem. Plonem kilku takich wycieczek było m.in. zwiedzenie Tremelos, rodzinnej miejscowości O. Damiana de Veuster, bohatera filmu „Malokai”. Byłem również w Sozarpenhavel (Montaigu), gdzie znajduje się sanktuarium Matki Bożej, do której przyszedł misjonarz udawał się często z pielgrzymką. Ogromnie ucieszyłem się, że udało mi się zobaczyć te miejsca. W czasie jednej z wycieczek zwiedziłem miejscowość Gentinnes, gdzie wzniesiono pamiątkową kaplicę ku czci 217 misjonarzy i misjonek katolickich i protestanckich, zamordowanych w Kongo w 1963 roku.

Po otrzymaniu wizy do Burundi, wyjechałem 9 września do Francji. Spotkałem się tam z Ojcem Bartłojem Kurzyńcem, który wyjechał z Polski już 17 lipca. Odtąd wspólnie kontynuowaliśmy naszą podróż. Załatwienie kilku formalności zatrzymało nas na parę dni w Lille, a następnie w Paryżu. Wieczorem 15.09. odjechaliśmy pociągiem na południe Francji, do Lourdes. Mieszkając tam w specjalnym miasteczku Secours Catholiques, kilka razy dziennie chodziliśmy do Sanktuarium, aby przed grota Matki Bożej, wyprosić sobie łaski na trudy czekającej nas pracy misyjnej. Mieliśmy również i to szczęście; że obaj 18 września o godz. szóstej rano koncelebraliśmy Mszę św. w intencji naszych najbliższych: rodziców, rodzeństwa, współbraci zakonnych, a także tych wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób pomagali nam realizować powołanie zakonne, kapłańskie i misyjne.

Z Lourdes, przez Niceę i Monaco przybyliśmy 20 września do Rzymu. Zatrzymaliśmy się w międzynarodowym Kolegium Karmelitańskim „Teresianum”. Nasi polscy współbracia: O. Fryderyk, br. Bolesław i br. Franciszek zajęli się nami bardzo troskliwie. To właśnie dzięki nim mogliśmy w ciągu 9 dni zwiedzić moc zabytków w samym Wiecznym Mieście oraz poza nim. Byliśmy na Monte Cassino, w Castel Gandolfo i w Ostia Antica. W czasie naszego pobytu w Rzymie widzieliśmy się również z O. Finianem, przełożonym generalnym Zakonu i z O. Adeodatem, sekretarzem misji karmelitańskich.

W sam dzień odlotu z Rzymu, tj. 29 września, w podziemiach bazyliki św. Piotra, w kaplicy M.B. Częstochowskiej odprawiliśmy Mszę św., po czym udaliśmy się na audiencję ogólną u Ojca św. Pawła VI. W wypełnionej po brzegi sali audiencyjnej była grupa pielgrzymów polskich, których papież powitał kilkoma zwrotami w języku polskim. Na zakończenie bez mała dwugodzinnej audiencji, Ojciec św. udzielił nam wszystkim swego błogosławieństwa. Tego samego dnia, o godz. 4.00 po południu wystartowaliśmy z Rzymu. Samolot włoskich linii lotniczych DC-8 zawiózł nas do Aten. Po kilkugodzinnym postoju w Atenach, po sześciogodzinnym locie nad kontynentem afrykańskim, 30 września o godzinie 6.15 wylądowaliśmy szczęśliwie na lotnisku w Bujumburze.

Spodziewaliśmy się, że z chwilą opuszczenia Boeinga 707 dech zatka nam parne, rozgrzane afrykańskie powietrze. Jakże byliśmy zaskoczeni, gdy przywitał nas stosunkowo chłodny wietrzyk. Gdyby nie czarne twarze członków obsługi technicznej lotniska, mielibyśmy wątpliwości, czy to rzeczywiście Afryka.

Stawiając stopy na afrykańskiej ziemi, dziękowaliśmy Bogu za szczęśliwą podróż, ale równocześnie z niepokojem i niecierpliwością patrzyliśmy w kierunku dworca lotniczego, wypatrując tam znajomych twarzy. Mieliśmy uzasadnione wątpliwości, czy ktoś z naszych będzie, gdyż w Brukseli zostawiliśmy wiadomość dla O. Eliasza, że przyjedziemy 28 września rano. Tymczasem z chwilą przybycia do Rzymu okazało się, że połączenie z Bujumburą (via Ateny) mamy tylko raz w tygodniu, w środę, tj. dwa dni później niż planowaliśmy. Po kwadransie wiedzieliśmy już, że nie ma nikogo z naszych. Na szczęście siostry szarytki, które przyjechały po wracającą z urlopu s. Zofię Sochę – Polkę, obiecały, że nas podrzucą samochodem do Ojców Białych. Już mieliśmy się z nimi zabrać, gdy wraz z jednym z Ojców Białych przyjechał O. Jan Wołek. Pojechaliśmy z nimi. Teraz wszystko się wyjaśniło. Otóż we wtorek, 28 września byli w Bujumburze O. Teofil i O. Sylwan. Gdy się dowiedzieli, że nie ma samolotu, poprosili Ojców Białych, by się nami zajęli. Sami, po załatwieniu zakupów i innych spraw, odjechali do Mpingi. Mieliśmy czekać do poniedziałku.

Choć atmosfera w naszym przejściowym schronisku była bardzo miła, chcieliśmy jak najszybciej znaleźć się wśród „swoich”. Dokuczało nam zwłaszcza gorąco. W ciągu dnia temperatura przekraczała 30°C. Nic więc dziwnego, że skwapliwie szukaliśmy jakiejś okazji, by dostać się do Musongati lub Mpingi. Dodatkowym powodem były zbliżające się imieniny (2.10.) O. Teofila Kapusty.

30 września odsypialiśmy zaległości z podróży. Tego dnia spotkaliśmy wieczorem bpa Martina, który kilka lat temu zaprosił karmelitów do Burundi. Sam zresztą złożył wizytę w naszym kraju. Następnego dnia wspólnie z innymi misjonarzami święciliśmy dzień Patronki Misji – św. Teresy od Dzieciątka Jezus (wg nowego kalendarza Jej święto obchodzi się 1 października). Podczas obiadu dowiedzieliśmy się, że przybył do Bujumbury nasz ordynariusz – bp Joachim Ruhuna. Widocznie był jednak bardzo zajęty, bo spotkaliśmy go dopiero nazajutrz rano, podczas śniadania. Ucieszył się naszym przyjazdem i oczywiście obiecał, że podwiezie nas przynajmniej do Gitegi. Wyjechaliśmy około południa. Asfaltową drogą – jedyną zresztą w Burundi, wspinaliśmy się do oddalonej około 100 km Gitegi, dawnej stolicy kraju. Teraz dopiero mogliśmy obserwować właściwy kraj Burundi. Jest to teren bardzo górzysty, z rzadka porośnięty lasami. Tu i ówdzie, zwłaszcza w pobliżu typowych okrągłych chatek murzyńskich, zielenią się małe plantacje bananów, kawy czy herbaty. Jest to okres pory suchej. Na ogół zbocza gór są wyschnięte. Wspólna jazda była również okazją do rozmowy z biskupem na temat wielu interesujących problemów i spraw kraju, Kościoła, diecezji Ruyigi, tutejszych ludzi.

W Gitedze zatrzymaliśmy się na arcybiskupstwie. Zjedliśmy tam obiad, a ponieważ nie było żadnej okazji w kierunku Musongati, ks. bp Ruhuna pożyczył swój samochód jednemu z księży i ten podwiózł nas do naszej misji w Musongati. Tutejsza ekipa misyjna w składzie: O. Jan Kanty, O. Józef, O. Kamil oraz siostry karmelitanki Dzieciątka Jezus przyjęli nas bardzo serdecznie. Brakowało nam tylko br. Marcelego, który pojechał po nas do stolicy. Okazało się, że minęliśmy się w drodze około 40 km od Musongati. Wrócił wieczorem.

Następnego dnia, tj. w niedzielę 3 października, po ceremonii chrztu św. 90 katechumenów, wybraliśmy się już to pieszo, już to samochodem do Mpingi, by złożyć życzenia imieninowe O. Teofilowi.

Mpinga, jako pierwsza misja, a zarazem siedziba wikariusza prowincjalnego w Burundi, O. Teofila, była ostatnim etapem naszej długiej podróży z kraju na misje. Po przejechaniu wzdłuż niemal całej Europy, po wielu godzinach spędzonych w pociągach, samochodach, samolotach, cali i zdrowi, pełni zapału do pracy osiągnęliśmy wreszcie cel naszej podróży. Wiemy, że wszędzie chroniła nas Opatrzność Boska, że towarzyszyły nam modlitwy tych wszystkich, których pozostawiliśmy w kraju, których spotkaliśmy poza jego granicami.

Prosząc o modlitwę, łączę pozdrowienia w Chrystusie Jezusie.

O. Nazariusz Kwiatkowski k.b.

Przygotowanie do ślubu i jego ceremonie.

Musongati, 29.11. 1976 r.

JM+JT

Drogi Ojciec!

Boże Narodzenie się zbliża, każdy chciałby otrzymać list i życzenia od krewnych i znajomych. Wiedząc zaś, że nasi Drodzy Przyjaciele i Miłośnicy Misji również mają prawo do usłyszenia czegoś z naszego życia, postaram się w skrócie podać jak wygląda u nas całe przygotowanie do ślubu.

Gdy przychodzi czas, aby młody chłopak założył rodzinę, to najczęściej nie on, ale rodzina przynagla, aby się ożenił. W takiej sytuacji chłopak musi w ciągu kilku dni znaleźć

sobie żonę. Często przyszła żona upatrzona jest przez rodzinę, tzn. przez rodziców i tych wszystkich, którzy należą do rodziny, tj. braci ojca. Gdy już chłopak dokonał wyboru lub zgodził się na wybraną dziewczynę (co miał robić, gdy głos ojca to przykazanie), wówczas trzeba iść do rady przykościelnej, aby otrzymać poświadczenie, że wszystko jest w porządku. Do takiej rady przykościelnej (np. na stacji misyjnej) wchodzi wybrani przez parafian mężczyźni, już starsi, którzy mieszkają na danym terenie. Oni dobrze się znają, wiedzą, jak każdy chrześcijanin się prowadzi, czy chodzi do kościoła, czy przystępuje do sakramentów świętych, czy ma dzieci ochrzczone, itp. Ta, tzw. „rada starszych” na małym zebraniu dyskutuje ten fakt i wypełnia formularz, gdzie są różne pytania. To samo musi czynić dziewczyna, gdy jest z innej parafii. Otrzymawszy świadectwo „starszych” młodzi idą do parafii do zapisów. Oczywiście idą do jednej parafii, parafii pana młodego, ale nie idą razem, każde przychodzi osobno. Często zdarza się, że mężczyzna już przyszedł się zapisać do ślubu, a dziewczyny jeszcze nie ma, lub przychodzi o dwie godziny później. Kiedy już spotkali się przed biurem parafialnym, przedstawiają księdzu owo świadectwo starszych i własne „legitymacje chrześcijańskie”.

Teraz ksiądz sprawdza przede wszystkim, co jest napisane na opinii od „rady starszych”, czy wszystko w porządku. Dla upewnienia się zapytuje jeszcze raz czy uczęszczają do kościoła, czy żyją po chrześcijańsku, czy dziewczyna przychodzi myć kościół – co jest obowiązkiem wyznaczonym raz na jakiś czas. Gdy to przejdzie dobrze, następnie mały egzamin z katechizmu. Tu czasem nie udaje się młodym. Dlatego często trzeba odsyłać ich do domu, aby się nauczyli przykazań Bożych, prawd wiary, pacierza, itp. Dopiero po dwóch tygodniach mogą znów przyjść zapisać się do ślubu. Skoro znają coś z katechizmu i nie ma innych przeszkód, ksiądz wpisuje ich do księgi, wyjaśnia ceremonie ślubu i udziela krótkiej nauki z zakresu obowiązków rodzicielskich. Zapis odbywa się dwa razy w miesiącu, a liczba zapisanych w te dni jest różna, zależy od sezonu. Gdy są dobre zbiory i czas żniw sorge, wówczas wielu się żeni, gdyż jest z czego zrobić piwo na przyjęcie gości. Jest to okres od lipca do października i liczba ślubów dochodzi do 8 w ciągu dwóch tygodni. Śluby odbywają się w kościele we czwartki na Mszy św. o godz. 7.00 rano.

Po zapisaniu do ślubu i wygłoszeniu zapowiedzi przez trzy niedziele, młodzi znowu przychodzą na misje w przeddzień ślubu we środę po południu, na drugą naukę przedślubną. Wówczas to ksiądz udziela im nauki o obowiązkach rodziny chrześcijańskiej. W tym dniu też kupują sobie obrączki w swym biurze parafialnym. Są to proste obrączki aluminiowe posrebrzane. Po nauce jest spowiedź dla nich. Wielu przychodzi z daleka, więc na noc szukają noclegu u rodziny lub u kogoś, kto mieszka blisko kościoła parafialnego.

Nazajutrz rano odbywa się ceremonia ślubu w czasie Mszy św. Ceremonia ślubu jest uproszczona. Na Mszę św. młodzi przychodzą również osobno i często Msza św. zaczyna się, a brakuje pani młodej lub pana młodego. Jeszcze nie przyszedł, choć jego przyszła żona już niecierpliwie ogląda się – przyjdzie... nie przyjdzie? No, ale przyszedł na czytanie lekcji.

Trzeba wiedzieć, że zarówno ojciec panny młodej jak i pana młodego nie mogą być na ceremoniach ślubnych swych dzieci. To nie wypada. Są zaś, podobnie jak i w Polsce, drużki i towarzyszący młodemu panu jego koledzy. Trzeba dodać, że chłopak, który chce się ożenić, musi dać rodzinie panny młodej tzw inkwano, to znaczy pewien „podarek”. Często jest to jedna krowa + 1.600 franków i musi kupić sukienkę, czasem buty dla swej przyszłej żony. Skoro ten dar zostanie przekazany i przyjęty przez drugą rodzinę, małżeństwo jest według ich tradycji ważne. Dopóki to nie nastąpi, nie uważa się tych dwoje za związanych między sobą.

Pewnego razu nasz jeden robotnik przyszedł do mnie i chciał pożyczyć pieniędzy. Pytam więc na co. Odpowiada mi, że chce się żenić, więc musi kupić swojej przyszłej żonie suknię. Zgadza się. Odszedł ucieszony, że będzie mógł się już teraz ożenić. Jednak po kilku dniach przychodzi do mnie zmartwiony. Pytam więc co się stało? Mówi mi, że narzeczona mu uciekła, poszła gdzieś i nie ma jej. Odmówiła zgody na przyjęcie nowej sukni. Po kilku

dniach ów robotnik znów przyszedł, już uradowany. Pytam się, co nowego? A on spokojnie i naturalnie odpowiada, że będzie się żenił, bo już wybrał sobie inną żonę.

Wracając do ceremonii trzeba dodać, że młodzi tylko w czasie ślubu „muszą” być razem obok siebie, a często nawet mimo, że klęczą razem, odwróceniem są bokiem do siebie. Młoda pani musi okazać na zewnątrz smutek, zmartwienie, bo opuszcza swoją rodzinę, choć w sercu się cieszy. Cieszyć się w dzień ślubu to pogardzać rodziną, z której się wyszło. Stąd młoda pani, chcąc uchodzić za dobrze wychowaną, musi w dniu tym być smutna. Zaraz po ślubie każdy idzie w swoim kierunku, tak jak wszyscy inni wychodzą z kościoła po Mszy św.

Oczywiście po ceremoniach w kościele, w domu są jeszcze inne ceremonie tradycyjne, których jeszcze dobrze nie znam. Na uroczystości weselne zapraszana jest cała rodzina. Takie wesele trwa dzień lub dwa, zależnie od tego, ile było piwa. To byłyby w skrócie opisane ceremonie ślubu w Burundi. Czasem widzi się pewne naśladownictwo stylu europejskiego, ale to są wyjątki. Wprowadzają to często ci, którzy gdzieś się uczyli w szkole średniej, np. uczniowie liceów, szkół zawodowych. (...)

O. Józef Trybała k. b.

Życzenia i wdzięczność za współpracę.

Mpinga, grudzień 1976

+

Drodzy Przyjaciele!

(...) Spróbuję przy okazji tego świątecznego listu napisać Wam krótko, co działo się u nas w ciągu tego roku. Była praca duszpasterska: rekolekcje, wyjazdy na stacje misyjne, organizowanie katechumenatów, otoczenie opieką duchową Akcji Katolickiej i katolickich organizacji młodzieżowych, itd.

Była praca społeczno-charytatywna: organizowanie szkół i foyer social, organizowanie alfabetyzacji, organizowanie pomocy dla biednych i głodujących. Był w tym roku okres szczególnego głodu na skutek gradów i nieregularnych deszczów. Dzięki Waszej pomocy mogliśmy rozprowadzić wśród najbiedniejszych trochę żywności, odzieży, koców. Jakże byli wdzięczni ci biedacy!

Przez cały rok działał także ośrodek zdrowia w Musongati. Dzięki Waszej pomocy i dzięki energii i oddaniu s. Zygmunty uratowano wielu. Były w tym roku sytuacje trudne, bo nawiedzały naszą okolicę różne epidemie. Całymi miesiącami w dwu małych salkach przychodni zdrowia, (każda po 7 łóżek) walczyło ze śmiercią około 50 dzieci. Co jedno podleczone, przychodziły następne. Dla wielu nie starczyło miejsca. Umierały w domach. Były rodziny, które w ciągu tygodnia traciły troje lub czworo dzieci. Czarownicy mieli pole do popisu. Siostra Zygmunta także, bo przecież oprócz ratowania dzieci, musiała dzień w dzień przyjąć od 150-300 chorych. Musi także objąć opieką ponad 500 dzieci chorych na kwashiorkor, musi uczyć matki racjonalnego odżywiania i podstawowej higieny, musi przyjmować trudniejsze porody; musi... Czegoż ona nie musi! Myślę zatem, że rozumiecie jej milczenie. Druga pielęgniarka, s. Lucyna, pomoże już wiele, ale jeszcze jej w pełni nie zastąpi, bo miejsce w szkole tutejszego języka otrzyma dopiero w marcu 1977 roku.

Tu zapewne postawicie pytanie: dlaczego s. Zygmuncie nie zorganizujecie lepszych warunków pracy? Dlaczego nie zbudujecie większego ośrodka zdrowia? To jest nasze wielkie pragnienie, ale... nie nadążamy! Wasze ofiary przyjmujemy bardzo wdzięcznym sercem i lokujemy w materiałach budowlanych. Wciąż jeszcze czekamy na jakąś większą pomoc, może którejś ze światowych organizacji, bo Wasza pomoc wciąż jeszcze nie wystarcza. Mam jednak nadzieję, że już w przyszłym roku rozpoczniemy budowę ośrodka zdrowia w Musongati. Na razie budujemy to, na co znalazł się grosz. Pierwsza będzie szkoła

gospodarstwa – foyer social w Musongati. Fundamenty już założone i rosną ściany. Obok foyer stanie domek dla nauczycielek. Trzeba też dokończyć katechumenat w Musongati, trzeba myśleć o szkole, o kościele, o kaplicach i katechumenatach na stacjach misyjnych.

W tym roku w Musongati ukończono budowę domu sióstr, zbudowano zbiornik na wodę, magazyny, garaż i pralnię oraz dwie sale i biuro katechumenatu. Wypalono także około 140000 cegieł. Sądzę, że to niemało jak na jednego budowniczego, br. Marcelego, który od października zasiadł na ławie szkolnej, by udoskonalić swoją znajomość języka kirundi. Wróci do pracy w marcu.

Tymczasem w Mpindze, oprócz pracy duszpasterskiej i społeczno-charytatywnej, zbudowaliśmy garaż i część magazynów, dokończyliśmy budowę foyer social, wypaliliśmy około 40.000 cegieł, rozpadającą się kaplicę w Kiguu przebudowaliśmy na solidny kościół, przy którym zbudowaliśmy nowy dom dla księdza. Przebudowaliśmy też zrujnowany dom księdza w Nyamiyaga. Dzięki pomocy p. Tadeusza Szklarczyka foyer social w Mpindze otrzymało wspaniałe umeblowanie, katechumenat piękne stoliki i ławki, szkoła w Kiharo 40 ławek dla dwóch klas.

Myślę, że to wiele, bo przecież nie mamy w Mpindze budowniczego, bo w tym roku O. Eliaz Trybała był na wakacjach w Polsce, a ja sam byłem przez jakiś czas „nieczynny” po spadnięciu z drzewa.

Byłem też trochę nieczynny ze względu na podróże, które wypadło mi podjąć do Rwandy i Zairu. Ostatnio wybrałem się na zjazd karmelitów-misjonarzy z 6 krajów Afryki, który odbył się w Nairobi w Kenii. Ta ostatnia podróż nie udała się, ale przecież i ona zabrała więcej niż tydzień czasu, bo trzeba było specjalnie jechać do stolicy dla załatwienia różnych formalności i potem pojechać do Nairobi, by pocierpieć nieco za Polskę Ludową. Wiedziałem, że do tego kraju trudno się dostać obywatelowi krajów socjalistycznych i komunistycznych. Nie mogłem na miejscu zdobyć wizy, bo nie ma u nas ambasady Kenii. Zaopatrzyłem się jednak w polecenia z konsulatu angielskiego, które – jak mnie zapewniono – wystarczą do otrzymania wizy w Nairobi. Owszem, wystarczą, ale nie dla Polaka. Upór władz Kenii był nieprzewidywalny. Przesiedziałem zatem 3 dni i 3 noce na lotnisku, czekając na najbliższy samolot do Burundi. Kto tak kiedyś czekał, wie, co to znaczy!

I co jeszcze? We Wszystkich Świętych obalono u nas stary rząd. Wszystko odbyło się spokojnie, bez rozlewu krwi. Czy to zmiana na lepsze? Nie za wiele można się spodziewać.

To na razie tyle, aby list dotarł do Was przynajmniej w okresie Świąt.

Jeszcze raz zapewniam, że jesteśmy z Wami zawsze sercem, że sami oraz nasi wierni polecamy Bogu w modlitwie i Mszy św. (każdą sobotę i niedzielę) Wasze radości i troski.

W wigilijną noc nasze serca będą szczególnie z Wami. Przy okazji zatęsknią nieco za mroźną roziskrzoną gwiazdami nocą, za nieskalaną bielą śniegu... U nas obecnie dużo zieleni i kwiatów, ciepło... Liście bananów i palm kołysz spokojny wiatr...

Z Bogiem!

Wasz wdzięczny misjonarz z buszu

O. Teofil k.b.

Pielgrzymka do Mugery.

J+M

Musongati, Boże Narodzenie 1976

Drodzy Przyjaciele Misji!

(...) Episkopat Burundi rok 1976 ogłosił Rokiem Modlitw o powołania kapłańskie – rodzime. Pielgrzymka ta do Sanktuarium Maryjnego była zapowiedziana przez Episkopat Burundi. Postanowiliśmy odbyć ją pieszo. Gdy nasz ks. bp Ruhuna o tym się dowiedział,

bardzo się ucieszył. W Burundi pielgrzymki należą do rzadkości. Mugera jest oddalona od naszej misji około 80 km. Jest to stara misja Ojców Białych, gdzie jest bardzo czczona figura Matki Bożej, przywieziona z Lourdes.

Rano, w dniu 13 sierpnia wyruszyło 5 ojców Karmelitów Bosych, 3 siostry Karmelitanki Dzieciątka Jezus i około 80 osób, mieszkańców Musongati. Gdy się dołączyli ludzie z Mpingi, było wszystkich pielgrzymów 150 osób. Ojciec przypominał jeszcze o intencji, w jakiej podejmujemy tę pielgrzymkę, zachęcił, aby modlitwy i trud drogi ofiarować w intencji uproszenia rodzimych powołań kapłańskich.

W drodze modlimy się, odmawiamy różaniec. Ponieważ były dwa miesiące suszy, na drogach bardzo dużo kurzu, który ciśnie się nam do nosa, do gardła, do oczu, ale to nic. Wędrujemy w kurzu kilka godzin, czasem tylko, aby go uniknąć, nasi przewodnicy kierują nas na ścieżki, ale nam się wydaje, że one tylko wydłużają kilometry, które mamy do przebycia. Około godz. 15.00 dochodzimy do Makebuko. Jest to pięknie zbudowana misja, duży kościół w kształcie krzyża, katechumenaty, szkoła podstawowa, a wszystkim zajmują się Czarne Siostry; Ojcowie Biali oddali to wszystko do użytku księży tubylczych. Czujemy się dobrze. Jesteśmy przyjęci bardzo gościnnie. Nocleg dla wszystkich przygotowany. Nasi ludzie cieszą się, gdyż mają wody pod dostatkiem, więc myją się i piją wodę z kranu. Woda w całym kraju posiada bardzo dużo pasożytów, na które wrażliwi są Europejczycy, stąd na misjach jest do picia woda gotowana i filtrowana. Tutaj widzimy, że filtr prawie pusty. Pytamy boya, czy ma wodę gotowaną. Robi zdziwioną minę i za chwilę spostrzegamy, że w dolnym naczyniu, gdzie spływa woda filtrowana, jest jej pod dostatkiem, natomiast w górnym naczyniu – pusto. Teraz rozumiemy i śmiejemy się. Poczciwy Afrykańczyk! Po co miał gotować wodę, gdy „na oko” niegotowana woda wcale się nie różni od gotowanej. Tak widocznie robi częściej. W najgorszym razie dostaniemy „glistę”, ale mamy lekarstwo i to od Was!

Z Mpingi nadjechał Ojciec samochodem, na który załadował trochę żywności i koce dla pielgrzymów. Widząc tę naszą historię z wodą, pojechał do Gitegi i przywiózł nam wody do picia w butelkach od sióstr Marystek, Włoszek.

Wieczorem jest nabożeństwo, ojcowie karmelici spowiadają. Aż radość patrzeć, jak nasi pielgrzymi zbliżają się do Sakramentu Pokuty, by oczyścić swe serce przed uroczystością Matki Bożej Wniebowziętej.

Młodzież z Makebuko chce urządzić jeszcze dzisiaj wspólne śpiewy i tańce, ale motor produkujący prąd kończy swą pracę niezmiennie o 21.00 i zaraz po zgaszeniu światła są spuszczone różne psy. Przyjmujemy to prawo miejscowe z przyjemnością, bo chcemy iść spać. Na pewno inaczej o tym myślą nasi pielgrzymi, którzy tak bardzo lubią tańczyć i śpiewać.

Rano, 14 sierpnia, mamy niespodziankę. Powietrze niezwykle świeże, ziemia nasiąknięta wodą. W nocy przeszła burza, ale nas nie obudził ani ulewny deszcz, ani grzmoty. Wdzięczne jesteśmy Bogu, że nam ułatwił dalszą drogę. Wyruszamy o godz. 7.00. Maszerujemy swobodnie, modlimy się, śpiewamy pieśni religijne. Nasze myśli łączą się z pielgrzymką z naszej ukochanej stolicy, z Warszawy, która także dzisiaj zbliża się do Częstochowy.

Około godz. 13.00 docieramy do Gitegi, dawnej stolicy czarnych królów. Leży na wzgórzu i jest otoczona górami wyjątkowo zalesionymi. W jednej części Gitegi znajdują się zabudowania należące do diecezji. Między nimi stoi piękna statua Najświętszego Serca Pana Jezusa – wśród zieleni i kwiatów. My jednak kierujemy się do innej części Gitegi, gdzie są urzędy i sklepy. Musimy kupić żywności, gdyż przewidujemy, że jutro w Mugerze, gdzie będzie wielu pielgrzymów, nie kupimy nic.

W Gitedze przyjmują nas serdecznie Siostry Marystki, Włoszki. Wieczorem Msza św. i różaniec, po czym udajemy się na spoczynek, gdyż jutro musimy wstać bardzo wcześnie, by zdążyć na czas.

15 sierpnia, wyruszamy o godz. 4.00. Jest jeszcze głęboka noc, choć księżyc jasno świeci.

Śpiewamy pieśni i mówimy różaniec. Zaraz za Gitegą droga się rozwidla. Nasi przewodnicy kierują nas w lewo. Nikt nie przypuszcza, że nie znają drogi, a o tej porze nikt obcy drogą nie przechodził, by zapytać, czy idziemy dobrze. Idziemy tak do godz. 8.00. Nagle zdrętwieliśmy – drogowskaz wskazuje: Mugera – 10 km. Jak to? Z Gitegi jest tylko 20 km? A myśmy przeszli już tyle kilometrów i nic? Msza św. rozpoczyna się o godz. 9.30. Zdecydowano, że dalej nie pójdziemy razem, ale każdy niech spieszy jak może, by zdążyć na Mszę św. Wyprzedzają nas samochody, mijamy grupy ludzi w barwnych ubiorach i niedługo ukazuje się olbrzymia góra, pod której szczytem zbudowany jest kościół i budynki misyjne – to Mugera! Od tej góry dzieli nas jeszcze duża przestrzeń, z długo wijącą się drogą, ale dziękujemy Bogu, że nie musimy wracać, że mimo wydłużonej drogi, jest nadzieja, że zdążymy na uroczystą Mszę św.

Matka Boża chciała od nas trochę więcej trudu i wysiłku w tej pielgrzymce dla uproszenia rodzimych powołań kapłańskich. Jakże nie dać Jej z radością tych wszystkich trudów – w najpiękniejsze Jej święto?

Biegniemy razem za tłumem, wspinamy się pod górę, która jest bardzo stroma. Za nami – jak okiem sięgnąć – idą tłumy krętą drogą. Gdy wchodzimy na teren misji jest godzina 9.20. Jesteśmy dumne i cieszymy się, gdyż przeszliśmy te 10 km w ciągu jednej godziny i 20 minut.

Za chwilę byliśmy gotowe do wzięcia udziału w procesji. Już Ojcowie Biali, tutejsi gospodarze – zajmują się formowaniem procesji. Spotykamy tu wielu misjonarzy znajomych z różnych diecezji. Rusza procesja, na czele procesji idzie 12 biskupów, w tym 11 tubylczych, a tylko jeden Belg – ks. bp Martin, który odwiedził naszą Ojczyznę kilka lat temu. Za nimi idą kapłani, siostry zakonne i część pielgrzymów. Większość pielgrzymów zajęła miejsca na górze, pokrywając ją sobą niby pięknym, barwnym dywanem. Na zboczu góry, gdzie jest mały płaski teren, zbudowano ołtarz polowy. Tam zatrzymują się dostojni duchowni, wokół ołtarza zajmują miejsca księża i siostry zakonne. Nas też poproszono bliżej ołtarza. Jesteśmy w brązowych habitach i w pełnym stroju zakonnym, toteż czujemy na sobie wzrok wielu osobistości, ale pełen życzliwości.

Uroczysta Msza św. koncelebrowana rozpoczyna się o godz. 10.00. Cieszymy się, bo na pewno wszyscy nasi pielgrzymi są już na miejscu. Kazanie wygłosił ks. bp Joachim Ruhuna, który uchodzi za najlepszego kaznodzieję w Burundi.

Przed ofiarowaniem księży biskupi udzielają święceń mniejszych, diakonatu i kapłańskich. Są także obłóczyny i śluby zakonne braci św. Józefa, są jubileusze kilku biskupów i misjonarzy. Wszystko pięknie przygotowane – bardzo wzruszające chwile... Wzrusza nas widok staruszki – matki, całującej swego syna Prymicjanta.

Msza św. kontynuowana jest dalej – konsekracja – komunie św. ogromnej rzeszy wiernych – kończy się o godz. 13.30. Teraz następują przemowy świeckich przedstawicieli. Słuchamy przemowy gubernatora z Gitegi i wysuwamy się z tłumy, bo mamy przed sobą daleką drogę powrotną. Idziemy do misji i tutaj spotykamy się z naszymi ojcami karmelitami. Posilamy się i ruszamy w powrotną drogę do Gitegi. Nagle bez nawoływania jesteśmy znów otoczeni naszymi ludźmi z parafii Mpinga i Musongati. Jakaś staruszka podchodzi do jednego z naszych ojców i ze szczerością w głosie prosi: „Niech ojciec przyjdzie pracować do naszej misji. U nas księża zawsze jeżdżą autami, a ksiądz taki biedniutki musi, chodzić pieszo”. Widocznie staruszka zauważyła, że wszyscy przyszli pieszo...

Wracamy teraz właściwą drogą i w Gitedze jesteśmy o godz. 16.30. Siostry Marystki częstują nas wszystkich obiadem i wieczorem wracamy samochodem do Musongati.

Nazajutrz wieczorem witałyśmy w Musongati wszystkich pielgrzymów, którzy pozostałe 60 km przebyli w jednym dniu. Zatrzymali się na noc na misji naszych ojców karmelitów, by rano rozejść się do swych domów.

Drodzy Przyjaciele! Tak minęły nam dni naszej pierwszej pieszej pielgrzymki na afrykańskiej ziemi. Jesteśmy bardzo zadowolone, że pokonałyśmy tyle kilometrów – dla Matki Bożej.

Jak widzicie – podobnie jak Wy w Polsce – my tutaj mamy dni zwykłe, szare, ale mamy też radosne i urozmaicone. Oczywiście, że te szare dni są jasne i piękne, gdy uświadomimy sobie, że „zdzieramy się” dla chwały Bożej i dla dobra naszych kochanych Czarnych Braci. (...)

Siostry Karmelitanki Dzieciątka Jezus
misjonarki z Burundi

„Bym nie zawiódł ani Boga, ani ludzi...”

Mpinga, 20.12.1976

Kochany Ojcie Bogusławie!

(...) Jak Ojciec wie, nie dostałem się na kurs języka. Nie rozpaczam jednak, ale uczę się pracy misyjnej pod kierunkiem doświadczonych misjonarzy, jak O. Eliaz, O. Teofil i O. Sylwan. Uczę się również języka, gdyż w lutym mam zagwarantowane miejsce na kursie.

Już Mszę św. odprawiam w miejscowym języku, z dziećmi również się dogadam, ale na homilię to muszę sobie trochę poczekać. Bardzo dobrze opanowała ten trudny język S. Zenobia. Potrafi się nie tylko porozumieć z Czarnymi, potrafi wygłosić wcale mądrą homilię w tym języku, ale nawet, jak zajdzie potrzeba, wyklócić się z nimi.

Przed świętami egzaminowała jednego czarnego katechumena. Niewiele umiał, więc go nie dopuściła do chrztu. Ten mówi jej, że to niesprawiedliwość. Małe dzieci nawet mówić nie umieją, a proboszcz dopuszcza je do chrztu, a on przecież umie Ojcie nasz i Wierzę w Boga, wobec tego powinien być do chrztu także dopuszczony. Nie wiem, jak się to wszystko skończyło, ale zazdrościłem, że ona już klócić się potrafi, a ja ledwo mogę Mszę odprawić.

Gdy Ojciec będzie wysyłał następne paki, to proszę koniecznie przysłać nam krótkofalówki. Posługujemy się alfabetem Morse'a, ale nie wszyscy dobrze odczytują i parę dni temu mieliśmy zabawną historię, gdy podałem, że nam w czasie trzęsienia ziemi wypadły drzwi, w Musongati odczytali, że nas napadły lwy! Paki moje przyszły, można powiedzieć, w idealnym stanie. Ze sklejk mam stół, krzesła i etażerkę; co za wspaniały materiał! Czekamy na następne.

Atmosfera dla nas nowicjuszy na misji bardzo przyjazna. Czuję, że mnie kochają, a to zachęca człowieka do większego jeszcze wysiłku. W Musongati byłem tylko kilka dni. Tam też radośnie. Bardzo pogodny jest O. Kamil, chociaż przeżył tak wielką tragedię podczas swoich zasłużonych wakacji. (...)

Swoją drogą, O. Kamilowi Afryka wyjątkowo służy. Ja straciłem wprawdzie parę kilogramów na wadze, ale czuję się dobrze i myślę, że przy Bożej pomocy i przy moich dobrych chęciach, będzie ze mnie nie najgorszy misjonarz.

Niech Drogi Ojciec pomodli się za mnie, bym nie zawiódł ani Boga, ani ludzi. Czekamy jeszcze na jednego misjonarza. Niech Ojciec koniecznie kogoś do nas zwerbuj.

Serdecznie pozdrawiam, za wszystko w imieniu naszej misjonarskiej braci dziękuję i pozdrawiam wszystkich Przyjaciół naszej misji.

O. Bartłomiej

1977

„Kościół z wielką radością dzięki czyni za nieoceniony dar powołania kapłańskiego, którym Bóg obdarzył tylu młodzieńców wśród ludów niedawno nawróconych do Chrystusa. Silniejsze bowiem korzenie zapuszcza Kościół w każdej społeczności, kiedy różne wspólnoty wiernych posiadają rekrutujących się spośród ich członków szafarzy zbawienia, jako biskupów, kapłanów i diakonów posługujących swym własnym braciom. W ten sposób młode

kościół uzyskają powoli organizację diecezjalną z własnym klerem.⁴⁰

Od samego początku ewangelizowania Burundi, czyli od 1898 roku, pierwsi misjonarze tamtejszych terenów, Ojcowie Biali, starali się o wychowanie kleru tubylczego. Trzeba przyznać, że na tym polu działania odnieśli sukces. **Już w 1925 roku dwu pierwszych seminarzystów pochodzących z Burundi otrzymało święcenia kapłańskie. Do roku 1975 wyświęcono na kapłanów 171 Burundczyków. Rok 1976 był ogłoszony w Burundi rokiem kapłańskim.** Także i nasi polscy misjonarze włączyli się w gorące dziękczynienie za łaskę kapłaństwa oraz podjęli wspólnie z innymi działalność zmierzającą do budzenia i uproszenia nowych powołań. **Tej działalności na terenie diecezji Ruyigi sprzyjało założenie diecezjalnego Niższego Seminarium Duchownego, zaś na terenie parafii w Mpindze święcenia diakonatu Antoniego Sindaye. (26 grudnia).**

Niemniej jednak, jako myśl przewodnią siódmego roku działalności Karmelitów Bosych w Burundi, wybrałem przytoczone wyżej słowa Soboru Watykańskiego II, ponieważ w **parafii Musongati i Mpinga rok 1977 był w szczególny sposób rokiem kapłańskim.** Dnia 31 lipca wyświęcono w Musongati pierwszego kapłana młodej diecezji w Ruyigi, Antoniego Sindaye. Kapłan ten pochodzi z Musongati, które do niedawna było stacją misyjną parafii w Mpindze. Długo i starannie przygotowywano wiernych obydwu parafii do tej uroczystości. Msze św. prymicyjne, które później młody kapłan celebrował na wszystkich stacjach parafii w Musongati i na ważniejszych stacjach parafii w Mpindze, służyły budzeniu powołań i budzeniu gorliwości w modlitwie błagalnej o nowych pracowników na niwie Pańskiej.

Chociaż w listach misjonarzy z 1977 roku na pierwszy plan wysuwa się sprawa głębszego poznania środowiska, w którym pracują (list o zwyczajach związanych ze śmiercią i listy o czarownikach), chociaż dużo w nich mowy o budowaniu, to przecież duszpasterstwo tego roku było w Mpindze i w Musongati ściśle związane z kapłaństwem.

Kronika wydarzeń

20 maja – O. Józef Trybała wyjeżdża na wakacje do Polski.

4 lipca – Ks. bp przyjmuje rezygnację o. Sylwana z funkcji proboszcza w Mpindze i powierza ten obowiązek o. Eliazowi Trybale.

31 lipca – Pierwsze święcenia kapłańskie w diecezji Ruyigi parafianina z Musongati, Antoniego Sindaye, odbyły się przy licznych udziałach wiernych z Musongati i Mpingi oraz innych parafii. W święceniach wzięło też udział bardzo licznie duchowieństwo.

24 września – Wraca z wakacji o. Józef Trybała.

11 grudnia – Do Burundi przyjeżdża nowa misjonarka z Polski: s. Immakulata Front, karmelitanka Dzieciątka Jezus.

Oto najważniejsze migawki z kroniki obecnego roku. Resztę wyczytamy w listach misjonarzy.

Co zbudowaliśmy w 1977 roku?

1. W miesiącu maju rozpoczęto budowę kościoła na stacji misyjnej w Gakome.
2. Na terenie parafii Mpinga zbudowano katechumenat wraz z domem księdza na stacji

misyjnej w Gatare.

3. W Musongati zbudowano dom dla nauczycielek i pielęgniarek oraz szkołę gospodarczą.
4. Wypalono 4 piece cegły na stacjach misyjnych parafii Mpinga.
5. Na stacji misyjnej w Kiguhu wybudowano katechumenat.
6. Połowę dachu na katechumenacie w Mpindze pokryto eternitem.

Z listów misjonarzy:

Kurs języka kirundi w Muyange.

Muyange, 20.02.1977 r.

J.M.J.T.

Drodzy Przyjaciele!

Za kilka dni minie pięć miesięcy od mojego przyjazdu do Burundi. Niewiele mniej czasu upłynęło od chwili, gdy podzieliłem się z Wami swoimi wrażeniami z podróży i pierwszych dni pobytu w tym kraju. Zdaję sobie doskonale sprawę z tego, że czekacie od dawna na dalsze wiadomości. Wybaczcie, że tak długo kazałem Wam na nie czekać. Wiem, co to jest oczekiwanie na wieści od nowo upieczonego misjonarza. Doświadczyłem tego sam, będąc w kraju. Wierzcie mi jednak, że istnieje jeszcze druga strona medalu, którą Wy musicie uwzględnić, by zbyt pochopnie nie posądzać mnie o brak pamięci, nie wywiązywanie się z obietnic, lenistwo, itp.

Wychodzę z założenia, że każdy list, zwłaszcza jeśli jest on skierowany do szerszego ogółu odbiorców, winien być owocem pewnej refleksji nad tym, co chce się przekazać. By to było jak najbliższe prawdy, musi upłynąć nieco czasu, bo jak powiada polskie przysłowie: „Co nagle, to po diable”. Sam już zauważyłem, że w pierwszym liście użyłem sformułowania, jakoby typowymi domkami były tu domki okrągłe. Spotyka się je owszem, ale tutejsi mieszkańcy w ogromnej większości budują swoje domy na planie prostokąta. Pouczony tą pomyłką, postanowiłem „odczekać” trochę czasu. I tak oto upłynęło już kilka miesięcy.

Poza tym nie brakuje mi zajęć pochłaniających wiele cennego czasu. W wirze tych zajęć nie zauważa się nawet, że tygodnie upływają tak szybko. Mam wrażenie, że dopiero co przyjechałem, a tu już prawie pięć miesięcy! Jedynym wytłumaczeniem tego będzie chyba fakt, iż my tu na równiku obracamy się z nieco większą szybkością niż wy w kraju!

Od 18 października ubiegłego roku odbywam kurs języka kirundi w miejscowości Muyange, położonej o 150 km na pń-zach. od Mpingi. Chciałbym Wam napisać nieco więcej na ten temat, jako że – o ile dobrze się orientuję – nie mieliście dotąd okazji zapoznać się bliżej ze szczegółami życia misjonarzy w tym ośrodku studium języka. Nim jednak przejdę do tego tematu – gwoli kronikarskiej ścisłości – kilka słów o wydarzeniach dzielących mój przyjazd do Burundi i wyjazd do Muyange.

Pierwszy tydzień spędziłem w Mpindze. Miałem sporo wolnego czasu, więc mogłem zapoznać się z samą misją i jej najbliższym otoczeniem. Misja w Mpindze liczy sobie już ponad 30 lat. Nie trzeba być wcale bystrym obserwatorem, by zauważyć poszczególne etapy jej rozbudowy. Obok istniejących jeszcze, ale zamienionych na warsztaty zabudowań z pierwszego okresu istnienia misji, stoi budynek nieco nowszy. Mieści się w nim kaplica, pokoje gościnne, magazyny. Jest to budynek z drugiej fazy rozbudowy misji. I wreszcie najnowsza część, mieszcząca w sobie nasze pokoje, kuchnię, jadalnię i salę rekreacyjną, pracownię i biura parafialne. Obok wznosi się obszerny kościół, dalej szkoła, katechumenat.

Ostatnio misja wzbogaciła się o nowy i bardzo potrzebny obiekt socjalny, poświęcony i oddany do użytku przez ks. biskupa Joachima Ruhunę w niedzielę 10 października ub. roku. Tego dnia odbyła się także uroczystość bierzmowania ok. 250 wiernych. W czasie Mszy św. koncelebrowanej przez nas wszystkich pod przewodnictwem ks. Biskupa, zostałem

przedstawiony wraz z o. Bartłomiejem licznie zgromadzonym parafianom. Przywitali nas rześzystymi oklaskami. Po Mszy św. i poświęceniu „foyer social” brałem udział w okolicznościowym występie, na który złożyły się przemowy, tańce i śpiewy zarówno dzieci, młodzieży, jak i dorosłych. Był to rodzaj podziękowania z ich strony tym wszystkim, którzy przyczynili się do zbudowania tego obiektu, a jednocześnie okazja do zabawy, w której dają wyraz swemu zamiłowaniu do tańców i śpiewów.

Jeszcze tego samego dnia, późnym wieczorem pożegnałem ojców Teofila, Sylwana, Eliasza i Bartłomieja i wyjechałem do drugiej naszej misji w Musongati.

Musongati, jak zapewne orientujecie się, istnieje jako samodzielna misja zaledwie od kilku lat. Przedtem była to pomocnicza stacja misyjna Mpingi. Nic więc dziwnego, że jest to misja będąca w trakcie budowy. Trzeba zastąpić stare i ciasne pomieszczenia, wybudować nowe, dotąd nie istniejące. Wspólnym wysiłkiem misjonarzy (o. Jan Kanty, o. Kamil, o. Józef, br. Marceli) i misjonarek (siostry karmelitanki Dzieciątka Jezus), robotników i wiernych, nakładem dużych kosztów wybudowano dotąd pomieszczenia dla ojców, dla sióstr i katechumenat. Na ukończeniu jest budowa „foyer social”. W planie – budowa kościoła, centrum zdrowia, szkoły, drugiego katechumenatu.

Kilka dni wakacji, jakie pozostały mi do chwili rozpoczęcia kursu, upłynęło bardzo szybko. W sobotę, 16.10.1976 roku, z o. Janem Kantym i br. Marcelim opuściłem Musongati i przez Gitegę, Ngozi przyjechałem do Muyange.

Muyange! W języku kirundi słowo to oznacza po prostu – „łąka”. Być może wówczas, gdy nadawano tę nazwę, rozciągały się w tym miejscu rozległe łąki, wypasane przez stada krów panującego tu księcia o egzotycznym nazwisku Baranyanka. Dziś ich miejsce zajęły plantacje kawy, poletka bananów, kukurydzy, ziemniaków, patatów, grochu, sorgo, fasoli. Musicie bowiem wiedzieć, że region, w którym leży Muyange, jest bardzo zaludniony. O ile w części południowo-wschodniej kraju przypada na 1 km² kilkadziesiąt osób, średnia krajowa wynosi ok. 140 osób na km², to tu, w północno-zachodniej części Burundi zaludnienie sięga w niektórych okręgach do 400 osób na km². Nic więc dziwnego, że jest to region zieleni, region tętniący życiem, region, którego mieszkańcy starają się wykorzystać każdy nadający się pod uprawę skrawek ziemi.

Nie bez znaczenia jest też fakt, że posiada on dogodne połączenie drogowe (asfaltowa szosa) ze stolicą kraju – Bujumburą. Pozwala to na stosunkowo łatwy zbył i transport produktów rolnych, kawy oraz herbaty z pobliskiej 800-hektarowej plantacji w Rwegurze.

Tu, niedaleko od Muyange, bierze także początek najważniejsza rzeka Burundi, „rzeka hipopotamów” – Ruvubu.

Te niewątpliwe zalety sprawiły, że przed 15-tu laty Ojcowie Biali, pierwsi i niemal jedyni w tym czasie misjonarze w Burundi, zdecydowali się założyć właśnie tu, w Muyange ośrodek kursów języka kirundi. Wykupili w tym celu kilka hektarów gruntu i kosztem 5 mln tutejszych franków wzniesli obszerny piętrowy gmach, kaplicę, bibliotekę i zabudowania gospodarcze.

Ośrodek został założony głównie z myślą ułatwienia przyszłym misjonarzom studium języka kirundi. Wprawdzie wykorzystywany jest on także jako dom rekolekcyjny, ale tylko w miarę potrzeb i pod nieobecność kursantów.

Kursy organizowane są raz lub dwa razy w roku, w zależności od liczby zgłaszających się. W początkowym okresie jedna sesja trwała około 6 miesięcy, aktualnie zmniejszono ją do nieco ponad cztery miesiące.

Należy też dodać, że co roku ma miejsce kurs skrócony dla tych spośród misjonarzy, którzy odczuwają potrzebę powtórzenia, względnie uzupełnienia zdobytych już uprzednio na kursach wiadomości. Kurs ten trwa zwykle dwa tygodnie.

Ośrodek może przyjąć jednorazowo 30 osób. W ciągu kilkunastu lat jego istnienia przewinęło się tu już grubo ponad 300 misjonarzy: duchownych, świeckich, zarówno katolików jak i protestantów z wielu krajów świata. Obecny kurs jest jednym z liczniejszych i bardziej urozmaiconych. Na 30 osób, reprezentujących siedem narodowości, zdecydowanie

przeważają Włosi (17), dalej Hiszpanie (4), Polacy (obok brata Marcellego i mnie jest tu także polska szarytka – s. Bernarda Baran, pracująca od dwóch lat wśród trędowatych na terenie naszej diecezji Ruyigi). Są tu ponadto dwie Szwajcarki, Meksykańczyk, Belgijka, Amerykanka i Niemka (te dwie ostatnie to protestantki). W skład całej tej grupy wchodzi 13 księży, 13 zakonnic, brat zakonny oraz trzy osoby świeckie.

Różnimy się nie tylko narodowością i stanem, ale także wiekiem i stażem pracy misyjnej. Obok „młodzieży misyjnej”, tzn. misjonarzy w wieku 26-30 lat, są tu i jubilaci w wieku 50 lat, obok nowo przybyłych – „weterani” posługi misyjnej, pracujący tu od dwóch, pięciu, a nawet... dwudziestu lat.

Pomimo tych oczywistych różnic, czujemy się wszyscy jedną wspólnotą, ożywioną tym samym ideałem, jakim jest szerzenie Dobrej Nowiny o Chrystusie. Bardzo szybko doszliśmy do przekonania, że jeśli chcemy dobrze wykorzystać kurs, musimy stworzyć atmosferę wzajemnego zaufania, przyjaźni i współpracy. Zaczęliśmy, rzecz prosta, od wieczorku zapoznawczego. Każdy starał się nakreślić własne koleje życia i motywy, jakie go sprowadziły do Burundi, plany i nadzieje na przyszłość. To wzajemne poznanie pogłębiło się w miarę godzin spędzonych wspólnie w sali wykładowej, w kaplicy, w czasie posiłków i rekreacji.

Dziś, po czterech miesiącach, czujemy się zżyci i zaprzyjaźnieni do tego stopnia, że u wielu smutek rozstania bierze górę nad radością ukończenia wcale niełatwego przecież kursu.

Myślę, że zainteresuje Was teraz program dnia, w rytm którego żyje nasza wspólnota w Muyange. Wygląda on następująco:

- godz. 6.20 – modlitwy poranne (laudes)
- 6.30 – Msza św.
- 7.30 – śniadanie
- 8.30 – wykłady
- 10.20 – drugie śniadanie
- 12.30 – obiad
- 14.30 – wykłady (1 godz.)
- 16.30 – podwieczorek
- 19.20 – modlitwy wieczorne (nieszpory)
- 19.30 – kolacja
- 21.30 – spoczynek

Jak widać jasno z tego programu, trzy rzeczy przeplatają się wzajemnie w ciągu dnia: modlitwa, posiłek i studium.

Dwa razy w ciągu dnia, rano i wieczorem gromadzimy się wspólnie w domowej kaplicy, by chwalić Pana modlitwą psalmów. Jednakże naczelne miejsce zajmuje tu Msza św., którą początkowo koncelebrowaliśmy w języku francuskim, a od dwóch miesięcy w języku kirundi. Od czasu do czasu, z racji przypadających świąt, spotykaliśmy się na okolicznościowym nabożeństwie lub rozważaniu Pisma św.

Wspólna modlitwa odgrywa ważną rolę, nie zaspokaja jednak w pełni naszych potrzeb osobistych. Dlatego też inne praktyki religijne, takie jak: różaniec, rozmyślanie, czytanie duchowe każdy stara się wypełniać osobno i w miarę wolnego czasu.

Pogram dnia przewiduje pięć posiłków. Jest to dość dużo, jeśli zważy się, że w Burundi w ogromnej większości tubylcy jadają tylko raz lub dwa razy dziennie. Zapewne zainteresuje Was jakoś podawanych nam posiłków.

A więc na śniadanie mamy do dyspozycji prawdziwą kawę, mleko w proszku, chleb pszenny, masło, dżem, czasem ser lub jakąś wędlinę. Na drugie śniadanie: kawa i herbata. Obiad składa się z dwóch dań i deseru. Pierwsze danie, to różnego rodzaju zupy. Na drugie danie serwują nam zwykle ziemniaki i mięso, na zmianę zaś: sałatę, kapustę, marchew, groch, fasolę. Deser – to tutejsze owoce (banany, ananasy, truskawki) lub budyń. W niedzielę

dodatkowo podaje się napoje takie, jak: coca-cola czy piwo. Na podwieczorek mniej więcej to samo, co na śniadanie. Menu kolacji zbliżone jest do menu obiadowego.

W sumie więc kwestia żywienia nie stanowi dla nas problemu. Ilość kalorii zupełnie wystarczająca. Wprawdzie można mieć czasem zastrzeżenia, co do sposobu przyrządzania i podawania posiłków, ale kładziemy to na karb braku doświadczenia naszych młodych czarnych pięciu kucharzy.

Wiecie już, że pierwszorzędnym celem, który nas sprowadził do Muyange, nie jest ani modlitwa, ani smakowanie tutejszej kuchni, ale studium języka kirundi.

Chciałbym więc napisać Wam coś na ten temat. Nim jednak przejdę do tego, kilka zdań o samym języku, jego podstawowych zasadach i właściwościach.

Język kirundi należy do grupy języków bantu. Posługuje się nim blisko 4 mln ludzi w Burundi oraz poza granicami tego kraju (chodzi tu o dziesiątki tysięcy uchodźców w Tanzanii, Rwandzie i Zairze).

Podstawową zasadą języka kirundi, nie spotykaną w językach europejskich, jest podział na tzw. „klasy”. System 17 klas szereguje w odrębnych grupach poszczególne rzeczowniki. I tak np. klasa I, mająca cechę – mu – obejmuje istoty rozumne w liczbie pojedynczej (u-mu-ntu – człowiek, u-mu-gore – kobieta, u-mu-pfumu – czarownik...). Odpowiednikiem ich liczby mnogiej jest klasa II z cechą – ba – (a-ba-ntu – ludzie, a-ba-gore – kobiety, itp.). Klasa IX i X charakteryzująca się cechą – n – obejmuje swym zasięgiem niemal wszystkie nazwy zwierząt (-i-n-ka – krowa – i-n-tare – lew, itp.). Pojęcia abstrakcyjne zgromadzone są na ogół w klasie XIV i mają cechę – bu – (-u-bu-ntu – ludzkość, dobroć, u-bu-za – piękność, u-bu-kene – ubóstwo, itd.). Gdy chce się przedstawić pojęcie czegoś małego, dorzuca się do tematu cechę – ka – (klasa XII), np. -a-ka-bwa – piesek. Pojęcie przestrzeni obejmuje odrębna klasa XVI (cecha – ha), np. a-ha-ntu – miejsce.

System klas nie ogranicza się jedynie do rzeczowników. Znamionuje on także przymiotniki, liczebniki, przysłówki oraz zaimki, zaś w zdaniu wymaga zharmonizowania orzeczenia z rządzącym nim podmiotem. Tę zależność, czyniącą język bardzo logicznym, ale i trudnym dla obcokrajowców, najlepiej prześledzić na prostym przykładzie: „Moi dwaj wysocy przyjaciele rozmawiają” – A-ba-genzi ba-nje ba-reba-re ba-biri ba-ra-yagana. W dosłownym znaczeniu szyk jest następujący: Przyjaciele moi wysocy dwaj rozmawiają. Zwróciliście zapewne uwagę na powtarzającą się cechę – ba – (II). Podobną melodyjność spotyka się także w innych klasach z tym, że tam będzie chodziło np. o -mu-, -n-, -pu-, -ka-, -tu-, -ha-, itp.

Rzeczą dość trudną do opanowania jest rozbudowana i skomplikowana odmiana czasowników, tonacja wyrazów oraz cały szereg wyrażen i przysłów, jakimi na co dzień posługują się mieszkańcy Burundi.

W trakcie przyswajania sobie słownictwa języka kirundi nie można liczyć na podobieństwo z wyrazami polskimi. Jedynym wyjątkiem, słowem rdzennie tutejszym, którego nie trzeba uczyć się na nowo, jest pojęcie wszystkim nam bardzo bliskie: mama.

To tyle z kilku uwag, które chciałem przekazać Wam na temat języka. Wiem, że jest to bardzo mało, a nadto nieporadnie przedstawione, byście mieli choćby ogólne wyobrażenie o kirundi. Sam choć prześlęczałem nad nim kilka miesięcy, widzę, że niewiele jeszcze potrafię. Dochodzę do wniosku, że nadal o wiele łatwiej jest pisać coś na temat języka, niż tymże językiem się posługiwać.

A więc jak wyglądało studium, o którym obiecywałem wyżej napisać? Sporo czasu spędzaliśmy oczywiście w sali wykładowej. Dziennie mieliśmy tam po dwie, trzy, a nawet cztery 50-minutowe godziny lekcyjne: w sumie 18 wykładów tygodniowo.

Od sześciu lat zajęcia w Muyange prowadzi o. Alfons Nijs, Belg, ze zgromadzenia Ojców Białych, jeden z lepszych znawców skomplikowanej gramatyki języka kirundi. W tym niełatwym zadaniu służy mu radą i pomocą czarny asystent – Makario. Zajęcia prowadzone są metodą tradycyjną (analiza gramatyczna, ćwiczenia) według kursu opracowanego przez niejaką panią Cox, misjonarkę protestancką, przebywającą w Burundi od wielu, wielu lat.

Jego niewątpliwą zaletą jest to, że podaje materiał w sposób progresywny, od rzeczy najprostszych począwszy, a na kwestiach bardzo trudnych skończywszy. Nie daje on jednak możliwości przyswojenia sobie języka potocznego.

Język potoczny, taki, jakim na co dzień posługują się w Burundi, można przyswoić sobie poprzez studium osobiste, a przede wszystkim przez rozmowę z ludźmi.

Dlatego też sporo czasu trzeba poświęcać na lekturę prostych, ale oryginalnych tekstów w języku kirundi. Wydatną pomocą jest tu zawsze 600-stronicowy słownik, zbiór przysłów, gramatyka, a gdy to nie wystarcza, szukanie porady u samych Burundczyków. Niemal każdy z nas ma w Muyange swego czarnego profesora. Są to przeważnie chłopcy lub dziewczęta w wieku szkolnym.

Od samego początku staraliśmy się rozmawiać z nimi w ich języku. Początkowo nastręczało to olbrzymie trudności, ale z upływem miesięcy szło już coraz lepiej. Moim osobistym „profesorem”, a z czasem i przyjacielem jest 15-letni chłopiec o imieniu Salvatori. Spędziłem z nim na rozmowie blisko 100 godzin. Dla mnie była to dobra lekcja języka kirundi, dla niego zaś możliwość niewielkiego wprawdzie, ale bardzo potrzebnego zarobku.

Żadne studium nie przyniosłoby spodziewanych efektów, jeśliby nie znalazł się w nim czas na jakiś odpoczynek. W naszych warunkach jest on tym bardziej potrzebny, że to przecież Afryka, a samo Muyange leży na wysokości blisko 1700 m n.p.m.

Najprostszą formą relaksu jest oczywiście spacer. Trzeba powiedzieć, że nie brakuje nam miejsca na krótkie i dłuższe przechadzki. Możemy spacerować w przylegającym ogrodzie, w pobliskim lasku, zaś dla amatorów dłuższych wypadów stają otworem drogi, wiodące do uroczych zakątków, położonych kilka lub kilkanaście kilometrów od Muyange. Dłuższe spacery urządzamy zwykle w niedzielę.

Codziennie po obiedzie, jeśli pogoda dopisuje, gramy w siatkówkę. Poziom tych meczów nie jest nadzwyczajny, ale trzeba mieć na uwadze fakt, że dla wielu jest to po prostu siatkarski debiut. Kiedy gościmy u nas Greków i notabli z pobliskiej Kayanzy, mecze są o wiele bardziej zacięte i ciekawsze.

Od czasu do czasu spotykamy się wieczorami w naszym domowym kinie (nie ma tu jeszcze telewizji). W inne dni można spotkać tam amatorów „kanasty”, popularnej w Burundi gry w karty.

Te wszystkie zajęcia (modlitwa, posiłki, studium i wypoczynek), powtarzają się niemal codziennie, sprawiają, że niecierpliwie czeka się na jakieś wyjątkowe wydarzenia. Nie brakowało ich w Muyange.

W połowie stycznia gościliśmy w naszym ośrodku prezydenta republiki. Jan Chrzyciel Bagaza zatrzymał się u nas w trakcie wizytacji regionu. Przyjechało z nim kilku ministrów i szefów najbliższych okręgów. Innym razem odbył się „mecz stulecia”, w czasie którego zmierzyły się ekipy „pań” i „panów”. Oczywiście zwycięstwo przypadło w udziale tym drugim. Niecodziennym wydarzeniem były także rocznice urodzin niektórych kursantów. Z tej okazji miały miejsce improwizowane „koncerty”, popisy solistów i zespołów z krajów licznie reprezentowanych w Muyange.

Podobnie jak na rozpoczęcie kursu, mieliśmy wieczorek zapoznawczy, tak i teraz, u jego kresu, odbył się wieczorek pożegnalny. Było sporo różnorodnych piosenek. Szereg zabawnych skeczów, biała magia, a nawet... autentyczna corrida, w której rolami nieszczęsnego byka i zwycięskiego torreadora podzielili się dwaj zapaleńcy corridy z Hiszpanii.

Mógłbym jeszcze wspomnieć o wizycie ks. Stanisława Orlikowskiego, pallotyna, z polskiej misji w Rwandzie, ale chciałbym wreszcie zatrzymać się nad wydarzeniem, chyba najważniejszym dla mnie w ciągu tych minionych 5-ciu miesięcy. Domyślcie się już, że chodzi mi o Święta Bożego Narodzenia, spędzone po raz pierwszy z dala od kraju, z dala od Was: najbliższych, bliskich, krewnych, znajomych i przyjaciół. Obszerny to temat. Dlatego być może napiszę Wam o tym w następnym liście.

Droży Przyjaciele! Obserwuję niebo. Słońce przesuwają się powoli w Waszym kierunku.

Już wkrótce ziemia pokryje się zielenią i kwiatami. Ale wcześniej, objawi się Wam blask Zmartwychwstałego Chrystusa. Życzę Wam wszystkim, by światło, które On przynosi ze sobą na ziemię, przemieniło Wasze serca, by dzięki Niemu, Wasze myśli i czyny nabrały nowej treści, by Wasze życie złączyło się z Jego zbawienną misją, byście i Wy mieli swój udział w szerzeniu Jego Królestwa.

Łączę pozdrowienia i proszę serdecznie o modlitwę.

O. Nazariusz Kwiatkowski karm. bosy
misjonarz z Burundi

W obliczu śmierci.

Mutaha, 18 marca 1977

+

Drodzy Przyjaciele!

Bardzo serdecznie pozdrawiam w Panu!

Od mojego ostatniego listu nic szczególnego u nas nie zaszło. Chcę jednak porozmawiać z Wami, gdyż znalazłem chwilę wolnego czasu. Nie, nie tylko dlatego. Także z potrzeby serca!

Na stacji misyjnej w Mutaha, tuż przy granicy Tanzanii, prowadzę rekolekcje wielkopostne. Nie za wielu tu wiernych, więc dwie nauki, drogę krzyżową, spowiedź, różaniec i Mszę św. z długą homilią skończyliśmy już na godzinę 14.00. Potem trochę rozmów i ludzie odeszli, bo mieszkają daleko, zagubieni w buszu. Teraz trochę deszczu, więc nie można iść w odwiedzin. Korzystam zatem z chwili czasu i piszę ten list. Będzie to szczególny list. Zamierzam bowiem odpowiedzieć wreszcie tym, którzy pytali w listach o tutejsze zwyczaje związane ze śmiercią. Wprawdzie to nie listopad, ale przecież i w Wielkim Poście stoimy w obliczu śmierci i to śmierci krzyżowej, która zwycięża naszą śmierć i otwiera bramy wiecznego życia w chwale zmartwychwstania.

Mam nadzieję, że nie tylko pytający, lecz wszyscy, którzy są z nami sercem, przeczytają z zainteresowaniem, jak na śmierć patrzą nasi ludzie? Jakie zwyczaje były lub są z nią związane?

Zaraz na wstępie muszę zaznaczyć, że nie potrafię wyczerpująco omówić tematu, bo nie znam jeszcze wielu spraw związanych ze śmiercią, a nieczęsto można przeprowadzić wyjaśniające rozmowy, gdyż Burundczyk nie lubi mówić o śmierci. Dlaczego? Z obawy, aby przez mówienie o niej nie sprowadzić jej na siebie lub na swoich bliskich. Sami Burundzcy nie potrafią też wyjaśnić wielu zwyczajów związanych ze śmiercią. Gdy ich zapytać, dlaczego tak a nie inaczej należy postępować – odpowiadają bardzo prosto: „To jest obyczaj praojców, od urodzenia widziałem, że tak się robi. Kto by tego nie zachował, doznałby przekleństwa zmarłego”.

A jednak to, co chcę tu napisać, jest opowiedziane przez Burundczyków, którzy jakoś próbują wyjaśnić to, co sami przeżywają, i zebrane z dostępnych mi źródeł, spisanych przez badaczy tutejszych zwyczajów i kultury.

Dla przejrzystości podzielmy temat na zagadnienia:

1. śmierć i pogrzeb, 2. żałoba, 3. zakończenie żałoby.

1. Śmierć i pogrzeb

Jaka jest postawa Burundczyka wobec śmierci? – Przede wszystkim śmierć dla niego nie jest jakimś przypadkiem, jakimś nieprzewidzianym wydarzeniem. Jest ona wrogiem potężnym, bliskim, nieodłącznym od losu człowieka. Człowiek czuje się w każdej chwili zagrożony przez nią. Niektóre nazwiska noszone przez ludzi wyrażają to bardzo dobitnie. Np.

Rurihafi – śmierć jest bardzo blisko, Rurihose – ona jest wszędzie, Rurwaha – ona jest tuż, Rurmunzu – ona jest w domu.

W obliczu tej wszędzie obecnej śmierci, przed którą nigdzie nie można uciec, Burundczyk przybiera postawę fatalistyczną. Np.: „Kogo los przeklnie, tego też zabija”. „Granicy, którą wytyczył ci Bóg, nie przekroczysz”. „Trzeba przyjąć to, co los niesie”. „Nie przeszkodisz nieszczęściu...”.

Śmierć jest czymś nieuniknionym, z góry zaplanowanym i przeznaczonym każdemu człowiekowi. To, co tu może człowiek zrobić, to stanąć oko w oko z tą rzeczywistością i przyjąć ją spokojnie, po stoicku, mężnie. Dlatego też nie należy obawiać się iść na śmierć pierwszemu. To nawet lepsze, bo „jeżeli śmierć ma dotknąć twoją rodzinę, lepiej, by zaczęła od ciebie”. Zresztą „umiera się tylko raz”, potem wszystko skończone. Cóż zresztą pomoże strach? „Umrzeć to głupstwo, to sprawa prosta, przecież życie jest tak kruche! Umrzeć, to tyle, co przedrzeć liść!”.

Czego Burundczyk pragnie? „Umrzeć dobrze”. Znaczy to, umrzeć po możliwie najkrótszej chorobie i w otoczeniu swej rodziny.

Ta postawa stoickiego spokoju wobec śmierci nie oznacza jednak czekania na nią z założonymi rękami. Wprost przeciwnie, należy zrobić wszystko, by się przed śmiercią obronić. Rzeczywiście, rodzina ciężko chorego robi wszystko – od wezwania czarownika i stosowania różnych leków do wezwania księdza, i do modlitwy – i nie traci nadziei, dopóki umierający nie wyda ostatniego tchnienia. Dzisiaj potrafią nieść chorego w specjalnych noszach całe dziesiątki kilometrów do ośrodka zdrowia.

Skąd zjawiała się śmierć wśród ludzi? – Pewne legendy i podania na temat pochodzenia śmierci mówią, że kiedyś był czas, kiedy ludzie żyli szczęśliwie i wcale nie umierali. Żyła wprawdzie śmierć w jakiejś odległej, nieznannej krainie, ale nie mogła szkodzić żyjącym. Dopiero kiedy ludzie zaczęli się zadawać ze śmiercią, lekceważąc zabiegi Boga, który chciał ich przed nią uchronić, śmierć weszła między ludzi. Oto np. jedna z tych legend: Kiedyś ludzie żyli szczęśliwi i nie umierali wcale. Ale pewnego dnia śmierć ścigana przez Boga i jego wysłanników, w momencie gdy już, już miała być schwytana, poprosiła o schronienie u pewnej staruszki. Ta początkowo chciała ją wydać ścigającym, ale ostatecznie zdjęta litością ukryła ją, po prostu połknęła śmierć. Na pytanie ścigających: gdzie ukryłaś śmierć – odpowiedziała, przysięgając uroczyście, że nikogo nie widziała. Bóg, który wszystko wie i wszystko widzi, oznajmił: „Chciałbym was obronić przed śmiercią na zawsze; odtąd jednak będzie ona zabierać i ukrywać waszych najbliższych tak, jak wy ją ukryliście. Nie mogę jej zabić, nie zabijając was”. Odtąd zaczęło się całe nieszczęście: ludzie umierają bez względu na rasę lub kolor skóry.

Inna legenda mówi: Kiedyś ludzie umierali wprawdzie, ale nie umierali na zawsze. Po trzech dniach wracali do życia, zmartwychwstawali. Pewien człowiek miał dwie żony, które nienawidziły się wzajemnie. Pewnego dnia jedna z nich zmarła i została pochowana w domu obok łóżka. Właśnie wtedy mąż musiał odejść, wezwany na dwór królewski. Przed odejściem przykazał pozostałej przy życiu żonie: „Gdy zobaczysz trzeciego dnia, że ziemia na grobie porusza się, odwal ją natychmiast i wydobądź twoją towarzyszkę. Ale niestety, kiedy trzeciego dnia kobieta zobaczyła poruszającą się na grobie ziemię, porwała tłuczek i zaczęła walić w grób, wołając: „Zemrzyj zupełnie, zemrzyj na zawsze, nie pojawiaj się więcej między żyjącymi!”. Odtąd ludzie zaczęli umierać na zawsze.

Trudno tu osądzać naiwność tych legend. Jedno zdają się mówić: „Śmierć zdobyła władzę nad ludźmi pewnego dnia i to dzięki błędom samych ludzi, dzięki naiwnej litości i dzięki wzajemnej nienawiści”.

W rzeczywistości – dla Burundczyka – śmierć naturalna istnieje tylko w wypadku ostatecznego zużycia sił organizmu, w wypadku ostatecznych granic starości. W każdym innym wypadku śmierć jest nasyłana przez kogoś za pomocą czarów, trucizny lub rzuconego uroku. Stąd później pytanie skierowane do czarownika: „Kto był przyczyną śmierci?”. Stąd też później niesnaski i nienawiści, stąd usiłowanie zemsty. Ale to już osobne zagadnienie.

Wróćmy do śmierci, nie tej niespodziewanej, nagłej, ale tej zapowiedzianej przez ciężką chorobę. Najbliżsi i przyjaciele żywo interesują się stanem ciężko chorego. Kiedy zawiodą wszystkie środki i sytuacja staje się poważna, rodzina czuwa przy umierającym przez całą noc. Sąsiedzi przychodzą podtrzymać na duchu rodzinę i często czuwają z nią do późnych godzin nocnych.

Gdy umierającym jest ojciec rodziny i kiedy stan jego zdrowia staje się ciężki, rodzina prosi, by rozporządził swoimi dobrami. Wielu czyni to zanim ich stan stanie się beznadziejny. Wtedy ojciec rodziny, trzymając w ręku lancę – znak swej władzy – każe zbliżyć się swoim dzieciom. Stają przy nim według wieku, synowie i córki, by przyjąć ostatnie polecenie ojca i każdy swoją część dziedzictwa. Ojciec wręcza swą lancę najstarszemu synowi, który przez ten gest staje się głową rodziny z wszystką władzą i obowiązkami związanymi z tą godnością. On będzie też czuwał nad wykonaniem ostatniej woli ojca, on będzie rozkazywał braciom i siostram, on będzie dbał o potrzeby każdego z nich, szczególnie w czasie zakładania przez nich rodziny, on będzie dbał o dobre imię rodu. Czasem tę władzę otrzymuje niekoniecznie najstarszy syn, ale ten, którego ojciec uzna za godniejszego i zdolniejszego do wypełnienia obowiązków głowy rodziny. Córki nie mają prawa dziedziczenia po ojcu. Przez małżeństwo wejdą do innej rodziny. Zostają jednak oddane w specjalną opiekę najstarszego brata, nowego szefa rodziny. Prawa nabyte przez testament nabierają mocy po zatwierdzeniu rady starszych wioski w dniu zakończenia żałoby.

Kiedy ojciec rodziny umrze, czego znakiem jest zatrzymanie bicia serca i oddechu, rozlega się okrzyk bólu i alarmu, którym zawiadamia się sąsiadów, że śmierć zabrała członka rodziny. Okrzyk: jooo... jooo... ooo, przerywany przykładaniem rąk do ust można usłyszeć często, rozlega się daleko. Kiedy już zbiegną się sąsiedzi, okrzyki te przeplatane są słowami uznania i przywiązania do zmarłego. Woła się np.: „Jooo... odszedł ten, który rozpraszał naszą samotność! Joo... człowiekowi nie przeznaczone żyć długo! O, jooo... jooo... to był sprawiedliwy człowiek, kolumna podtrzymująca nasz dom, drzwi wejściowe! Jooo... wraz z tobą zgasło nasze ognisko! Z kim nas zostawiłeś?! Jakże jestem opuszczona!” – woła wdowa. – „Teraz wszyscy śmiać się będą ze mnie! Ale idź, idź w pokój!”

Rodzinę, która mieszka dalej, zawiadamia się przez specjalnych posłańców.

Po śmierci niektórych osób nie wolno wcale lamentować. Nie oplakuje się np. człowieka, który zginął od pioruna, bo wówczas innych członków rodziny mógłby spotkać ten sam los. Nie oplakuje się też dzieci, które jeszcze nie doszły do używania rozumu, oraz dzieci nie odstawionych od piersi. W tym ostatnim wypadku zawiadamia się spokojnie sąsiadów, zwłaszcza sąsiadki, które przychodzą pocieszyć matkę.

Wróćmy jednak do zmarłego ojca. Natychmiast po śmierci i wydaniu okrzyków bólu i żalu, cała rodzina zbiera się przy zwłokach dla dokonania zwyczajowych obrzędów.

Najpierw dokonuje się namaszczenia ciała czystym masłem. Matka i synowie i wreszcie córki według starszeństwa podchodzą, by namaścić czoło, zamknięte oczy, piersi, dłonie i stopy zmarłego. Matka wymawia przy tym słowa: „Bądź dla rodziny, dla dzieci i dla mnie, przyczyną błogosławieństwa i dobrobytu”.

Następnie, w niektórych okolicach, następuje „namaszczenie mąką z sorga. Za pomocą małego kamienia, którym rozciera się ziarno na dużym kamieniu młyńskim, nasypuje się nieco mąki na czoło i dłonie zmarłego, wymawiając tę samą formułę: „Bądź...”.

Obydwie praktyki mają za cel wyrażenie czci dla zmarłego ojca i wyproszenie dla osieroconej rodziny błogosławieństwa jego ducha.

Teraz strzyże się i goli zmarłego, aby mógł godnie pokazać się w królestwie zmarłych.

Później ściąga się wszelkie ozdoby i amulety z szyi i rąk zmarłego (chrześcijanie zawieszają na jego szyi medalik i różaniec). Ściąga się także odzież.

Dawniej zaplatało się i zawiązywało ręce na szyi oraz podginało i podwiązywało nogi w kolanach. Zmarły był chowany w postawie siedzącej, w grobie wykopanym w formie kwadratu. Nie mieć kogoś, kto oddałby tę ostatnią posługę, było znakiem największego opuszczenia. Stąd jedno z największych przekleństw: „obyś został pochowany bez

podwiązania”. Dzisiaj ciało zmarłego w prostej postawie zawija się w matę i chowa w grobie podłużnym.

W dwie lub trzy godziny po śmierci zwłoki zmarłego bywają już gotowe do pogrzebania. Dawniej ojca i matkę rodziny grzebano wewnątrz zagrody. Dzieci chowano gdzieś w pobliżu domu. Grób wyścielano drobną trawą.

Dzisiaj grzebie się zmarłych na cmentarzu parafialnym lub na cmentarzach w poszczególnych wioskach. Złożenie do grobu jest obowiązkiem rodziny. Dokonują tego obrzędu mężczyźni. Chrześcijanie z pobliza parafii przynoszą ciało zmarłego do kościoła, by je kapłan pokropił wodą święconą. Przy okazji modlimy się za zmarłego i jego rodzinę. Kobiety nie biorą udziału w pogrzebie. Przez sześć lat tylko trzy lub cztery razy widziałem kobiety na cmentarzu w czasie grzebania zmarłych. W grobie zwłoki mężczyzny układa się na prawym boku, zwłoki niewiasty na lewym.

Pogrzeb chłopców i dziewcząt odbywa się niemal w ten sam sposób. Opuszcza się tylko namaszczenie masłem i mąką. W rękę zmarłego chłopca i dziewczyny wkłada się wygasły węgiel drzewny na znak, że ich życie zgasło na zawsze bez wydania owocu, potomstwa.

Mężczyźni, którzy dokonali pogrzebania ciała zmarłego, otrzymują piwo. Tymczasem w rodzinie rozpoczyna się żałoba.

Zanim o niej opowiem, chcę jeszcze wspomnieć o niektórych szczególnych wypadkach.

1. Gdy ktoś zginął od pioruna, był chowany na miejscu wypadku, bez strzyżenia, golenia i innych obrzędów. Nie był grzebany zupełnie. Jeden palec – a niektórzy mówią, że cała ręka – musi wystawać z grobu. Miejsce takiego grobu stawało się miejscem przeklętym.

2. Osoby oskarżone o trucie lub rzucanie uroku, złodzieje krów, dziewczęta w ciąży, trędowaci i zmarli na zakaźne choroby byli paleni lub wiązani i wyrzucani w busz. Nikt nie płakał nad nimi i nikt nie grzebał ich ciał. Służyły za pokarm hienom i szakalom.

3. Według wierzeń dawnych Burundczyków, król nie mógł umrzeć śmiercią naturalną. Powinien wypić zatruty miód i tak odejść w zaświaty. Jego zwłoki nie były chowane w grobie, lecz zawijane w delikatne maty i wynoszone w głębokie lasy przez osobny klan (rodzina strzegąca królewskich grobów). Tam namaszczano zwłoki masłem przez cały dzień, a następnie suszono zawieszone nad spokojnym ogniem. Czuwano przy nim, dopóki ostatecznie nie wyszedł z niego robak, który zgodnie z wierzeniem, rosnąc przekształcał się w lwa. Tego już nikt nie widział, ale tak wierzano. Duchy zmarłych członków rodziny królewskiej przechodziły w ten sposób w inne zwierzęta. Jak mocne było i jest przekonanie o tym, niech świadczy następujące zdarzenie:

W naszej parafii Mpinga można spotkać stosunkowo więcej węzów niż gdzie indziej. W stolicy zjawili się „poszukiwacze węzów” dla któregoś z belgijskich uniwersytetów. Zamawiali je żywe u naszych ludzi. Kiedyś nasz „łapacz węzów” przyniósł na misję dużego pytona, byśmy go jakoś przetrzymali do przyjazdu gościa ze stolicy. Zamknięto go w skrzyni. Po kilku dniach, zanim mógł przyjechać kupiec ze stolicy, wąż „zmarł”. Śmierć zauważono wieczorem. Postanowiliśmy, że jutro zakopie się węża w lesie i koniec. Tymczasem późnym wieczorem przychodzą nasze czarne siostry zakonne z uroczystym ostrzeżeniem, byśmy czasem nie zrobili takiego błędu i nie zakopali węża w misyjnym lesie. Ale dlaczego – pytamy. Bo potem, jakiegolwiek nieszczęście zdarzyłoby się w Mpindze, ludzie przypiszą je ojcom. Nie, nie wolno go zakopać w misyjnym lesie! Trzeba wezwać „łapacza węzów”, niech go zabierze. Ale dlaczego taka ostrożność? – pytamy. Nie chciały wyjaśniać. Sięgamy zatem po słownik. Okazuje się, że pyton jest „wężem świętym”, bo w niego wcielila się dusza pewnej księżniczki. Jakaś przedziwna historia z pytonem wydarzyła się dawno za króla Mutaga w Kagondo, tj. 5 km od Muramvyi. Westalka imieniem Barahemana, która miała mieć z tym ścisły związek, żyła jeszcze w 1960 roku (tak!). Odtąd nikt nie ośmieli się zabić „świętego węża”.

Zawiadomiono zatem „łapacza węzów”. Przyszedł z dwoma czarownikami. Specjalnymi ziołami i płynami obmyli węża i skrzynię i ponieśli zmarłego w jakieś niedostępne miejsce, by go pochować godnie, bo nuż właśnie w niego wcielona była ukochana księżniczka (tak po

cichu mówiąc, zdarli skórę z węża, bo przecież i skórę kupią Europejczycy).

Rozmawiałem później na ten temat z niektórymi ludźmi. Śmieją się z tych bredni, ale wiedzą, że ogół prostych ludzi, także chrześcijan, tak wierzy i tak jest przekonany.

Wróćmy jednak do tematu.

2. Żałoba

Żałoba trwa: po królu od 3 miesięcy do roku w całym kraju; po księciu – od 1 do 3 miesięcy w jego księstwie; po szefie wioski – cały miesiąc w jego wiosce; po ojcu lub matce rodziny od 5 do 12 dni; po chłopcu lub dziewczynie – 3 dni.

Nawet po „śmierci” psa była przewidziana żałoba jednego dnia dla wszystkich, którzy czerpią wodę z jednego źródła.

Dzisiaj okres żałoby trwa zazwyczaj krócej.

Słowo „żałoba” ma tu szczególne znaczenie, także znaczenie społeczne. Dla Burundczyka żyć, to znaczy przynależeć do społeczeństwa, to uczestniczyć w uświęconym życiu przodków, to przekazywać życie w dalsze pokolenia i w ten sposób przedłużać też samego siebie. Nikt nie umiera całkowicie, pozostaje jakoś w rodzinie i w społeczności.

Żałoba jest obowiązkowa dla bliższej i dalszej rodziny. Sąsiedzi nie muszą w niej brać ścisłego udziału. Zazwyczaj jednak biorą w niej udział z potrzeby serca, by okazać współczucie rodzinie, by pomóc, by dokonać czynności, od których rodzina w żałobie powinna się powstrzymać. Obliczone to jest także na wzajemność, bo przecież sami też mogą potrzebować pomocy w czasie żałoby.

Zanim rozpoczęła się żałoba należało: motykę, którą był pogrzebany zmarły, pozostawić zatknietą na jego grobie, wynieść w jakieś niedostępne miejsce ozdoby i odzież zmarłego oraz jego łóżko (oczywiście, jeżeli je posiadał). Należało usunąć specjalne zakończenie dachu, usunąć jedną z belek podtrzymujących dach, usunąć jeden słupek w bramce wejściowej do zagrody. Najczęściej robiono bramkę w nowym miejscu, zagradzając dawną. Jeżeli umarła matka usuwano jeden z trzech kamieni ogniska domowego.

W czasie żałoby zaprzestawano wszelkiej pracy w polu. Było to szczególnie uciążliwe w czasie żałoby po królu. Starzy ludzie pamiętają, że wtedy wychodzono uprawiać pola w nocy przy blasku księżyca, żeby nie zginąć z głodu. Okres żałoby był zresztą okresem postu. Tylko sąsiedzi przynosili coś do zjedzenia, szczególnie dla dzieci. Nie wolno używać soli, mięsa, piwa, bananów. Należy powstrzymać się od wszystkiego, co przyjemne, także od pożycia małżeńskiego. Sól np. mogłaby pobudzić apetyt śmierci i mogłaby przyjść „zjeść” kogoś z rodziny. Nie wymawiało się słowa jeść, bo to śmierć je, śmierć pożera.

Odbywający żałobę nie myli się, nie golili się, spali wprost na bananowych liściach. Nie zamiatano, nie zapalano ognia. Trudno tu wyliczyć wszystkie praktyki i zwyczaje obowiązujące w czasie żałoby. Wiele z nich zachowuje się skrupulatnie do dzisiaj, inne przeszły do historii, jako praktyki praojców.

Do dzisiaj jednak okres żałoby jest okresem „świętym” i ma wielkie znaczenie. On cementuje więź rodzinną i sąsiedzką.

Trzeba jednak zaznaczyć, że żałoba z jednej strony podyktowana przez szacunek dla zmarłego, przez chęć wyrażenia współczucia rodzinie dotkniętej nieszczęściem, jest także wyrazem lęku, jaki budzi śmierć i duch zmarłego.

Wraz ze śmiercią kogoś z krewnych czy sąsiadów zjawiała się „wśród nas” potężna pani, która nie oszczędza nikogo, która dla każdego może być niebezpieczna. Przez praktyki żałoby należy oczyścić ścieżki, którymi przeszła.

Burundczyk wie, że człowiek składa się z ciała i duszy. Ciało umiera, pozostaje jednak dusza, która może szkodzić ludziom, zwłaszcza gdyby się nie dopełniło wiernie żałoby. Żałoba zatem ma uodpornić żyjących przeciw szkodliwemu działaniu ducha zmarłego. Obawa przed tym działaniem jest wielka, dlatego np. od dnia śmierci nie wolno wymawiać

imienia zmarłego. Zastępuje się je określeniem: ten, który odszedł, który zginął. Chrześcijanie powiedzą: ten, który odpowiedział na wezwanie Pana, który został powołany przez Boga.

3. Zakończenie żałoby.

Chcę tu powiedzieć osobno kilka słów o zakończeniu żałoby, bo to szczególna uroczystość, po której powraca się do normalnego życia.

Wieczorem, w przeddzień zakończenia żałoby, wszyscy jej uczestnicy strzygli sobie głowy. Dzisiaj już nie wszyscy to praktykują. Tej nocy wolno już było spożywać potrawy przedtem zabronione.

Wczesnym rankiem mężczyźni i chłopcy szli do odległej rzeki, by się wykąpać. Później nie mogli już myć się w tej rzece ani czerpać z niej wody. Dlatego szukano rzeki odległej.

Tymczasem kobiety i panny zmywały cały dom i podwórko wodą przyniesioną wieczorem. Wszelkie śmieci i liście bananów, na których spano w czasie żałoby, palono na rozstaju dróg. Następnie kobiety myły się w domu.

Mężczyźni wracali od rzeki innymi ścieżkami. Przed wejściem do zagrody zastawiali dwie różgi wbite w ziemię przez sąsiadów. Pomiędzy różgami leżał na brzuchu chłopiec z sąsiedztwa. Inny chłopiec ukryty w domu wybiegał w tym momencie, przeskakiwał leżącego i uciekał. Przez cały dzień nie mógł się pokazać nikomu na oczy, zwłaszcza wdowie. To symbol śmierci, która właśnie „uciekła” z domu.

Przed południem cała rodzina odświętnie ubrana zbierała się w domu na ceremonię wypicia mleka. Sąsiad, proszony o to poprzedniego dnia, podawał uczestnikom żałoby mleko poczynając od najstarszego syna. Jeżeli córki zmarłego wyszły już za mąż otrzymywały mleko z rąk swoich mężów. Małe dzieci nie mogły pić tego mleka, nawet nie mogły uczestniczyć w tej ceremonii.

Dawniej, synowie zmarłego ojca przed wypiciem mleka spożywali pewne zioła gotowane z krwią krowy. Nazywało się to „spożywaniem opieki” zmarłego. W niektórych bogatszych rodzinach zabijano z tej okazji krowę, którą spożywali uczestnicy święta zakończenia żałoby.

Dzisiaj zamiast mleka najczęściej używa się piwa z sorgo, do którego miesza się kilka kropel mleka. Ceremonia picia mleka kończy się przemówieniem gospodarza uroczystości. Jest to najczęściej któryś z sąsiadów. Mówi on np.: „Przyjaciele, przyszlście nas pocieszyć po stracie naszego drogiego zmarłego. Zechciejcie zatem podzielić naszą skromną ucztę. Wiecie dobrze, jakie miejsce zajmował w naszym życiu zmarły. Odszedł, lecz pozostanie z nami na zawsze, pozostanie z wami, którzy zostaliście przy życiu, pozostanie w swoim potomstwie. Weźmijcie w opiekę to potomstwo, które osierocił, weźcie w opiekę wdowę. Dzisiaj kończymy uroczyste żałobę, dzisiaj oznajmiamy, że drogi nam człowiek odszedł i dzisiaj wracamy do normalnego życia”.

Kalebasa, w którym podawano mleko, przechowuje się w specjalnym miejscu w domu. Nie wolno go ruszyć, aż do śmierci następnego domownika. Gdyby go ruszyć wybuchnęłoby, zabijając wszystkich członków rodziny. Wprawdzie tego nikt nie doświadczył, ale tak się wierzy.

W niektórych rodzinach po wypiciu mleka urządza się coś w rodzaju procesji dookoła pól zostawionych przez zmarłego. Na przodzie kroczy najstarszy syn z lancą i sierpem w ręku, za nim postępuje reszta rodziny z motykami niesionymi na głowie lub ramieniu.

Dopiero po tej procesji zaczyna się właściwe święto i to duże święto. Podaje się dużo piwa i następuje wiele przemówień, zgodnie z przysłowiem, które mówi, że mężczyzna nie idzie do tego, który urządza święto tylko po to, aby pić, ale idzie, aby podzielić się słowem. W przemówieniach chwala się cnoty zmarłego, przypomina, co zrobił dla rodziny, wioski i dla kraju. To nie tylko rodzina straciła kogoś drogiego, lecz wszyscy. Jeszcze raz poleca się opiece rodziny i sąsiadów wdowę i sieroty.

Jeżeli zmarły pozostawił długi, należy je przy tej okazji omówić i zdecydować, jak je spłacić. Kto przy uroczystości zakończenia żałoby nie wystąpił ze swoimi pretensjami, nie może później nawet wspominać, że zmarły był mu coś winien. Jeżeli wynikną sprawy zbyt zawiłe, by je natychmiast rozstrzygnąć (zwykle jest to już późna godzina nocy i podchmieleni nie są zdolni do jasnego myślenia), starszyzna wioski zobowiązuje się rozstrzygnąć sprawę później. Rodzina jeszcze raz podaje piwo i po rozejściu się gości wraca do normalnego życia.

No, niezupełnie, bo jeszcze należy osobno zaprosić szczególnie bliskich przyjaciół rodziny, którzy na święto ofiarowali piwo. W innym dniu zaprasza się dalszych znajomych i sąsiadów, którzy kiedykolwiek oddali przysługę rodzinie.

Zmarłego będzie się jeszcze wspominać (bez wymawiania jego imienia) w specjalnym rycie czci dla ducha przodków, zwłaszcza wtedy, gdy rodzina sądzi, że duch ten jest o coś zagniewany. Chrześcijanie wspomną o zmarłym w modlitwach. Czasem, szczególnie w rocznicę śmierci, poproszą o ofiarowanie Mszy św. za jego duszę. Cmentarze bywają mocno zaniedbane. Odwiedza się je z okazji dnia zadusznego. Nie spotkasz na nich kwiatów. Ponieważ często grzebie się zmarłych bardzo płytko, psy, szakale lub hieny rozkopują groby. Nikt się tym za bardzo nie przejmuje.

Kończę, Kochani, ten długi list. Jestem świadom, że i tak nie wyczerpałem tematu. Kończę, bo już gwiazdy zawędrowały daleko, noc w buszu wycisza się, tylko gdzieś w pobliżu słychać hukanie sowy.

Dobranoc zatem i „z Bogiem!” aż do następnego listu.

Nie zapomnijcie pomodlić się, by Zmartwychwstały Chrystus rozpraszał cienie śmierci, która mrokiem strachu napawa serca naszych ludzi, by prowadził nasze serca ku nadziei wiecznego życia i chwały!

Wasz misjonarz z buszu

br. Teofil St. Kapusta OCD

„Czarownicy są na świecie!”

+

Mpinga, czerwiec 1977

Drodzy Przyjaciele!

Serdecznie pozdrawiam w Chrystusie Panu!

Chociaż mój ostatni list mówił o śmierci i chociaż zawierał wiele błędów stylistycznych i ortograficznych, wielu z Was przeczytało go z zainteresowaniem. Świadczą o tym Wasze listy, za które bardzo serdecznie dziękuję. Przyniosły one wiele nowych pytań. Mam nadzieję, że powoli doczekacie się na nie odpowiedzi. Dzisiaj pragnę pogwarzyć z Wami o naszych czarownikach. Wielu z Was sądzi bowiem, że to tylko tak dla podkolorowania listu wspomniał misjonarz o czarownikach.

Zaraz na wstępie, parafrazując M. Konopnicką, muszę powiedzieć: „Czy to bajka czy nie bajka, myślcie sobie jak tam chcecie, a ja przecież wam powiadam: czarownicy są na świecie!”. Jeśli nawet nie ma ich na świecie, to w Burundi są bardzo liczni i mają duże znaczenie.

Trudno znaleźć w języku polskim słowa, które oddałyby treść naszych dwu słów: umupfumu i umurozi. Należałoby zebrać w jedno to wszystko, co kryją takie nazwy jak: czarownik, znachor, wróżbita, jasnowidz, szarlatan, wiedźma, baba jaga, dobra i zła wróżka, czarnoksiężnik, guślarz, magik, itp. Trudno zatem powiedzieć, kim jest nasz czarownik. Zresztą, wachlarz specjalizacji jest tu bardzo szeroki. Każdy jednak z czarowników – według przekonań naszych ludzi – zna tajemnice przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Każdy z nich posiada pewną władzę nad niewidzialnymi siłami natury. Czarownik potrafi te moce jakoś ująć i wykorzystać do dobrego lub złego. Stąd mamy czarowników dobrych i złych.

Dobrych ludzi nazywają dobrodziejami, przyjaciółmi, ojcami i matkami. Złych natomiast nazywa się nieprzyjaciółmi, wrogami, sprawcami wszelkich nieszczęść.

Dobry czarownik wstawia się za ludźmi i broni ich przed złymi, szkodliwymi, niewidzialnymi mocami. Dzięki duchowemu zaangażowaniu, dzięki zdolności odczuwania i przewidywania ludzkich myśli i pragnień, dzięki niezwykłemu talentowi przekonywania, którego moc płynie z przekonania i wiary ludu, że czarownik ma żywy kontakt z duchami, a nawet z Bogiem, dzięki znajomości wielu naturalnych leków, mogą czarownicy dokonać licznych dziwów, mogą oddać wiele przysług ludziom, którzy im zaufali, mogą odwieść od złego i natchnąć do dobrego, mogą jednać powaśnione rody, mogą leczyć. Zły czarownik natomiast może sprawić wiele zła, może budzić nienawiść, może pchnąć do zbrodni.

Skąd biorą się czarownicy?

Wiemy z historii, że wróżbiarstwo i czary były powszechnie praktykowane we wszystkich czasach. Wynikało to z pragnienia poznania własnej przyszłości i z chęci przeniknięcia tajemniczej rzeczywistości, która otacza każdego człowieka. Zwłaszcza człowiek, którego wiedza o świecie i naturze zjawisk dostrzeganych na co dzień stoi na niskim poziomie, szuka specjalistów, którzy mogliby mu pomóc poznać to, co się zdarzyło i to, co ma nadejść. Tak, ale skąd się ci specjaliści biorą?

Nikt nie rodzi się czarownikiem. Czarownikiem można zostać. W jaki sposób? – Nie wiem, jak to jest w innych krajach, ale u nas, na podstawie tego, co opowiedzieli mi tutejsi ludzie i na podstawie tego, co zdążyłem wyczytać, można mówić o czterech sposobach zostania czarownikiem.

a) Przejąć tajemnicę od ojca,

Czarownik w czasie swej długiej praktyki zdobywa tajemną wiedzę, poznaje wiele tajemnic ludzkich serc, poznaje dzieje rodzin, spory i zawiści nieznane innym ludziom. Od innych czarowników lub znachorów nauczył się stosować różne zioła jako lekarstwa lub jako truciznę. Sam przekonał się, jakie obrzędy i jakie słowa najsilniej działają na klientów. To wszystko staje się jego własną tajemnicą. Jeżeli któryś z jego synów okaże się godzien zaufania, ojciec próbuje przekazać mu swoje tajemnicze rzemiosło. Początkowo tylko niektóre praktyki odbędą się w obecności wybranego dziecka. Jeżeli syn zasmakuje w tym rzemiosle, ojciec podda go wielu próbom. Sam pójdzie do innego czarownika poradzić się jak ma postąpić. Gdy jest przekonany, że syn nie zdradzi, przekaże mu całą wiedzę. Nie każdy jednak czarownik znajduje takiego syna. Wielu starych czarowników zabiera swą tajemnicę do grobu.

b) Przejąć tajemnicę od innych czarowników,

Ktoś ufający swoim zdolnościom i ogarnięty chęcią zysków i sławy może zgłosić się do jakiegoś słynnego czarownika i prosić go o wprowadzenie w tajniki tej „świętej wiedzy”. Za takie wprowadzenie trzeba drogo zapłacić. Trzeba mieć krowy, motyki, pieniądze.

Istnieją znane „szkoły czarowników” w pobliżu naszego kraju, szczególnie w Buha (Tanzania), skąd wywodzą się najpotężniejsi i najbardziej poważani czarownicy. Nie każdego jednak stać na taką szkołę. Wielu musi się zadowolić skromniejszymi szkołami krajowymi. Mamy taką szkołę i w naszej parafii w Mpindze. Oczywiście, nie my misjonarze – ją prowadzimy. Kiedy pytałem, skąd wywodzą się znani mi czarownicy, wskazywano mi busz nad jeziorkiem w Kiharo (nasza stacja misyjna). To dziwne jezioro, w zeszłym roku dziwnym sposobem zupełnie straciło wodę. To prawda, że w wielu miejscach było płytkie, ale

posiadało też głębokie miejsca. Żyły w nim ryby i różnorakie ptactwo. Teraz, nawet w porze deszczowej, można przejść po jego dnie suchą nogą. Ciekawe, czy to dziwne zniknięcie wody doda uroku naszej szkole czarowników, czy też będzie ją trzeba przenieść w inne miejsce?

Kandydat na czarownika udaje się zatem do szkoły, zawsze w jakąś odległą okolicę, gdzie jest nieznany. Wraca później z tej „pustyni” przemieniony, pełen niezwyklej mocy.

Pozostaje sekretem, w jaki sposób odbywa się nauka i wtajemniczenie nowych czarowników. Tyle wiadomo, że zawodowi „nauczyciele” mają przygotowane odpowiednie zagrody, gdzie umieszczają kandydata, poddając go licznym próbom.

Kandydatowi przydziela się odpowiednią dziewczynę, która ustrojona jak do ślubu jest uroczyście wprowadzana w dom ucznia. Będzie z nim dzielić życie, będzie przygotowywać posiłki. Głównym jej zadaniem jest poznać dokładnie ucznia i domagać się od niego coraz to nowych świadczeń zgodnie z instrukcjami mistrza. Każdy nowy sekret jest drogo sprzedawany. Nie zawsze uczeń ma wystarczającą ilość krów, kóz i pieniędzy. Wówczas składa uroczyste przysięgi, że później (z zarobionych pieniędzy) spłaci długi. Za niewywiązanie się z zobowiązań grozi kara śmierci. Nauka trwa kilka lub kilkanaście miesięcy. Wszystko zależy od zamożności ucznia i od gałęzi wiedzy, którą chce poznać. Mistrz bywa wymagający. Musi przecież zabezpieczyć swoją rodzinę na czas, w którym nie będzie miał nowego ucznia.

O ceremoniach ostatecznego przekazania władzy, dokumenty i sami czarownicy milczą uparcie – tajemnica, sekret! Wiadomo jednak, że towarzyszy im specjalne namaszczenie na czole, na dłoniach i na końcach palców.

Uczeń wraca do siebie i to już jego sprawa, w jaki sposób da się poznać jako czarownik.

c) „Wybranie” przez ducha Rubambo.

Tego ducha, o którym niestety niewiele wiadomo, wzywają czarownicy przy swoich obrzędach, szczególnie ci kształceni w Buha. Czarownicy krajowych szkół częściej wzywają Kirangi.

Gdy ktoś zachorował na jakąś dziwną chorobę, czarownik, który w nim upatrzył swego ucznia i następcę, oznajmia uroczyście rodzinie, że „duch wybrał” chorego na swą służbę. Dokonuje specjalnej operacji, która drogo kosztuje całą rodzinę i po tajemniczych ceremoniach chory wraca do zdrowia jako czarownik.

d) Dzięki opinii publicznej.

Ludzi o dziwnym wyglądzie, o dziwnym, nienormalnym sposobie zachowania, opinia publiczna może pchnąć do zawodu czarownika. Po prostu, fama niesie, że to czarownik. Często tacy „dziwni” ludzie, niezrozumiani przez otoczenie, chcąc zyskać uznanie społeczeństwa, słysząc, że przypisuje się im moc czarodziejską, zaczynają praktyki czarownika. W ten sposób „rodzą się” niektórzy, zwłaszcza ci „złośliwi” czarownicy. Szczególnie starsze kobiety, które straciły męża i dzieci, są posądzane, że z zazdrości rzucają uroki i sprowadzają nieszczęścia na tych, którym wiedzie się dobrze i którzy mają liczne rodziny. Zawieść – według opinii publicznej – może taką kobietę pchnąć nawet do trucia innych. Ci, którzy chcą szkodzić innym, udają się do nich „w tajemnicy” z prośbą o rzucenie uroku lub z prośbą o truciznę. Tajemnica „przecieka” i tak powoli rodzi się znana wiedźma od uroków.

Sposób bycia i ekwipunek czarownika.

W codziennym życiu nie można odróżnić czarownika od innych ludzi. Ubierają się jak wszyscy, żyją jak inni ludzie, są gospodarzami, pasterzami, ojcami rodzin. Zyski z uprawianego „rzemiosła” pozwalają niektórym „mieć się lepiej”.

Chociaż zawód czarownika nie daje im żadnej zewnętrznej władzy, żadnego wyróżnienia czy „ważności” w społeczeństwie, to przecież w oczach ludzi czarownicy są „kimś”, są dobrodziejami, są ludźmi bożymi, albo są wrogami, wysłannikami złych mocy. Pierwszych czci się i kocha, drugich obawia i nienawidzi, ale do jednych i do drugich idzie się po radę, po pomoc, po lekarstwo, po truciznę, po amulety.

Przekonanie o ich powiązaniu z nadnaturalnymi mocami, ich umiejętność przekonywania, ich zdolność do zdobywania tajemnic serc, ich zaskakujące nieraz rozwiązania trudnych spraw, ich nakazy rzucane w imię jakiejś tajemniczej mocy, ich bezwzględność – zdobywają im coraz większą sławę.

Pewne zaskakujące efekty nietrudno osiągnąć. Bywa przecież tak, że jedna i ta sama sprawa jest w tajemnicy przedstawiona temu samemu czarownikowi z dwu stron. Zaledwie zatem klient otworzy usta, by powiedzieć z czym przychodzi, czarownik „już wie wszystko”. Stąd zaskoczenie klienta i zdziwienie: „skąd on to wie?!” „On musi wiedzieć wszystko!”. To przekonanie czarownik przypieczętuje słowami: „Tak mi powiedział duch!”.

Samo „czarowanie” odbywa się pod osłoną nocy przy użyciu prawdziwego wyposażenia. Każdy czarownik ma swoje własne „narzędzia”. Wszyscy jednak używają: 1. czapki czarownika, zrobionej z małpiej skóry lub skóry innego zwierzęcia o długiej sierści, ozdobionej różnymi świecidełkami, muszelkami, piórami, sznurkami, 2. odzienia ze skóry tygrysa lub serwala, 3. odzienia specjalnie ozdobionego, zrobionego z łyka fikusa, 4. krzesła-tronu czarownika, 5. worka zawierającego różne dziwne przedmioty, 6. naczyń z kalebasa o dziwnych kształtach, 7. magicznego bębna, 8. grzechotki, 9. koszałki splecionej z lian specjalnie dobranych.

Jeżeli do tego dodać przeróżne zioła, kości, pióra ptaków, korzenie o dziwnych kształtach, kamienie, itd., to widzimy w jak niesamowitym świecie znajduje się ten, który przyszedł po radę, po amulety, po lekarstwo lub po truciznę do czarownika.

Należy tu jeszcze przypomnieć wypracowane efekty świetlne, zmieniające się zapachy, odurzenie dymem, brzuchomówstwo, szmery, zgiełki, rozmowę z duchami, itd. Nic zatem dziwnego, że po trwającym niemal całą noc „posłuchaniu” pacjent wraca zahipnotyzowany, zafascynowany, wstrząśnięty i przekonany, że doznał czegoś nadzwyczajnego. Wraca przejęty lękiem i jakąś zabobonną czcią, by wykonać wszystko, co mu polecono. Oczywiście, tego co widział i słyszał nie zdradzi za żadne skarby, bo spotkałaby go straszna kara, której sobie nawet nie potrafi wyobrazić. Nie przyzna się także łatwo, ile za takie „przeżycie” zapłacił w naturze lub w gotówce. Po cichu będzie ciułał grosz do grosza, by przy najbliższej okazji znów pójść do czarownika.

Ponieważ list się bardzo przedłuża, o samym czarowaniu, o amuletach, itd. napiszę przy okazji.

Dzisiaj muszę jeszcze dodać słówko o nas. Nic specjalnego się tu nie dzieje. Zwyczajne życie misjonarzy buszu. Jeszcze nie odetchnęliśmy po wielkopostnych rekolekcjach, a już trzeba się było zabrać do dalszej pracy duszpasterskiej i do tego ciągłego budowania.

W Musongati zbudowano szkołę gospodarstwa – foyer social, zbudowano dom księdza w Gakome. Buduje się dom dla nauczycielstwa i już zakłada fundamenty pod kościół w Gakome. W planie na ten rok jest jeszcze szkoła podstawowa i dokończenie katechumenatu w Musongati. Więcej chyba się nie zdąży.

W Mpindze zbudowaliśmy magazyn i WC przy foyer social oraz WC przy szkole podstawowej. Teraz buduje się katechumenat i dom księdza w Katara. Zaplanowano jeszcze na ten rok katechumenaty w Kiguhi i w Kiharo. Chcemy też zrobić i wypalić dużo, dużo cegły. Obawiam się, że to trochę za wiele na te wakacje. O mniejszych budowach i udoskonaleniach, o wychodzących spod ręki naszego pana „Szwagra” wspaniałych meblach do kościoła, kaplic, katechumenatów i szkół już nawet nie wspominam.

Mam nadzieję, że wielu z Was usłyszy o tym wszystkim z ust o. Józefa Trybały, który pod koniec maja pojechał na zasłużone wakacje do kraju. Innym wiele opowie s. Bogumiła Jabrucka, która także pojedzie na wakacje, oraz s. Assumpta Stanek, która naszym Siostram w Musongati złożyła dłuższą wizytę.

Ja zatem mogę zamilknąć, chociaż wypadałoby jeszcze napisać wiele słów serdecznej wdzięczności. Wypowiem je w modlitwie. Wdzięczność moja jest rzeczywiście wielka. Jak już niektórym z Was pisałem, po powrocie z dalekiego buszu, gdzie głosiłem rekolekcje wielkopostne, do dzisiaj serce i oczy mam pełne obrazów niesamowitej nędzy, w jakiej tam nasi ludzie żyją. To prawda, że i tu, w pobliżu misji nędzy jest wiele, ale przecież tu ludziska prędzej coś mogą zdobyć lub wyżebrać.

Tam, w buszu, mają tyle potrzeb, a nie mają do kogo wyciągnąć ręki. Jakże marzyłem, żeby ich szczególnie wspomóc. Tak, ale jakim sposobem? Wiadomo, możemy ich wspomóc tylko wtedy, gdy sami od Was otrzymamy pomoc.

I oto, po powrocie z buszu zastałem Wasze ofiary, Wasze paczki i listy. Nadeszły też paki przesiedlenia naszych nowych misjonarzy. Będzie można choć najbiedniejszym przyjść z pomocą. Bóg stokrotnie zapłaci za wszystko!

Zjednoczony z Wami w modlitwie i wdzięczny misjonarz z buszu

br. Teofil St. Kapusta OCD

„Co u mnie słychać?”

J.M. J.T.

Kinyina, 14.07.1977

Kochani!

Serdecznie dziękuję Wam za listy, jeden otrzymałem 6 czerwca, drugi 1 lipca. Dziękuję też za zdjęcia i imieninowe życzenia. Bardzo ucieszyłem się ze zdjęcia Piotrusia. Duży i ładny chłopak.

Wybaczcie mi, że od ostatniego listu, który wysłałem do domu minęło dwa miesiące. W międzyczasie o. Józef pojechał do Polski i wziął „żywy list”, dwie taśmy, każda po 90 minut, w sumie trzy godziny słuchania. Nie wiem, czy już otrzymaliście je, jeśli nie, to chyba dostaniecie je w najbliższym czasie. Prosiłem o. Józefa, by osobiście Was odwiedził. Liczę na to. Przesłałem też około 30 przeźroczy i trochę zdjęć. Myślę, że to Was zadowoli. Wiem, że bardziej pragnęlibyście, bym ja sam przyjechał. Na razie to niemożliwe. Cierpliwości!

Co u mnie słychać?

Jestem obecnie na stażu w sąsiedniej parafii, która nazywa się Kinyina. Jest to misja założona w 1965 roku. Przebywam tu wraz z dwoma misjonarzami, z których jeden jest Belgiem, drugi – Kanadyjczykiem. Tak więc językiem urzędowym jest tu język francuski a nie polski, jak w Mpindze czy Musongati – u swoich. W ten sposób mogę podciągnąć się w mojej francuszczyźnie. Jest też okazja, by poświęcić sporo czasu na kirundi. Jest wreszcie okazja, by wchodzić głębiej w tajniki pracy duszpasterskiej. Nie znam jeszcze na tyle języka, ale dużą satysfakcję daje mi to, gdy spotkawszy się z ludźmi, mogę zamienić z nimi kilka zdań. Będąc parę tygodni temu na jednym z tutejszych sukursali (tuż nad granicą z Tanzanią) przechadzałem się w pobliżu i zamieniłem z ludźmi kilka słów. Nie wszystko rozumiałem, ale jednej rzeczy byłem pewny: byli z tego zadowoleni. Biały jest tu nadal „kimś” w mentalności prostych ludzi. Fakt, że pofatyguje się on, by ich pozdrowić, by uścisnąć dłoń, jest – ich zdaniem – wyróżnieniem. Takie jest ich zdanie. Oczywiście nie wszędzie i nie zawsze. Mówię tu o konkretnym miejscu, gdzie byłem. Ja czułem się o wiele lepiej, gdy brali mnie za człowieka przynajmniej równego (pomijam tu aspekt kapłański), ale dopóki będę miał zegarek, aparat, spodnie z kantką, koszulę, sandały, białą skórę – pozostanę zawsze kimś

wyższym. Nie powiedzą tego wprost, ale tak myślą. Mimo wszystko, osobiście czuję się w tym środowisku bardzo dobrze. Barię, która jeszcze dodatkowo utrudnia bliższy kontakt, jest język, ale to sprawa przyszłości.

W Kinyiny spadł potężny grad. W ciągu kilkunastu minut zielony ogród zmienił się nie do poznania. Poobijane liście na papajach i bananach, wymłócony groch i fasola (piękny jasek), kapusta, itp. Fala objęła teren o szerokości 1 km na przestrzeni 2,5 km.

Teraz, gdy patrzę na ogród, w niczym nie przypomina on tego, jaki zostawiłem tu w czerwcu ub. roku. W Mpindze nie było ani deszczu, ani gradu, ale z powodu opóźnionej pory deszczowej ludzie mają trochę mniej do jedzenia, niektórzy cierpią nawet głód. Staraliśmy się im pomóc i sprowadziliśmy z Bujumbury ponad 40 ton bulguru (coś w rodzaju pośladu pszenicy). Obecnie zaczynają już zbierać na polach. Najgorsze przeszło.

Moi Kochani! Kończę tych parę zdań. Za parę tygodni rozpocznie się Wielki Post i wiele rekolekcji. Proszę Was o modlitwę za mnie, bym mógł te rekolekcje dobrze głosić i za tych, którzy w nich brać będą udział, by się szczerze nawrócili.

Serdecznie wszystkich pozdrawiam

Nazariusz

Czarowanie.

Mpinga, sierpień 1977

+

Drodzy Przyjaciele!

Bardzo serdecznie pozdrawiam w Panu!

Łatwo misjonarzowi obiecać list, trudniej napisać. W ostatnim liście, rozmawiając z Wami o czarownikach, obiecałem napisać o samym czarowaniu, o amuletach i innych sprawach związanych z czarowaniem. Dopiero dzisiaj mogę skreślić kilka zdań na ten temat.

Kiedy ktoś zgłasza się do czarownika, by ten pomógł mu zrozumieć jakieś zdarzenie z przeszłości, by przepowiedział przyszłość, by przyszedł z pomocą w chorobie, by dał jakiś środek przeciw nieszczęściu, które spotkało lub może spotkać rodzinę – czarownik wyznaczy mu czas i miejsce spotkania. Takie spotkania odbywają się pod osłoną nocy, w specjalnej szopie, zbudowanej w zagrodzie czarownika. Jak wspomniałem w ostatnim liście, w czasie takiego spotkania czarownik występuje w specjalnym stroju, używa wielu dziwnych przedmiotów, dokonuje obrzędów, które działają na wzrok, na słuch i na powonienie i które mają jakoś zahipnotyzować klienta.

Wrózenie.

Każdy czarownik ma swoje sposoby poznawania przeszłości, przyszłości i różnych tajemnic. Najczęściej stosuje wrózenie, radząc się duchów przy użyciu różnych przedmiotów. Wymieńmy dla przykładu niektóre sposoby wrózenia:

a) Radzenie się kalebasa. – Specjalnie dobrany i pomalowany kalebas, ozdobiony różnymi paciorkami, świecidełkami, kolorowymi piórami, umieszcza się na odpowiednio przygotowanej podstawie. Czarownik wkłada doń czerwone i czarne kulki lub ziarna, potrząsa kalebasem i długo rozmawia z tym niezwykłym naczyniem w niezrozumiałym dla klienta bełkocie. Wreszcie czarownik wysypuje kulki na specjalną matę i z ich ułożenia odczytuje odpowiedź duchów.

b) Radzenie się różdżki. – Pomalowane na różne kolory różdżki czarownik smaruje masłem, przesuwając je w palcach wśród zaklęć i modłów, a one w sposób wiadomy tylko czarownikowi wskazują przyczynę choroby, wskazują złodzieja, wroga rodziny lub grożące niebezpieczeństwo.

c) Radzenie się kości. – Umieszczonymi w specjalnej grzechotce kośćmi czarownik

potrzęsa wiele razy, czyniąc dużo hałasu i wsłuchując się w głosy duchów. Później wytrzęsa kości do opalki i odczytuje tajemnice z ich ułożenia.

d) Radzenie się snów. – Klient opowiada swoje ostatnie zapamiętane sny, których znaczenie czarownik wyjaśnia, radząc się duchów.

Zazwyczaj klient pozostaje sam na sam z czarownikiem w czasie umówionego spotkania. Są jednak wypadki „czarowania” w obecności wielu osób, zwłaszcza kiedy chodzi o wykrycie winnego wśród podejrzanych o rzucenie uroków, o kradzież lub inną zbrodnię. Podejrzani bywają prowadzeni do czarownika i poddani próbie. Różnie wyglądają takie próby. Podejrzani np. otrzymują odurzający napój albo klękają nad kotłem, w którym gotowane są odurzające zioła. Następnie stają wyprostowani, wpatrując się w jakiś koszmarny przedmiot. Tymczasem czarownik tańczy wokół nich, potrząsa grzechotkami i czyni wiele zgiełku. Ktoś słaby nerwowo i odurzony ziołami nie wytrzymuje i porusza się, co zdradza go jako winnego. Opowiadają, że wielu niewinnych traci tym sposobem dobre imię, majątek, a czasem i życie, bo później szuka się sposobu, by go „unieszkodliwić”.

Stosuje się także próbę ognia, próbę gorącego masła, próbę przeniesienia bez rozlania naczynia wypełnionego wodą. Często bywa stosowana próba grzechotek. Czarownik wymalowany na biało zasiada na tronie, potrząsa grzechotkami, tańczy wśród podejrzanych jakiś makabryczny taniec i wreszcie rzuca któremuś z nich zaskakujące pytanie. Często badany „traci głowę” i daje odpowiedzi, z których można dowieść jego winę.

Lekarz

Choroba w Burundi nigdy nie była przypisywana tylko naturalnym przyczynom, zawsze powodowały ją złe, nadnaturalne siły sprowadzone przez kogoś za pomocą czarów, uroków lub po prostu podanej przez kogoś trucizny. Dlatego zawsze w wypadku choroby należy odszukać jej przyczyny. Potrafi to czarownik, który jest lekarzem. Najpierw stosuje on wspomniane wyżej wróżenie. Następnie dokona „operacji” usuwającej z ciała chorego przyczynę choroby. Posłuży się przy tym swoimi narzędziami, czasem wprost ustami. Potrafi wydobyć z ciała chorego różne przedmioty: jakieś odpadki kości, żelaza, kamieni, roślin, a nawet żywego robaka czy żabę. Zrobi to tak sprytnie, że stojący obok gotowi przysięgać, że na własne oczy widzieli, jak te przedmioty wychodziły z ciała chorego. Ceremonia odbywa się w mroku nocy, wśród odurzających dymów, co ułatwia czarownikowi zadanie.

Dla całkowitego uleczenia lub dla zabezpieczenia przed ewentualnym nieszczęściem należy jeszcze zastosować odpowiednie lekarstwo. Niektórzy czarownicy rzeczywiście znają leczniczą moc różnych ziół. Lekarstwa przez nich sporządzane rzeczywiście leczą. To już tajemnica czarownika, z czego i jak je sporządza. Znane są lekarstwa w postaci płynów, które należy pić z piwem, z zimną lub ciepłą wodą. Inne w postaci proszków należy spożywać z odpowiednim pożywieniem. Stosuje się także różne maści.

Wszystkie lekarstwa należy stosować w przepisany przez czarownika czasie i w dokładnie określonym miejscu. Należy przy tym dokładnie wymawiać niezrozumiałą często dla chorego modlitwę do duchów lub zaklęcia. Jeżeli lekarstwo nie działa albo okaże się trucizną (co często się zdarza), czarownik ma zawsze wytłumaczenie: „zażyłeś lekarstwo w nieodpowiednim miejscu lub czasie, pomyliłeś słowa zaklęcia”.

Są lekarstwa, które czarownik musi podać osobiście. Nacina np. skórę na czole, na policzkach, na piersi lub rękach i wciera w rany jakiś specjalny proszek. Pozostaje po takiej operacji trwały ślad na całe życie. Niektórych chorych leczy czarownik oparami wydobywającymi się z kotła, w którym gotuje się zioła. Chory wdycha te opary aż do wypocenia się, aż do zupełnego odurzenia.

Można u czarownika kupić lekarstwa na wszystko: na zapewnienie sobie miłości upatrzonego chłopca, na trwałość miłości małżeńskiej, na płodność, na odpędzenie złych duchów, na zapewnienie sobie bezpieczeństwa i błogosławieństwa w podróży... Trudno tylko

o lekarstwo skutecznie zapewniające nieśmiertelność, chociaż i takie niektórzy czarownicy sprzedają.

Amulety.

Lekarstwa nie zawsze działają skutecznie. Wówczas stosuje się amulety. W języku kirundi określa je słowo ibihoko, od guheka – nosić na plecach. Dziecko noszone na plecach jest symbolem szczęścia i błogosławieństwa Bożego. Podobnie ibihoko – amulety – są znakiem przynoszącym szczęście, a w każdym razie są puklerzami przed wszelkiego rodzaju nieszczęściem.

Amulet bywa kawałkiem drzewa, metalu, kości, szkła, itp. Zaklęta jest weń przez czarownika specjalna moc.

Burundczyk wierzy, że ponad wszystkim jest Bóg. Właśnie Bóg pozwala czarownikowi tchnąć w amulet nadludzką siłę. Poprzez amulet sam Bóg w jakiś sposób objawia swą moc. Stąd przysłowie: „Amulet chroni tego, kogo chroni Bóg”.

Każdy amulet ma swoje przeznaczenie i swoje pole działania ściśle określone przez czarownika. Są więc amulety noszone przez dzieci, inne noszone przez mężczyzn, inne przez kobiety, a jeszcze inne noszone przez bydło domowe. Chronią one danego człowieka lub zwierzę przed wszystkim, co może szkodzić. Ten osobisty amulet, noszony przez kogoś innego, nie będzie działał, może nawet szkodzić. Dlatego amulety po zmarłym wyrzuca się w jakieś niedostępne miejsce.

Znane są jednak amulety, które pomagają wszystkim domownikom. Umieszcza się je przy wejściu do zagrody, przy ognisku domowym, by chroniły od złego losu, od choroby, od trucizny, od uroków rzucanych przez wrogów rodziny lub przez złych czarowników. Inne umieszcza się przy drzwiach domu, pod łóżkiem, w spichlerzu, by chroniły przed złodziejem, by pomnażały zapasy.

Gdyby chcieć wyliczyć wszystkie amulety i zakres ich działania, nigdy byśmy nie skończyli.

Czarownik – religia – chrześcijaństwo

Niektórzy z Was pytają, czy czarownicy spełniają funkcję religijną? Czarownicy nie są kapłanami. Niemniej jednak wszystkie swoje praktyki: wróżenia, leczenia czy zaklinania nadnaturalnych mocy w amulety, czarownik spełnia w powiązaniu z duchami, przede wszystkim w powiązaniu z Kirangą – wielkim pośrednikiem między Burundczykiem a Bogiem. Kiranga pozostaje niewidzialny, ale czarownik rozmawia z nim jak z obecnym, jego prosi, jego pyta, jemu dziękuje, jego wolę odczytuje i oznajmia. W ten sposób nocne posiedzenie u czarownika jest jakoś powiązane z Kirangą, a przez niego z najwyższym bóstwem, ma zatem jakiś religijny charakter.

Niektórych spośród Was zdumiewa fakt, że jeszcze tyle „czarów” jest w Burundi. Trzeba pamiętać, że jeszcze nie minęło 80 lat od pojawienia się w Burundi pierwszych misjonarzy. Niektóre wioski przyjęły wiarę w Chrystusa nie dawniej jak 10 lat temu. I przecież nie całe. Na terenie naszych parafii w Mpindze i Musongati dopiero 1/3 ludności – to chrześcijaństwo. Są wioski, gdzie dopiero teraz po raz pierwszy dociera misjonarz. Także bardzo niski poziom wykształcenia sprzyja różnym przekonaniom, czarom, wróżbom, gusłom. Zresztą i w Europie po niemal dwu tysiącach lat od pojawienia się chrześcijaństwa i przy tylu uniwersytetach, wciąż jeszcze „odczytnia się uroki”, wciąż jeszcze jest czarny kot, feralna trzynastka, podkowa szczęścia, chwytywanie się za guzik i tym podobne różności. To prawda, że nie wierzy się w to wszystko tak na serio, ale to jest... Może zresztą nie wierzy się w to tak na serio, bo często nie wierzy się w ogóle na serio...

I jeszcze pytanie. Co na to wszystko katolicy? – Niektórzy z nich odrzucili te wszystkie „czary”, bo uczono ich, że to sprawy diabelskie. Inni jednak nie mogą się z tego wszystkiego wyzwolić. Człowiek tutejszy jest bardzo zależny od swej rodziny, tej najbliższej i tej dalszej, jest zależny od sąsiadów, od wioski. Bardzo trudno wyzwolić się od tej zależności.

Dziewczyna np. przed małżeństwem „musi” iść do czarownika, by zapytał, jaka jest wola bogów, by podał zabezpieczające przed nieszczęściem środki, by wyznaczył konieczne dla szczęścia amulety. „Dlaczego poszłaś – pytam pannę młodą – przecież jesteś katoliczką?” – „Tak, jestem – odpowiada – ale musiałam iść, chociaż w to wcale nie wierzę. Musiałam, bo w całej rodzinie jest nas tylko czworo ochrzczonych, a inni w ewentualnym nieszczęściu nie wspomogliby mnie. Powiedzą: to wszystko spotkało cię, bo nie poradziłaś się czarownika. Nie możemy cię wspomóc, bo nas mogłoby spotkać to samo nieszczęście”.

Albo np. w wypadku kradzieży, poszkodowany „ciągnie” podejrzanych do czarownika. „Jeżeli nie pójdę – powiada chrześcijanin – to będą przekonani, że to ja ukradłem”. Podobnych sytuacji jest bez liku.

Niektórzy z ochrzczonych katolików lub protestantów posiadają u siebie różne amulety. Postarali się o nie w dostatecznej ilości i na wszelkie okazje jeszcze przed chrztem. Później nie pozbywają się ich „na wszelki wypadek” lub nawet z obawy przed śmiercią. Dla wielu amulety są ochroną przeciw działaniu złych duchów, „a nie jest takie pewne, czy władza Boga sięga aż do podziemia, które od nieba dzieli ziemia”. Są chrześcijanie, którzy wierzą „ślepo” we wszystko: w Boga, w Chrystusa, w czarownika i jego amulety. Jest jeszcze wielu „rozdartych wewnątrz” przez nakazy religii chrześcijańskiej i przez nakazy tradycji środowiska pogańskiego.

Katechiści i chrześcijanie jakoś odpowiedzialni za duchowy stan wiosek znają dobrze to „rozdwojenie”, ale niechętnie mówią o tym z księdzem, zwłaszcza z białym. Czyż bowiem ich nie uczono, że to wszystko nie ma sensu, że to głupota, więc jemu, katechiście, nie wypada mówić o tym serio, żeby ksiądz nie pomyślał, że on te rzeczy traktuje poważnie. Nie wypada też „zdradzać” przed księdzem ludzi, za których wiarę jest jakoś odpowiedzialny, bo mógłby usłyszeć: „Co zatem ty, katechisto, tam robisz?!”

Nawet wśród „wierzących i praktykujących” chrześcijan można spotkać czarowników. Przyjmują klientów, wróżą, sprzedają amulety, rzucają uroki, sprzedają lekarstwa, a nawet truciznę. To jest po prostu ich zawód, który – ich zdaniem – można pogodzić z wiernym wypełnianiem praktyk życia chrześcijańskiego. „On jest dobrym chrześcijaninem i doskonałym czarownikiem”.

Dla pełniejszego obrazu trzeba dodać, że bywały, a może jeszcze bywają wypadki, iż dobry katechista, który gorliwie nauczał, że te wszystkie czary to sprawy diabelskie, sam był dobrym, znanym czarownikiem. Wierni słuchali go potulnie w niedzielne przedpołudnie, a wieczorem szli do niego na nocne obrzędy. Takie jeszcze wciąż „pomieszanie z poplątaniem”.

Kiedyś np. wezwano jednego z nas w Mpindze do umierającej. Ksiądz ją wypowiadał, udzielił sakramentu chorych i Komunii św. Nie było przy tym mowy o czarach. W powrotnej drodze ludzie pytają: „U kogo ojciec był?” Ksiądz odpowiada, a ludzie na to: „A tak, u tej wielkiej czarownicy! Że też wezwiała księdza...” – dziwią się niemało. Po powrocie ksiądz upomina sekretarza parafii, przez którego został wezwany do chorej: „Wiedziałaś, że to czarownica?” – „Tak, przecież to wszyscy wiedzą, ona jest bardzo znana” – odpowiada sekretarz. „Dlaczego mi nic nie powiedziałaś, przecież to głupia sytuacja?” – ciągnie ksiądz. „Jak to głupia – nie może zrozumieć sekretarz – przecież to bardzo dobrze, że ona uznała, że jest ktoś wyższy od niej, że ksiądz i sakramenty św. więcej znaczą, niż jej czary!” I bądź tu mądry człowieku wobec takiej filozofii i takiego „poplątania z pomieszaniem”.

Wiem, że temat o czarownikach wcale jeszcze nie wyczerpany, że nic jeszcze nie powiedziałem o czarnej magii i tym podobnych sprawach, ale muszę kończyć, bo nasze przysłowie powiada: „Kto wiele mówi, przez wielu nie jest lubiany”. Już nawet nie o to „lubienie” chodzi, ale po prostu u nas praca na wszystkich frontach, więc nie można za długo

siedzieć nad listem.

Stanowczo za dużo na te wakacje zaplanowaliśmy. Dopiero pod koniec lipca skończono katechumenat z domem księdza w Katare. Teraz wypalanie cegieł. Cztery wielkie piece: w Mpindze, w Kiharo (odległym o 24 km), w Kiguahu (inny kierunek, odległość 22 km) i w Shembe (odległym od stacji 50 km). Do wszystkich pieców trzeba postarać się o drzewo i pilnować wypalania. Potem budowa katechumenatu w Kiguahu. Ten zaplanowany w Kiharo będzie musiał poczekać. Tak samo wieża przy kościele w Mpindze i magazyny przy misji muszą poczekać.

Równocześnie z warsztatu stolarskiego wychodzą coraz to nowe meble, w lesie ścina się drzewa, które trzecie ręczną piłą tną na deski, przygotowuje się nowe sadzonki drzew, itp., itd. Choćby nam jeszcze dziesięciu misjonarzy przysłało do Mpingi, żaden nie narzekałby na bezrobocie!

W Musongati skończono dom dla nauczycielstwa, rozpoczyna się budowa szkoły podstawowej i rośnie kościół w Gakome. Jak na nasze możliwości – niemały, bo 36 m długi i 12 m szeroki. Jest nadzieja, że już we wrześniu będzie pod dachem.

Zostało jeszcze trochę duszpasterskiej pracy, którą należy wykonać w czasie wakacji, zwłaszcza pierwsze i uroczyste Komunie św.

Także Siostry w Musongati mają wiele pracy: S. Zygmunta wciąż boryka się z trudnościami. Chorych bez liku, a warunki opłakane. Niestety, mimo wszystko wciąż jeszcze nie stać nas na budowę Ośrodka Zdrowia. Ufamy! Ufamy! Na razie trzeba zorganizować pomoc dla biednych i głodujących.

Teraz już muszę rzeczywiście kończyć, chociaż wypadałoby jeszcze napisać o wielkiej uroczystości święceń kapłańskich, która odbyła się w Musongati w ostatnią niedzielę lipca. Wiercie, Kochani, była rzeczywiście wielka.

Pamiętajcie o nas w modlitwach! Proście też Pana żniwa, by posłał wielu robotników, bo żniwo wielkie!

Jeszcze raz serdecznie pozdrawiam i zapewniam o naszej szczerzej wdzięczności i pamięci w modlitwach.

br. Teofil St. Kapusta OCD

Jeden z planów.

Mpinga, październik 1977

+

Drodzy Przyjaciele!

Bardzo serdecznie pozdrawiam w Chrystusie Panu!

Odpowiedzieć na Wasze dobre listy osobnym, osobistym listem, podziękować za Wasze modlitwy, za trwanie przy nas sercem, za pomoc świadczoną naszym biednym ludziom, to dla mnie niemożliwe. Dlatego jeszcze raz muszę się uciec do listu wspólnego do wszystkich naszych Przyjaciół.

Nie będę dzisiaj wracał do tematu ostatnich listów, bo co innego leży mi na sercu. Przede wszystkim pragnę Wam z okazji Światowego Dnia Misyjnego przesłać bardzo serdeczne „Bóg zapłać!” za wszystko.

Wspomogliście nas bardzo w tym roku. Dzięki Waszej pomocy sami mogliśmy wspomóc wielu biedaków, wielu chorych i wielu głodnych, dla których byliśmy zmuszeni zorganizować specjalną pomoc, bo koniec pory deszczowej był nietypowy w tym roku – gwałtowne deszcze i zaraz nagła susza – więc plony na górskich skarpach były bardzo ubogie.

Wasza ofiarność wspomogła nas także na polu budowy. Tak, z Waszą pomocą wybudowaliśmy w tym roku szkołę gospodarstwa domowego i dom dla nauczycielstwa w

Musongati, z Waszą pomocą buduje się obecnie kościół na stacji misyjnej w Gakome i szkołę podstawową w Musongati. Na terenie parafii Mpinga, dzięki Waszej pomocy, zbudowano magazyny przy szkole gospodarczej i katechumenat w Katare, a obecnie buduje się następny w Kiguhu. Dzięki Waszej pomocy mogliśmy na terenie parafii Mpinga wypalić cztery piece cegły i jeden w Gakome. Dzięki Waszej pomocy niektóre z naszych szkół i katechumenatów otrzymały wspaniałe ławki szkolne, a niektóre kaplice ołtarze i ławki. Nie wspominam tu o innych mniejszych budowach i odnowieniach starych misyjnych budynków. To wszystko jest Waszym dziełem, to Wasz wielki wkład w dzieło misyjne Kościoła, za który składamy bardzo serdeczne Bóg zapłać wraz z zapewnieniem o serdecznej pamięci w modlitwach i we Mszach św., które w każdą sobotę i w każdą niedzielę ofiarujemy za Was i za Waszych Najbliższych.

Wiemy, żadne słowa nie wyrażają naszej wdzięczności za to, że jesteście z nami. Próbuje ją wyrazić w czynie. To Wasze „trwanie przy nas” pomaga nam trwać tutaj i choć nasze utrudnienie po ostatnich pracowitych wakacjach jest niemałe, to przecież czujemy radość, że na ile nas stać było, na tyle Was nie zawiedliśmy. Ufamy także, iż nie zawiedziemy się na Was, że nadal będziecie z nami w naszych troskach i planach.

Jeden z tych planów pragnę Wam dzisiaj z okazji Dnia Misyjnego przedstawić.

W swoim orędziu na Światowy Dzień Misyjny w tym roku papież Paweł VI powiedział: „Świadomi naszego obowiązku przyczyniania się do rozwoju dzieła ewangelizacji pragniemy przywołać wspomnienie tej wybranej Niewiasty, dzięki której Kościół otrzymał i wciąż jeszcze otrzymuje wielki zapal misyjny, wspomnienie św. Teresy z Lisieux, która dokładnie pięćdziesiąt lat temu została ogłoszona, wraz ze św. Franciszkiem Ksawerym, specjalną Patronką Misji katolickich. W istocie, w każdym okresie działalności misyjnej, można stwierdzić, jak bardzo wpływ jakiegoś świętego rozbudza nowy zapal apostolski. Dlatego też pragnęliśmy przypomnieć sławną i świętą karmelitankę”.

Dla nas karmelitów-misjonarzy wspomnienie tej rocznicy jest bardzo drogie. Pragniemy je uczcić nowym zapalem apostolskim, ale pragniemy także pozostawić jakiś pomnik tej rocznicy. Jaki? Na terenie parafii w Musongati takim pomnikiem będzie kościół w Gakome budowany pod wezwaniem św. Teresy z Lisieux. A w Mpindze? Ojciec św. przypomina: Należy głosić Dobrą Nowinę nie w jakiś dekoracyjny sposób, zadowalając się zewnętrznym blichtrzem, ale docierając w głębie serc i dusz.

W istocie, apostołstwo, które nam powierzył Jezus Chrystus, obejmuje dwa etapy: głoszenie Dobrej Nowiny i uświęcenie. Dotychczas w pracy misyjnej zwracano wiele uwagi na konieczność nauczania, na głoszenie Dobrej Nowiny, ale mniej podkreślano konieczność działalności zmierzającej do uświęcenia, działalności, która nie kieruje się tylko ku niewierzącym, ale właśnie ku już wierzącym, by pogłębiać ich wiedzę, by ich umacniać, by ich prowadzić do życia gorliwszego.

Spostrzegamy tu – w Burundi – że już najwyższy czas, by przejść na drugi etap: nie zaniedbując ewangelizacji, zająć się więcej uświęceniem. Dlatego już od dawna marzył się nam dom rekolekcyjny. Z okazji pięćdziesięciolecia ogłoszenia św. Teresy od Dzieciątka Jezus Patronką Misji, podejmując zachętę Ojca św. do zejścia na głębie w misyjnej pracy, postanowiliśmy zbudować dom rekolekcyjny w Mpindze. Nie byłby to dom przeznaczony dla jakiejś elity, ale służący naszym prostym ludziom.

„Kościół nie jest naprawdę założony, nie żyje w pełni ani też nie jest doskonałym znakiem Chrystusa wśród ludzi, jeżeli wraz z hierarchią nie istnieje i nie pracuje autentyczny laikat. Ewangelia bowiem nie może zapuścić głębokich korzeni w umysłach, w życiu i pracy jakiegoś narodu bez czynnego udziału ludzi świeckich. Dlatego już przy zakładaniu Kościoła należy przywiązywać jak największą wagę do tworzenia dojrzałego, chrześcijańskiego laikatu.^{41,}”

Dlatego też pragniemy zwrócić szczególną uwagę na ludzi świeckich. Chcemy ich zbierać grupami na kilka dni modlitwy i skupienia. Jesteśmy przekonani, że grupy katechistów, grupy Akcji Katolickiej, grupy młodzieży będą mogły wiele skorzystać z tego domu rekolekcyjnego.

Powiedział jednak ktoś, że autentyczny laikat nie rodzi się samorzutnie i nie może się rozwijać bez przyjaznej współpracy kapłanów. Nie możemy więc zapomnieć i o kapłanach, tym bardziej, że Ojciec św. przypomina, iż świat dzisiejszy domaga się takich głosicieli Ewangelii, którzy mówiliby mu o Bogu, którego znają i z którym w zażyłej przyjaźni żyją tak, jakby na własne oczy oglądali Niewidzialnego.

W naszej diecezji nie ma domu rekolekcyjnego dla kapłanów i dla osób zakonnych, dlatego pragniemy w naszym domu rekolekcyjnym przeznaczyć dla nich kilka pokoi.

Pomagać ludziom świeckim, pomagać kapłanom i osobom zakonnym w rozwoju życia modlitwy, życia wewnętrznego, życia w zażyłej przyjaźni z Bogiem, to nasze pragnienie i zarazem nasz obowiązek, jesteśmy przecież karmelitami!

Powiecie może: znów nowe plany, a przecież jeszcze nie wybudowaliście zaplanowanego ośrodka zdrowia w Musongati. Tak, to prawda, ale wciąż o tym myślimy i gromadzimy materiał budowlany. Wydaje się nam jednak, że życie i zdrowie dusz jest także bardzo ważne, a nawet ważniejsze, bo chodzi tu przecież o życie wieczne. Stąd wyrasta nasza decyzja budowy domu rekolekcyjnego.

Decyzja trochę według hasła „Mierz siły na zamiary”, bo choć pragnienia wielkie, to możliwości małe. Cóż bowiem mamy? Mamy piękny teren pod budowę w naszym lesie, mamy błogosławieństwo biskupa, który z wielkim entuzjazmem przyjął nasz zamiar, mamy trochę kamieni i piasku, które przygotowali nasi ludzie. Brakuje reszty, czyli po prostu brakuje grosza. Ale przecież misjonarz powinien okazać zaufanie Opatrzności, zwłaszcza misjonarz-karmelita, który pamięta, że św. Teresa z Avili wyruszała na nowe fundacje klasztorów z jednym groszem w kieszeni. Ufamy, że jak wówczas Opatrzność działała przez Dobrych Ludzi, tak i dzisiaj będzie działać przez Was, Kochani. Niech nasza ufność puka do serc Waszych! Ufamy, że wśród Waszych Bliskich, Przyjaciół i Znajomych znajdziecie Dobrych Ludzi, którzy zechcą nam pomóc.

Bardzo przepraszam za tę nową zebralinę. Wyływa ona z naszych wielkich pragnień i jest znakiem naszego zaufania, jakie wzbudziła w sercach naszych Wasza Dobroć. Nasze burundzkie przysłowie powiada: „Ręce, które cię raz obdarzyły, nie odmówią ci pomocy w potrzebie”.

Jeszcze raz, w imieniu naszych wspólnot misyjnych z Mpingi i Musongati, bardzo serdecznie Was pozdrawiam i zapewniam o naszej wdzięczności i pamięci w naszych modlitwach. Oddany w Jezusie i Maryi

br. Teofil St. Kapusta OCD

Boże Dzieciątko w postaci tysięcy dzieci...

Mpinga, grudzień 1977 r.

+

Drodzy Przyjaciele!

Nie stać mnie dzisiaj na dłuższy list, ale pragnę przesłać choć kilka zdań z serdecznymi życzeniami na Boże Narodzenie i Nowy Rok 1978.

Znów wielka Miłość Boża jawi się w małym Dzieciątku, niosąc ludziom dobrej woli radość i pokój w miłości.

Znów Dobra Matka z betlejemskiej szopki podaje nam swoje Dzieciątko, które

„wszystkim, którzy Je przyjęli, dało moc, aby się stali dziećmi Bożymi⁴².”

Dla nas i dla Was, którzy dzielicie z nami wszystkie troski i radości, to Boże Dzieciątko jawi się w postaci tysięcy dzieci głodnych, chorych, nagich... dzieci Trzeciego Świata.

Przyjęliście Je całym sercem i obdarzyli, jak owi pasterze, którym zwiastowano radość wielką i którzy udali się z pośpiechem i znaleźli Maryję, Józefa i Niemowlę, leżące w żłobie.⁴³

Przyjęliście Je... – Właśnie w tych dniach, w okresie nasilającego się głodu, dzięki Waszej pomocy mogliśmy sprowadzić do Mpingi i Musongati kilkadziesiąt ton żywności.

Przyjęliście Je... – Dzięki Waszej pomocy w styczniu 1978 roku rozpoczniemy budowę Ośrodka Zdrowia w Musongati, by każde dziecko mogło być przyjęte.

Przyjęliście Je... – Ufni w Waszą pomoc, w najbliższych miesiącach położymy fundamenty pod dom rekolekcyjny w Mpindze, by Słowo, które stało się Ciałem, zamieszkało w sercach wszystkich ludzi i rodziło miłość.

Niech Wam za to „przyjęcie” Boże Dzieciątko da moc stawania się w całej pełni Dziećmi Bożymi, niech Was obdarzy pełnią łaski, pokoju i radości bardzo wielkiej!

O to prosimy dla Was Niemowlę, leżące w żłobie, tego Wam życzymy całym sercem na każdy dzień Nowego Roku.

Z naszych zielonych i ukwieconych wzgórz, spod naszych palm pod Wasze choinki obsypane śniegiem ślemy wiele serdeczności z prośbą o pamięć w modlitwach

polscy misjonarze – karmelici z Mpingi
karmelici i karmelitanki Dzieciątka Jezus
w Musongati w Burundi

O. Teofil

„Z darem życziwych serc.”

„Spuśćcie nam na ziemskie niwy
Zbawcę z niebios obłoki.”

Afryka – Burundi
Boże Narodzenie 1977

Najdrożsi Rodzice, Siostry Elu, Droga Rodzino –
Wszyscy!!!

Pokój Chrystusa niech będzie z Wami! Podobnie brzmi pozdrowienie tutejszych ludzi: ndaguhaje mahoro! Co znaczy – daję ci pokój. Ja dodaję – daję Wam pokój Chrystusa.

Jest księżycowa noc i trochę chłodno, bo po deszczu. Tymczasem u Was zimno, może już spadł śnieg? U nas, w Burundi zaczyna się wiosna. Wszystko się zieleni, ludzie sadzą groch, kukurydzę. Nie chce mi się wierzyć, że rozpoczynamy Adwent. Nowe oczekiwanie na przyjście Pana, nowe przygotowanie serc. Ilekroć widzę niezmierzone przestrzenie Afryki, mogę krzyczeć prawdę: Spuśćcie nam na ziemskie niwy Afryki Zbawcę z niebios obłoki!

Jestem w tej chwili w punkcie katechetycznym, który nazywa się Nabitsinda. Ma kilkaset mieszkańców, a tylko kilkudziesięciu jest chrześcijanami. Przyjechałem tu wczoraj rano, tzn. 25 listopada. Odwiedziłem w szkole tych, którzy się uczą katechizmu. W szkole – to znaczy w kaplicy. Potem idę odwiedzić uprawiających ziemię – wszystko kopaczkami. Spotkałem młodego Murzyna, któremu rano zmarła żona. Młode małżeństwo, jeszcze nie mieli dzieci. W południe odprawiłem Mszę św. Wreszcie obiad: groch, marchew, cebula, maniok, boczek. Wszystko to razem ugotowane, naprawdę „miód”. Potem położyłem się, jak to czyni mama, na 10 minut. Nie mogę się zdrzemnąć, bo obok Murzyni grają w piłkę. Wyszedłem na pole i

⁴² J. 1,12

⁴³ Łk. 2, 16

zobaczyłem, jak Murzyni niosą zmarłą kobietę na cmentarz. Pogrzeb pogański. Poszedłem z katechistą, by się pomodlić. Cmentarz zarośnięty trawą po pas. Groby rozkopane przez dzikie zwierzęta, które w nocy wywlekają zmarłych. Ludzie tu nie troszczą się o zmarłych. Mają przed nimi strach. Dlatego też widzę na grobach murzyńskich naczynia, w których przynieśli piwo, by się zmarli na nich nie mścili. Wylewają to piwo na grobach. Grzebanie zmarłych jest sprawą mężczyzn. Kobiety nie biorą udziału. One, które rodzą życie, nie mogą spotykać się ze skutkami śmierci. Dawniej wszystkie rzeczy, które służyły pogrzebanemu wyrzucano, następnie w domu zabijano wołu, by śmierć nie powróciła. Mięso zjadali. Zmarłego owijają w matę zrobioną z liści bananowych. Pomodliłem się, pobłogosławiłem zwłoki i odszedłem. Nie byłem do końca.

W drodze powrotnej rozmawiałem z katechistą. Pytam go, dlaczego z ową kobietą nie poszli do lekarza. Mówi mi, że nie mają zaufania do lekarzy, wierzą czarownikom. Następnie pytam, czy wśród ludzi, którzy byli na cmentarzu, był czarownik. Odpowiada, że – tak. Ów czarownik ma trzy żony. Jako trzecią wziął młodą dziewczynę. Zagroził jej, że jak nie przyjdzie, to umrze. Poszła. Taki los kobiety u pogan. Gdzie miłość? Czarownicy robią wiele złego wśród ludzi, szczególnie się ją nienawisć. Nie zaczarowują ludzi, ale czarują ludzi, zarabiając ładne pieniądze. Mówią człowiekowi, który przychodzi pytać o przyczynę choroby lub nieszczęścia, że to ten lub tamten człowiek jest powodem i stąd nienawisć.

Dziś rano, tj. w sobotę, już o godz. 6.00 zaczęli się schodzić do spowiedzi. Spowiadałem dwie godziny. Potem Msza św. z kazaniem. Jest to raczej rozmowa z wiernymi o Bogu, bo samemu mi jeszcze trochę ciężko. Po Mszy św. podchodzi do mnie katechista i mówi mi, że pewna kobieta prosi o błogosławieństwo. Podziwiałem w sercu wiarę tej kobiety. Przyszła potem do mnie, by kupić niwakinę przeciw malarii. Pytam się, kiedy zawarli małżeństwo. W 1971 roku. A więc zrozumiałem. Jest to pierwsze dziecko, jakiego oczekują. Dzięki temu trwałość tego małżeństwa uratowała się, bo tutaj małżeństwo bezdzietne normalnie rozlatuje się, niezależnie czyja niezdolność. Któryś z Ojców poradził jej, by poszła do lekarza i poprosiła o lekarstwo zawierające związki żelaza. Otrzymała je i poskutkowało. Następnie jem śniadanie (godz. 10.30): chleb z masłem i miodem. Miodu tu nie brakuje. Dla misjonarzy – „kraj miodem i masłem płynący”.

Mówię do wiernych, że chcę odwiedzić ich zagrody. A więc wybieram się w drogę. Zabieram ze sobą Murzyna, bo nie znam terenu. Doszedłem aż do drugiego punktu katechetycznego (do Muhwazi). Mieszka tam jedna Siostra z Murzynką, która ma zamiar wstąpić do zakonu. Zjadłem obiad, odprawiłem drugą Mszę św. i powracamy. Złapał nas ulewny deszcz. Zmoczył do nitki. Zanim doszedłem do domu, byłem suchy.

Po drodze otrzymałem kilka jajek, trochę grochu. Dali mi to poganie z miłości, wdzięczności, że ich odwiedziłem. „Człowiek Boży” – tak nazywają misjonarza. Jest ten dar cenniejszy dla misjonarza, niż dla żołądka.

Powróciłem do domu sam, odmawiając po drodze różaniec. Powracam sam, bo tak jest w życiu misjonarza, ale nie całkiem. Powracam z darem życzliwych serc, które dziś spotkałem, a które złożę Panu w jutrzejszej Mszy św.

Najdrożsi! Będę kończył, bo trzeba iść spać. „Maryjo, Królowo Polski i Burundi, jestem, pamiętam, czuwać”. Dobranoc, do jutra.

2 grudnia.

Jestem w stolicy. Przyjechałem tu wczoraj przemierzając 200 km. Załatwiłem przedłużenie mego pobytu w Burundi. Trzeba także coś kupić do zjedzenia, bo święta na karku. Nie mam sił ani pomysłów do pisania wielkich życzeń. Tym bardziej, że czuję się dzisiaj niezbyt dobrze. Duszo mi, gorąco i lekki ból głowy. Ale to przejdzie. Pozwolę mówić sercu.

Moje drugie święta przebywam na obczyźnie. Jednak nie w pełni na obczyźnie, bo przecież Burundi to moja druga matka – ojczyzna. To nasi ludzie, nasi bracia. Jestem u

swoich. Boże Narodzenie pragnę przeżyć z umiłowanym domem, razem z Wami, w umiłowanej ziemi Targanic, w umiowanym kraju. Jak zwykle w wieczór wigilijny klękam z Wami do dziękczynnego pacierza. Łamię opłatek, dzielę moje życzenia dla Was wszystkich, dla Was Rodzice, dla Ciebie, Elu. Dziękujemy sobie razem za wspólnie przeżyty rok, przepraszając się za uchybienia w naszym współżyciu, prosimy o poprawę. Bo po to przyszedł Chrystus, aby nas zbawić.

Niech dobry Pan obdarzy nas życiem, zdrowiem, zadowoleniem i darem łaski na codzienny trud życia. Świętujcie Boże Narodzenie w radości ducha, z sercem czystym, pojednanym, w obfitości pokarmów, które ze szczodroblowości bożej spożywać będziemy. Niech nasz dom rozbrzmiewa radością pasterzy, którzy znaleźli Zbawcę – Chrystusa.

Nie mam opłatka, ale przesyłam hostię, która niech nas łączy.

Dziś wieczorem odlatuje samolot do Belgii, który zabierze ten list.

Czekam na Waszą wiadomość.

Nie piszę do Taty, bo myślę, że na Święta będzie w domu.

Uścisk i serce z Afryki – Syn i brat – Jaśko.

Z Bogiem!

O. Bartłomiej Kurzyniec

1978

„Od chwili założenia Kościoła należy gorliwie popierać życie zakonne, które pracy misyjnej daje nie tylko cenne i ze wszech miar potrzebne pomoce, lecz przez głębsze oddanie się Bogu, dokonane w Kościele, ukazuje też jasno i wyraża najgłębszą istotę powołania chrześcijańskiego”(…)

„W młodych Kościołach należy pielęgnować rozmaite formy życia zakonnego, aby przez nie ukazać różne rodzaje misji Chrystusowej i życia Kościoła, a także poświęcić je różnym dziełom duszpasterskim...⁴⁴

„Nasze szczególne uznanie wyrażamy tym wszystkim świeckim, którzy przystają na poświęcenie części swego czasu i sił, a nawet całego życia na rzecz świętych misji.⁴⁵”

Ani na chwilę nie zapomnieli nasi misjonarze, że do Burundi zostali zaproszeni nie tylko dla pracy duszpasterskiej w parafiach, lecz także w celu zaszczepienia życia karmelitańskiego w tamtejszym Kościele. Należało jednak przygotować się do tego starannie. Wreszcie w roku 1978 uznano, że „już nadszedł czas”. Otwarcie nowicjatu w Mpindze skłania nas do przytoczenia słów 18 numeru Dekretu Soborowego *Ad gentes*, jako myśli przewodniej ósmego roku działalności misyjnej polskich Karmelitów Bosych w Burundi. Przemawiają za tym jeszcze inne wydarzenia tego roku, a mianowicie: 1. Siostry Kanoniczki Ducha Świętego postanowiły podjąć pracę misyjną w Burundi, 2. Na terenie parafii w Musongati swoją działalność misyjną rozpoczęły Siostry Marystki, obejmując nią stację misyjną w Gakome, 3. Stacja misyjna w Kiguhu, należąca do parafii w Mpindze, otrzymała apostolską grupę Sióstr Bene-Tereziya. To wszystko było swego rodzaju popieraniem życia zakonnego na terenie misyjnym, w myśl wspomnianego Dekretu Soboru Watykańskiego II. Przyjmując do pracy siostry zakonne, nasi misjonarze zapewniali im równocześnie opiekę duchową (kierownictwo duchowne, miesięczne dni

⁴⁴ DM 12

⁴⁵ Evangelii nuntiandi, 73

skupienia, rekolekcje) oraz w miarę możliwości pomoc materialną.

Kronika wydarzeń

12 lutego – Poświęcenia nowego kościoła na stacji misyjnej w Gakome dokonał ks. bp Joachim Ruhuna. Kościół ten wybudowany z darów naszych Rodaków z kraju i zagranicy został poświęcony św. Teresie od Dzieciątka Jezus dla upamiętnienia 50-ej rocznicy ogłoszenia Świętej Karmelitanki z Lisieux Patronką Misji Kościoła Powszechnego. Obok kościoła został wybudowany dom dla księdza z biurem, zakrystią i kuchnią. W tym to domku zgodziły się zamieszkać włoskie Siostry Marystki. Dzisiaj ogłoszono ludności, że podejmą tu pracę od wakacji. Radość ludzi przechodzi wszelkie pojęcie.

19 marca – Jako delegat misji w Burundi na Kapitułę Prowincjalną przyjeżdża do Polski o. Teofil Kapusta. Wraz z nim powrócił do kraju p. Tadeusz Szklarczyk, szwagier o. Sylwana, który przez dwa lata pracował bezinteresownie na naszej misji w Mpindze. Mało powiedzieć „bezinteresownie”. Pracował bowiem z wielkim poświęceniem, wkładając w tę pracę wiele serca. Założył i rozwinął w Mpindze wspaniałą (choć w nędznej szopie) warsztat stolarski. Nie sposób wyliczyć tu, ile wspaniałych mebli dla naszych misji w Mpindze i Musongati wyszło przez dwa lata z tego warsztatu. Kościoły i kaplice otrzymały stoły ołtarzowe, konfesjonały i ławki. Szkoły gospodarcze, szkoły podstawowe i katechumenaty zaopatrzone zostały w solidne stoły, stoliki, taborety i ławki szkolne. Nieocenioną przysługą, jaką oddał p. Tadeusz naszej misji, jest nauczanie stolarki jednego z naszych ludzi. Próbowano wielu, poduczyl się, ale jeden z nich dobrze opanował to rzemiosło i do dzisiaj prowadzi zapoczątkowane przez p. Szklarczuka dzieło.

Ważniejsze od tego wszystkiego było jednak świadectwo, jakie dał naszym ludziom ten świecki misjonarz. To było dla nich jakimś objawieniem: świecki, biały człowiek pracujący, i to jak pracujący, od rana do wieczora! Tego jeszcze nie widzieli. Człowieka białego w języku kirundi określa się słowem umuzungu, które oznacza kogoś, kto się przechadza, kto „się kręci” tu i tam, nic nie robiąc. Białego misjonarza widzieli ludzie przy pracy, ale on nie był dla nich prawdziwym umuzungu. Teraz zobaczyli białego pracującego i białego modlącego się. Wiedzieli także, że zostawił gdzieś tam w Wadowicach żonę, dzieci i wnuki i przyjechał pracować dla nich – dla Czarnych. Doceniali jego poświęcenie się i ofiarę jego Rodziny, która zgodziła się na to rozstanie. Wiedzieli, że nie dla zarobku tu przyjechał, że przyjechał powodowany chrześcijańską miłością. Wartości takiego świadectwa nie można dostatecznie docenić. Było ono bezcenne dla samych misjonarzy. Wiedzieli przecież, że często odzywała się u p. Tadeusza tęsknota za rodziną, szczególnie gdy poczta, która przychodzi tu raz w tygodniu, nie przyniosła oczekiwanych listów. Potrafił jednak tęsknotę przezwyciężyć chrześcijańską miłością. Pragnął dla biednych ludzi w Burundi zrobić jak najwięcej. Gotów był pozostać w Burundi jeszcze przez rok. Musiał jednak wrócić, ponieważ nie otrzymał przedłużenia paszportu. Niech dobry Bóg wynagrodzi Mu stokrotnie, niech wynagrodzi Jego Rodzinie za bezcenne usługi, jakie oddał naszej misji w Burundi.

30 marca – Do Burundi przyjechała nowa misjonarka, s. Scholastyka Bareła, Karmelitanka Dz. Jezus.

10 maja – Po raz drugi odwiedza Polskę ks. bp Joachim Ruhuna. Celem jego krótkiej wizyty było:

- a) przedstawienie Siostrzom Kanoniczkom Ducha Świętego konkretnych propozycji i określenie warunków ich przyszłej pracy w Burundi,
- b) przedstawienie Diecezji krakowskiej prośby, aby do pracującego w Burundi ks. Jana Wołka dodała jeszcze dwóch misjonarzy i objęła jedną parafię w diecezji Ruyigi,

- c) odwiedzenie Prowincji Karmelitów Bosych i władz Generalnych Sióstr Karmelitanek Dzieciątka Jezus,
- d) odwiedzenie rodzin misjonarzy,
- e) odwiedzenie „starych znajomych”, szczególnie ks. bpa Józefa Rozwadowskiego w Łodzi, Sióstr Albertynek w Krakowie i dzieci z Koła Misyjnego „Bunga-Bunga” w Laskach, z którymi związał się sercem w czasie ostatniej wizyty w Polsce.

Udało się ułożyć spokojny program tej wizyty, ku zadowoleniu naszego Gościa i wiernych w Polsce. Szczególnie przeżyły tę wizytę wiejskie parafie w Gierałtowicach, gdzie ks. Biskup celebrował Mszę św., i w Targanicy, gdzie wziął udział w nabożeństwie majowym. W obydwu parafiach przemówił do wiernych, dziękując za modlitwę w intencji misji i za misjonarzy, których rodziny odwiedził.

17 czerwca – Włoskie Siostry Marystki przybyły na stację misyjną w Gakome, by wspomagać polskich karmelitów w pracy. Na razie podejmą pracę w katechumenacie i opiekę nad ubogimi. Na przyszłość przewidziana jest ich praca w szkole gospodarczej i ośrodku zdrowia.

25 czerwca – Rada Prowincjalna wybrała po raz trzeci Wikariuszem Prowincjalnym Misji o. Teofila Kapustę. Sekretarzem Prowincjalnym Misji został wybrany o. Bronisław Tarka. Dotychczasowemu sekretarzowi, o. Bogusławowi Woźnickiemu, powierzono obowiązek ekonoma Prowincjalnego Misji.

7 lipca – Z dziesięciodniową wizytą przyjechał do Burundi Generalny Sekretarz Misji Karmelitańskich o. Adeodat Micallef.

11 lipca – O. Jan Kanty Stasiński wraz z s. Zygmunta Kaszubą wyjeżdża na urlop do Polski.

17 września – Ks. bp Joachim Ruhuna poświęca nowy dom Sióstr Bene-Tereziya w Kiguhu. Równocześnie przyznaje tej stacji misyjnej prawa parafii. Biuro parafialne i przygotowanie do sakramentów św. wiernych będą prowadzić wspomniane Siostry. Jeden z kapłanów z Mpingi będzie czuwał nad całokształtem duszpasterstwa i zapewniał udzielanie sakramentów świętych. Do tej parafii wejdą na razie stacje misyjne w Nyamiyadze i Shembe.

26 listopada – Po długich i trochę „przymusowych” wakacjach wraca do Burundi o. Teofil. Wraca też o. Jan Kanty Stasiński. Towarzyszą im o. Prowincjał Eugeniusz Morawski i o. Bronisław Tarka, którzy udają się do Burundi z urzędową wizytacją.

10 grudnia – Musongati żegna wyjeżdżającego z Burundi konsula szwajcarskiego, Jana Bonvin. Uzyskał on od pewnej organizacji szwajcarskiej wydatną pomoc na budowę Ośrodka Zdrowia w Musongati. Przy okazji poświęcono i wmurowano kamień węgielny pod tenże Ośrodek. Wśród obecnych byli ks. bp Ruhuna i władze wojewódzkie.

14 grudnia – Urzędowego otwarcia nowicjatu Karmelitów Bosych w Mpindze dokonał o. Prowincjał Eugeniusz Morawski. Nowicjat oddano pod opiekę św. Józefa. Magistrem nowicjatu został mianowany o. Eliaszy Trybała.

17 grudnia – Uroczyste obłóczyny zakonne pierwszego nowicjusza w Mpindze, br. Cyryla od Dzieciątka Jezus (Barutwanayo).

31 grudnia – Po przeprowadzeniu urzędowej wizytacji i założeniu nowicjatu w Mpindze o. Prowincjał wraz z o. Bronisławem odjeżdżają z Burundi.

Co zbudowaliśmy w 1978 roku?

1. Kościół w Gakome,
2. Dom Sióstr Bene-Tereziya i szkołę gospodarczą w Kihugu,
3. Szkołę podstawową w Musongati,
4. Katechumenat w Kiharo,
5. Położono fundamenty pod dom rekolekcyjny w Mpindze,
6. Rozpoczęto budowę Ośrodka Zdrowia w Musongati.

Z listów misjonarzy:

Wyrazy wdzięczności i wieści.

Mpinga, luty 1978

+

Drodzy Przyjaciele!

„Nie ma większej miłości nad tę, która skłoniła Chrystusa, do krzyżowej śmierci”. Do tej miłości staramy się w okresie Wielkiego Postu zbliżyć naszych wiernych poprzez liczne rekolekcje na wszystkich stacjach misyjnych. Zagonienie duże, bo parafie w Mpindze i Musongati sięgają daleko w busz.

Mimo to zagonienie, pragnę skreślić do Was, Drodzy Przyjaciele kilka zdań. Wiem, że nie wypowiedzą one tego wszystkiego, co odczuwają dla Was nasze serca, ale może będą choć małym znakiem naszej wdzięczności:

1. za duchowe wsparcie Waszych modlitw, listów i zatroskania
2. za wsparcie materialne, które pozwala nam wspomagać naszych biednych.

W okresie Bożego Narodzenia udało się nam sprowadzić ponad 50 ton żywności dla naszych głodujących. Wprawdzie oficjalnie nie ma u nas głodu i organizacje międzynarodowe mają trudności w uzyskaniu pozwolenia na sprowadzenie żywności, ale tak nieoficjalnie wiemy o głodzie spowodowanym opóźnioną porą deszczową, a potem gwałtownymi deszczami, które zmywają uprawne stoki górskie, wiemy o głodzie spowodowanym niezaradnością naszych ludzi. „Któż ich nauczył racjonalnie uprawiać rolę?” Tymczasem w stolicy zagadnienie głodu rozwiązuje się bardzo łatwo: „Co, głód? Przecież u nas może każdy uprawiać ziemię i wyżywić się u siebie!”

Podobnie załatwiono problem bezrobocia. Kiedy ustanowiono podwyższone stawki płacy za pracę, przedsiębiorcy zebrali się u ministra, by przedyskutować sprawę. Mówili: „...przecież to spowoduje bezrobocie, bo będziemy zmuszeni zwolnić wielu robotników”. Nie było jednak dyskusji. „U nas problem bezrobocia, nie istnieje! – odpowiedział minister. – Przecież każdy może pracować u siebie!”

Tak, każdy może pracować i wyżywić się u siebie. Nie ma zatem bezrobocia, nie ma głodu. Tymczasem, s. Zygmunta zatrudniła 120 robotników przy uprawie kawy. Na pytanie: „chcecie pracować za pieniądze, za odzież, za koce czy za żywność?” – tylko ośmiu odpowiedziało, że chcą pracować za koce, reszta pragnie żywności. Koce potrzebne, bo noce zimne, ale ostatecznie można się zagrzebać w słomę i noc przespać. Bez pożywienia – nie wyżyjesz.

Sprowadziliśmy zatem żywność. Dla robotników za pracę, dla biednych za darmo. Pomogły nam w tym bardzo Wasze ofiary. Bóg zapłać z całego serca!

Dzięki Waszej pomocy stanął już katechumenat w Kiguhu i stanęła szkoła podstawowa w Musongati. To prawda, że pomogły w tym różne organizacje (np. „Misereor”), ale Wasza

pomoc szczególnie się liczy!

Kościół w Gakome, budowany jako pomnik z okazji 50-lecia ogłoszenia św. Teresy od Dzieciątka Jezus Patronką Misji, to już wyłącznie Wasze dzieło. Został on uroczystie poświęcony przez naszego biskupa Joachima Ruhunę 12 lutego. Radość przepełniła serca mieszkańców tej okolicy. Nasze także są pełne radości i wdzięczności.

Obecnie kładziemy fundamenty pod dom rekolekcyjny w Mpindze. Oczywiście, budowy nie doprowadzi się w tym roku do końca, bo równocześnie wypadnie nam budować dom dla tutejszych sióstr Bene-Tereziya w Kiguahu oraz, nareszcie, ośrodek zdrowia w Musongati. Ufam, że do przyszłego roku przygotuje się trochę cegły i uzbiera nieco grosza. Dom rekolekcyjny będzie Waszym dziełem.

Te wyrazy wdzięczności i te wieści pragnę Wam przesłać wraz z bardzo serdecznymi życzeniami na Wielkanoc. Boża Matka Maryja, która stała pod Krzyżem, niech Was, Drodzy Przyjaciele, hojnie obdarza owocami Jezusowej Męki i Jezusowego Zwycięstwa.

I jeszcze jedno: Muszę Was serdecznie prosić o dużo cierpliwości, bo Wasze listy będą długo czekać na odpowiedź. W marcu bowiem wyjeżdżam do Europy, do Polski. Cóż; starość dopomina się o swoje prawa! Trzeba przy okazji przeprowadzić ogólny remont zdrowia, by z większą wydajnością pracować na niwie Pańskiej. Nie znaczy to, że jestem chory. Nie, ale uzbierało się trochę różnych zaniedbań, które trzeba naprawić, bo w buszu nic nie może dolegać. Modlitwom bardzo się polecam.

Przy okazji przesyłam biedne zdjęcie naszej grupy misyjnej z Mpingi i Musongati.

Jak widać grupa niemała, ale potrzeba nas dużo, dużo więcej.

Szczególnie odczuwamy potrzebę braci zakonnych, którzy zajęliby się budową, odciążając w ten sposób do apostołskiej pracy kapłanów.

Brat Marceli pracuje wspaniale, ale ma tylko dwie ręce, a potrzeba przynajmniej dziesięć. Tę potrzebę będziemy odczuwać szczególnie teraz, bo wraz ze mną odjeżdża do kraju nasz ukochany „pan Szwagier”. Przez dwa lata misyjnej pracy pomógł nam wiele i dał wspaniałe świadectwo laika-misjonarza, ale czeka na niego żona, czekają dzieci, wnuki i... nie dostał przedłużenia paszportu.

Wszyscy bardzo liczymy na Wasze modlitwy i zapewniamy o naszych!

Oddany w Jezusie i Maryi

br. Teofil Stan. Kapusta OCD

W odpowiedzi na pytania.

J.M.J.T.

Mpinga, 11. 03. 1978

Drodzy Przyjaciele!

Wiele miesięcy upłynęło od chwili, gdy podzieliłem się z Wami moimi pierwszymi wrażeniami z pobytu w Burundi. Nie będę się specjalnie tłumaczył, zwłaszcza, że mogłem gdzieś wykroić trochę czasu na jakiś krótki list. Dziękuję br. Stanisławowi Piętce, za okolicznościowy numer „Echa Misyjnego”. Bardzo się nim ucieszyliśmy (ja i O. Bartłomiej), choć nasze apetyty nie zostały w pełni zaspokojone.

Czekamy, byście przesłali nam od czasu do czasu jakiś numer zwyczajny, z którego moglibyśmy dowiedzieć się coś na temat Waszej aktualnej pracy we Wspólnocie Misyjnej. Wierzcie nam, że jesteśmy w dalszym ciągu zainteresowani Waszą pracą, aktywnością Wspólnoty, która wykrystalizowała i w jakiś sposób utrwaliła nasze wielkie powołanie misyjne.

Bo to powołanie jest rzeczywiście wielkie. Nie ze względu na to, że akurat dotyczy nas, ale dlatego, że pochodzi od samego Jezusa. Tu jest miara jego wielkości, nawet w wypadku, gdy powołani – tacy jak my, niedoskonali – nie stają na wysokości swego wielkiego zadania.

W liście Staszka padło kilka pytań. Jak wygląda nasza praca? Jak sobie radzimy z językiem? Jakie są zwyczaje tutejszych ludzi? W jakim stopniu ułatwiają one pracę misyjną? W jakim zaś ją utrudniają?

Takich pytań można by stawiać dziesiątki. Mógłbym postawić je sam sobie, czytając w Waszych myślach i dedukując z Waszych szerokich zainteresowań. Wierze mi jednak, że odpowiedzieć na nie wszystkie byłoby mi dość trudno. Ograniczę się więc do pytań, które wyżej zamieściłem za Waszym Kolegą. Z pewnością nie będzie to pełna odpowiedź – na taką mnie jeszcze nie stać (zainteresowanych odsyłam do listów o. Teofila Kapusty). Ot, po prostu kilka spostrzeżeń na każde z tych pytań.

Nasza praca, to po prostu praca kapłańska na terenie, o którym zwykło się mówić – misyjny. Głoszenie Słowa Bożego, szafarstwo sakramentów – to nasza podstawowa praca. Rozbudowa parafii w sensie materialnym pociąga za sobą dodatkowo prowadzenie różnych budów: kościoły, katechumenaty, budynki formacji socjalnej, szkoły... Najzwięźlej, to właśnie to. A szczegóły?

Nasza parafia Mpinga (mówię o parafii, w której ja pracuję, jest bowiem jeszcze jedna polska, karmelitańska misja w Musongati) liczy ponad 13 tysięcy ochrzczonych na ponad 40 tysięcy mieszkańców (około 30%). Do misji centralnej w Mpindze należy siedem stacji misyjnych rozrzuconych w terenie, do najdalej położonej trzeba jechać blisko 50 km.

W misji centralnej parafianie mają zapewnioną posługę duszpasterską przez cały czas. Zawsze w misji jest kapłan, czasem nawet kilku. Stacje pomocnicze staramy się odwiedzać raz na miesiąc. Jeden z misjonarzy udaje się więc do niej i spędza tam cztery dni (od czwartku do niedzieli).

Nazywamy to „safari”. Z prawdziwym „safari” ma to tyle wspólnego, że często pokonuje się dziesiątki kilometrów w kurzu lub obfitym błocie. Będąc na takim „safari” misjonarz odprawia codziennie Mszę św., głosi Słowo Boże, spowiada, odwiedza katechumenów i chorych, wizytuje chrześcijan u nich samych. „Safari” kończy się w niedzielę Mszą św. Gdy są małe dzieci, niemowlęta, udziela się im chrztu. Katechumeni otrzymują chrzest raz lub dwa razy do roku w samej parafii. By go otrzymać, uczęszczają minimum cztery lata do katechumenatu.

Sakrament małżeństwa, bierzmowania, ma miejsce w kościele parafialnym.

Obecnie jesteśmy w okresie Wielkiego Postu. Podobnie jak u nas w Polsce, jest to okres wyętej pracy duszpasterskiej. Wszędzie, w każdej stacji misyjnej oraz w misjach centralnych głosi się rekolekcje wielkopostne.

Takie rekolekcje zabierają na ogół 6 dni. Dwa dni dla dorosłych, dwa dla młodzieży, dwa dla dzieci. Kończy się to w niedzielę Mszą św. Tak jest na stacjach pomocniczych, gdzie jest niewielu chrześcijan. Na większych stacjach i na samej misji trzeba jeszcze bardziej dzielić, by podołać spowiedzi. Osobno więc mają rekolekcje mężczyźni, kobiety, chłopcy, dziewczęta, osobno dzieci szkolne, katechumeni-dzieci, uczęszczające na lekcje religii lub przygotowujące się do chrztu św. Jak widzicie, pracy nie brakuje. W ubiegłym roku, ze względu na niewystarczającą znajomość języka, pomagaliśmy tylko w spowiedzi. W tym roku sami prowadzimy już rekolekcje. Ja np. skończyłem przedwczoraj drugą serię i we wtorek czeka mnie trzecia seria rekolekcji. W sumie trzy tygodnie. Wiele godzin spędzonych w „konfesjonale” (piszę w „konfesjonale”, ale nie wszędzie je mamy, przynajmniej takie, o jakich mamy wyobrażenie), wiele godzin konferencji, oczywiście w kirundi.

I tu pora, by dotknąć, poruszyć problem znajomości języka. By nie łudzić Was, powiem od razu, że znamy go bardzo mało, co nie znaczy, że nie potrafimy posługiwać się nim jako tako. Po prostu język jest bardzo bogaty, i trzeba wielu lat, by go poznać, co więcej, by się nim dobrze posługiwać. Znam go na tyle, że potrafię dogadać się z ludźmi, rozumiem ich przy spowiedzi, z pomocą kartki potrafię przekazać im przygotowane uprzednio rozważanie nad Słowem Bożym.

By pozwolić sobie na swobodną rozmowę, okraszoną żartami i przysłowiami, jeszcze nie czas. Ale to przyjdzie – jak mówią tutejsi ludzie „Buke buke bukomezi igihonyi”, „Izo zose

zibika z'ar 'amagi", co w bardzo luźnym, dowolnym tłumaczeniu przypomina nasze „Nie od razu Kraków zbudowano”.

Nasi wierni zdają sobie sprawę z tego, że nie znamy dobrze kirundi. Dlatego też w rozmowie z nami używają języka jakby „uproszczonego”. Kiedy rozmawiają ze sobą mówią bardzo szybko prawdziwym kirundi. Jasną jest tedy rzeczą, że wówczas wielu słów nie chwytały, nie rozumiemy, co mówią.

Mam na myśli nas młodych. Starsi radzą sobie lepiej, ale nie skłamię, jeśli napiszę, że i oni bardzo często mają trudności, by ich zrozumieć.

Język, tzn. znajomość języka, gra tu wielką rolę, ale nie to decyduje o powodzeniu naszego posłannictwa. Liczymy przede wszystkim na działanie łaski.

Język to klucz do poznania zwyczajów. Dlatego też znajomość zwyczajów idzie w parze z tym pierwszym.

Życie tutejszych ludzi związane jest z rytmem przyrody. Dlatego jest bardzo regularne i spokojne. Życie codzienne jest mierzone przez wielki zegar, jakim jest słońce. Kiedy pierwsze blade promienie słońca wystrzelają spoza horyzontu, dokłada się pospiesznie do wygasłego ognia (...).

O. Nazariusz Kwiatkowski

Wrażenia po czterech miesiącach w Burundi.

Musongati, 3. 04. 1978 r.

JM + JT

Przewielebna Matko,
Kochane, Drogie Siostry!

(...) Już cztery miesiące przeżyłam w Burundi i sądzę, że proces aklimatyzacji jest już poza mną. Każdy Europejczyk przeżywa go na swój sposób. Mnie trochę dokuczało uczulenie przez kilka tygodni, ale z pomocą Bożą wygrałam walkę z Afryką i czuję się teraz dobrze.

O Burundi, będąc jeszcze w kraju, czytałam i słyszałam wiele, nic mnie tu więc nie zdziwiło i nie zaskoczyło – a nawet – napiszę więcej – zbyt nie zachwyciło. Nie przywiodła mnie tu żądza nowych wrażeń, chęć oglądania piękniejszych niż w Polsce widoków, bo te widziane z Giewontu czy z zawojskich szczytów zupełnie mi wystarczały i nie przypuszczałam, że może być gdzieś piękniej. I rzeczywiście do tej pory nie zmieniałam zdania.

Burundi – choć to kraj górzysty – jest jednak bardzo słabo zalesiony i to w moich oczach powiększa jego ubóstwo. Niezastąpione są też nasze polskie pory roku, tak doskonale zharmonizowane z przeżyciami roku liturgicznego. Tu jest ciągle bez zmian. Podobno w zbliżającej się już porze suszy roślinność zzółknie, zszarzeje, a brunatny pył będzie się wciskał wszędzie.

Ludzie tu, jak i wszędzie – z wadami i zaletami. Obserwując moje panienki z foyer widzę, że są bardzo radosne, a przy tym pracowite. Idą od wczesnego rana całymi godzinami, by się czegoś u nas i od nas nauczyć. Są zdolne i spostrzegawcze. Bardzo się cieszą, gdy uda mi się pojąć jakieś zdanie z ich trudnego języka. Całe szczęście, że nasze nauczycielki znają język francuski, bo w przeciwnym wypadku nie mogłabym się tak z miejsca zabrać do pracy. Raz w tygodniu odwiedzam uczennice w ich domach i wtedy mam okazję zobaczyć z bliska wielkie ubóstwo tych ludzi. Dużo tu jeszcze pogan, cieszyliśmy się więc bardzo, gdy w Wielką Sobotę ojcowie misjonarze ochrzczili nowych 80 osób dorosłych. Taki chrzest robi wrażenie, zmusza do refleksji, pobudza do wysiłku, by coraz szersze kręgi pogan włączyć w zasięg zbawczego działania tego wielkiego sakramentu.

Wielkim zbudowaniem dla mnie jest rodzinna, pełna życzliwości atmosfera, jaka panuje wśród misjonarzy różnych narodowości. Tu wszyscy czują się braćmi, gotowymi spieszyć

sobie z pomocą i radą, a każda Misja jest zawsze gościnnie otwartym domem. Język wzajemnego zrozumienia skutecznie uzupełnia często łamaną francuszczyznę i najważniejsze jest to, co nas łączy, a nie co dzieli. Przyczynia się do tego także przyjacielska, pełna pogody i humoru postawa naszego księdza Biskupa. Przed wyjazdem do Europy zjadł z nami pożegnalny obiad i parokrotnie pytał, co ma przekazać Naszym w Ojczyźnie. W Polsce będzie w połowie maja, a po powrocie nie omieszką podzielić się z nami tym, co przeżyje i zobaczy w kraju, który głęboko zapadł mu w serce – od pierwszego wejrzenia.

W naszej polskiej karmelitańskiej Misji praca idzie na pełnych obrotach, a osiągnięcia są bardzo duże. Nasze Musongati zmieniło się nie do poznania. Niedługo nasz „inżynier” br. Marcelli, będzie w Polsce, niech więc sam się pochwali, czego dokonał w tak krótkim czasie.

Nie próżnują też nasze siostry misjonarki, ale dzień po dniu podejmują ofiarnie trud posługiwania bliźniemu na różnych odcinkach. Siostry pielęgniarki cieszą się, bo zakłada się fundamenty pod nowy szpitalik i centrum zdrowia. Będzie można zapewnić pomoc lekarską większej liczbie naszych chorych, a praca w lepszych warunkach nie będzie tak męcząca, jak dotychczas.

Parę dni temu dojechała do nas z Grenoble s. Scholastyka, tworzymy więc już pełny dom i staramy się, każda według swych możliwości, rozwijać w nim atmosferę radosnej służby Bogu i ludziom.

Dobrze nam jest razem i to ułatwia życie w tak wielkim oddaleniu od Najbliższych i Ojczyzny – zawsze bardzo drogiej sercu.

Rozumiemy, że tu nie ma innych możliwości i trzeba się uszczęśliwiać we własnym zakresie

Różnymi drogami docierają do nas wiadomości z Polski, ze Zgromadzenia, o radościach i smutkach Drogich Sióstr (...).

Pozdrawiam i całuję każdą kochaną Siostrę

S. M. Immakulata

Wielki Post już minął.

Bujumbura, 13. 04. 1978

J.M.T.J.

Kochani!

Myślę, że mój ostatni list, jaki podałem przez o. Teofila, doszedł już do Was. Myślę, że oczekujecie z niecierpliwością wizyty kogoś z tych, co pojechali do Polski. Ks. Biskup pojechał do Rzymu i prawdopodobnie będzie w Polsce w połowie maja.

Tak jak było do przewidzenia, Wielki Post już minął i sporo roboty mamy za sobą. Dzięki Bogu, radziłem sobie w czasie tych wszystkich rekolekcji nie najgorzej.

W Wielką Sobotę mieliśmy chrzest 80 katechumenów. Sam ochrzciłem około 20. Było to wielkie święto, choć zewnętrznie w niczym nie przypominające chrztów, jakie mamy w Polsce. Katechumenów można było rozpoznać jedynie po tym, że nosili nowe różańce na szyi, różańce, które dostali w podarunku. Po Mszy św. 10 par małżeńskich, z których jedna strona otrzymała chrzest, zawierało oficjalnie sakrament małżeństwa.

Święta Wielkanocne były bardzo udane. Akurat tego dnia nie padało, więc przyszło sporo ludzi z całej parafii, niektórzy rzeczywiście z bardzo daleka.

Obecnie mamy porę deszczową. W tym roku pada o wiele bardziej niż w inne lata. Dlatego sporo dróg jest nieprzejezdnych, po prostu woda rozmyła lub zalała proste drewniane mosty.

W Niedzielę Palmową wracałem z Bartkiem z rekolekcji. W połowie drogi okazało się, że jedyny most, który otwierał drogę do Mpingi, został bardzo mocno podmyty, a na dodatek zalany. Próbowaliśmy coś zrobić – bez skutku. Zostawiliśmy więc nasze dwa samochody na stacji misyjnej i wróciliśmy do domu piechotą (2,5 godz.). Nazajutrz załadowaliśmy na trzeci

samochód trochę drzewa, desek i różnych łąt i ruszyliśmy szukać tych samochodów. Przy pomocy przywiezionych desek i długiej na 80 m liny przeciągnęliśmy samochody na drugą stronę rzeczki. Wszystko „chodziło”, ale udało się przeciągnąć oba samochody. Mostu dotąd jeszcze nie naprawiono. Trzeba by było czekać nie wiem dokąd. Opady pociągną się jeszcze z miesiąc – do połowy maja.

Nie pisałem Wam chyba jeszcze o tym, ilu nas tu wszystkich jest z Polski. Oprócz misjonarzy - 9, jest 6 siostr karmelitanek, dwie szarytki oraz... dwie rodziny. Jedna – to lekarz z żoną i synkiem (od 4 miesięcy). Druga rodzina większa, bo liczy osiem osób. On Zairczyk, ożenił się w Polsce z Polką. Mają 6-cioro dzieci (kawowe i bardzo miłe), mówiące oczywiście po polsku. Gdy przyjadą na wakacje, będzie rojno i gwarno.

To tyle w tym liście, który piszę z Bujumbury. Przywiozłem tu samochód do garażu.

Czuję się bardzo dobrze, już półmetek pobytu w Burundi, a jutro skończę 27 lat!

Pozdrawiam Was wszystkich, całuję i polecam się pamięci

O. Nazariusz Kwiatkowski

Szczęśliwie przyjechałam do Burundi.

Musongati, 30.04.1978 r.

Kochane Siostry w Sosnowcu,
Drodzy i Przechacni Przyjaciele naszej Misji!

Bogu dzięki, szczęśliwie przyjechałam do Burundi. Nasze siostry i nasi ojcowie karmelici wyjechali po mnie na lotnisko. Z Bujumbury do Musongati jest około 200 km po drodze polnej. Obecnie jest tu pora deszczowa, dlatego po drodze można oglądać piękny górzysty krajobraz naszego kraju. Jest zupełnie inaczej niż w Polsce. Widać tylko góry, ludzi i dzieci, a domów nie widać. Są ukryte w liściach bananów, a zresztą są to domki jak ptasie gniazda, tak samo lepione z błota, patyków i trawy. Czasem tylko można zobaczyć dom z kamienia lub cegły.

Byłam u naszych Ojców w Mpindze. Zwiedziłam kościół, szkołę i dom Ojców. U nas w Musongati też są wybudowane trzy piękne szkoły: katechumenat, foyer – szkoła gospodarza i szkoła podstawowa, oraz trzy domy: dla ojców, siostr i nauczycieli. To wszystko budowali nasi ojcowie karmelici.

Obecnie rozpoczęto budowę małego szpitala i dom żywienia małych dzieci i uczenia matek karmienia.

W niedzielę dostałam wielkiego szczęścia. Po raz pierwszy rozdawałam komunię św. wiernym. Wieczorem tego dnia towarzyszyłam s. Zygmuncie w „szpitaliku”. Były dwa ciężkie wypadki: młody człowiek spadł z roweru i bardzo pokaleczył głowę i poprzecinał dziąsła. Kobieta, której spadło drzewo na głowę, przyszła okryta szmatą 50 km. Wielkie było moje pierwsze wrażenie widząc tych biednych chorych i siostrę pracującą w tych ciężkich warunkach. S. Zygmunta z konieczności musiała wykonywać pracę chirurga przy słabej baterii. Przyznam się, że w pewnym momencie zrobiło mi się słabo, gdy patrzyłam na to wszystko.

Dzięki Bogu, że rozpoczęto budowę szpitala. Dobrzy ludzie pomogą, to jakoś wykończy się. To, co robimy dla chorych i biednych, zawdzięczamy naszym Przyjaciołom z kraju.

Modlitwą, myślą i sercem obejmujemy wszystkich –

wdzięczna s. Scholastyka

„Tak przemija pierwszy dzień maja”.

Burundi – Mpinga, 1. 05. 1978 r.

„Chwalcie łąki umajone”

Najdrożsi Rodzice, Siostru Elu!

Pochwalony Jezus Chrystus!

Gwiazdzista, afrykańska noc. Księżyc jeszcze nie wyszedł. Zobaczę go dopiero rankiem. Cisza wokoło. Świat murzyński jest uśpiony. Misjonarze jeszcze nie śpią. Uganiają się za sprawami doczesnymi i Bożymi. Dochodzi godzina 11.00. Afrykańskie rozgłośnie radiowe kończą swoje programy. W radio złapałem jakiś program francuski. Nie ma telewizji – nie narzekam. Zakończyłem również mój program dnia. Moja rozgłośnia nie sięga na końce świata, zamyka się w Mpindze. Teraz pragnę nadać Wam parę słów.

O. Teofil pisze mi, że Was odwiedził. „Żyją!” – tak mi donosi. Składałam dzięki Panu i cieszę się. Jak dotąd, od listopada nie mam od Was listu. Pisałem pod koniec marca. Może źle adresujecie. Myślę, że moje listy dochodzą. Również cieszę się, że Was odwiedził pan Szwagier – Szklarczyk z Wadowic. Myślę, że więcej Wam przekazał niż moje listy. Ciągłe go tu wspominamy.

1 maja już przeminął. Czuję wiosnę polską. Pełną nadziei i marzeń. Uciekam się do minionych wiosen w Targanicach. U nas odwrotnie. Zaczyna się pora sucha. Zaczyna się okres upałów i prac przy budowach. Jutro jadę do Kiguha doglądać roboty przy budowie domu dla Sióstr Czarnych. To tak dorywczo. Uczę się, jak to robić. Budowę zajmuje się o. Sylwan Zieliński z Wadowic. To są moje dodatkowe zajęcia misyjne. Obok prac apostolskich – misyjnych, prace gospodarcze. Kukurydza kwitnie, groch już będzie kwitnąć, ziemniaki wychodzą, koguty pieją – 27 kur i kogutów, świnia się nie oprosiła – cyganka! ma objętości 103 cm. Pod koniec maja będzie świniobicie. Wieprzuś, który się nazywa Maciuś, ma 33 kg. Za dwa miesiące przybyło mu 23 kg – murzyn. Ciesz się mnie to!

Dwa tygodnie temu biliśmy w Musongati świnie. „Wychowanka” sióstr karmelitanek z Polski. Mieliśmy jedzenie na trzy domy misyjne. Opłaca się. Trochę odżyliśmy i podjedli po polsku. Była kiszka, leberka, salceson, kielbasa, kotlety, żeberka i inne.

Dziś mieliśmy dzień wolny od pracy. Rano była uroczysta Msza św. Wiernych przybyło dużo. Przynieśli narzędzia pracy, by je Pan pobłogosławił. Jest to piękny zwyczaj poświęcania 1-go maja narzędzi. Kobiety i dziewczęta przyniosły kopaczki, chłopcy siekiery i murzyńskie sierpy. Niektórzy wyciągali spracowane ręce, by Bóg zobaczył i umocnił te osłabłe ramiona, które dał człowiekowi przy stworzeniu. Ja dałem wszystko do poświęcenia: ręce, nogi, oczy, całego siebie, bo nam potrzeba siły z wysoka.

Po obiedzie wybrałem się z O. Nazariuszem do naszej rzeki z wodospadem. Myślimy budować małą elektrownię. Skorzystaliśmy z kąpieli i słońca. W drodze powrotnej spotkaliśmy się z naszą Matką Maryją w modlitwie różańcowej. Nie zdążyliśmy przyjść na wspólny Różaniec przy kapliczce parafialnej.

Wieczorem piekę serowiec i kiszę kapustę. I tak przemija pierwszy dzień maja.

Napiszcie, co słyhać w domu i w polu. Kończę, bo mam jeszcze trochę modlitwy, która zamyka mój dzień. Jestem, pamiętam, czuwać z Wami przy Maryi!

Wspomagany opieką Rzemieślnika św. Józefa synowski i braterski pocałunek przesyła

Jaśko-Bartek

„Matka – ta sama w Afryce, ta sama w Polsce.”

Bujumbura 19.05.1978 r.

„Anielską pieśń dzwon gra”

Najdrożsi Rodzice, Siostru Elu!

Pochwalony Jezus Chrystus!

Piątek. Stolica się budzi. Rozpoczyna się upalny dzień. Termometry wskazują 25 stopni. W kościele św. Michała dzwoni dzwon na Anioł Pański. Godzina 6.00 rano. Idę na brewiarz i na spotkanie z Chrystusem we Mszy św. Już prawie dwa lata naszej wspólnej ofiary, Jego Krzyżowej, mojej kapłańskiej. Za trzy dni druga rocznica święceń.

W stolicy jestem od poniedziałku. Przyjechałem z o. Nazariuszem. Oj, ten poniedziałek! Z Musongati zabieramy kobietę z pięciomiesięcznym dzieckiem, by odwiedzić ich do szpitala w Gitedze. Dziecko chore i zatrute lekarstwami czarowników. Matka ma nadzieję, że je jeszcze w szpitalu ulecą. Rozmawia z nami o swoim życiu. Jest to pierwsze jej dziecko. Ona katoliczka, mąż poganin. Poszedł do Tanzanii na zarobek. Została sama. W pewnym momencie naszej rozmowy jęknęła omdlałym głosem, że dziecko się kończy. Odjechalismy zaledwie 10 km od Musongati. Zatrzymujemy samochód. Pytamy, czy chce, by dziecko było ochrzczone. Tak. Jakie imię? Stefania. O. Nazariusz udziela chrztu św. Dziecko kona. Stefania Nzimana umarła. Imię Nzimana znaczy po naszymu „bym poznała Boga”. Dziecko poznało Boga.

Pierwszy raz mogłem przeżyć ból czarnej matki. Jęki, zawodzenia, wezwania, suchy płacz, błędne oczy matki i mała główka Stefanii, zapadnięta w szyi na czarnej piersi matki, jakby chciała powiedzieć: już wystarczy, już nie będziesz mnie mamó karmiła.

Powrót do Musongati. Staram się zrozumieć ból matki w słowach kirundi. Zawodzi, że jest matką na nic, że pozwoliła umrzeć dziecku, że została sama, że już nie będzie czuła ciepła swojego dziecka na plecach, że sama zostanie w polu przy uprawie. Wszystko skończone, Boże, ojoj...

MATKA – ta sama w Afryce, ta sama w Polsce.

Kończę, bo trzeba brać samochód i zrobić zakupy w mieście. Wszystko niesamowicie drogie. Kilowy młotek kosztuje prawie 8 dolarów, co na polskie pieniądze można przeliczyć – 800 złotych. Niełatwo!

Dziś na obiad zaprosiła nas jedna francuska rodzina wojskowa. Dobrzy to ludzie.

A co u Was? Nie mam listu od listopada.

Wszystkich pozdrawiam i pytam o wiadomości z domu i z Polski.

W Chrystusie i Maryi

syn i brat Jaśko

Z wędrowki misjonarza.

Mpinga – Gatare, 15.06.1978

J.M.J.T.

Kochani!

Gdybym nie spojrzał do notesu, w którym zapisuję swoją korespondencję, za nic w świecie nie uwierzyłbym, że ostatni list napisałem przed dwoma miesiącami. Obszerny list. O ile sobie przypominam, posłałem jeszcze inny w międzyczasie, ale na pewno w maju. Podobnie jak kiedyś w ubiegłym roku, rozgrzeszałem się tym, że ktoś z tych, którzy pojechali na wakacje, odwiedzi Was i opowie nieco więcej. Tymczasem ksiądz Biskup już powrócił z Polski, ale do Was nie wpadł. Tłumaczył się brakiem czasu. Był tylko 8 dni w Polsce. Może o. Teofil wraz ze „Szwagrem” tam wpadli? Byłbym szczęśliwy.

No więc trzeba wreszcie zabrać się do tego listu. Dawno nie pisałem i nie wiem, od czego zacząć. Chyba od tego, że jestem zdrowy i że przez ten czas również byłem zdrowy. Ewentualne obawy o choroby były więc płonne. Na samopoczucie nie narzekam. Dodatkowym powodem dobrego samopoczucia jest to, że dwa lata za nami. Pozostało jeszcze sześć miesięcy tego roku i ileś tam miesięcy przyszłego. Ale to tylko miesiące. Zlecają tak jak inne. Cierpliwości i wytrwania. To takie życzenia, które i samemu sobie ślę.

W tym roku pojechał na wakacje jeden z naszych braci – br. Marceli. Pojadą również o. Jan Kanty, o. Sylwan oraz jedna siostra – Zygmuntka. Parę dni temu pojechała s. Bernarda –

szarytka, która zajmuje się trędowatymi w naszej diecezji. Burundi więc będzie dobrze reprezentowane w tym roku.

Co nowego wydarzyło się od mojego ostatniego listu? (Aha! Bóg zapłać za list wysłany w połowie maja. Dostałem go 29 maja).

Był to okres pół świąteczny. Nic więc dziwnego, że tempo pracy nieco zelżało po wielkopostnych rekolekcjach. To nie znaczy, że nie pracowaliśmy. A więc obsługa terenowych kapliczek i szkółek. Ja byłem dwa razy (teraz trzeci). Byłem w szkółce w miejscowości o nazwie Kiharo oraz w Mutaha.

Kiharo – położona jest około 22 km od Mpingi, licząc za drogą. W linii prostej schodzi się dość stromo około 2 godziny. To tam, gdzie w Niedzielę Palmową potężna ulewa przerwała nam mosty i skąd zostawiwszy samochody, wracaliśmy na nogach do domu. Nazajutrz byliśmy trzecim samochodem i przeciągnęliśmy je po prowizorycznych mostkach. Ale o tym już pisałem. Powtarzam się. Starość nie radość.

Kiedy pojechałem tam, mostki nie były jeszcze zreperowane. Zostawiłem więc samochód u kogoś i podreptałem do szkoły. Rzeczy przeniosły dzieci, które przybiegły ze szkoły. Było tam fajnie. Nie powiem. Co prawda nie można było specjalnie włączyć się w terenie z powodu deszczu, ale wolnego czasu nie marnowałem. Przecież człowiek potrzebuje przeczytać czasem jakąś książkę, nieprawdaż? Idealny czas na to. Oczywiście nie cały dzień. Tylko po południu i wieczorem. W nocy gorsza sprawa. Komary, zacięte, złośliwe, bezwzględne bestie. Właśnie wtedy zapomniałem wziąć ze sobą moskitiery (siatka, jaką zawiesza się nad łóżkiem). Wyczuły to, nie dały spać. Czasem do północy. W końcu wyciągnąłem jakiś bandaż i owinałem głowę. Ale wyglądałem! W ten jednak sposób dałem radę komarom.

W Kiharo uczestniczyłem na zebraniu przedstawicieli tamtejszych chrześcijan. Takie zebrania są teraz tu modne. Biorą w nich udział ci, którzy zostali wybrani przez chrześcijan w poszczególnych wioskach. Byli więc mężczyźni, kobiety, dziewczęta, chłopcy, reprezentanci wiernych, organizacji kościelnych, itp. W sumie około 40 osób. Na ogół w czasie takich zebrań omawia się najważniejsze problemy wspólnoty, radzi się, jak ożywiać wiarę i dobre obyczaje.

Rola kapłana w tym wszystkim: przede wszystkim wysłuchać. Wcale niełatwo, bo i język, bo i długo (2,5 godz.). W końcu trzeba zabrać głos i podsumować dyskusję, wyciągnąć wnioski, wskazać na pewne mankamenty w życiu wspólnoty chrześcijan, udzielić rad i wskazówek. Zrobiłem więc to i wydaje się, że byli z tego zadowoleni.

Dwa tygodnie temu byłem w innej szkółce – w Mutaha. Trzeba dojechać do Kiharo, a stamtąd jeszcze 15 km. W sumie z Mpingi 37 km. Jest to bardzo mały succursale. Liczy zaledwie kilkanaście rodzin, z tych zaś praktykujących zaledwie kilka rodzin. Jest to szkołka typowa dla tego regionu, pogrążonego w pogaństwie. Typ ludzi nieco inny niż wewnątrz kraju. Ludzie tamtejsi bardzo szybko zniechęcają się do chrześcijaństwa, które zakazuje pijaństwa i poligamii (poligamistów tam bez liku).

Cała nadzieja w dzieciach. Uczęszcza ich do katechumenatu dość sporo. Nie wszyscy wytrwają do końca, wielu odpada w czasie nauki, wielu porzuca wiarę po chrzcie. Ziarno jednak jest zasiane i wierzymy, że Pan da wzrost, jak nie teraz, to nieco później. Jest to teren naprawdę misyjny, taki, o jakim się czyta nieraz w książkach o misjonarzach z dawnych czasów. Marzymy o jego ewangelizacji. Przymierzamy się jak możemy. Na razie to, co ja sam mogę, to obecność. No więc kiedy tam byłem, kilka razy wybierałem się w teren (deszcz już nie pada). Podjeżdżałem samochodem, bo odległości duże. Skupisko o nazwie Gikenko. Położone tuż na granicy z Tanzanią. Dużo ludzi. Chrześcijan – dwie rodziny, które już od dawna nie praktykują. Nie ma szkoły. Kiedyś była, ale katechista zaniedbał, w końcu sam wziął drugą kobietę i sprawa skończona. Ze szkoły zostały ruiny, z wiary – wspomnienia. Zaglądam tu i ówdzie. Sporo dzieci. Jakby je tak zebrać? Idę dalej. Plac zabaw. Kilkunastu młodzieńców z dzwonkami na nogach, kilkanaście półnagich dziewcząt z gwizdkami w ustach. Tańczą taniec mosa. Wartki, rytmiczny taniec. Tumany kurzu. Robię parę zdjęć.

Spotykam nowego szefa. Pochodzi z Mpingi. Został tu mianowany niedawno. Łączymy z nim pewne nadzieje. Mówię mu o szkółce. Jest jak najbardziej za nią. Podsuwam więc myśl: „Weź trochę ludzi, zbuduj, zobaczymy? Jak będzie dużo dzieci i będą się wytrwale uczyć, może postawimy jakąś lepszą. Na razie taka wasza: z bambusów, oklejona błotem, pokryta trawą! Zgoda?” Przytakuje. Pomyślcie o tym – mówię na odchodne – katechistę wam damy.

W ten sposób pierwszy krok zrobiony. Trzeba teraz położyć rękę na pulsie i sprawy dopilnować. Przypomnieć, w jaki sposób pomóc.

Jadę do innej wioski. Nazywa się Rubanga. Obszerne skupisko ludzi, tuż u podnóża masywu górskiego, na którym leży Mpinga. Kiedyś była tu kaplica pomocnicza jak w Kiharo czy Mutaha. Coś tam się popsuło i kaplicę zlikwidowano. Pogrzebano razem z tym i chrześcijaństwo. Było około 30 rodzin chrześcijańskich. Aktualnie praktykują tylko trzy! Reszta?

Do najbliższej kaplicy mają 8 km. Twierdzą, że za daleko. Co zrobić? Trzeba chyba przyjść do nich. Powoli, oczywiście. No więc na początek mała szkołka katechetyczna. Zapisalem 34 dzieci. Nie tylko. Matka z dzieckiem, kilku młodzieńców, dwie czy trzy panny. Kiedy zachodzę do szkółki jest 22. Inni nie przyszli. Witam się z wszystkimi, z każdym osobno. Podają ochotnie dłonie. Ha! to już coś. Wszczynam rozmowę. Pytam o wiadomości z domu, o zdrowie. Powoli przechodzę do katechizmu. Pytam, podpowiadam, słucham odpowiedzi. Ot, coś jak pogawędka o Bożych sprawach. Tak przez pół godziny. W końcu sam czuję się zmęczony. Krótka modlitwa „Ojcze nasz” i wychodzimy na zewnątrz. Zapraszam do grupowego zdjęcia. Jeszcze chwila, parę słów i do zobaczenia w niedzielę. Przyjdźcie – mówię – dostaniecie witaminy (dobre jak cukierki). Miałem Wam dać dzisiaj, ale zapomniałem! Pa Nagasaga! Tuzobonana ku musi w ‘Imana. Wracam zadowolony, z przekonaniem, że i tam Słowo Boże już zapadło i kiedyś wyda plon dobrych uczynków. Choćby nawet dwukrotny. To już będzie coś!

W mosso jest gorąco. Więcej. Jest po prostu upalnie. Podróże choćby samochodem – męczą, a przy tym suszą. Trzeba dużo więcej pić. Dużo wody. Do trzech litrów dziennie. Jak smok wawelski!

Orzeźwiłem się trochę, więc mogę kontynuować opowiadanie i podróżę. Wybierzemy się jeszcze do innej miejscowości, którą wtedy odwiedziłem. Osiedle o nazwie Gatonga. Z Mutahy tylko 16 km. Piaszczysta droga. Można by tu urządzać rajd safari. Sam próbuję. Osiągam tylko 90 km/godz. Droga kończy się. Teraz trzeba przedzierać się wąską ścieżką. Na szczęście nie ma kopców termitów. Choć wąsko i nic nie widać z powodu wysokiej trawy, dojeżdżam do samej szkółki. Szkołkę zbudowali w ubiegłym roku. Zbudowali sami. Nieduża, odsłonięta po bokach. Byłem tu przed Wielkim Tygodniem. Jako pierwszy. Wówczas szedłem z Shembe pieszo. Tylko 8 km. Dzieci nie wiedziały, jak się zachować. Były sztywne i nierozmowne. Dziś ich nie ma w szkółce. Jest sobota. Jadę więc ich szukać. Do pierwszej zagrody wchodzę w towarzystwie kilku napotkanych młodzieńców. Witam się ze wszystkimi. Kilkoro małych dzieci, grupa chłopców, którzy popijają piwo. Nie zatrzymuję się przy nich, bo nie chcę pić tego piwa. A gdy poczęstują nie wypada odmówić. Zatrzymuję się przy dzieciach. Daję im przywiezione witaminy. Nie wiem, czy dowierzają w ich faktyczną moc, ale biorą. Matki też. Przyglądam się bliżej tym dzieciom. Duże brzuszki. Pewnie kwashiorkor – taka choroba płynąca z niedożywienia. Na szyi jednego z nich plik amuletów. Mają go chronić przed chorobami, przed złym wpływem duchów przodków. Jest więc spiralnie wygięta miedziana blaszka, kilka muszelek i... malutkie kozie kopyto. Nie pytam o zastosowanie poszczególnych amuletów, bo i tak nie powiedzą. Mówię tylko matce, że byłoby lepiej za te amulety kupić jakąś szmatkę dla dziecka.

Idziemy dalej. Przybiega gromada dzieci. Odwiedzam jeszcze kilkanaście zagród. Wiele dzieci mnie poznaje. Dostają witaminy. Dochodzimy prawie do samej granicznej rzeki. Z drugiej strony Tanzania. Pytam dzieci o nowiny w szkółce. Dobre nowiny – odpowiadają. Kilkanaścioro zdało właśnie pierwszy egzamin (egzamin unieważniony, bo katechiści nabrali o. Bartłomieja i zrobili o miesiąc za wcześnie). Dzieci jednak o tym nie wiedzą. Pod koniec

czerwca będą powtarzać. Zresztą z katechistami są czasem kłopoty. Pytałem właśnie o podręczniki do nauki czytania. Mówią, że mają wszyscy, ale że za drogie. Jak to? – pytam. Przecież 10 fr. to wcale nie majątek. Widzę zdziwione miny. Kupowaliśmy po 15 fr. – odpowiadają. U kogo? – pytam. U katechisty Gaspara. No tak. Przypominam sobie, że jak byłem w Shembe, kupował u mnie kilkanaście książeczek do czytania, ale po 10 fr. Na każdej zarobił 5 fr. Oberwie on za swoje, bo zgłosiłem to o. Proboszczowi. Żeby się dorabiać na biednych dzieciach! Wstyd! Ma, co prawda sporo roboty z tymi dziećmi, bo jakby nie było jest ich tam ponad 70 (!), ale przecież to nieuczciwość. Jest już późne popołudnie, kiedy wracam do Mutaha. Po drodze spotykam grupę mężczyzn, którzy skończyli pracę społeczną (ubumwe).

Dziś, gdy piszę ten list, jestem w szkółce w Gatara. Przypominacie sobie chyba tę nazwę. Przed przeszło rokiem, pod koniec kwietnia miałem tu moje pierwsze safari. Pisałem wam o małym walącym się domku, o tym, że trzeba przesuwac miednicę, bo przecieka. Ha! Dawne czasy! Można wspominać o tym z łezką w oku. Dziś w tym miejscu stoi okazały katechumenat wraz z pomieszczeniami dla księdza i boya. Budynek ma 26 m, z kamienia, kryty eternitem, okna z prawdziwego zdarzenia, w klasach eleganckie ławki. Opłaciło się to wybudować, bo jest teraz o wiele więcej katechumenów. Rano np. byłem w klasach: na pierwszym roku obecnych 45 (ponad 30 nieobecnych), w czwartej klasie 31 (około 20 nieobecnych). Także w niedzielę tu gwarno. Od kilku miesięcy działa młodzieżowa organizacja kościelna CHIRO (liczy 65 członków). Starsi chcą założyć Legion Maryi. Coś się dzieje, choć i problemów nie brakuje.

Co poza tym słyhać u mnie? Choć jestem w przysłowiowym buszu staram się śledzić to, co się w świecie dzieje. Dobre radio pozwala słuchać dziennika, zwłaszcza po francusku, nieraz po polsku, ale nie z Polski. Podobnie jak Wy tam w Polsce, śledzę rozgrywki w piłkę nożną w Argentynie. Wiele meczów słuchałem bezpośrednio z Argentyny. Zmartwiła mnie porażka Polaków z Argentyną (0:2). Teraz już nie wierzę w żaden ich medal.

Przed dwoma tygodniami nasze domowe gospodarstwo pomniejszyło się o jedną... świnkę. Tak bez żartów. Hodowaliśmy ją przez kilka miesięcy, by w końcu posłać ją pod nóż. W ten sposób mieliśmy okazję jeść kaszanekę, pasztetówkę, salceson, galaretki, golonkę, polską kiełbasę z tutejszej świnki. Jest też słonina, boczek, szynka. A więc to wszystko, o czym człowiek marzy od czasu do czasu, roniąc łezkę z tęsknoty. I wyobraźcie sobie: siedzę sobie w Gatara i na śniadanie, na podwieczorek, zjadam nie co innego niż wspaniałą, aromatyczną suchą kiełbasę! Co? Leci wam ślinka? Możliwe, bo przecież od Wielkanocy minęło parę ładnych miesięcy i na pewno się skończyła. A ja jeszcze mam. Dzięki Bartkowi. Przygotował znakomicie.

Przy okazji, skoro o tym mowa, podsunąłbym myśl, by ktoś od czasu do czasu posłał coś takiego pocztą lotniczą – o ile coś takiego jest możliwe (nie znam aktualnych przepisów celnych).

Kochani! Rozpisałem się szeroko w tym liście. Może za mało piszę o sobie. Wierzcie mi, że pisząc o innych, o ich sprawach, o ich życiu, piszę i o sobie. Jestem przekonany, że w ich życiu zawiera się częśćka mojego.

Pyta Mama, czy dostaję listy od innych z Polski? Czasami. Niektórzy piszą nie czekając na list ode mnie. To mnie cieszy. Inni są bardziej powściągliwi. Napisałem, odpowiedzieli. Koniec. Czekają na następny list, ale ja postanowiłem czekać na wiadomości od nich. Inni jeszcze nie raczą odpowiedzieć na wysłany przeze mnie list. Być może nie dostali go. Mniejsza o to. Jedno powiem – każdy list to coś bardzo radosnego i dlatego niecierpliwie czekam. Przypominam sobie pierwsze trzy miesiące, jakie przyszło mi spędzić poza granicami bez wieści z kraju. Było to przykre przeżycie. Dlatego też bardzo współczuję Bartkowi, który nie ma wiadomości z domu od 7 miesięcy. Przepraszam – nie ma listu od tyłu miesięcy. Na pewno listy giną, bo trudno przecież posadzić rodzinę o takie okrucieństwo. Na szczęście ksiądz biskup był u niego w domu i przywiózł mu wieści z pierwszej ręki. Ucieszył się bardzo.

Dlatego serdecznie dziękuję Wam za listy. Mam wrażenie, że poza listem pierwszym, wszystkie pozostałe do mnie dotarły i to w dobrym stanie, nieraz ze zdjęciami. Bóg zapłać! Nie gniewajcie się, gdy czasem się nieco zapóźnię i połknę po drodze jakiś dodatkowy miesiąc, jak się to stało ostatnio.

Czekam na wiadomości od Was. Jak zdrowie? Co w Targanicy? W parafii?

Kończąc, załączam serdecznie pozdrowienia dla Wszystkich razem i każdego z osobna. Szczególnie serdeczne życzenia Rodzinie.

Z zapewnieniem o pamięci przed Panem polecam się Waszym modlitwom

O. Nazariusz – karmelita bosy
misjonarz z Burundi

„Nie mogę zagrzać miejsca w domu.”

Mpinga, 17.05.1978 r.

„Kiedy ranne wstają zorze”

Najdrożsi Rodzice i Elu!

Tym razem chcę się z Wami spotkać przy wschodzie słońca, owianego chłodem srebrzystej rosy, witanego śpiewem ptaków, okadzanego dymem, który przedziera się przez afrykańskie strzechy. Dzień się budzi. I ja się budzę. Otwieram kaplicę. Rozpalam ogień w palenisku. Nucę „Kiedy ranne”, wspominam przysłowie Mamy: „kto nie widzi rannego słońca, temu smutny dzień do końca”. Myślę, że nie będzie smutny, bo wstałem wcześniej.

Jestem sam w kaplicy parafialnej w Kiharo od wtorku. Dziś mamy sobotę. W tej chwili przychodzi katechista i mówi, że są chrześcijanie i chcą spowiedzi św. W czasie rannej Mszy św. mam ochrzcić 8 dzieci. Pewno rodzice ich chcą się przygotować i pojednać z Panem. A więc przerywam i idę do moich kapłańskich obowiązków.

Bujumbura, 19.06.1978 r.

Jak widzicie, ostatnio nie mogę zagrzać miejsca w domu. Poniedziałek spędziłem na budowie w Kiguhu. Wozilem piasek i żwir. Do Mpingi wróciłem wieczorem. Zaraz rano we wtorek, z o. Nazariuszem wyruszyliśmy do stolicy. Dziś, tj. w czwartek, wracamy do domu, do Mpingi. Mamy jeszcze trochę rzeczy do kupienia. Wszystko drogie, np. słoik śledzi marynowanych kosztuje 610 franków, siekiera 780 – równa się to naszym złotym w Polsce.

Idę na ranne modlitwy i celebrować Mszę św. Dla wszystkich Piotrków i Pawłów przesyłam życzenia. List wysyłam do Was, może dojdzie.

Zostańcie z Bogiem!

Shembe, 24.06.1978 r.

Ja już drugi tydzień jestem sam poza domem misyjnym. Jestem w kaplicy parafialnej w Shembe. Przyszedłem tu w czwartek. Kaplica zbudowana z suszonej cegły przykryta blachą, tak samo dom księdza. Koślawy stół i stołek, łóżko uplecione z afrykańskiej wikliny. Kuchnia zbudowana z bambusa, przykryta trawą. Za piec służą trzy kamienie i dno z beczki. Gotuję sam dwa razy dziennie, rano i wieczór. W południe nie ma smaku na jedzenie, bo pali słońce. Jem prawie to, co Murzyni, tylko pomaszczone i osolone. Ich nie zawsze na to stać. Rano gotuję papkę z nasienia podobnego do prosa. Raczę się zielonymi bananami pieczonymi w ogniu. Na zachciankę robię naleśniki. Wieczorem zaś zielony groszek z jarzynami i murzyńskie piwo. Nie narzekam i źle nie wyglądam.

Dziś sobota. Rano w czasie Mszy św. ochrzciłem jedno dziecko. Potem jest pytanie dzieci katechizmu aż do godz. 13.00. Koło godz. 14.00 wszyscy się rozchodzą, a ja idę się położyć

na chwilę. Ktoś puka. Kto tam? To ja – słyszę odpowiedź. Przychodzą mnie odwiedzać. Przynoszą trochę grochu, trochę orzeszków ziemnych, jajko, szczyptę ryżu. Dostają ode mnie to różaniec, to łańcuszek z medalikiem, lekarstwo, jakąś szmatkę do ubrania. Tak się wzajemnie pomagamy. Aż do zachodu słońca ktoś przychodzi, prosi o spowiedź, o lekarstwo. Po zachodzie słońca zostaję sam jeden z Panem w kaplicy. Zamiatam koło domu i kuchni, bo jutro niedziela. Dzieci nanosiły mi drzewa, wody, nałuskały groszku. Nastawiam groszek do gotowania i idę na wieczorną modlitwę. Już wieczorem przychodzi mój sąsiad Zachariasz ze swoim synem. Prawie kolacja, więc trzeba poczęstować groszkiem i kromką chleba. Siedzimy prawie do godz. 21.00. Odprowadzam ich kawałek, bo tak każe burundzki zwyczaj i znów zostaję sam z tym listem na stole.

Nie wiem, jak dziękować za serdeczne przyjęcie księdza biskupa Ruhuny i za uściski, jakie mi przekazał. Był urzeczony serdecznością i bezpośredniością Waszego przyjęcia. Mówi mi, że Mama jakby nic, natomiast Tata trochę ubolewa nad moją nieobecnością. Widział też Staszka. Podobał się domek i rzeka naprzeciwko. Nigdy sobie nie pomyślałem, że mój Biskup będzie w progach naszego domu. A to trzeba zawdzięczać o. Teofilowi z Gierałtowiczek i mnie (nie chwaląc się), bo gdyby nie było „Jaśka”, nie byłoby „Murzyna”.

Z Bogiem! Bo jutro dwie Msze św. i kazanie czytane z kartek, a potem dwie i pół godziny wspinaczki na nogach.

25. 06. – niedziela.

Zakończyłem moje apostołowanie w kaplicy misyjnej w Shembe. Po drugiej Mszy św. szukam 4 chłopców, by mi pomogli zanieść rzeczy do następnej kaplicy na górze w Kigu. Ja, co mogłem, włożyłem do plecaka, gdzieś koło 10 kg. Oni ładują skrzynie na głowy i wyruszamy.

Z doliny Shembe do Kigu wspinamy się przez 2,5 godz. Uparte słońce piecze niesamowicie. Ani kropli deszczu, ani kawałka cienia. Pot zalewa oczy. Krok za krokiem wspinamy się do góry. Krocę z tyłu za moimi pomocnikami. Bez przesady, to nie poezja, ścieżka zraszana jest kroplami potu. Wreszcie dochodzimy. Po drodze dzielimy kawałek chleba, jaki mi został i pijamy piwem z sorga. Cieszę się, że mogę choć odrobinę zakosztować murzyńskiego życia.

W Kigu zastaję Murzyna, który mi przygotował wieczorny obiad: zupa z groszku, groch z ziemniakami, kawałek kury w sosie własnym. Zjadło się! Spędzam tu noc. Jutro o. Sylwan przywiezie murarzy, bo budujemy tu dom dla Sióstr Czarnych, więc powrócę wieczorem samochodem do Mpingi.

Przy lampie naftowej (furmańska) oczy się mrużą, więc pozostaje mi jeszcze modlitwa różańcowa i spoczynek, którego mi w Burundi nie brakuje. Życie jest bardziej naturalne, więc nie muszę się spieszyć.

Zostańcie z Bogiem do przyszłego razu!

syn i brat Jaśko

„Może w moim życiu tylko o to chodzi”.

Kraków, sierpień 1978 r.

+

Drodzy Przyjaciele!

Wspaniałe są polskie Tatry, Karpaty, Beskidy... Cóż z tego? Mnie śnią się płowe wzgórza Burundi, podobne teraz w okresie suszy do skóry gazeli. Nacieszyłem oczy makami wśród łąk ziół, lecz we śnie jawią się mi wzgórza strojne bananowcami. Śliczne są polskie brzozy o zachodzie słońca. Śliczniejsze jeszcze, gdy je oglądasz, dłoń Przyjaciela trzymając. We śnie jednak powiewają mi eukaliptusów warkocze.

Nacieszyłem serce spotkaniami z Rodziną, z Przyjaciółmi. We śnie jednak widzę zatroskane twarze ojców i matek, obliczających na wzgórzach Burundi, czy wystarczy do

nowych zbiorów manioku dla głodnej gromadki dzieci. Nic dziwnego, że zatroskane. Pisano mi przecież, że w tym roku pora sucha przyszła o miesiąc za wcześnie, że groch i fasola wyschły przed narośnięciem.

Przede wszystkim jednak śnią mi się zatroskane oczy moich Współbraci – Karmelitów Bosych i moich Sióstr – Karmelitanek Dzieciątka Jezus – pracujących w Burundi. Cóż dziwnego, że zatroskane? Pisano mi przecież, że epidemia cholery spieszy ścieżkami buszu i łupy zbiera nieubłagane. Pisano o 19-tu zgonach, później o 570 zachorowaniach. To były wieści sprzed miesiąca.

I coś dziwnego, że „śnią się”? Przecież na nowe trzy lata jestem jakoś za nich odpowiedzialny.

Kończą się moje wakacje. Za dwa tygodnie będę w Burundi. Zapewne wtedy śnić mi się będzie Giewont, Kasprowy, Gubałówka, Gąsienicowa Hala, brzozy i łąny zbóż, śnić mi się będą Wasze oczy i Wasze serca wciąż o nasz los zatroskane, wciąż czujne, ofiarnie współpracujące.

Obawiam się, że ze względu na epidemię cholery nie będę mógł zaraz napisać z Burundi (przepisy pocztowe). Dlatego korzystając z uprzejmości sekretarza Misji Karmelitańskich (o. Bronisław Tarka, ul. Rakowicka 18, 31-510 Kraków), przesyłam Wam, Drodzy Przyjaciele, słów kilka z serdecznymi pozdrowieniami, z zapewnieniem pamięci w modlitwie, z serdeczną wdzięcznością i z przeproszeniem, że nie dotarłem do Was w czasie mojego urlopu, choć obiecałem nawet.

Nie udało się, Kochani, chociaż tak dawno wyjechałem z Burundi i chociaż tak bardzo chciałem. Dlaczego „nie udało się”? Jak wiecie, przyjechałem na urlop przede wszystkim, by „remontować” nadszarpnięte zdrowie. Miesiąc kwiecień spędziłem w Linzu (Austria) w szpitalu dobrych Sióstr Elżbietanek. Badania i udana operacja. Później miała być rekonwalescencja, ale spieszyłem się do kraju, bo w miesiącu maju wpadł do Polski na 8 dni ks. bp Joachim Ruhuna. Towarzyszyłem mu w wędrowce po naszej Ojczyźnie. Później - nieco zaniedbanej rekonwalescencji: W czerwcu brałem udział w obradach Kapituły Prowincjalnej. Wreszcie lipiec poświęciłem na leczenie zębów. W „wolnych chwilach” mogłem wpaść do rodzinnego domu. Mam przecież Rodziców, mam Rodzinę. Tylko niewiele chwil mogłem poświęcić Wam, Drodzy Przyjaciele. Mam nadzieję, że mnie zrozumiecie!

Pozostało jeszcze sprawdzenie wzroku, szczepienie cholery i załatwienie wizy.

W sumie jednak wakacje były udane. Główny cel, Bogu dzięki, został osiągnięty. Po remoncie czuję się zdrowo.

Zimna wiosna i deszczowe lato nie wyciąga mnie w góry, pozostało zatem trochę czasu na spokojne rozmowy z Bogiem i ludźmi.

Co w tym czasie działo się w Burundi?

Jak wspominałem, przyszła za wcześnie susza i przyszła epidemia cholery.

W Mpindze: Przerwano na jakiś czas budowę domu rekolekcyjnego, bo udało się „znaleźć” Siostry Bene-Tereziya, gotowe zamieszkać i pracować na stacji misyjnej w Kigu. Buduje się zatem dla nich dom i szkołę gospodarczą. Równocześnie wypala się cegły na dwu stacjach misyjnych.

W Musongati: br. Marcelli, po założeniu fundamentów pod ośrodek zdrowia, przerwał pracę i wyjechał na zasłużone wakacje do Polski. Wraca ze mną. Spodziewa się, że zostanie w Musongati wiele zgromadzonych materiałów budowlanych. Obawiam się, że ta nadzieja zostanie trochę zawiedziona, bo o. Józef – jak słyszę – „chodzi” koło wymarzonej turbiny.

W pierwszych dniach lipca nasze misje w Mpindze i w Musongati odwiedził o. Adeodat Micallef, Sekretarz Generalny misji naszego zakonu.

W lipcu s. Zygmunt Kaszuba przyjechała do Polski na bardzo zasłużony i konieczny wypoczynek. Martwi się o swoich chorych, ale przecież zastąpi ją doskonale s. Lucyna Dąbrowska.

Poza tym była codzienna troska duszpasterska, a w tym czasie szczególnie: egzaminy katechumenów, pierwsze i uroczyste Komunie św., chrzest dorosłych, bierzmowanie około

500 osób, itd. Była jeszcze inna troska i przeżycie, które głośnym echem odbiły się w moim sercu, bo jakoś szczególnie mnie dotyczyły, bo zrodziła je „moja wina”.

Jesienią ubiegłego roku nie wpuszczono do Burundi wracającego z urlopu bpa Józefa Martin. Dlaczego? Różnie na ten temat mówiono. Nikt jednak nie podał oficjalnego wyjaśnienia.

W Adwencie, w homilii do słów św. Pawła Apostoła: „Przez Niego (Jezusa Chrystusa) otrzymaliśmy łaskę i urząd Apostolski, aby ku chwale Jego imienia pozyskiwać wszystkich pogan dla posłuszeństwa wierze...”⁴⁶, mówiłem, że Apostoł nie może głosić siebie, aby się ludziom podobać, lecz powinien głosić Jezusa Chrystusa, nie może głosić wybranych zdań z Ewangelii, lecz całą Ewangelię, choćby się to komuś nie podobało, choćby go miały spotkać prześladowania. Wszystkich prawdziwych i wielkich apostołów spotykały prześladowania. Przewidywał je Chrystus: „Jak mnie prześladowali, tak i Was prześladować będą...”. Prawdziwych apostołów i dzisiaj spotykają prześladowania. Przykładów nie musimy szukać daleko. Biskup Martin głosił Ewangelię, głosił prawdę, przeszedł przez Burundi dobrze czyniąc. Utrudzony apostolskim posługiwaniem złożył urząd biskupi i podjął pracę w parafii jako wikary. Za prawie 50 lat pracy, jakiej zapragnął nagrody? Wyraził to w słowach: „Tak, Was, Burundczycy, kocham, że pragnę do końca moich dni pozostać z Wami, pragnę wśród Was być pogrzebanym i razem z Wami zmartwychwstać...”. Tymczasem jak mu odpłacono? Na granicy usłyszał: Nie masz wstępu! Idź, gdzie chcesz!

Później dowiedziałem się, że bp Martin został wyrzucony za to, że „nie wytrzymał” i w jednym kazaniu mocno wystąpił przeciw niektórym pociągnięciom nowego rządu. Rząd ten, właśnie jako „nowy”, nie umocniony, mocno zareagował na słowo krytyki. Wiadomo zresztą, że bp Martin ma cięty język. W czasie mojego kazania o wystąpieniu biskupa Martina nie wiedziałem.

O moim kazaniu doniesiono samemu prezydentowi i po moim wyjeździe na urlop zadecydowano, że nie będę mógł wrócić do Burundi.

Przy okazji całej naszej grupie polskich karmelitów zarzucono rasizm. Nietrudno znaleźć argumenty. Przypomniano sobie, że kiedyś pomogliśmy w ucieczce za granicę osobom, którym groziła niewinna śmierć, że kiedyś nie zechcieliśmy prowadzić budowy domu dla rodziny bogacza z Bujumbury, a pomogliśmy w budowie domu wdowie po zamordowanym katechicie, że przy rozdzielaniu żywności dla głodujących nie uwzględniano nieuzasadnionych pretensji bogaczy z plemienia rządzącego, a wspomagano biedaków z drugiego plemienia, że... Ileż można nazbierać „dowodów”? Całej grupie grożono wyrzuceniem z Burundi.

Na szczęście, administracja terenu (coś w rodzaju powiatu) pominęła zarząd okręgu (coś w rodzaju województwa) i skierowała zarzuty wprost do stolicy, nawet do samego prezydenta. Nasz wojewoda „wściekł się”, bo taki despekt, takie pominięcie! On, pan tego terenu, pierwszy powinien wszystko wiedzieć! Zaczął więc na nowo badać sprawę. Trzeba przyznać, że posiada odrobinę uczciwości. W rezultacie uznano zarzuty przeciw karmelitom za przesadzone, a o. Teofilowi postanowiono przebaczyć. Nie było jednak wiadomo czy to przebaczenie sięga aż tak daleko, że o. Teofil będzie mógł wrócić do pracy. Ostatnie wiadomości mówią, że tak, więc wracam.

Niektórzy z Was, Drodzy Przyjaciele, pytają mnie: „Dlaczego wracasz? Przecież widzisz jacy oni są, za takie głupstwo chcieli cię wyrzucić! Czy będziesz mógł głosić całą Ewangelię?”

No cóż, Kochani, po ludzku sądząc, może i jestem podobny do uderzonego w twarz, który na pytanie kolegi: „Coś ty! na taką zniewagę nie reagujesz?!” – odpowiedział: „Jak to nie reaguję? Nie widzisz jak puchnę?!”. Jest jednak jeszcze inny wymiar! Jest nakaz naszego Mistrza: „Kiedy uderzy cię ktoś w jeden policzek, nadstaw mu i drugi...”, „Miłujcie nieprzyjaciół wasze...”. Czy ja wiem? Może w moim życiu tylko o to chodzi, bym wiernym

w Burundi pokazał, że nie puściłem mimo uszu tych nakazów Mistrza? Może takie świadectwo komuś bardzo pomoże?

Zresztą, jeżeli nawet ktoś mnie nie chce widzieć w Burundi, to kto? Czy wierny, prosty lud? Nie! Więc wracam!

Chcę wracać „albowiem miłość Chrystusa przynagła nas”⁴⁷, albowiem tam „żniwo wielkie a robotników mało”, bo tam są parafie rozległe, liczące do 60 tysięcy wiernych, obsługiwane przez dwu tylko kapłanów, bo tam są liczne rzesze wiernych, bardzo wyczekujące pomocy duchowej i materialnej, rzesze pozostawione jak owce bez pasterza...

Pomódlcie się za mnie gorąco, bym umiał głosić życiem i słowem całą Ewangelię, która jest prawdą o miłości, o tej miłości, która wszystko zniesie, która niczym się nie zraża, która umie przebaczać.

Módlcie się, by w nas misjonarzach było coś z tej mocy, która pozwalała św. Pawłowi otrząsnąć spadające na niego kamienie i wrócić do miasta⁴⁸, która pozwalała mu trwać „w niebezpieczeństwie śmierci, w niebezpieczeństwach od zbójców... od własnego narodu... od pogan, od fałszywych braci..., w pracy i umęczeniu, w głodzie i pragnieniu...”⁴⁹

Wierzę, że pamiętacie o nas w modlitwach, że będziecie szczególnie pamiętać z okazji Światowego Dnia Misyjnego, kiedy to sprawa misji staje się bliska sercu każdego katolika. Nie spodziewam się napisać listu przed tym dniem. Dlatego już dzisiaj z okazji Światowego Dnia Misyjnego pragnę Wam przesłać bardzo serdeczne podziękowanie za Wasze modlitwy, za ofiarowane cierpienia i trud codziennej pracy, za Wasze ofiary. Bardzo bezradne są słowa! Nie potrafią wyrazić naszej wdzięczności za Wasze ofiary, które za pośrednictwem naszego oddanego i wypróbowanego Opiekuna (o. Bogusława Woźnickiego, ul. Działowa 25, 61-747 Poznań) docierają do nas i są nieocenioną pomocą w szerzeniu Królestwa Chrystusowego, Królestwa Miłości, które dzięki Wam zaszczepia się i owocuje na Czarnym Lądzie.

– Tak, to dzięki Waszej ofiarnej miłości uśmiech zakwita na wynędzniałej twarzy dziecka, bo, jak inne dzieci, może chodzić do szkoły, chociaż żyje w jednym z trzech najbiedniejszych krajów świata, gdzie tylko 24 procent dzieci może uczęszczać do szkoły podstawowej.

– Dzięki Waszej ofiarnej miłości smutne oczy matki rozjaśnia uśmiech radości, bo umierające dziecko odzyskało życie, odzyskało zdrowie w misyjnym ośrodku zdrowia, choć urodziło się w kraju, gdzie jeden lekarz wypada na 100 tysięcy mieszkańców.

– Dzięki Waszej ofiarnej miłości „chromi chodzą, trędowaci bywają oczyszczani, ubogim głoszona jest radosna nowina braterstwa we wspólnym Ojcu i wspólnej Matce Maryi.

– Dzięki Waszej ofiarnej miłości w dzisiejszym świecie, w świecie apoteozy technologii, w świecie „często zimnym, obojętnym, rozgraniczonym grupowym i indywidualnym egoizmem, egocentryzmem, walką o powodzenie...”, rodzi się nadzieja cicha „jak łagodny powiew wiosny, niosący zapach kwiatu pomarańczy”, nadzieja na odzyskanie ducha braterstwa, który nam dzisiaj jest tak bardzo potrzebny jak powietrze...

– Jestem też przekonany, że dzięki Waszej ofiarnej miłości, dzięki włączeniu się w dzieło misyjne Kościoła, sami w sobie rozwijacie i umacniacie „człowieczeństwo, którego nie zniszczy ani rutyna, ani cynizm, ani wiek, ani to, co najczęstsze: kariera i zmęczenie”... sami stajecie się coraz pełniej dziećmi Ojca, który jest pełen dobroci i miłosierdzia, który sam zapoczątkował dzieło misyjne, bo „tak umiłował świat, że Syna swego posłał...”. To właśnie ten Syn, tak nam zaufał, że nam zwierzył rozpoczęte dzieło: „Idźcie na cały świat...”!

Za pomoc w realizowaniu tego posłannictwa, z okazji Dnia Misyjnego, w imieniu wszystkich misjonarzy, a szczególnie w imieniu polskich Karmelitów Bosych i polskich Karmelitanek Dzieciątka Jezus, pracujących w Burundi, składam Wam, Drodzy Przyjaciele, bardzo serdeczne „Bóg zapłać!” i zapewniam o naszej stałej, wdzięcznej pamięci w modlitwach.

⁴⁷ 2 Kor. 5, 14

⁴⁸ Dz 14,19- 20

⁴⁹ 2 Kor. 11,23-29

PS. Drodzy Przyjaciele!

Powyższy list napisałem dwa tygodnie przed zaplanowanym wyjazdem do Burundi. Inne są jednak planowania ludzkie, a inne plany Boże. Przed kilku dniami przywiózł mi o. Jan Kanty Stasiński wiadomość, że „muszę” poczekać z przyjazdem do Burundi do końca listopada. Szkoda, ale z drugiej strony jeszcze trzy miesiące wakacji. Jeżeli nie umarznę w tutejszym klimacie, to jeszcze wielu z Was zobaczę. Mam nadzieję! Chciałbym wszystkich!!!

Inna wiadomość przywieziona przez o. Jana Kantego: epidemia cholery została zlokalizowana w okolicach jeziora Tanganika. Jest obawa, że w porze deszczowej znów się nasili, ale chyba do Mpingi i Musongati nie dotrze, bo to przecież góry!

Już, już kończę, bo i tak list będziecie zmuszeni czytać na raty. Za gadulstwo bardzo przepraszam i wiele serdeczności w Panu przesyłam!

Wasz brat

O. Teofil k. b.

Wieści z misyjnego podwórka.

JM+JT

Mpinga, 21.09.1978

Drogi Ojciec Teofilu!

Myśleliśmy, że mimo wszystko przyjedziesz z br. Marcelim. Wyjechaliśmy po Was dwoma samochodami. Dobrze by było, gdybyś przyjechał z br. Marcelim. Stało się. O. Sylwan załatwia wyjazd do Izraela i wizę dla Ciebie. Czekaj na odpowiedź z Tel Avivu.

Dn. 17 września ks. bp Ruhuna poświęcił dom dla Sióstr i ogłosił parafię w Kiguhu. Na razie są dwie siostry. Wkrótce przyjdzie trzecia. Czwarta jeszcze się uczy. Ta, co ma leczyć. Jeden z nas stale (prawie zawsze) będzie w Kiguhu. A nas jest tak mało! O. Sylwan wyjeżdża, Ciebie jeszcze nie ma. Poza tym myślimy zacząć budowę katechumenatu w Giharo, bo szkoła zabrała cały budynek, ma być 6-ta klasa i dyrektor. Szkoły przechodzą na państwo. Mają kłopoty z nauczycielami, ze zmianami, dlatego rok szkolny zacznie się 2 października.

Ks. bp Ruhuna zapowiedział, że Kiguhu jest parafią, że wierni Nyamiyagi i Kiguhu nie muszą przychodzić do Mpingi. Żeby się znalazł jakiś czarny ksiądz do Kiguhu, to by było dobre. Bo wszystkie zarzuty i kłopoty przeciwko nam pochodzą z Nyamiyagi i Kiguhu. Lepiej może wziąć Kinyinya, aby pozbyć się Kiguhu. W mosso ludzie nie są tak pretensjonalni. To żadne plany, tylko moje myśli.

Słyszałem, że jakiś salezjanin z Ngozi został wyrzucony. Tu w Mpindze jest z nami diakon, Henryk Kaszubski.

Otrzymał święcenia diakonatu w Bukeye, a teraz u nas uczy się kirundi i francuskiego. Ks. bp Ntuyahaga zwerbował go do swojej diecezji w Rzymie. Jest inkardynowany do diecezji Bujumbura.

Br. Cyryl dobrze się sprawuje, czeka na odpowiedź z Rzymu w sprawie Nowicjatu. Był tu kandydat z Mugery na brata, ale się nam „nie widzi”. Laurenti, ten syn Nikoła, uczył się rok w Mugerze, ale go wyrzucili. Teraz szuka pracy, nawet się tu nie pokazał. Jest podobno w Mulizie.

W przyszłym tygodniu będzie świniobicie – Maciuś pójdzie pod nóż. Na Twoje imieniny będą kiełbasy.

Wizyta duszpasterska ks. Biskupa została odłożona na luty 1979 roku.

Na imieniny najlepsze życzenia od Braci: nie zniechęcaj się, wszystko minie. Św. Józef ma nas w opiece. Szybko wracaj do nas. Dbaj o zdrowie. Dużo łask Bożych i pogody ducha. W modlitwie pamiętam.

„Habemus Papam” – mamy Papieża...

Mpinga - Nunga, 15.10.1978 r.

Najdrożsi Rodzice, Sioostro Elu!

Pochwalony Jezus Chrystus!

(...) Dziś mamy niedzielę. Jest ranek, chłodno – słońce obchodzi naszą ziemię misyjną, zagląda do zagród i zabiera nocne wiadomości i wydarzenia. Zagląda i do mojej kapliczki w Nunga. Zastaje mnie przy pisaniu listu. Radio podaje mi, że kardynałowie dziś zebrali się w Rzymie, by wybrać nowego Ojca świętego. Będziemy się modlić z naszą gromadką chrześcijan tutaj w Burundi o dobry wybór Papieża i by nowy Ojciec św. żył trochę dłużej niż Jan Paweł I – Papież uśmiechu, jak Go nazywali.

Spędziłem tutaj cztery dni. Jestem z młodym Murzynem, który myśli powiększyć naszą wspólną misję jako nasz brat zakonny. Dzielimy razem naszą pracę duszpasterską. Rano przygotowujemy coś do zjedzenia. Potem mamy modlitwę brewiarzową oraz Mszę św. Ja spowiadam, on uczy dzieci. Potem jest zawsze coś do roboty, jak: naprawić drzwi, poprawić dach, bo deszcz już blisko, no i coś przygotować na obiad: groszek okrągły, kasza, zupa jarzynowa, groch na boczku. Muszę się pochwalić, że powoli podkszałcam się na rzeźnika. W tym roku zabiliśmy dwie świnię. No, ale to margines życia misjonarza.

W tej chwili zaczynają przychodzić chrześcijanie na Mszę św. Katechista przygotowuje czytanie Pisma św. W drzwiach widzę kobietę z zapuchniętymi oczami. Szuka maści. Inny znów czeka, by mu zrobić opatrunek zaropiałej nogi. Rany afrykańskie są okropne. Ktoś inny przyniósł mi grochu z nadzieją, że otrzyma trochę soli lub jakąś szmatkę. Wieczorem przez te dni naszego pobytu w buszu odprawialiśmy nabożeństwa różańcowe. Przychodzili wszyscy chrześcijanie i poganie. Sąsiadem tej szkółki-kaplicy jest mężczyzna, który ma tylko cztery żony. Jeden Murzyn mi mówił, że kobiety jedna przed drugą dają mu do jedzenia różne zioła i wywary, wierząc w ich czarodziejską siłę.

I nimi Chrystus nie pogardza, ale dla nas to niełatwa praca, bo jak mu wytłumaczyć, żeby poprzestał na jednej żonie. Cierpliwości i modlitwy! Przerywam, bo trzeba iść na modlitwę, a potem Msza św. i odjazd do drugiej kaplicy oddalonej o 15 km. To cieszy, że Pan dał mi łaskę rozdzielać Chleb Eucharystii w afrykańskim buszu.

21 października. Sobota.

Jestem na innej placówce misyjnej w Kiharo. Przeżyłem tu z Murzynami ten niezwykle poniedziałkowy wieczór, jaki dał Pan nam, Polakom. Zacząłem w poniedziałek zwozić kamienie na budowę sal katechetycznych. Jak zwykle skończyłem robotę i poszedłem się trochę pomodlić. Potem zjadłem kolację i zacząłem szukać wiadomości w radio. Gdzieś o godz. 19.00 wieczór „złapałem” Włochy i słyszę, że już się ukazał biały dym z pomieszczenia, gdzie wybierają Papieża. Zrozumiałem, że już mamy nowego Ojca św. Czekamy na imię. Siadamy przed domem. Robotnicy podjedli i też czekają na wiadomości o nowym Papieżu. Księżyc nam przyświeca. Słucham wiadomości bezpośrednio nadawanych z Rzymu po francusku. Wreszcie słyszę „Habemus Papam” – mamy Papieża Karola Wojtyłę z Krakowa. Dopiero jak powtórzyli drugi raz, zrozumiałem, że jednak Duch Święty poszukał w Polsce.

Do dziś nie mogę uwierzyć, że człowiek, który się urodził w Wadowicach, którego słuchałem, który mnie bierzmował, o którym Mama moja opowiadała (ojciec i syn na Chrystusa Króla szli do Komunii św.), został Papieżem. Słyszałem Jego wzruszony głos

oznajmiał, że pochodzi z dalekiego kraju i że nie zna dobrze włoskiego, dlatego prosi, by go poprawiali, jak będzie się mylił w mowie włoskiej. Przez radio otrzymaliśmy jego pierwsze błogosławieństwo.

Z tej radości wybrałem się pieszo do Mpingi z dwoma Murzynami. Przyszedłem na północ, by się pocieszyć z resztą braci. Naprawdę Pan Bóg dał nam dożyć wielkich czasów. Najdrożsi! Spędziłem tu, w Kiharo, cały tydzień. Łączę pracę ręczną z apostołstwem. Chcę, by moje życie było choć trochę podobne do ich życia, niełatwego, bo „na grochu”. Jest nas dwóch: ja i Murzyn, który gotuje. A więc na południe i na wieczór groch. Nie narzekam, bo groch lubię. Dziś, to jest w sobotę, mam trochę więcej wolnego czasu, bo robotnicy nie pracują. Rano, podczas Mszy św. ochrzciłem dwoje małych dzieci. Potem spowiedź św. Przed obiadem poszedłem do rzeki robić pranie. Po południu trochę się przechadzałem, zamiatalem podwórko.

Ludzie schodzą się na nabożeństwo różańcowe. Po różańcu przewożę samochodem dzieci. Następnie trzeba podgrzać groch, zjeść kolację i pomodlić się na brewiarzu.

W ubiegłą niedzielę modliłem się z Murzynami o dobry wybór Papieża – jutro będę czynił dziękczynienie i. wspominał we Mszy św. Jana Pawła II z Wadowic. Jeszcze nie wierzę.

Zostańcie z Bogiem, „z pustyni i z puszczy”

syn i brat Jaśko

26. 10. Bujumbura

Zbliżam się powoli z moim listem do Was. Jestem z o. Nazariuszem w stolicy. Robimy zakupy materiałów budowlanych. Wszędzie nam gratulują wyboru Polaka na Ojca św. Dostałem wiadomości od o. Teofila, że był u Was. Muszę kończyć, bo wracamy do domu. Pozdrawiam wszystkich. Aha – kiedy Ela przyjedzie na misje? Napiszcie, bo już rok mija, a ja listu nie mam od Was. Może wyślijcie przez inną pocztę, np. z Bielska. Ten list posyłam do o. Teofila, a On prześle do Was. Z Bogiem!

O. Bartłomiej

Wdzięczność Burundi dla ofiarodawców.

(...) Dnia 10 grudnia 1978 roku w Musongati miała miejsce miła uroczystość wdzięczności, z powodu odjazdu z Burundi konsula Szwajcarii, który nam pomagał w dożywianiu opuchniętych z głodu dzieci i budowie nowego szpitalika. Przy tej okazji został położony kamień węgielny pod jego budowę.

Na uroczystości tej był również nasz Ojciec Prowincjał i o. Bronisław. W przeddzień przybył konsul Jan Banvin z żoną i jedną siostrą Szwajcarką – s. Elżbietą. Przybył także architekt czuwający nad budową, Szwajcar, z żoną i dziećmi.

W niedzielę rano 10 grudnia, przyjechał ks. biskup Ruhuna, wojewoda z wójtem i sołtysem oraz jego pomocnikami. Uroczystość rozpoczęła się Mszą św., w czasie której został poświęcony duży kamień z napisem: „Centrum Zdrowia w Musongati 10.12.1978 r.”. Po Mszy św. ks. Biskup, konsul i wojewoda dokonali wmurowania tego kamienia. Następnie rozpoczęły się tańce, bez których żadna uroczystość się nie obejdzie. Tańczyły wszystkie stany: ojcowie rodzin, młodzieńcy, panienki pracujące przy chorych i uczące się w szkółce gospodarczej. Mężczyźni tańczyli w strojach regionalnych z lancami i błyszczącymi blaszkami na nogach i rękach, oraz paskami krzyżującymi plecy i piersi. Zapowiadacz zawodził wysokim głosem, a trębacz i fujarka mu wtórowały (trębacz posługiwał się rogiem zwierzęcym – krowim). Dzieci śpiewały. Najbardziej ujmującym momentem było wręczenie konsulowi miseczki wystruganej z drzewa przez małe dziecko. Po występach rozpoczęły się przemowy: wojewody, ks. biskupa, konsula i sołtysa.

Po uroczystościach spostrzegłyśmy grupę ludzi, która nie zabierała się do odejścia. Zbliżyli się do siostry mówiąc: „myśmy jeszcze nie podziękowali od siebie”. Były to matki dożywianych dzieci. Weszły na podwórko naszych Ojców – nie śmiały występować publicznie. Tam czekały, aż goście zjedzą posiłek i dopiero tańczyły i śpiewały samemu konsulowi. Był to taniec „dziki”, ale każdy z gestów miał swój wyraz.

Po odejździe gości przystąpiliśmy do normalnych zajęć. W najbliższy czwartek – dzień badania obrzękłych z głodu dzieci i dorosłych, a także sierotek; matki podyktowały jednej z pracownic umiejącej pisać list, prosząc, by go doręczyć odjeżdżającemu za cztery dni konsulowi. Dziękując przykładły swoje palce na kartkę papieru. Dziękowały według swoich zwyczajów, choć nie umiały pisać.

My, misjonarze także podpisujemy się pod nimi całym sercem i razem z nimi dziękujemy naszym Ofiarodawcom, którzy nam pomagają w ulżeniu ich niedoli.

S. Zygmunta

Obłóczyny brata Cyryla.

Nowicjat św. Józefa w Mpindze

Mpinga, 29.12. 1978

Drogi Ojczy!

Niedawno, bo 17 grudnia 1978 r., przeżyliśmy podniosłą uroczystość w naszej parafii. Nasz Ojciec Prowincjał dokonał obłóczyn naszego Czarnego Brata. Długo czekaliśmy na pozwolenie z Rzymu na założenie nowicjatu Ojców Karmelitów w Burundi. Aż wreszcie sam Ojciec Prowincjał przyjechał przywdziać w habit zakonny pierwszego Burundczyka, brata Cyryla od Dzieciątka Jezus. Sam brat Cyryl, jak i ludzie tutejsi, nie widzieli jak wyglądają obłóczyny. Ale gdy zapowiedzieliśmy w kościele, że w przyszłą niedzielę brat Cyryl rozpocznie nowicjat, zainteresowanie w parafii wzrosło, często pytano, co to takiego będzie w niedzielę. Nawet nasze Czarne Siostry Bene-Tereziya nie dowierzały, że tu w Mpindze będzie nowicjat.

Obłóczyny zapowiedzieliśmy na godz. 14.30, a więc po Mszach św. Obawialiśmy się, że niewielu przyjdzie na obłóczyny, ale byliśmy mile zaskoczeni, gdy zobaczyliśmy kościół wypełniony młodzieżą, dziećmi i dorosłymi. Nasz chór kościelny przygotował pieśni religijne. Uroczystość rozpoczęła się z małym (10 minutowym) opóźnieniem, bo czekaliśmy na Ojców i Siostry z Musongati. Gdy już wszyscy byli na miejscu, rozpoczęła się procesja z pieśnią. Za krzyżem szedł chór kościelny, potem siostry karmelitanki w białych płaszczach i siostry Bene-Tereziya z Mpingi i z Kiguhu. Za nimi szli Ojcowie, potem o. Eliaz z postulatem, a na końcu N.O. Prowincjał w białym płaszczu i stule. W kościele przy wejściu było trochę zamieszania, bo dzieci i starsi chcieli zająć najwygodniejsze miejsca w ławkach. Dla Sióstr i Ojców były przygotowane ławki, nie trzeba więc było bić się o miejsce, a raczej trzeba było zachęcać jak w Ewangelii: „Przyjacielu, przesiądź się wyżej”. Gdy wszyscy zajęli swoje miejsca, można było rozpocząć ceremonie obłóczyn.

Ja, jako magister nowicjatu, towarzyszyłem naszemu kandydatowi – bratu Cyrylowi, żeby mu czasem szepnąć, co ma teraz robić. Obeszło się bez podpowiadania, bo brat Cyryl dokładnie przygotował ceremonie i odpowiedzi, choć mu tylko raz tłumaczyłem. On lepiej ode mnie pamiętał kolejność ceremonii, ja musiałem raczej zaglądać do książki. Na pytanie N.O. Prowincjała: „O co prosisz?” – brat Cyryl spokojnie i wyraźnie odpowiedział: „Proszę o miłosierdzie Boże i towarzystwo braci”. N.O. Prowincjał mniej pewnie mówił, bo teksty były w kirundi. Większość tekstów była w języku łacińskim i tu N.O. Prowincjał czuł się pewnie i donośnym głosem śpiewał modlitwy. Ja musiałem to wszystko tłumaczyć na kirundi. Piękne kazanie o Bożym powołaniu człowieka wygłosił o. Teofil.

Dotąd wszyscy w kościele zachowali się grzecznie, ale gdy brat Cyryl przywdział habit, słysząc było przyciszone rozmowy – komentarze, a gdy założono bratu Cyrylowi kaptur na głowę, słyszało się wyraźne oznaki zdziwienia „Jooo”. Potem znów nastąpił spokój w kościele i śpiew „Veni Creator” w kirundi zagłuszył inne komentarze dzieci. Znowu powstaje małe poruszenie w kościele przy uścisku braterskim, na „Ecce quam bonum” brat Cyryl uściśkał także najbliższą rodzinę: matkę, braci i siostrę.

Baliśmy się, że br. Cyryl będzie się przewracał na schodach w nowym habicie, ale obeszło się bez dodatkowych atrakcji. Po skończonych ceremoniach wyszliśmy procesjonalnie przed kościół. Tu młodzież przygotowała śpiewy i tańce. W czasie występu program zapowiadał i komentował br. Patryk (drugi kandydat), którego nazwaliśmy „Kydryńskim”, bo tak wspaniale prowadził program rozrywkowy.

Po tańcach były przemowy. Przemówił N.O. Prowincjał, br. Cyryl i proboszcz parafii, czyli ja. Brat Cyryl dziękował licznie zebranych za udział w dzisiejszym święcie, dziękował N.O. Prowincjałowi za zaszczyt wprowadzenia go do rodziny karmelitańskiej, swej matce za chrześcijańskie wychowanie. Na koniec prosił wszystkich o modlitwę. Wyraził życzenie, żeby i inni chłopcy poszli jego śladem i wstąpili do Karmelu.

Podziwialiśmy jego odwagę i swobodę, z jaką przemawiał do wszystkich. W ogóle Burundczycy umieją przemawiać i to do rzeczy (nie zawsze). Potem nastąpiła zasadnicza część programu, to znaczy picie piwa. Na znak jedności trzeba było wypić z jego rodziną piwo ze wspólnego dzbanka, który stał na środku sali. Nawet N.O. Prowincjał coś wypił, choć z oporami.

Całą uroczystość sfilmował o. Bronisław, sekretarz Misji. Ciekawi jesteśmy, co mu z tego wyszło.

Przy piwie znowu były przemowy, podziękowania i życzenia. Ja właściwie nie przemawiałem, ale tłumaczyłem słowa N.O. Prowincjała. To moje tłumaczenie na kirundi to właściwie nowe przemówienie, bo nie mogłem wszystkiego spamiętać, co mówił N.O. Prowincjał, musiałem od siebie coś dodawać, żeby czas przemowy O. Prowincjała równał się w czasie tłumaczeniu. Często dawałem znak N.O. Prowincjałowi, żeby nie zapędzał się w swoim pięknym przemówieniu, bo ja nie mogę naraz wszystkiego zapamiętać, a potem zmuszony jestem do improwizacji.

Gdy przebrnęliśmy przez przemówienie, poszliśmy do ogrodu zrobić pamiątkowe zdjęcia. Co było krzyku przy ustawianiu i przestawianiu obiektów do fotografowania, to trudno wypowiedzieć i opisać. Dopiero przy stole z ciastkami z Musongati nastał względny spokój.

Na zakończenie dzisiejszych uroczystości, gdy goście już poszli do domu, nasz zespół gitarzystów z Musongati umilił nam wieczór piosenką z gitarą.

Drogi Ojciec! Przepraszam, że tak podniosłe ceremonie obłóczyn opisałem w tak niepoważnym i lekkim tonie. W sam dzień obłóczyn byliśmy bardzo poważni i naprawdę głęboko, po Bożemu przeżywaliśmy obłóczyny naszego brata Cyryla. Wspominaliśmy nasze własne obłóczyny sprzed 15 czy 20 lat w Czernej. Nawet ja się wzruszyłem, choć nie przychodzi mi to łatwo.

Proszę Braci o modlitwy za biednego magistra nowicjatu w Mpindze i za tych, których ma wychowywać na prawdziwych karmelitów w Burundi.

Oddany w Panu

O. Eliaszk.b.

1979

„Gdy Bóg woła, człowiek powinien odpowiedzieć w ten sposób, że nie radząc się ciała i krwi, cały poświęca się dziełu Ewangelii. Taką zaś odpowiedź może dać tylko pod natchnieniem i przy pomocy Ducha Świętego. Misjonarz bowiem

wkracza w życie i posłannictwo Tego, który „wyniszczył samego siebie, przyjąwszy naturę sługi.⁵⁰”

Powinien zatem być gotowy przez całe życie trwać przy swoim powołaniu, wyrzec się siebie i wszystkiego, co dotychczas uważał za swoje, i stać się wszystkim dla wszystkich⁵¹. (...)

„Powinien bowiem być skory do podejmowania inicjatywy, stały w wykonywaniu pracy i wytrwały w trudnościach, znosząc cierpliwie i mężnie samotność, zmęczenie i bezowocną pracę⁵²”.

Na pierwsze miejsce w kronice i listach misjonarzy z 1979 roku wysuwa się sprawa wyrzucenia z Burundi około 80 misjonarzy. Episkopat w rzeczowym liście do rządu upomniał się o prawa dla Kościoła, które zaczęto lekceważyć. Odpowiedzią było wyrzucenie misjonarzy. Wydaje się jednak, że prawdziwe oblicze tego roku ukazują przytoczone wyżej słowa Soboru Watykańskiego II. Wszyscy bowiem misjonarze w Burundi okazali swoją postawą, że rzeczywiście weszli w życie i posłannictwo Chrystusa, że są gotowi mimo trudności trwać przy swoim powołaniu. Okazali się stałymi w wykonywaniu pracy i wytrwałymi w trudnościach.

Kronika wydarzeń

17-28 stycznia – Wizytacja parafii w Mpindze przeprowadzona przez bpa Joachima Ruhunę. Ponieważ stacja misyjna w Kiguu została już wcześniej ogłoszona parafią, dnia 28 stycznia bp Ruhuna wyznaczył na proboszcza tej parafii o. Nazariusza Kwiatkowskiego.

5-13 lutego – Wizytacja biskupia w parafii Musongati.

... maja – Na urlop do Polski pojechał o. Kamil Ratajczyk.

9 czerwca – Rząd Burundi wyrzuca około 80 misjonarzy. W ich liczbie znaleźli się dwaj nasi polscy misjonarze: o. Teofil St. Kapusta i o. Jan Kanty Stasiński.

26 lipca – O. Nazariusz Kwiatkowski przyjechał do Polski na urlop.

23 września – O. Teofil i Jan Kanty wyjeżdżają do Rzymu.

30 września – W Mpindze obłóczyny br. Jana Vianneya.

25 października – Rozpoczęto budowę kościoła parafialnego w Musongati.

15 listopada – Cztery Siostry Duchaczki udają się do Francji, by po kursie języka francuskiego i medycyny tropikalnej pojechać do Burundi.

15 grudnia – Do Burundi przybywa s. Helena Król, Karmelitanka Dzieciątka Jezus.

Co zbudowaliśmy w 1979 roku?

⁵⁰ Flp. 2,7

⁵¹ DM 24

⁵² DM 25

1. Podprowadzono pod dach budowę katechumenatu w Kiharo.
2. Trwa budowa głównego budynku ośrodka zdrowia w Musongati.
3. Rozpoczęto budowę kościoła parafialnego w Musongati.

Z listów misjonarzy:

Po powrocie

Mpinga, 2 stycznia 1979

+

Drodzy Przyjaciele!

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!”

Minał już miesiąc od mojego powrotu (1.12.1978) do Burundi. Jak wiecie, były obawy o to, jak zostanie przyjęty. Tymczasem nie było żadnych trudności na granicy, a w naszych parafiach wzruszająca radość naszych ludzi.

Jestem w Burundi... Wciąż jeszcze powitalne ukłony palm nakładają się na smukłe sylwetki polskich brzoź; wzruszające powitań serdeczności na pożegnań smętki; skąpane w kwiatach i zieleni uroki naszych gór, na uroczę zakątki Wawelu, Poznania, Warszawy, Zakopanego czy choćby Wadowic; troski tutejszego młodego Kościoła na radość z wyboru papieża Jana Pawła II...

Chyba jednak za długo byłem w Polsce i pewnie dlatego tak ostro widzę kontrast między tym, co tam było, a tym, co tu jest. Pewnie ostrość widzenia spotęgowały jeszcze bardziej te kilka dni spędzone w Brukseli. Tam np. widziało się sklepy pełne różnych potrawek dla piesków, tu widzi się dzieci nie mające już siły, by rękę wyciągnąć po odrobinę manioku (zagłodzenie, kwashiorkor). Tam w sklepach zatroskane mamy, bo „co wybrać na Mikołaja lub Gwiazdkę z wystawionych w obfitości podarków?”, tu nagość ledwie strzępem łachmanów przykryta. Tam przytłaczająca ogromem pustka w Bazylice Serca Jezusowego, tu skromne, rozpadające się często, lecz na szczęście przepełnione kaplice...

Kontrast dwu światów... Widziany tym ostrzej, że podróż powitalną po stacjach naszych parafii odbywałem w towarzystwie naszych Gości: N.O. Prowincjała Eugeniusza Morawskiego i Sekretarza Prowincjalnego Misji o. Bronisława Tarki. Oni po raz pierwszy oglądali nędzę Trzeciego Świata w specjalnej oprawie jednego z trzech najbiedniejszych krajów świata, nędzę, której nie potrafiła przysłonić barwna obecnie szata tutejszej flory. Rzeczywiście, bujna już zieleń przystroїła się wszystkimi barwami kwiatów. Od października pora deszczowa. „Za dużo deszczu w tym roku, znów nie będzie fasoli” – skarżą się ludzie przy powitaniach. Słucham, oglądam i wciąż jakoś przyjść do siebie nie mogę. Przecież już nie pierwszy raz stanąłem na Czarnym Łądzie, w Burundi, a jednak jakoś specjalnie mocno „przeskok” odczuwam.

Dzisiaj, po odjeździe naszych Gości, zabieram się do listów. Zastałem ich wiele. Nowe nadeszły na Święta. Serdeczne, życzliwe, ze wszystkich zakątków świata, przynoszące radość z Rodaka na Piotrowej Stolicy. Z jakąż radością odczytywałem Wasze myśli wyrażające przekonanie, że my, Polacy, rozproszeni po całym świecie, musimy być Jego ambasadorami, że winniśmy włączyć się aktywniej w posłannictwo Kościoła, bo przecież nie tylko na Niego patrzy dziś świat, patrzy na wszystkich Jego Rodaków. Ta świadomość powinna ożywić także nasze zaangażowanie w działalność misyjną Kościoła. Czyż sam Jan Paweł II nie liczy tak bardzo na nas?

Wspaniałe są Wasze listy i godne, by na każdy odpisać osobno. Niestety, znów musicie zadowolić się listem wspólnym, bo inaczej musielibyście zbyt długo czekać. Już przestałem wierzyć, że minie wir zagonienia.

Kochani! Za wszystkie listy serdecznie dziękuję, Bóg zapłać za Wasze dobre życzenia, za modlitwy, za przesłane na potrzeby misji ofiary. Jakże one bezcenne, zwłaszcza teraz, gdy ceny w szalonym tempie idą w górę, a tu tyle do zrobienia!

W czasie mojej nieobecności zbudowano dom dla sióstr Bene-Terezyia i szkołę gospodarczą na stacji misyjnej w Kiguu. Teraz buduje się katechumenat na stacji w Kiharo, oraz ośrodek zdrowia w Musongati. Budowę utrudnia ciągły brak cementu. Mimo wszystko, część ośrodka zdrowia, dzięki zabiegom brata Marcellego, już pod dachem. W Mpindze wstrzymano budowę domu rekolekcyjnego. Brak cementu i brak grosza. Skorzystał z tej sytuacji nasz główny budowniczy w Mpindze (o. Sylwan Zieliński), by w ramach odpoczynku wziąć udział w zorganizowanym na Górze Karmel kursie duchowości karmelitańskiej. Mam nadzieję, że do jego powrotu uzbiera się trochę grosza i zdobędzie się materiały budowlane, by ruszyć na całego z budową. W Musongati trzeba podjąć budowę drugiej części katechumenatu, bo szopy, w których uczą się katechumeni, będzie trzeba rozebrać, aby uzyskać teren pod drugą część ośrodka zdrowia. To plany w dziedzinie budowy na najbliższą przyszłość. Może jeszcze będzie je trzeba zmienić w zależności od nasuwających się potrzeb i możliwości. W każdym razie Wasze ofiary będą służyć rozbudowie i rozwojowi dzieł dla dobra tutejszych ludzi. Wiele z ofiar – jak przysłowiowa woda – „przecieka przez palce”, bo wciąż otacza nas rzesza ludzi głodnych, nagich, chorych. Nie mamy więc sumienia, by zatrzymywać grosz na budowę, chyba że wyraźnie na nią był przeznaczony. Cóż, tak trzeba, choć nieraz grozi nam pokusa, by zostawić po sobie widoczny ślad w postaci budowli. Po groszu rozdany ubogim nie zostaje widoczny ślad, ale nie zapominamy, że człowiek „uratowany”, choć zaginie w tłumie, pojawi się kiedyś, by zaświadczyć: „Byłem głodny, nagi, chory...” – a przysłżście mi z pomocą...

W tym – Światowym Roku Dziecka – chcemy w imię Dziecka z Betlejemskiej Stajenki zwrócić szczególną uwagę na dzieci, żyjące u nas w wielkiej nędzy duchowej i materialnej. Ufam, że będziecie z nami i nasze pragnienia wesprzecie.

Muszę jeszcze podzielić się z Wami naszą radością. Wizyta N.O. Prowincjała podniosła nas na duchu. Przybył On do nas, delegowany przez o. Generała Zakonu, by założyć nowicjat w naszym domu w Mpindze. Dnia 17 grudnia 1978 r. nasz postulant Cyryl Barutwanayo rozpoczął swój nowicjat. Drugi kandydat, Patrycjusz Ndikumana, odbywa postulat. Obydwaj chcą zostać braćmi w naszej Rodzinie Zakonnej. Wielka to radość dla naszej Wspólnoty. Spodziewamy się, że po przejściu odpowiedniej formacji nasi Czarni Bracia pomogą nam wydatnie w pracy duszpasterskiej jako katechiści. Naszego nowicjusza, br. Cyryla od Dzieciątka Jezus i naszego postulanta, polecamy Waszym gorącym modlitwom.

O naszej radości z obecności naszych miłych Gości przy wigilijnym stole nie mam potrzeby Wam pisać. Zapewniam tylko, że pamiętaliśmy o Was wszystkich przy łamaniu się opłatkiem i w czasie Pasterki o północy. Nasi wierni zapełnili kościół w Mpindze, mimo że noc była bezksiężycowa i mimo, że od godziny 23.00 padał deszcz. Sądzę, że to była nie lada radość i nie lada przeżycie dla N.O. Prowincjała i o. Bronisława. Moja radość także była wielka, bo i na Mszach św. w ciągu dnia kościół był przepełniony. Niektórzy z wiernych przyszli z odległości 20-30 km, a nawet i więcej.

Już jednak po Świętach, już rozpoczęliśmy egzaminy katechumenów. Ruch przy katechumenacie i na misji duży.

Bardzo przepraszam, że ten list taki nijaki. Ufam, że następny będzie lepszy.

Jeszcze raz, Drodzy Przyjaciele, pozdrawiam Was wszystkich i z całego serca szczęśliwego Nowego Roku życzę! O wszystkie potrzebne Wam łaski prosić będziemy Boga w naszych modlitwach i we Mszach św., które za Was ofiarujemy w każdą sobotę i w każdą niedzielę całego Roku.

Boża Matka niech nas wszystkich otacza Swą macierzyńską opieką!
Szczerze wdzięczny i oddany w Jezusie i Maryi

O. Teofil OCD

„Współpracownicy misji mają prawo...”

Musongati, 1.03.1979

Kochana Siostro!

(...) Jestem ogromnie wdzięczna Drogiej Siostrze za książkę, która okazała mi się bardzo przydatna w mojej pracy. Od stycznia br. pracuję przy lekarstwach, a w czasie nieobecności s. Zygmunty zastępuję ją w przychodni zdrowia. Oczywiście tyle, ile potrafię. Pan Bóg chce dobrej woli człowieka, resztę uzupełnia Sam, posługując się różnymi okolicznościami. Przebywając wśród najbiedniejszych jest mi bardzo żal, gdy nie jestem w stanie zaspokoić ich potrzeb. Szczególnie dużo jest tu chorych dzieci, które leczymy w naszym szpitaliku. Po dojściu do zdrowia nie chcą wracać do domu, chcą nadal zostać u nas.

Chciałabym, aby wszyscy przede wszystkim poznali Pana Boga i umieli wykorzystać do tego warunki, w których żyją. Jedynie Bóg daje pełnię szczęścia. Tutaj jest jeszcze dużo pogan. Trzeba wiele modlitwy i ofiary, dlatego ciągle liczymy na taką pomoc z Ojczyzny.

Papież Jan XXIII w przemówieniu na Kongresie Zelatorek Papieskiego Dzieła Misyjnego we Włoszech, powiedział:

„Największe znaczenie ma miłość do dusz, modlitwa o ich zbawienie, a przede wszystkim cierpienia, podjęte z miłości. Ach, gdybyż można było zaciągnąć pod sztandar apostołatu misyjnego wszystkich chrześcijan, którzy cierpią w szpitalach, sanatoriach i przytułkach. Gdybyż właśnie te miejsca można było przemienić na ośrodki mistycznego zasiłku armii zbawienia, gdybyż można było przekonać tych chorych, aby złożyli w ofierze swe udręki, bóle, aby przyjęli je jako pochodzące z ręki Boga i ofiarowali za misje. Jaki triumf odniósłby wtedy Kościół”.

Proszę przy okazji podziękować wszystkim, którzy popierają naszą misję w jakikolwiek sposób – a wszystko liczy się u Pana – i powiedzieć, że i oni, jako współpracownicy misji mają prawo „doznać tej niewymownej radości, jaka napęła serca kapłana lub siostrę misjonarkę, gdy po codziennych trudach upadają z przemęczenia, lecz pełni są radości, że duszom dali więcej miłości, a Bogu przysporzyli chwały”.

Za wszystko jesteśmy bardzo wdzięczne, trudno nam to wyrazić w słowach. Odważajemy się modlitwą.

Z serdecznym uściskiem łączę najlepsze życzenia i pozdrowienia w Chrystusie Zmartwychwstałym.

Wdzięczna

s. Scholastyka Bareła

„To Międzynarodowy Rok Dziecka.”

Nyamiyaga, 9 marca 1979

Drodzy Przyjaciele!

Przesyłam serdeczne pozdrowienia w Panu z rekolekcji wielkopostnych w Nyamiyadze.

Rekolekcje: od rana modlitwy, pieśni, dwie nauki rekolekcyjne, droga krzyżowa, spowiedź, w której pomógł mi o. Nazariusz Kwiatkowski. Msza św. z długą homilią. Na godz. 14.30 skończyliśmy. Jutro drugi dzień rekolekcji kobiet. Trochę zmęczenia, bo niełatwo przemawiać do kobiet, z których wiele przyniosło dzieci. Trzeba przekrzyczeć płacz, gaworzenie, popisukiwanie dzieci, a kaplica długa na 45 kroków.

Teraz jeszcze kilka rozmów, obiad i pogodne popołudnie. Jeszcze kilkanaście osób poprosiło o spowiedź. Zatrzymały się na chwilę dzieci wracające ze szkoły. Trochę popracowałem nad konferencją na miesięczny dzień skupienia dla naszych sióstr Bene-Tereziya. Już zbliża się wieczór, a więc brewiarz i różaniec w blaskach zachodzącego słońca, „sam na sam z Panem” w pustej kaplicy i już rozległe pasmo sinych gór przechodzi w ciemny fiolet, w czerń, którą od czasu do czasu rozświetlają błyskawice. Gdzieś w oddali słychać pomruk burzy. Pobekują spędzane krowy, kozy, owce. W Nyamiyadze wiatr. Poprzez

pędzące chmury przeglądają gwiazdy i księżyc. W dolinie gaworzą nocne ptaki. Na przeciwnym wzgórzu popłakuje dziecko...

Przy tym akompaniamencie kreślę do Was, Kochani, słów kilka. Może zdążę je przesłać przed Wielkanocą. Mówię „może”, bo na misję wrócę dopiero w niedzielę po południu. W poniedziałek i wtorek będzie trzeba pomóc w tamtejszych rekolekcjach, a od środy do niedzieli znów rekolekcje na misyjnej stacji. Tak co tydzień, bo przecież Wielki Post w rozległej misyjnej parafii. Może jednak moje słowa dotrą do Was w okresie Wielkanocy, więc składam serdeczne życzenia: „Błogosławiony Bóg i Ojciec Pana naszego Jezusa Chrystusa, który w Swoim wielkim miłosierdziu przez powstanie z martwych Jezusa Chrystusa na nowo zrodził nas do żywej nadziei: do dziedzictwa niezniszczalnego i niepokalanego, i niewiedzącego⁵³, niech Wam udzieli pełni radości i pokoju w wierze⁵⁴. Modlić się o to dla Was będziemy u stóp Krzyża i w Wielkanocny Poranek.

Wciąż popłakuje, widocznie chore, dziecko. Nasłuchałem się tego płaczu od rana. Niektóre z matek przyszły na rekolekcje z chorymi dziećmi. Sądzę, że dziś nie szczypały dzieci, aby ich płaczem przerwać misjonarzowi zbyt długie nauki. Dostatek było płaczu i bez szczypiania. Starłem się zachować cierpliwość, bo to przecież Międzynarodowy Rok Dziecka.

Cóż ten rok znaczy dla dzieci w buszu? Choruje ich i umiera wiele, bez końca! Ileż tu matek – jak Ona, Bolesna pod Krzyżem – patrzy na umierające dziecko! Cóż dla nich można zrobić? S. Zygmunta Kaszuba i s. Lucyna Dąbrowska zapracowane od rana do wieczora, często i w nocy. Cóż to jest jednak na tak rozległą okolicę? Ludzie przynoszą dzieci do ośrodka zdrowia w Musongati z daleka. Czy jednak potrafią donieść z Mpingi? Teraz rzeki wezbrane, nie przejdą. Drogą daleko, około 40 km. Udało się zdobyć dla Musongati trochę cementu. Jeden budynek ośrodka zdrowia na ukończeniu. Może w tym Roku Dziecka uda się jeszcze drugi zbudować, ale to rozwiąże na małym terenie jeden z licznych problemów dziecka w tutejszym kraju. Przecież nie tylko choroba, głód i nagość je trapi. Jest choćby problem szkół.

Wprawdzie na terenie naszych parafii w Mpindze i Musongati mamy 8 szkół katolickich i 3 protestanckie, ale nawet dla 1/3 dzieci nie ma miejsca w szkole. Daleki busz, od strony Tanzanii, zupełnie zaniedbany. W czasie wizytacji biskupiej w parafii, która trwała od 17-28 stycznia, jeszcze dokładniej to zobaczyliśmy. Są tam miejscowości oddalone od szkoły przeszło 20 km. Choćby nawet znaleźć grosz na wybudowanie szkoły i opłacenie nauczycieli, to żaden z nich nie pójdzie w ten zapadły busz. Za trudne tam warunki życia, brak dróg, brak sklepu, brak ośrodka zdrowia, teren malaryczny. Z tamtejszej ludności zaledwie kilkunastu mężczyzn ukończyło dwie klasy szkoły podstawowej, kilku 6 klas. Z kobiet i dziewcząt – żadna. Jakże tedy dotrzeć do nich z Dobrą Nowiną? Jeżeli nawet my tak niewiele pojmujemy z Prawdy, to co dopiero oni? Co kryje się dla nich w słowach nowych, pierwszy raz zasłyszanych? Jakże w słowach starych przekazać treść nową? Och, jakże jeszcze w ich sercach przebliski Nowego pomieszane ze Starym! Potrzeba zatem szkół i nie tylko szkół. Jakże niewiele można zrobić i na tym polu, mimo że to Międzynarodowy Rok Dziecka!

Prawda, Burundi to jeden z najbiedniejszych krajów świata, ale czy tylko u nas w takiej sytuacji żyją dzieci? Według obliczeń ONZ (UNICEF) na miliard 500 tysięcy dzieci żyjących obecnie na świecie, miliard 200 tysięcy to dzieci żyjące w krajach tzw. Trzeciego Świata. Wiadomo, że są kraje w Afryce, gdzie za cud się uważa, jeżeli jedno z dwojga urodzonych dzieci dożyje pięciu lat. Przeciętnie tylko jedno na pięciorgo ma szansę przeżycia. Rok w rok, w krajach Trzeciego Świata umiera 5 milionów dzieci z głodu, z niedożywienia, z braku lekarstw, z braku służby zdrowia, z braku higieny...

Tymczasem jakąż to pomoc dla nich zorganizowano? Podają sumę 200 milionów franków belgijskich. Tymczasem w ciągu roku wydaje się na świecie 160 miliardów tychże franków

⁵³ 1 P. 1,3-4

⁵⁴ Rz 15, 13

belgijskich na zbrojenia. Powyższe liczby podaję za artykułem „Umwaka w abana” (Rok Dzieci) z tutejszego dwutygodnika „Ndongozi y’ Uburundi” (15.01.1979). Postawiono w nim pytanie: „Czymże zatem jest człowiek? Czym różni się od zwierząt? Czy się różni? Można też pytać: Jak mogą ludzie, nawet w krajach Trzeciego Świata, wydawać co roku tyle pieniędzy na luksusy, na przyjemności, choćby na piwo, gdy tymczasem umiera 5 milionów dzieci?

Może i trzeba o tym podumać i wyciągnąć odpowiednie wnioski w Międzynarodowym Roku Dziecka. Może trzeba o tym pomyśleć szczególnie w Wielkim Poście, kiedy to stajemy pod Krzyżem obok Matki Bolesnej, patrzącej na śmierć swojego Dziecka. Maryja, Bolesna Patronka tych 5 milionów matek pochylonych nad umierającym dzieckiem, także w tym Roku Dziecka. Bolesna Patronka tych milionów matek patrzących na wychudłe twarzyczki dzieci, na ich rozpalone gorączką oczy. Bolesna Patronka tej matki, która tu w Nyamiyaga usiłuje uspokoić wciąż płaczące dziecko.

Wybaczenie mi te przydługie refleksje, które nasunęło mi płaczące dziecko. Muszę kończyć, bo jutro dalsza praca.

Co do nas, to od ostatniego listu, który niestety nie dotarł do Was wszystkich, nic u nas szczególnego. Żyjemy i zdrowo pracujemy. Trzy klasy i biura katechumenatu w Kiharo już pod dachem. Na wykończenie i na inne budowy brak cementu. Zresztą teraz i tak nie byłoby czasu na budowanie. Nawet wypasionej świnki nie będzie czasu zabić przed Wielkanocą. Szynka będzie dopiero po Wielkanocy. Teraz Wielki Post i rekolekcyjna praca. Wiem, że swoją modlitwą jesteście z nami.

Dziękuję bardzo i o dalszą bardzo proszę w imieniu misjonarzy i misjonek z Mpingi i Musongati

br. Stan. Teofil Kapusta OCD

„Czekamy na Ciebie!”

JM+JT

Mpinga, 12.03.1979

Drogi Sylwaniu!

Parę dni temu otrzymałem list od Ciebie. Dziękujemy wszyscy. Ten mój list zastanie Cię w Polsce. Spędzasz Święta w Polsce. Na pewno trochę zmarzniesz.

Pisałem Ci już trochę o wizycie ks. bp. Ruhuny. Wielu rzeczy się dowiedział ksiądz biskup, jak to jest z tą wiarą. W Nyamiyadze powiedział, że ludzie nie modlą się w domu. Kiguahu wypadło średnio. Abashingantahe nadrabiali miną, ale nie byli szczerzy w czasie inamy. Mówili, że o praktykach pogańskich nie wiedzą, bo to poganie tylko idą za tymi zwyczajami pogańskimi.

W Muzye Rudy Plum przygotowuje parafię. Coś tam buduje. To już prawie parafia – jak mi dziś pisze Plum. Ale ludzie z Shembe chcą należeć do Kiguahu. Może tylko jakieś kotliny przylączą się do Muzye.

Wyrzuciłem katechistę Izydora Ntangere z Gatara. Ciągłe były jakieś niejasne z nim sprawy. Tak radził biskup. Na jego miejsce uczy Liberio. Z Mutahy Izydor Nzamiye też zwolniony.

Czekamy na Ciebie! Wracaj szybko! Wiesz jak dużo jest pracy. Ja muszę trochę czasu poświęcać dla nowicjatu: nauki duchowne, katechizm, no i parafia. Do Kiguahu trzeba jeździć co 2 tygodnie, a tu jeszcze budowy: wykończenie w Kiguahu, dom rekolekcyjny, dom dla siostr (kiedy w końcu przyjadą siostry karmelitanki? Co mówią o drugim domu w Mpindze?). Trzeba budować succursale w Kayowe.

O turbinie w Kiguahu wspominał ks. bp Ruhuna. Poszukaj jakiejś turbiny. W Mpindze też by się przydała, żeby te maszyny nie stały. Michel ma pomocnika Melchiora z Kinyinya.

Melchior był dwa lata w Ruyigi i umie zrobić dużo rzeczy: szafy; stoły, drzwi. Trzeba szukać desek.

Bartek goni koło swojego gospodarstwa. Niezadługo bijemy świnie. Mikrofon ten do „alta voce” coś się psuje. Gdyby Ci się udało coś takiego dostać dla Kiguha i Mpingi!

W tym roku chcemy robić cegły w Mpindze i Kiharo. Murarze pytają się, kiedy wrócisz. Cosmas ma napisać list do Ciebie. Cementu nie będzie. Benzyna znów na bony. Nie ma nafty.

Czekam na wieści z Polski. Dobrze odpoczywaj.

Z Bogiem!

O. Elias

„Już drugi tydzień jestem poza domem.”

Shembe, 7.04.1979 r.

+

Drogi Ojczy Sylwanie!

Amahoro ya Kristu. Już drugi tydzień mija jak jestem poza domem. Wpadłem tylko po południu w niedzielę i w poniedziałek – dalej w busz. W niedzielę (1 kwietnia) byliśmy w Musongati. Przyjechał o. Flawio z Madagaskaru – delegat na kapitułę generalną ze strony misjonarzy. Chce zebrać nasze uwagi. Wygadany. Odjedzie od nas chyba w Wielkim Tygodniu.

Cały ubiegły tydzień spędziłem w Gatare na rekolekcjach. Byłem razem z postulantom Patrisem. Pomagał mi trochę w głoszeniu rekolekcji. Wiernych przyszło trochę więcej niż w ubiegłym roku. Myślę, że to po wizytacji ks. Biskupa. Izidor już nie uczy. Ks. Biskup poradził nam, byśmy go zmienili. Głównym katechistą jest Liberio. Nie ma w czym wybierać. Jest paru chłopców, których widać na Mszy św. Podoba mi się Józefu – Umufuku, murarz. Nie widać go zza pulpitu, ale głos słyhać jak czyta Pismo św. w czasie Mszy św. Tu, w Shembe, biednie. Kuchnia chyba w Wielki Poniedziałek zawali się do reszty. Jeszcze w niej gotujemy. W domu księdza przecieka. Kiedyś w nocy wstawałem i przesuwałem łóżko i stół do innego kąta – tam gdzie tylko kapie. Mury się rozchodzą. Blachy potargane przez wiatr. Na dachu możesz zobaczyć wszystko: patyki, cegły, kamienie, nawet ostatnio położyli ławkę, by wiatr nie strącał blachy. Koniecznie by się przydało coś zbudować w porze suchej, ale pytanie na czym. Mówią, że od października nie będzie cementu. W tej chwili nie dostaniesz benzyny. Wydzielają na kartki, jak w zeszłym roku, i to jeszcze z ograniczeniem. Litra benzyny w Bujumburze kosztuje 53 franki burundyjskie. Słyszałem, że sprowadzają samolotem. Nie chce mi się wierzyć. No, ale możliwe.

Powracając do Gatare – to byłem zadowolony z rekolekcji. Często się zniechęcam, że to, co mówię do nich w kirundi nie dociera i że to jest taka mała odrobina. W pierwszy dzień zażartowałem, że lubię mleko. Z rana przychodzi chłopak i mówi, że dziadek posłał po butelkę, bo chce mi dać mleka. Przynosił w każdy dzień litr. Powiedziałem mu, by przyszedł dziadek po agahembo. Przyszedł poganin. Jak mogłem, tak go wynagrodziłem. Pomyślałem sobie o Kiguha... Tutaj poganin przynosi i nie pyta o cenę, ani co mu dam. Jeszcze się pytał czy w Mpindze mamy mleko, bo on przy okazji od czasu do czasu by nam przysłał...

Tak siedzę tu w Shembe, ale ciągle myślę, co tam w Mpindze. Dziś po południu poszedłem do Antosia. Jedna godzina drogi do kaplicy. Znieśli go tu, jak zwykle, w koszyku. Zabrałem Pana Jezusa w Najświętszym Sakramencie, trochę grochu, ibijumbu i poszedłem go odwiedzić.

Trochę schudł, zapuścił brodę, przesuwa się na siedzeniu i na rękach. Widziałem, że mu się chciało płakać. Ucieszył się bardzo. Skorzystał z sakramentów – ciężko mu znaleźć ludzi, którzy przynieśli by go do kaplicy. Chce 100 fr. za pomoc. Pytał o wieści od Ciebie.

Na życzenia już mi brakuje miejsca.

Gdy będziesz miał okazję, wstąp do moich Rodziców do Targanic. Zobacz, co słyhać. Czas już także kończyć, bo już dochodzi 12 w nocy. Jutro po drugiej Mszy św. trzeba się

wspinać do Kiguhu na nogach – benzynę trzeba oszczędzać.

Najlepsze pozdrowienia

O. Bartłomiej

„Kiedy przyjedziesz?”

Mpinga – Wielka Sobota 1979

+

Drogi Ojcie Sylwanie!

Jesteśmy już po wszystkich pracach Wielkiego Postu. Ludzie dość przychodzili. Przez trzy dni zawsze były wypełnione wszystkie ławki. Ja dziś śpiewałem Exsultet, ale od połowy zacząłem recytować, bo mi brakło tchu. Ceremonie dzieliliśmy z o. Eliaaszem. O. Teofil głosił dużo rekolekcji w Kiguhu, Nyamiyadze, Kinaro (dla kobiet i chłopców). Teraz coś go zęby bolą, miał usuwanego przed Świętami. O. Nazariusz siedzi w Kiguhu i tam odprawia ceremonie. Jak już chyba wiesz, ks. Biskup zrobił go takim proboszczem bez rezydencji. Przeprowadza całe ceremonie Wielkiego Tygodnia. Jutro ma przywieźć Siostry na wspólną kolację. W tej chwili są tylko trzy. W Wielki Czwartek byliśmy na poświęceniu Olejów św. Księży razem z Biskupem było 28.

O. Teofil siedział w Mpindze i spowiadał. Po ceremoniach było zebranie, jak zwykle. Dużo projektów, propozycji, ale wciąż mało ludzi. Zaraz po Świętach myślę sobie odprawić tygodniowe rekolekcje, ale nie wiem, czy mi się uda.

Siostry z Musongati przysłały trochę słodyczy, zabiliśmy koguta, jest kawałek boczk, jutro z rana myślę przyrządzić buraczki z chrzanem i jakoś te Święta przeżyjemy.

I znów listy nie dochodzą. Tym razem jest nas dwóch: Nazariusz i ja, bardzo Cię proszę, wpadnij do mych Rodziców, zobaczyć jak tam żyją. Jak myślisz, czy Ojciec św. wpadnie do Wadowic? Napisz o przygotowaniach w Polsce. Robotnicy często pytają, kiedy przyjedziesz. Przyjeżdżaj, bo trzeba do pszczół zaglądać, a ja się boję. Na razie wszystko stoi...

19. 04. – czwartek

Mieliśmy z rana dwa śluby. Ja siedzę w celi nad kazaniem na niedzielę. Niełatwe to jest.

20. 04. – piątek

Dziś odwiedził Mpingę ks. Sergio. Przyjechał z dwiema siostrami Bene-Tereziya. Jest teraz w Rutovu. Przywiózł trochę wiadomości, ale nic specjalnego. Gertruda, katechistka, wybiera się do Sióstr klauzurowych do Gitegi. Immakulata, też katechistka, wybiera się do sióstr franciszkanek w Kayongozi. Jak widzisz, wszędzie zaczynają nowicjaty. Siostry się już rozjechały po spotkaniu z Prowincjalną, która przyjechała do Gitegi. O. Nazary pod wieczór odwiózł je do Kiguhu. Jutro tam ma odprawić ślub i powrócić. W niedzielę o. Eliaasz ma Mszę św. w Kayove. Na życzenie Biskupa myślimy otworzyć tam stację pomocniczą. Jest już wyznaczone nowe miejsce, bo na starym pobudowali ludzie domy. Nowy teren jest blisko drogi – koło cmentarza. W niedzielę chyba ktoś pojedzie do Musongati, bo mamy zaproszenie na przyjazd prezydenta Rumunii. Trzeba też pożegnać o. Kamila.

W kwietniu mamy bardzo dużo deszczu. Tylko jeden dzień był taki, w którym nie padało. Na Wielką Sobotę mieliśmy 51 chrztów. S. Katarzyna rozśpiewała młodych. Bardzo ładnie śpiewają. Słyszałem trochę nagrań, co Nazary nagrał.

Ja znowu powrócę do listów – od półtora roku otrzymałem jeden list z domu na Święta Bożego Narodzenia. Gorące pozdrowienia dla wszystkich.

Z Bogiem!

O. Bartłomiej

Jeszcze listu nie posłałem, a jest jeszcze trochę miejsca więc: byłby nam się utopił pocztarz. Gdy niósł pocztę, poślizgnął się na mostku – ledwo utrzymał skrzynię z listami – oczywiście cała zalana – wszystko mokre. Woda porwała mu tylko płaszcz i worek z maniakiem. Nie ma żartów z naszą pocztą. Pokazywał nam, jak to się stało. Trzeba było tylko filmować i nagrywać.

Jutro odwiedzin przydygota. Jedzie o. Teofil, Nazariusz i jedna z sióstr.

Nagasaga – do widzenia!

O. Bartłomiej

„Święto św. Józefa Robotnika”

Musongati, 3.05.1979 r.

Drogi Bronisławie!

Serdecznie dziękuję Ci za list. Dłużej już nie mogę zwlekać, muszę Ci coś napisać.

Pierwszego maja mieliśmy święto św. Józefa Robotnika. Tutaj też jest to dzień wolny od pracy. Przy tej okazji była uroczysta Msza św. o godz. 7.30 rano. Na Mszę św. przyszedli wszyscy pracownicy z gminy i ośrodka zdrowia. Przed Mszą św. było poświęcenie narzędzi pracy. Każdy przyniósł to, czym się przy pracy posługuje. Jedni przynieśli motyki, inni siekiery, inni ręczne duże noże do trawy. Pracownicy Siostry Zygmunty przynieśli stół, na którym złożyli strzykawki, słuchawki, miseczki, łyżeczki, bandaż i inne narzędzia chirurgiczne. Nasz kucharz też był z nożem kuchennym. Co kto mógł, to przyniósł, aby otrzymać błogosławieństwo przy kopaniu, ścinaniu drzew, przy leczeniu czy gotowaniu. Ta ceremonia bardzo mi się podobała. W Mpindze wprowadzili ten zwyczaj. W tym roku zrobiliśmy to i u nas w Musongati. Wiernych było dość dużo w kościele. Po poświęceniu tej „zbrojowni” narzędzi, odprawiliśmy Mszę św. o św. Józefie. Kazanie wygłosił o. Jan Stasiński. Było ono treściwe i krótkie, z przykładami i zachętą do pracy w duchu chrześcijańskim.

Po Mszy św. było poświęcenie małej figurki św. Józefa – opiekuna chorych, którą to figurkę pracownicy służby zdrowia zanieśli uroczystie w procesji do nowego centrum zdrowia. Przy tej okazji był wolny wstęp po raz pierwszy dla zwiedzających nowy budynek centrum zdrowia. Wszyscy cisnęli się, żeby zobaczyć, jak to tu będą leczyć. Wśród zwiedzających byli zaciągani goście z Polski – Przełożone Sióstr Karmelitanek Dzieciątka Jezus.

Wszyscy podziwiali dzieło brata Marcellego – bo to przecież on jest budowniczym tego budynku. Cieszyli się, że teraz to będzie sobie można poleżeć. Oficjalne otwarcie centrum zdrowia przewidziane jest na 16 czerwca z udziałem Biskupa i przedstawiciela władzy państwowej.

Ja tymczasem dalej służę przy budowie elektrowni. Teraz skończyłem stawianie słupów wysokiego napięcia. Czekamy nadal na turbinę, która ma nadejść w tym miesiącu. Teraz, kiedy jesteśmy we dwóch – nie ma tyle czasu, by poświęcić swe siły budowie elektrowni. Mogę się pochwalić, że byłem pierwszym pacjentem leczonym w nowym centrum zdrowia. Siostra Zygmunta leczyła i plombowała mi zęby. Tak więc mamy na miejscu dentystę, co jest bardzo pocieszające, bo nie trzeba jechać aż do Bujumbury, by rwać lub plombować zęby. S. Zygmunta robi to świetnie. Już mam dwa zęby zaplombowane, dalsze dwa mam w leczeniu. Gdy się inni misjonarze dowiedzą, to będą przyjeżdżać z całej Burundi. Już są zamówienia. Zęby to dobra rzecz, lecz jak bolą, to słyszałem już takie powiedzenie, że lepiej ich nie mieć.

Z braku cementu budowa stoi. Zwozimy kamienie. Gdy cement dostaniemy, trzeba będzie budować katechumenat i kościół. Zobaczymy. Posłaliśmy Wam do Polski o. Kamila na urlop. Następnie pošlemy o. Eliasza, gdy wróci o. Sylwan. Mało nas – jeśli komuś przyjdzie chorować – będzie gorzej. Pomyśl o kimś, bo lata nam tu przybywają szybciej niż u Was.

To byłoby w skróceniu wszystko. Deszcz się kończy, będzie „zima” – pora sucha, zimniej

i z wiatrem.

Pozdrów Wszystkich.

o. Józef Trybała

„Dlaczego... tyle dzieci?”

Mpinga, 25 maja 1979

Drodzy Przyjaciele!

Serdecznie pozdrawiam w Jezusie i Maryi!

Korzystam z chwili czasu, by Wam przesłać kilka słów serdecznej pamięci i wdzięczności.

Najpierw pragnę odpowiedzieć na „zarzuty i pytania”, jakie niektórzy z Was nadesłali w związku z moim ostatnim listem. To bardzo raduje, że tak wiele spraw Was interesuje. Czas jednak nie pozwala odpowiedzieć na każdy list z osobna. Odpowiem więc na niektóre problemy w liście okólnym, bo sądzę, że wielu z naszych Przyjaciół jeszcze nie zdążyło napisać, a inni – chociaż mają te same pytania – „nie chcieli mi zawracać głowy”.

Nie upieram się wcale, że liczby zawarte w poprzednim liście odpowiadają w całej pełni rzeczywistości. Dlatego wyraźnie zaznaczyłem, że podaję je za tutejszym dwutygodnikiem. Czy są przesadzone? Nie wiem. W każdym razie są bliskie prawdy. Choćby tylko w połowie były prawdą, to przecież mówią o czymś wstrząsającym: setki tysięcy dzieci umiera z głodu, z niedożywienia, z braku opieki lekarskiej.

Zdaję sobie sprawę, że komuś, kto nigdy nie żył w krajach Trzeciego Świata, kto nie wszedł w bliski kontakt z ludźmi slumsów wielkich miast, kto nie wędrował z dziesiątkami tysięcy uciekinierów, temu trudno sobie wyobrazić, co mówią te liczby. My, którzy stale spotykamy się z wycieńczonymi do ostateczności, masowo umierającymi dziećmi, z zupełnie bezradnymi matkami w czasie zwyczajnej epidemii grypy, my, którzy widzimy, że absolutnie nic się nie robi, chociaż pojawiają się w Mpindze liczne wypadki choroby Heinego-Medina, jakoś inaczej odczytujemy te cyfry. Dla nas za tymi cyframi, stoi smutna rzeczywistość.

Inne pytanie: Dlaczego ludzie, żyjący w takiej nędzy, mają tyle dzieci?

Trudno tu wyliczyć wszystkie przyczyny. Jest ich wiele. Jest czymś bardzo naturalnym, że zdrowa rodzina pragnie przekazywać życie. Sobór Watykański II naucza: „Z samej natury swojej instytucja małżeńska oraz miłość małżeńska nastawione są na rodzenie i wychowywanie potomstwa, co stanowi jej jakby szczytowe uwieńczenie”.

„Małżonkowie wiedzą, że w spełnianiu obowiązku, jakim jest przekazywanie życia i wychowywanie, obowiązku, który trzeba uważać za główną ich misję, są współpracownikami miłości Boga-Stwórcy i jakby jej wyrazicielami”.

Tę misję małżonkowie powinni spełniać, „uwzględniając zarówno swoje własne dobro, jak i dobro dzieci czy to już urodzonych, czy przewidywanych i rozeznając też warunki czasu oraz sytuacji życiowej tak materialnej jak i duchowej; a w końcu, licząc się z dobrem wspólnoty rodzinnej, społeczeństwa i samego Kościoła”.

„... w swoim sposobie działania nie mogą postępować wedle własnego kaprysu lecz zawsze kierować się mają sumieniem, dostosowanym do prawa Bożego...”⁵⁵

Nie jest łatwo naszym ludziom rozeznawać właściwie uformowanym sumieniem dobro rodziny i sytuację życiową. Właśnie ta życiowa sytuacja, opłakana sytuacja życiowa sprawia, że „umwana umwe ntabe umuryango” – „jedno dziecko nie stanowi rodziny” – jak mówi tutejsze przysłowie. Potomstwo musi być liczne, jeżeli rodzina ma istnieć.

Małżonkowie w Burundi widzą, że nawet liczne rodziny ledwie się ostały, bo przecież w czasie jednej epidemii, w jednym domu umiera dwoje, troje, a nawet więcej dzieci. Dlatego też liczne potomstwo uważa się w Burundi za szczególne błogosławieństwo Boże.

Przeciwnie, brak potomstwa to największa klęska, największe przekleństwo. „Obyś nigdy nie rodziła”, „obyś zmarł, nie zostawiwszy potomstwa” – to najdotkliwiej odczuwane przekleństwa. Tak życzy się tylko największemu wrogowi. Natomiast życzenie licznego potomstwa, to najpiękniejsze życzenie.

Dziecko przyjmuje się jako najwspanialszy dar Boga. Rodzice zdają sobie sprawę, że bez specjalnej pomocy Bożej nie potrafią urodzić, zachować przy życiu i wychować dziecka. Dlatego w obrzędach pogańskich znajdujemy wiele modlitw wypraszających liczne potomstwo, dlatego też ściśle jest przestrzegany zwyczaj „bożej wody” (Żadna kobieta nie pójdzie spać, nie postawiwszy w domu naczynia z wodą, której – zgodnie z przekonaniem tutejszych ludzi – Bóg używa, by spowodować poczęcie dziecka).

To od Boga zależy poczęcie, urodzenie, wychowanie i zachowanie przy życiu dziecka. To przekonanie wyraża się w nadawanych dzieciom imionach.

To prawda, że dziecko – ten najwspanialszy dar Boga – wymaga opieki rodziców, ale przecież przysłowie powiada: „Bóg, który dał ci dziecko, zatroszczy się i o pożywienie dla niego”. Ten „dar Boży” przyjmuje się zatem z ufnością, z radością i powiedziałbym, z pewną beztroską.

W przekonaniu tutejszych ludzi, dziecko nie jest skarbem samych tylko rodziców, jest skarbem całej rodziny – klanu, całej społeczności, całego kraju. Z okazji urodzenia się dziecka wszyscy świętują, wszyscy niosą dary szczęśliwej matce. Rodzice wiedzą, że nie zostaną osamotnieni w trosce o wychowanie dziecka. Często ta troska dotyczy rozwoju fizycznego i wdrożenia dziecka w zwyczaje danej społeczności. Dzisiaj coraz częściej zaczyna się odczuwać potrzebę szkoły. Rodzice chrześcijańscy przyzwyczajają się do obowiązku zapewnienia dziecku wykształcenia religijnego. To wymaga wysiłku i zapobiegliwości. Wielu z rodziców w tym zakresie wykazuje dużą dozę poświęcenia. Może tu gra rolę także trochę miłości własnej, troska o swoją własną przyszłość. Wprawdzie mówi się, że „miłość, którą darzysz dziecko, ono odda swojemu dziecku”, ale przecież są liczne przysłowia, które mówią o obowiązkach dzieci wobec rodziców.

Spotyka się wprawdzie rodziców opuszczonych, zaniedbanych, ale normalnie dzieci opiekują się rodzicami. Na tę opiekę rodzice liczą. Aby ją sobie zapewnić na starość, chcą mieć liczne potomstwo.

U nas nie ma emerytury, nie ma renty, nie ma, na szczęście, domów starców, nie ma wyspecjalizowanych w niesieniu pomocy instytucji. Człowiek może się spodziewać pomocy od człowieka, najpewniej od krewnych, od brata, od siostry, od własnego dziecka. Dlatego każde pojawiające się dziecko wywołuje radość całej rodziny. Nic dziwnego, przecież im więcej masz krewnych, braci, dzieci, tym większa szansa, że nie zabraknie ci pomocy w potrzebie. Ta ogólna radość całej rodziny zachęca małżonków do rodzenia licznego potomstwa.

Wiem, że zaledwie dotknąłem tematu, ale muszę kończyć, bo inaczej musielibyście zbyt długo czekać na list. Chociaż bowiem już dawno minęła Wielkanoc, pracy wcale nie ubyło. Zbyt szybko nadeszły przygotowania do pierwszych i uroczystych Komunii św., a zatem egzaminy katechumenów, rekolekcje i normalna praca duszpasterska z wyjazdami na stacje misyjne.

Poza pracą duszpasterską są jeszcze inne. Tu trzeba pomyśleć nawet o przywiezieniu dla ludzi kawałka mydła czy garstki soli. Nie ma przecież w naszym buszu sklepów i nie ma w okolicy innego samochodu poza misyjnym. Bardzo często trzeba niespodziewanie wyjeżdżać do „szpitala” odległego o 100 km, bo zdarza się wypadek, bo jakaś niebezpieczna choroba, bo trudności w porodzie...

W tym roku chcemy szczególnie pomóc chorym dzieciom, a więc zaplanowano akcję „dziecko”, z którą łączy się następna zatytułowana „szkoły i szkółki”. Ta ostatnia pociąga za sobą akcję „cegła”. Chcemy w tym roku wypalić kilkaset tysięcy cegieł. Są jeszcze inne akcje, np. „drzewa” czyli przygotowanie kilku tysięcy sadzonek nowych drzew oraz wyrąbanie części lasu w pobliżu naszych warsztatów i magazynów. Wyrosły tam eukaliptusy wysokie na

30-40 m (dosłownie!) i zagrażają budynkom. Niełatwo rąbać taki las.

Wybaczcie zatem, że tak długo musicie czekać na moje listy i to na takie nijakie, takie „nieuczesane”. Mimo wszystko, jest nas za mało do tak licznych akcji, a przecież samej duszpasterskiej pracy jest ponad uszy. Jakże dobrze rozumiał to papież Jan Paweł II, gdy pisał do kapłanów: „Pomyślcie o tych miejscach, na których ludzie tak bardzo czekają kapłana, gdzie latami całymi odczuwając jego brak, nie przestają pragnąć jego obecności. I bywa czasem tak, że zbierają się w opuszczonej świątyni i kładą na ołtarzu pozostałą jeszcze kapłańską stulę i odmawiają wszystkie modlitwy liturgii mszalnej, a przed przeistoczeniem zapada głęboka cisza, może tylko przerywana płaczem... tak bardzo pragną usłyszeć te słowa, które kapłańskie usta mogą skutecznie wypowiedzieć, tak bardzo pragną tej eucharystycznej Komunii i tak bardzo usłyszeć Boskie słowa przebaczenia: i ja odpuszczam tobie grzechy! Tak bardzo przeżywają obecność nieobecnego wśród nich kapłana! Takich miejsc nie brak na świecie”.

Kochani, takich miejsc jest wiele w Burundi. Pragnę bardzo, by te słowa po wiele razy odczytali i rozważyli wszyscy młodzi na obozach, na oazach, na wakacyjnych rekolekcjach. Pragnę, by pamiętali, że u nas w Burundi obok kapłanów bardzo potrzeba braci-misjonarzy i sióstr-misjonarek. Modłę się, aby te słowa odczytali jako ciche i mocne wezwanie Pana, by na nie odpowiedzieli wspaniałomyślnie szlachetnym sercem. Was, Drodzy Przyjaciele, proszę gorąco o pomoc w tej modlitwie, bo gdzie dwaj albo trzej proszą w imię Chrystusa, sam Pan jest pośród nich.

Znów list się przedłużył, choć przecież tak niewiele powiedziałem.

Wszystkim naszym Przyjaciołom całym sercem życzę owocującego łaską spotkania z Ojcem św. Janem Pawłem II w Polsce i bardzo dobrych wakacji!

Wasz brat

br. Teofil Stan. Kapusta OCD

„Po wyrzuceniu misjonarzy”

Drukowane poniżej listy O. Bartłomieja Kurzyńca do o. Teofila Kapusty obrazują sytuację, jaka zaistniała na naszych misjach po wyrzuceniu misjonarzy. Oto krótkie wyjaśnienie: **Dnia 9 czerwca br., po południu, o. Jan Kanty Stasiński w Musongati, o. Teofil Kapusta w Mpindze otrzymali dokumenty stwierdzające, że zostają wyrzuceni z kraju i mają kraj opuścić do 48 godzin. Poślaniec z urzędu bezpieczeństwa, który przywiózł akta wyrzucenia, poinformował, że samolot odlatuje w poniedziałek rano. W stolicy wyrzuceni powinni być w niedzielę wieczorem.**

Zatem w niedzielę po Mszy św. i pożegnaniu się z najbliższymi, nasi misjonarze odjechali do stolicy. Przypuszczano, że nie sami zostali wyrzuceni, ale w buszu nie można się było porozumieć z innymi misjonarzami. W sobotę br. Marceł pojechał do biskupa Joachima w Ruyigi, ale jeszcze nie wiedział, czy ktoś z Mpingi został wyrzucony. Na biskupstwie także nie wiadano o wyrzuceniach. Dopiero w drodze nasi misjonarze dowiedzieli się, że są inni wyrzuceni. Ale kto? Ale ilu? Mówiono o 40-tu. Przed tygodniem wyrzucono już 14-tu. Ilu teraz?

Po przyjeździe do stolicy zaraz udali się na spotkanie z nuncjuszem apostolskim zorganizowane dla misjonarzy. Okazało się, że wyrzucono 42 misjonarzy katolickich i 10 protestanckich. Samolot ma odlecieć w poniedziałek wieczór. Naszych misjonarzy odprowadzili: o. Józef Trybała, o. Nazariusz Kwiatkowski, o. Bartłomiej Kurzyniec, s. Zenobia Masłoń, s. Zygmunta Kaszuba i s. Lucyna Dąbrowska oraz inni misjonarze i misjonarki z sąsiednich misji.

W poniedziałek rano zaczęły krążyć wieści, że to nie ostatnie wyrzucenie, że w piątek ma znów odjechać aż 80 misjonarzy. Podobno niektórzy widzieli listę, na której są wszyscy polscy karmelici. Mówiono, że już zarezerwowano na piątek miejsca w samolocie. To „na

pewno”, to „podobno”. W każdym razie atmosfera zrobiła się przygnębiająca, bo przecież już teraz misje zostają bez kapłana, a cóż dopiero po wyrzuceniu naszych 80-ciu braci. Skoro twierdzą, że „na pewno”, więc trzeba pomyśleć, co z misjami? Komu przekazać papiery? Komu powierzyć dobra misji? Dlatego postanowiono, że o. Józef i o. Bartłomiej oraz s. Zenobia i Lucyna pożegnają wcześniej naszych misjonarzy i pojedają do biskupa, by o niektórych sprawach zdecydował na wypadek wyrzucenia wszystkich polskich misjonarzy. O tej podróży do Ruyigi i powrocie do Musongati i Mpingi mówi pierwszy list o. Bartłomieja.

Wieczorem, po całodziennych pożegnaniach, nastąpiło „uroczyste” pożegnanie wyrzuconych misjonarzy na lotnisku. Już dawno nie było takiego tłumu. Wiele było wyjeżdżających i bardzo wielu żegnających. Każdy z odchodzących do samolotu (specjalnie odchodzili pojedynczo lub po dwóch) otrzymał rześiste i serdeczne oklaski.

Był wieczór. Zaczął padać spokojny deszcz. Niespotykane w już suchej porze roku...

„Teofilu We!”

Mpinga, 12.06.1979

Jeszcze trwamy w ciągłej obawie zobaczenia czarnej limuzyny – wołgi. Jutro się nie zobaczymy w Brukseli, bo dziś nie było gości z Bujumbury. Chwile oczekiwania niesamowicie nas męczą. Dziś po południu poculiśmy się trochę lepiej. Czekamy na sobotę. Chociaż w ankiecie do paszportu pytali mnie, w jakich formacjach służyłem przed II wojną światową, to jednak nie wiem, co to jest panika wojenna. W tych dniach mogłem ją sobie wyobrazić i troszkę przeżyć na własnej skórze.

W poniedziałek w drodze do domu modliliśmy się jak nigdy. Cały różaniec z koronką do Miłosierdzia Bożego odmówiliśmy. Śpiewaliśmy nie „O dernier jour”, ale „Serdeczna Matko”. Okazało się, że sporo zapomnieliśmy z polskiej pieśni religijnej. Przydałoby się więcej takich podróży, by je sobie przypomnieć. Siostry mówią, że na drogę trzeba sobie zabrać śpiewnik Siedleckiego. Przed Bugaramą spotkaliśmy w poprzek drogi wywrócony samochód ciężarowy. Objeżdżamy powoli i pytamy, czy nie ma zabitych. Odpowiedzią jest spluwanie za nami jednego Murzyna. Zrobiłem nad nim krzyżyk i pojechaliśmy. Na pokiwanie ręką z pozdrowieniem ludzie albo wcale nie odpowiadają, albo z obawą. Wyczuwa się u niektórych nienawiść, a u innych zastraszenie. Ale może to tylko takie nasze „wyczuwanie” spowodowane sytuacją.

Jedziemy do naszego biskupa w Ruyigi, gdzie zajeżdżamy już wieczorem. Przed domem pusto. O. Józef Ntawe grzebie coś w akumulatorze. Zaglądam do poczty. Otrzymaliśmy zaproszenie na święcenia kapłańskie diakona Tadeusza (Murzyn). Nic więcej.

Potem zaczynają się schodzić i pytać: „a co jeszcze?” Atmosfera jak po pogrzebie, a przed stypą. Wychodzę z sali przed biuro i spotykam biskupa wracającego z ekonomatu. Sam przygarbiony, wargi obolałe. Witam go uściskiem, bo w tej sytuacji już nie wystarczy podanie ręki nawet dla biskupa. Wszyscy się ściskają. On jak zwykle: „voilà, voilà, Barthelemy n’amaki?” Odpowiadam: „U amavubu”. Idziemy do sali. Nie wiedział, że pojechałeś (chyba się nie zdziwił?). Jak się sytuacja poprawi, to Was albo nas odwiedzi w Polsce. Na pytanie, co robić z nowicjuszem Cyrylem i postulantom Patrysem, odpowiedział: niech pilnują parafii. Po uwagach o. Józefa zreflektował się i polecił, by przyjechali do niego. Parafię przekazać siostrze Bene-Tereziya, a w Musongati parafię przekazać „zaufanym” katechistom. Bardzo był zadowolony, że wstąpiliśmy do niego. Zaproponowałem piwo na „konto karmelitów”. Dziś nie mówi się już o kontaktach. Pieniądze polecił złożyć na swoim koncie. Odłożyłem trochę dla siostr „Denisówek” w Ruyigi i dla siostr w naszych parafiach. My mamy się popakować i czekać. Zostawiłem rozmawiających i poszedłem do siostr Denisówek. Pukam do drzwi.

Słyszę gdzieś szepty. Otwierają wreszcie. Zastaję trzy z różańcami w rękach. Okna pozasłaniane. Modlą się wystraszone. Co chwila słyszę joj, joj! Po południu byli u ekonomy z urzędu bezpieczeństwa. Z biskupem nie chcieli wcale się widzieć. Zapewniali ekonomę, że już się wszystko skończyło. Nie wierzymy.

Jedziemy do Musongati. W Mulizie przed kabaretem stoi wiele samochodów. Administratorzy byli dzisiaj na zebraniu w Ruyigi. Zajeżdżamy do sióstr. I znów od nowa tym razem po polsku: a ilu, a co, a jacy, a co dalej? – 82 w piątek. S. Scholastyka przygotowuje jajecznicę ze swojską kiełbasą. Ciężko przełykać. Za chwilę przychodzi br. Marceli i znów powtarzamy od nowa. Przez to ciągle gadanie i zmęczenie, przychodzi ośpienie i obojętność. Idę spać do Ojców. W Mpindze widać kolisty ogień. Zaczynają wypalać – chyba nie misję – ale raczej busz, starą trawę, by mieć młodą dla krów.

13.06. – wtorek

Wstaję osowiały i idę szukać kawy. Przerywam pisanie, bo kury w kurniku coś wyprawiają... Breviarz po francusku z siostrami w kościele. Józiu odprawia Mszę św. Ja tylko uczestniczę, bo będę miał w Kiguhu. Jakaś kobieta kładzie na ołtarzu swoją kartę. Odprawia publiczną pokutę. Marcel jeszcze dziś chce podciągnąć budowę katechumenatu do okien. Po śniadaniu szukam butów i drugiej spodni, bo na motorze jest zimno. Jadę do Kiguhu na małym motorku. Przed przychodnią już ustawione kolejki. S. Scholastyka dziś urzęduje, bo s. Zygmunta w stolicy. Ciężko witać się z ludźmi, bo „coś” wiedzą, bo niektórzy słuchali wszystkich oszczerstw, które w tych dniach wypływa się przez radio przeciw misjonarzom.

W Kiguhu wszystko po staremu. „Laleczka” mruga oczami, „Kaśka” marszczy noseć, mama Mukuru ciężko wzdycha. I znów od nowa w innym języku, w kirundi. Zaglądam do katechumenatu. Źle się czuję, bo dzieci patrzą z lekkim zdziwieniem. Rozmowa się nie wiąże. Odprawiam Mszę św. śpiewaną. Zakonsekrowałem hostii we wszystkich naczyniach liturgicznych, jakie były w Kiguhu, by im na jakiś czas Chrystusa w Eucharystii wystarczyło. Zastanawiam się, czy to jest ostatnia Msza św. w Kiguhu. Siostry przygotowują dzieci do pierwszej Komunii św. Jest ich 110. Jutro trzeba je spowiadać. Jak widzisz z jednej strony myśl, że to już ostatni raz, a z drugiej zaplanowany dalszy ciąg posługi duszpasterskiej.

Jadę do Mpingi. Po drodze pusto. Naliczyłem tylko 12 chłopów, w tym jednego policjanta. Patrzę, czy przy gminie wisi jeszcze flaga. Jadę dość szybko. O mało nie zabiłem kozy, która nagle wybiegła na drogę. Na szczęście wyhamowałem bez upadku. Na piaszczystych odcinkach drogi zwalnim. Nasuwają się myśli: co z nami robią, czy wyrzucą, czy wywiozą samochodem do więzienia, czy też zamordują. Ukazuje się Kiharo z zabudowaniami stacji misyjnej. W dali przestrzenie Tanzanii. Znów myśl: czy by nie uciec? No, ale gdzie to misyjne bohaterstwo, na które się zgodziłem dla Pana? Dojeżdżam do Mpingi. Mijam stolarzy Michela i Gerwazego. Idą na obiad ze smutnymi minami. Za młynem dymią kopce wypalającego się węgla drzewnego. Na placu parafialnym pusto, ani jednego dziecka, chociaż to już przerwa popołudniowa. Czyżby w parafii wybuchła zaraza? Zajeżdżam do garażu. Na misji cisza. Z kaplicy dochodzi szmer wspólnej modlitwy. Popołudniowa modlitwa misjonarzy, którzy czekają na wyrok. Drzwi do mojego pokoju zatrzaśnięte. Trzeba wchodzić „przemocą”. Zastaję bałagan, jaki zostawiłem. Zatem rewizji nie było. Zachodzę na obiad. Zupa chyba na boczku, żeberka pomieszane z resztkami kury, groszek i na deser „macedonia”. No i co, kiedy pojechali? Już nie mam sił na powtarzanie: pojechało w poniedziałek wieczorem 42 katolickich i 10 protestanckich. A inni, a my? że „podobno” inni mówią, iż „na pewno” w piątek ma jechać 80 czy 82, w tym wszyscy karmelici. Te krótkie odpowiedzi wystarczyły, by nie dokończyli obiadu. Zostały żeberka ze skrzydełkami. Pakować się i czekać. S. Julianna zaprzecza, że to niemożliwe. Przecież tyle sióstr modli się za ojców w Polsce. Siostra też musi się pakować i czekać na przyjazd o. Józefa, by wrócić do Musongati. Wakacje siostry w Mpindze na razie przerwane. Wprawdzie

sióstr jeszcze nie wyrzucają, ale przełożona zdecydowała, że będzie lepiej, gdy siostra wróci do domu, do Musongati. Przy krótkofalówce ostry dyżur. Łączymy się co godzinę z Musongati. Godzina 1 – jeszcze nie przyjechali z Bujumbury, ani nie powrócili. Czyżby już były bariery na drodze. Czyżby przewrót i obalenie rządu?

Teofilu, trzeba dziś skończyć, bo minęła 12 w nocy. No to do jutra, bo nie możesz sobie pomyśleć o pojutrze w Burundi. Mam nadzieję, że śpisz dobrze. Ruszył się wiatr, jak zwykle w porze suchej. Zimno mi w nogi. Dobranoc.

br. Bartek

„Wydaje się, że kryzys minął”

Mpinga, 20.08.79

JM+JT

Drogi Ojcie Bronisławie!

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Zaczynam od tego pozdrowienia chrześcijańskiego. Ojciec święty przypominał nam wszystkim, jak mamy się pozdrawiać. Wybacz, że nic nie piszemy. Wiesz, że mocno przeżyliśmy wyjazd naszych Ojców z Mpingi i Musongati. Był to cios przeciw Kościołowi. Władze mówią, że Kościół ma wielki wpływ na ludzi i chciałby ten wpływ osłabić, wyrzucając misjonarzy, którzy mieli odwagę bronić ubogich. Jedna trzecia księży pracujących w Burundi opuściła kraj. Wiele parafii zostało pozbawionych kapłana. Zostały siostry zakonne. Za tym wszystkim kryje się ideologia ateistyczna innych wpływowych państw. Sam rząd nie odważyłby się na taki krok.

Długo nie mogliśmy wrócić do „formy” po wyjeździe naszych ojców. Ciągłe nie wiemy, co będzie dalej. Czy ojcowie wrócą, kiedy? Czy jakieś starania coś pomogą? Biskupi prosili prezydenta, żeby pozwolił wrócić niektórym (niewinnym) misjonarzom, jeżeli nie wszystkim! Ale wszystko kończy się na pięknych słowach i na obietnicach.

Wszyscy byliśmy gotowi do wyjazdu, mieliśmy spakowane walizki. Wydawało się, że wszyscy wyjadą. Teraz wydaje się, że kryzys minął. Trzeba pomyśleć, jak teraz rozłożyć pracę. Ponieważ jest nas mało, zmniejszyliśmy tempo pracy, gdy chodzi o budowy. Musimy się bardziej przyłączyć do apostołstwa. Musimy przygotować naszych wiernych na trudności, jakie spotkają odnośnie do wiary i praktyk religijnych.

Jesteśmy bardzo wdzięczni o. Teofilowi i o. Janowi za ich wkład w pracę misyjną. Teraz doceniamy ich trud, gdy ich brak, gdy trzeba podjąć ich pracę. W Afryce wszystko się zmienia z dnia na dzień. Ufamy, że wrócą do Burundi, gdzie zostawili połowę serca (jeżeli nie całe!).

Nasi Bracia nowicjusze również bardzo przeżyli wyjazd ojców. Zdawali sobie sprawę, że jeżeli wyjedziemy wszyscy, to oni wrócą do domu. Gorąco prosimy św. Józefa, patrona nowicjatu, żeby miał nas w opiece, żeby Karmel w Burundi mógł się rozwijać. Prosimy o powołania kapłańskie i zakonne.

Br. Patryk będzie miał obłóczyny 30 września, w wigilię święta św. Teresy od Dzieciątka Jezus. Br. Cyryl złoży profesję po 17 grudnia. Czekam na teksty obłóczyn i Profesji. Trzeba je przetłumaczyć na kirundi.

Wielu chłopców zgłasza się do naszego zakonu, ale trudność w tym, że mają skończoną tylko szkołę powszechną. Jak im pomóc? Tu w Burundi nie ma wielu możliwości. Pytałem kiedyś w seminarium dla dorosłych w Mugerze, czy nie przyjęliby chłopaka po szkole podstawowej do seminarium. Odpowiedzieli, że ma już dużo lat (27!). A przecież to jest seminarium dla dorosłych!

O. Józef cieszy się, że o. Kamil wreszcie dojechał. O. Sylwan po 9 miesiącach nieobecności powoli wraca do kirundi i do pracy.

Teraz bardziej niż kiedyś potrzebujemy Waszego wsparcia w modlitwach i w pamięci.

Teraz praca jest na pewno trudniejsza, atmosfera nieufności i strachu nie sprzyja głoszeniu Dobrej Nowiny.

Polecamy modlitwom sióstr karmelitanek i naszych Dobrodziejów Misyjnych naszą pracę apostolską, nasz nowicjat i Kościół w Burundi.

Najserdeczniejsze pozdrowienia w Panu!

O. Eliaz, magister nowicjatu OCD

„To Bóg tak zdecydował.”

Poznań, sierpień 1979 r.

Drodzy Przyjaciele!

Już pod koniec czerwca niespodziewanie znalazłem się w Polsce, a dopiero teraz zdobywam się na przesłanie Wam serdecznych pozdrowień z kraju opromienionego odwiedzinami papieża Jana Pawła II, dopiero teraz zdobywam się na przesłanie garstki wiadomości.

W miesiącu lipcu byłem bardzo zabiegany, bo poświęciłem go na odwiedzenie Rodzin naszych misjonarzy z Mpingi i Musongati. Obecnie też biegam, ale to już najwyższy czas, by Was zapewnić, że jestem z Wami, że pamiętam w modlitwach, że jestem bardzo wdzięczny za Wasze zatroskanie o los naszej misji w Burundi.

Do wielu z Was doszły wieści o wyrzuceniu z Burundi 76 misjonarzy. Nic w tym dziwnego, skoro sam Ojciec św. mówił o tym po swoim powrocie do Rzymu. Wtedy słuchało się wieści z Rzymu – prawda?

Pytacie jednak, co się stało, dlaczego tak nagle wyrzucono tylu misjonarzy?

Było to wynikiem „nieporozumienia” rządu i biskupów tamtejszego Kościoła.

Już od jakiegoś czasu szerzono w kraju i poza jego granicami wieści, że w Burundi doszło do krwawych zająć, że morduje się skrycie wiele ludzi. Wieści nieuzasadnione, ale budziły panikę ludzi i rządu. Może dlatego zakazano przez radio zebrań po wioskach, które Episkopat zalecał w związku z mającym się odbyć Synodem wszystkich diecezji w Burundi. Na tych zebraniach mieli chrześcijanie modlić się wspólnie, mieli rozważać podsunęte tematy, mieli zobaczyć swoje życie w świetle Ewangelii, zobaczyć jego niedomagania, zachęcać się do wspólnych dzieł miłości na rzecz biedniejszych, itd. Ten nagły zakaz zebrań, wydany bez porozumienia z biskupami, był zaskoczeniem. Biskupi zareagowali spokojnym, ale dosyć mocnym listem do rządu, w którym upomnieli się o prawa dla Kościoła. W odpowiedzi prezydent wydał wojnę Kościołowi: audycje przez radio, wyrzucenie misjonarzy. Nie wszystkich, ale wyrzucono wielu proboszczów i tych, którzy mieli duży wkład w rozwój tamtejszego Kościoła. To miało sparaliżować działalność Kościoła. Wiele parafii pozostało bez kapłanów i to w okresie egzaminów katechumenów, w okresie pierwszych i uroczystych Komunii św. Pierwsza mniejsza grupa misjonarzy musiała wyjechać 1 czerwca. Druga grupa 52 misjonarzy – 11 czerwca. Czas opuszczenia kraju: 48 godzin od wydania aktu wyrzucenia.

Po przylocie do Brukseli wyrzuceni misjonarze odbyli naradę ze swoimi przełożonymi, na której postanowiono: a) korzystając z okazji – „odpocząć nieco”, b) następnie, czekając na możliwość powrotu „skorzystać z prawa przysługującego misjonarzom i podjąć jakieś studia lub nie wiążącą pracę”, tak, by na każde wezwanie można było wrócić do przerwanej pracy misyjnej. Gdyby po roku czekania okazało się, że powrót do Burundi jest niemożliwy, wtedy można podjąć pracę w innych krajach.

Podobną linię postępowania wybrali polscy Karmelici Bosi wyrzuceni z Burundi, tzn. o. Jan Kanty Stasiński i niżej podpisany. Pod koniec sierpnia zamierzamy wyjechać do Rzymu i podjąć studia teologiczne życia wewnętrznego, co bardzo nam pomoże w prowadzeniu rekolekcji dla kapłanów lub sióstr misjonek, o co nas, karmelitów, często proszą. Może z tego studium nic nie będzie, bo już było spotkanie biskupów z rządem i do jakiegoś porozumienia doszło. Wygląda na to, że powrót wyrzuconych może nastąpić niebawem. Czy

wszystkich? U nas w kirundi mówi się „Bizimana!” – „Bóg to wie!” W każdym razie „niech żywi nie tracą nadziei”.

Tu należy się odpowiedź tym, którzy pytają: „Tyle dobrego dla nich zrobiliście, oni was wyrzucili i wy jeszcze chcecie wracać?” Kochani, to nie ludzie, dla których pracowaliśmy nas wyrzucili. Do dziś ze wzruszeniem wspominam ich płacz, te gorące łzy, które wsiąkały w czerwoną ziemię Mpingi. To nie jest w zwyczaju tamtejszych ludzi tak publicznie objawiać ból. Płakali, zupełnie bezradni – tak jak my – wobec decyzji rządu. Żał mi tego biednego ludu. Żał nam tych rozległych parafii pozostawionych bez kapłana. Dlatego chcemy wracać. Nasze parafie w Mpindze i Musongati nie pozostały w tak opłakanym stanie. Pozostało przecież 6 księży, 1 brat zakonny, 6 polskich siostr, 3 włoskie i 7 siostr tamtejszych Bene-Tereziya, oraz nasz nowicjusz i nasz postulant. Ale Mpinga i Musongati to bardzo rozległe parafie w buszu, gdzie tak wiele pozostało do zrobienia na różnych polach. Tam tak bardzo potrzeba misjonarzy, dlatego, gdy tylko będzie możliwe, chcę wracać. Tak „po ludzku” chcę! Będzie oczywiście tak, jak zechce Pan.

Należy się jeszcze słówko tym, którzy powtarzają: „Biedaku, taka krzywda cię dotknęła!” Nie, Kochani, żadna krzywda. Ja już jestem starym zakonnikiem i wiem, że zawsze to jest wspaniałe, co Bóg dla nas wybierze, co On zadecyduje. Wierzę, że wszystkie włosy na mojej głowie są policzone, na brodzie też, bo to też głowa przecież, żaden z nich nie spadnie bez Woli Bożej.

To Bóg tak zadecydował. Ma do tego zupełne prawo, bo przecież do Niego należę przez chrzest św. i przez zakonne śluby. Jego zamiary względem nas są najśluszniesze, nie chciałbym ich nigdy udaremniać.

Przed wyjazdem na misję miałem wiele pięknej pracy. Nie z nudów pojechałem na misję. Jeżeli Pan zechce, do tej dawnej pracy chętnie wrócę. To, że dane mi było przez 8 lat pracować w Burundi, będę zawsze uważał za bardzo wielką łaskę w moim życiu.

To tyle, bo przecież wszystkiego nie można powiedzieć. Jestem przekonany, że choćbym nawet nie mógł wrócić do Burundi, Wy – Drodzy Przyjaciele – będziecie nadal wspomagać naszą karmelitańską misję swoją modlitwą i ofiarą (...).

Pozostanmy zjednoczeni we wspólnej modlitwie i w radości tak pełnej, jak nam wszystkim serdecznie życzył Pan w pożegnalnej mowie.

Wasz wdzięczny i oddany

br. Teofil Stan. Kapusta OCD

Rozrachunek z przeszłością i nadzieje na przyszłość.

Mpinga, 23.10.79

JM+JT

Drodzy Współbracia!

Już od ośmiu lat pracujemy na misjach, które podjęła wspaniałomyślnie nasza Prowincja Ducha Świętego. Sam Duch Św. natchnął ojców kapitularnych, żeby wznowić piękne tradycje Karmelu polskiego, podejmując misję. Dobrze pamiętamy ten dzień, w którym rozpoczęliśmy podróż do Burundi. Wszyscy byliśmy w podniosłym nastroju. Wpływało na to: pożegnanie na dworcu w Poznaniu, kwiaty, tłumy ludzi, itd. Potem kolejne etapy podróży: Paryż, Rzym, audiencja u Ojca św. i w końcu Burundi. Tu znowu trzeba było podjąć naukę języka kirundi przez pięć miesięcy w Muyange. Po kursie języka poszliśmy na parafie, żeby przypatrzyć się pracy na misji i zacząć pracować. Staż pracy trwał rok. Gdy mieliśmy to wszystko za sobą, wtedy rozpoczęliśmy samodzielną pracę na parafii w Mpindze, a potem w Musongati.

Przeżywaliśmy różne chwile, radosne i smutne. I tak mija osiem lat pracy na misjach w Burundi. Warto się zastanowić, jak oceniają naszą pracę Ojcowie w Prowincji, jak ją widzi ks. Biskup, a jak przyjmują nasi parafianie. Ale najważniejsze to, jaką wartość ma nasze dzieło w oczach Bożych! To jest istotne. Ludzie mogą się mylić i często ulegają złudzeniom.

Jest rzeczą normalną, że są różne zdania w Prowincji na temat misji. Przeciwności i trudności są znakiem błogosławieństwa Bożego, jak mawiała św. M. N. Teresa. Wdzięczni jesteśmy Ojcom i Prowincji za życzliwość i ofiarną pomoc dla naszej misji. Dziękujemy Wam za to, że mogliśmy zrealizować nasze powołanie misyjne. Doceniamy pomoc materialną i duchową naszej Prowincji. Doceniamy pracę zelatorów misyjnych i przełożonych klasztorów i wszystkich Braci. Może czasem zbyt dużo wymagaliśmy, przesyłaliśmy „listę rzeczy potrzebnych na misji”. O. Bogusław zawsze nam spieszył i spieszy z pomocą. Wiem, ile kosztuje zachodu i zdrowia załatwienie jednej sprawy, a potem wysłanie. O. Bogusław oddany jest misjom całym sercem, przeżywa z nami smutki i radości. Choć rzadko piszemy listy, on się nie zniechęca. Dzięki trosce Ojców, nasza misja jest dobrze zaopatrzona, może nawet lepiej niż niejeden klasztor w Polsce. Dzięki pomocy Prowincji możemy budować szkoły, kaplice czy dom dla Sióstr.

Inny poważny problem to nasza przyszłość w Burundi. Trudno coś przewidywać naprzód. Wszystko jest w rękach Bożych. Był moment, że wydawało się, że wszyscy będziemy musieli opuścić Burundi. Mamy jednak ufność w Bogu. Jeżeli misje są dziełem Bożym, to przetrwają mimo trudności. Z myślą o przyszłości, nasz Ojciec Prowincjał założył nowicjat w Mpindze. Mimo niepewnej sytuacji (czy można być kiedyś pewnym w Afryce?) przyjmujemy kandydatów do naszego Zakonu. Musimy być bardzo ostrożni przy przyjmowaniu kandydatów. Św. Józef, który jest patronem nowicjatu, zajmuje się wychowaniem nowicjuszy. To jego dzieło, dlatego ufamy, że nowicjat wyda owoce. Ja sam jestem nowicjuszem jako magister. Proszę więc braci o pomoc w modlitwie. Trzeba tu dużo światła i łaski Bożej, żeby dobrze pokierować nowicjatem i poznać psychikę i potrzeby naszych Czarnych Braci. Mamy trzech braci. Br. Cyryl będzie składał pierwsze śluby zakonne dnia 30 grudnia, w święto św. Rodziny. Br. Jan Maria Vianney rozpoczął niedawno nowicjat. Br. Marek, postulant, niedawno się do nas zgłosił. Ojcowie są zadowoleni z braci. Trudno już teraz wydać osąd, mogą się zmienić, ale mamy nadzieję, że będą dobrymi zakonnikami. Może da się niektórych posłać na studia teologiczne, żeby byli kapłanami. Ale to jeszcze daleka droga. Teraz odczuwamy wielki brak ojców. Tu, w Mpindze, potrzebny jest jeszcze jeden ojciec (jeśli możliwe – to dwóch). Praca parafialna zabiera mi dużo czasu, na zajęcie się braćmi niewiele mi zostaje wolnego czasu. Do wychowania nowicjuszy nie wystarcza sam magister, potrzebny jest zespół ojców, życie wspólne i atmosfera rodzinna. Czy już nie ma chętnych do pracy misyjnej w Prowincji? Liczymy nadal na pomoc z Polski. My ze swej strony zapewniamy o modlitwach. Będziemy się starać dobrze wypełniać zadanie powierzone nam przez Zakon i Kościół. Niech nasza praca służy Kościołowi i Zakonowi na większą chwałę Bożą.

Ojcowie i Bracia z Burundi.

O. Elias, k.b.

„Pragniemy podzielić się z Wami radością...”

Musongati, 21 listopada 1979 r.

Drodzy Przyjaciele Misji!

Pragniemy podzielić się z Wami radością, którą przeżywała nasza misja w Musongati razem z dziećmi i matkami w czasie uroczystości z okazji Międzynarodowego Roku Dziecka.

Uroczystość taką mogliśmy urządzić dzięki Waszej życzliwości i pomocy, jaką darzyacie naszą misję w Burundi i tych, dla których pracujemy.

Uroczystości odbyły się w naszym ośrodku zdrowia w Musongati. Ośrodek zdrowia, dzięki ofiarności naszych Przyjaciół z Polski i Austrii, jest duży i wygodny. Dzieci zostały podzielone na trzy grupy. Pierwsza grupa maluchów w wieku od 2-5 lat liczyła około 480 dzieci, nie licząc matek.

Z kilku lat nzebierało się sporo zabawek przesłanych z Polski i Austrii. Ponieważ były

różne: wielkością, pięknnością i jakością, postanowiliśmy zrobić loterię, by nikomu nie było przykro.

W przeddzień uroczystości nasze dziewczęta z kuchni razem z nauczycielkami z ośrodka zdrowia i kilku matkami poszczególnych grup, usmażyły dużą ilość racuchów z białej pszennej mąki, mleka i jajek w proszku, przesłanych z Polski. Racuchy były wspaniałe, można powiedzieć „wysmienite”.

Rano, 6 listopada br., matki odświętnie ubrane, przyprowadziły swoje pociechy do kościoła na specjalne nabożeństwo. Dzieci były umyte i czysto ubrane – uroczyste. Proboszcz parafii Musongati – ojciec Sylwan – karmelita, powitał swoich najmłodszych parafian serdecznymi, ojcowskimi słowami i udzielił im błogosławieństwa. Matki zachęcił, by tutaj na „wzgórzu” (Musongati leży w górach), dawały innym matkom przykład dobrego wychowania swoich dzieci i troski o ich wychowanie fizyczne i duchowe. Z kolei animatorka (nauczycielka) poprzez mikrofon wyjaśniła sens i cel Międzynarodowego Roku Dziecka i podała dalszy program uroczystości.

Po nabożeństwie odbyło się przyjęcie w ośrodku zdrowia w dwóch wielkich salach. W jednej rozwieszono różnego rodzaju zabawki ofiarowane przez dzieci polskie jako „Dar ołtarza” z racji ich I-szej Komunii św. W drugiej przygotowano posiłek z dobrymi racuchami. Matki i dzieci zostały przywitane przez sołtysa – przewodniczącego wsi. Między innymi powiedział: „Radość dzisiejszego dnia i piękne przeżycie dla Was przygotowała nie tylko misja Ojców i Sióstr, ale i inne kraje, które w trosce o dzieci, przesyłają do nas różne dary, bo ci, co mają opiekę nad wami, robią co tylko możliwe, by zyskać wam przyjaciół i dobrodziejów w Polsce i Austrii. Dlatego z serca dziękujemy”. Przypomniawszy, że jest to nie tylko święto radości, ale także okazja do głębszego przeżycia swoich obowiązków macierzyńskich.

Zachęcił również matki, by były jak te światła na wzgórzu Musongati i dawały przykład innym kobietom, które nie znają jeszcze obowiązków wypływających z macierzyństwa i z roli matki.

Rozpoczęło się losowanie. Zabawki wisiały na sznurkach, były oznaczone numerkami. Przy każdej zabawce przypięta była agraftka do wyciągania „inwundży” (pchła złośliwa, która wchodzi pod paznokcie nogi i powoduje ropień palca). Radość dzieci i matek była ogromna. Promieniowała im z oczu, twarzy i całej postaci. Matki tańczyły z radości i śpiewały. Dzieci zaczęły bawić się wylosowanymi zabawkami. Jedne ciągnęły wózki, inne rzucały sobie piłki, inne muzykowały, jeszcze inne gwizdały na zabawkach do tego przystosowanych, jak: pieski, kotki. Trzeba było tu być, by to widzieć i przeżyć prawie ze łzami tę ich wielką radość. Wszyscy dziękowali Przyjaciołom Misji i dobrym dzieciom z Polski, które podzieliły się z nimi swoimi zabawkami. Po losowaniu był jeszcze smaczny posiłek, wspaniałe racuchy, których na szczęście starczyło dla wszystkich.

Uroczystość zakończyły słowa pożegnalne animatorki: „Zanieście tę radość na wasze Wzgórze. Modlimy się do Boga Światłości, aby utrwalił ją w waszym życiu na zawsze”.

Modlitwą powszechną „Ojcze nasz” zakończyliśmy ten piękny dzień.

Podobna uroczystość była tydzień później dla niemowląt – oczywiście bez losowania. Niemowląt było 350. Otrzymały również błogosławieństwo kapłańskie, zostały poczęstowane grysikiem gotowanym na mleku. Otrzymały mleko w proszku. Matki, podobnie jak w grupie pierwszej, śpiewały i tańczyły z dziećmi na rękach.

Dzieci chore na „kwashiorkor” (pęknięcie skór, itp. z braku witamin) będą miały swoją uroczystość przed Bożym Narodzeniem. Siostra Immakulata, razem ze swoimi dziewczętami ze szkoły gospodarczej szyją im ubranka. Otrzymają swoją porcję witamin i mleka.

Nie musimy pisać, że wszystkie matki wracały do domów z twarzami pełnymi radości. Prosiły, by podziękować dobroczyńcom w Polsce i Austrii oraz wszystkim Przyjaciołom Misji w Burundi.

A więc, w imieniu naszym, wszystkich mam, dzieci, które korzystają z ośrodka zdrowia, dziękujemy staropolskim „Bóg zapłać!” za wszystko dobro, jakie nam świadczyście, za Wasze

dary, ofiary i modlitwy. Dziękujemy dzieciom za zabawki, za to, że umieją się dzielić z innymi i za tę radość, jaką sprawiły naszym dzieciom w Burundi.

Nie możemy niczym innym wyrazić naszej wdzięczności, jak tylko modlitwą, by Bóg zachował Was w tej miłości na zawsze!

Z serdecznym pozdrowieniem, zapewnieniem modlitwy i wdzięczności.

Siostry z Musongati oraz animatorki:

Maria Salome, Kabuaza Domine, Ngenzebuhoro Paschazja.

„Czekając na otwarcie się bram Burundi.”

Rzym, grudzień 1979

+

Drodzy Przyjaciele!

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!”

Dopiero teraz przesyłam Wam bardzo serdeczne pozdrowienia z Wiecznego Miasta – z Rzymu. „Dopiero teraz”, chociaż w ostatnim liście obiecałem zaraz napisać i podać adres. Sami jednak wiecie, że nie zawsze Boże zamiary pokrywają się z naszymi zamysłami. Spodobało się Bogu poprowadzić mnie drogą cierpienia, a wtedy trudno się zabrać do pisania.

Już wiosną 1979 roku, w Burundi, wykryto u mnie nieco „życia wewnętrznego”, czyli jakieś pasożyty, ameby, grzybice, itp. Nic dziwnego, żyło się przecież te kilka lat w tropiku. Próbowano to jakoś leczyć.

W czerwcu nastąpiło wyrzucenie z Burundi około 80 misjonarzy, wśród których znalazł się o. Jan K. Stasiński i ja. Wyrzucenie – nic wielkiego, bo przecież prawdziwy misjonarz powinien być gotów na to, by Pan mógł go posłać wszędzie, zgodnie ze swoją Wolą. Mimo wszystko, po ludzku biorąc, wyrzucony misjonarz czuje się trochę jak przysłowiowa ryba poza wodą. Może to poczucie się poza wodą przyczyniło się do tego, że z moim zdrowiem wciąż było „coś nie tak”. Próbowaliśmy to ukryć, bo ufałem, że organizm sam przezwycięży te jakieś dolegliwości, jak to już niejednemu raz skutecznie czynił.

Zgodnie z planem, we wrześniu, pojechaliśmy wraz z o. Janem Stasińskim do Rzymu, by czekając na otwarcie się przed wyrzuconymi misjonarzami bram Burundi, zapoznać się z tym, co dzieje się obecnie w teologii. Przyznano nam stypendium, więc zapisaliśmy się na dwa uniwersytety: „Teresianum” – na teologię życia wewnętrznego i „Urbanianum” – na specjalny kurs teologiczno-duszpasterski dla misjonarzy.

Tymczasem mój organizm „zbuntował się” i nie chciał już walczyć z dolegliwościami. Sądzę, że był zmęczony długą podróżą do Rzymu. Wybraliśmy podróż pociągiem, bo trzeba oszczędzać grosza, bo były różne sprawy do załatwienia w Wiedniu, Linzu, itd.

Po przybyciu do Rzymu czułem się coraz gorzej. Wreszcie okazało się, że „robaczki lub grzybki” spowodowały „przebicie” jelita i nastąpiła infekcja. Dnia 20 października musiałem poddać się operacji dla usunięcia dużego już ropniaka.

Była odrobina cierpienia do ofiarowania za misję i za Was z okazji Tygodnia Misyjnego. Tyle razy prosiłem chorych i cierpiących o ofiarowanie cierpień w intencji naszej misji w Burundi. Wiem, że czyniliście to wspaniałomyślnie i jestem przekonany, że Wasze modlitwy i cierpienia użyźniają Bożą łaską naszą misyjną rolę. Teraz miałem okazję spłacić dług wdzięczności nie tylko słowem i modlitwą, ale także ofiarowanym w Waszych intencjach cierpieniem.

Po operacji musiano zastosować dużą ilość antybiotyków. Należało później leczyć jakieś tam „grzybki” w przewodzie pokarmowym i wzmacniać organizm, by mógł znieść właściwą operację, czyli usunięcie owego „przebicia”. Tę operację przeprowadzono 27 listopada, usuwając przy okazji wszystkie inne „narosty”, które organizm wytworzył, kiedy to „sam się bronił i przezwyciężał dolegliwości”. Był to zarazem taki ogólny remont organizmu.

Przy okazji mogłem się nieco głębiej przekonać, do jakiego stopnia może człowiekowi doskwierać nawet odrobina fizycznego cierpienia. Myślałem wtedy: Człowiek wierzący, chrześcijanin, jakoś wie, że to Dobremu Ojcu, który jest w niebie, spodobało się rzeźbić w nim za pomocą cierpienia rysy, podobieństwo, swojego Umiłowanego Syna – Ukrzyżowanego, a przecież i wierzącemu chrześcijaninowi nie jest łatwo cierpieć. Jakże trudno musi być zrozumieć sens cierpienia, jak trudno znosić cierpienia komuś, kto nie otrzymał łaski wiary...

Przyznaję szczerze, że mimo, iż leżałem w doskonale urządzonym szpitalu „Salvator Mundi”, mimo troskliwej i serdecznej obsługi lekarzy i siostr pielęgniarek, mimo zastosowania znieczulających zastrzyków, ta mała rana po operacji dokuczała mi bardzo. Myślałem wtedy o tych misyjnych „szpitalikach” w buszu, gdzie poważnych zabiegów dokonuje się w prymitywnych warunkach, ale jeszcze więcej myślałem o tych licznych chorych spotkanych w Burundi z okazji duszpasterskiej posługi. Myślałem o tym chłopcu, któremu tropikalne rany przeżarły nogę aż do kości. Myślałem o tej tak bardzo poparzonej dziewczynie na podwórku nędznej lepianki w buszu, która swoje rany osłaniała przed muchami zabrudzonymi gałgankami i liśćmi bananowca. Myślałem o tym staruszku pozostawionym przed domem, „bo wszyscy musieli iść w pole” – jak zapewniał z wyrozumieniem i rezygnacją. Leżał jak ów ewangeliczny Łazarz, tylko że nawet psów zabrakło, by lizły jego wrzody⁵⁶, a on nie miał już siły, by się opędzać przed rojami much. Wspominałem tamto dziecko... Nie, lepiej nie wspominać!

Boże! Ileż ci ludzie musieli wycierpieć! Skąd brali tyle siły, taką cierpliwość? Przecież cierpieli cicho, spokojnie, niemal bez skargi i potrafili poprzez łzy dziękować za bezradne słowo pociechy, za spowiedź, za Komunię św., na którą czekać będą w męce cały miesiąc, do następnego przyjazdu kapłana na stację misyjną... Zostawmy jednak refleksje.

Po tym remoncie organizmu mam być „zdrowy jak ryba”. Już to odczuwam! Zacznę zatem uczęszczać na wykłady, bo na razie mogłem tylko skrypty przeglądać. Tak zapewne będzie aż do czerwca. A co później? Na razie nie wiem. Wciąż jeszcze czekam na znak Bożej Woli. Tak po ludzku biorąc, i chyba nie tylko po ludzku, to chciałbym, aby ta Wola skierowała mnie z powrotem do Burundi.

Gdy wspominam o tym pragnieniu, to moi Najbliżsi mówią: „Czy ci jeszcze nie dosyć?! Czy znów chcesz złapać tropikalną chorobę? Czy w Polsce nie znajdziesz dosyć pracy?” Odpowiadam: „Kochani, wcale nie chcę złapać choroby, bo wiadomo, że tam można przeżyć długie lata bez poważniejszego zachorowania, a gdyby nawet przyszło zachorować, to warto tam pojechać chociażby na kilka miesięcy. Rozumiem, że Wam niełatwo to pojąć, ale... przekazywać Boże Życie, Bożą łaskę, Boże miłosierdzie w sakramentach świętych, zastawiać przed łaknącymi w afrykańskim buszu stół Bożego Chleba, pomóc choćby jednemu człowiekowi poznać Boga, pomóc choćby jednemu człowiekowi zaprzyjaźnić się z Bogiem, a wreszcie pomagać chorym, głodnym, nagim, to jest tak wspaniała przygoda, że dla niej warto nie tylko zachorować, ale oddać życie!

Powiecie może: przecież kapłan wszędzie może tę przygodę przeżywać, bo w całym Kościele, bo także i w Polsce, kapłani są bardzo potrzebni. Tak, są potrzebni! Ale jest różnica właśnie w tym zapotrzebowaniu. Jest wielka różnica między zapotrzebowaniem na kapłana w Polsce, a zapotrzebowaniem w Burundi. W Polsce katolik przy odrobinie wysiłku może znaleźć kapłana, owszem, gdyby tak naprawdę chciał, mógłby prawie codziennie pójść na Mszę św. i do Komunii św., w Burundi, w buszu, jest to po prostu fizycznie niemożliwe, bo do kościoła mają ludzie 20, 30 albo 50 km i nie ma żadnej komunikacji. Raz na miesiąc przyjeżdża misjonarz na trzy lub cztery dni na misyjną stację, ale i na tę stację wiele ludzi musi iść godzinę lub dwie. Gdy nie ma przy kim zostawić małych dzieci lub chorego, to nawet raz na miesiąc nie można pójść na Mszę św., a tym bardziej spotkać się osobiście i dłużej porozmawiać z kapłanem.

Tak wygląda sytuacja w naszych parafiach w Mpindze i Musongati, gdzie jeszcze pracuje sześciu kapłanów. To prawda, że są to parafie rozległe, parafie w buszu, gdzie oprócz kapłańskiej posługi „wszystko inne” pozostaje do zrobienia. O wiele trudniejsza sytuacja jest w parafiach liczących 50, a nawet 40 tysięcy ochrzczonych, gdzie pozostał tylko jeden kapłan. Wiadomo też, że w Burundi wiele parafii pozostało bez kapłana. Kiedy się to widziało na własne oczy, to mimo, że uznaje się zapotrzebowanie na kapłanów w Polsce, serce misjonarza wyrывa się do afrykańskiego buszu.

Tymczasem z tego buszu nie nadchodzą żadne pocieszające wieści. Sytuacja Kościoła w Burundi nadal niewyjaśniona. Widocznie potrzebne te trudności, aby ten młody Kościół „okrzepł”.

Mimo trudności nasi misjonarze pracują dzielnie. W Musongati podjęto budowę kościoła parafialnego. Nie będzie to łatwe przedsięwzięcie przy obecnej drożyznie, ale br. Marceli jest pełen zapału i nadziei, że Pan Bóg pomoże i nasi Przyjaciele także. Gdyby nawet trzeba było opuścić Burundi, pozostałby pomnik w postaci parafialnego kościoła.

Jak widzicie, nie umiem już napisać krótkiego listu, ale ufam, że znajdziecie trochę czasu i cierpliwości, by przeczytać długi list misjonarza. Ufam też, że wybaczyście mu także i to, że cały list napisał o sobie. Chciał po prostu uprzedzić pytania...

Całym sercem zapewniam, że jestem z Wami, że pamiętam w modlitwie przy Żłobku, gdzie objawia się nam wielka miłość Boga, który tak umiłował świat, że Syna Swego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne.⁵⁷

Niech Boża Matka ukaże Wam Bożego i równocześnie Swojego Syna, byście w tym okresie Bożego Narodzenia mogli jeszcze głębiej poznać wielką Miłość Bożą, by świadomość tej miłości towarzyszyła Wam na każdą chwilę Nowego 1980 Roku!

„Szczęść Boże”, Kochani Przyjaciele!

Z Bogiem! Oddany Wam w Chrystusie i Maryi

br. Teofil Stan. Kapusta OCD

1980

„Ewangelizacja, czyli działalność misyjna, odpowiada specyficznemu powołaniu Kościoła, który respektuje zawsze osobistą wolność, wychodzi naprzeciw ludziom naszych czasów, którzy stale jeszcze mieszkają w „cieniu śmierci.”⁵⁸ Można więc powiedzieć, że Kościół jest wcieloną misją. Nie na próżno stwierdził Sobór: „Kościół pielgrzymujący jest misyjny ze swej natury, ponieważ swój początek bierze wedle planu Ojca z posłania Syna i z posłania Ducha Świętego.”⁵⁹

Ponieważ Kościół, jako depozytariusz Dobrej Nowiny, nie może milczeć, musi zatem z konieczności, jak dawniej tak i dzisiaj, nadal posyłać apostołów i misjonarzy, którzy potrafią mówić do ludzi o transcendentnym i wyzwającym zbawieniu, prowadząc ich w pełnej wierności Duchowi Świętemu do poznania prawdy; którzy będą ludzi wcielali w Chrystusa, w żywą wspólnotę Jego Mistycznego Ciała poprzez posługę sakramentów, poczynając od chrztu, który jest bramą prowadzącą do zbawienia; którzy dadzą ludziom poznać autentyczny sens ich godności stworzenia Bożego, utworzonego na obraz Boży i którzy będą im wyjaśniali właściwy sens ich ziemskiej egzystencji. Taka jest działalność Kościoła, w ten właśnie sposób Kościół realizuje zbawczy plan

⁵⁷ J. 3, 16

⁵⁸ Łk. 1, 79

⁵⁹ DM. 2

Boga.

W świetle powyższych rozważań, misje okazują się wciąż jeszcze konieczne i nie do zastąpienia, i to tak bardzo, że bez nich urzeczywistnienie zbawczego planu i rozszerzenie Królestwa Bożego aż po krańce ziemi jest w ogóle nie do pomyślenia; bez misji nie mogłoby powstać ani rozwijać się nowe społeczeństwo oparte – pod znakiem Chrystusa – na sprawiedliwości, pokoju i miłości, ponieważ misje kształtują nowego człowieka, świadomego swej godności i swego nadprzyrodzonego przeznaczenia, jako odkupione stworzenie.

To właśnie na misjach, w owych ogniskach ewangelicznego fermentu, bije serce Kościoła powszechnego wraz z całą jego troską o autentyczne i integralne dobro człowieka”⁶⁰.

Pomimo trudności, z jakimi spotkali się w roku ubiegłym, polscy Karmelici Bosi całym sercem włączyli się w roku 1980 w zbawczą działalność Kościoła. **Chcieli być tam, gdzie „bije serce Kościoła powszechnego”.** Świadczy o tym zatroskanie całej Prowincji o losy naszej misji, świadczą podejmowane przez misjonarzy prace, świadczy przeznaczenie do pracy w Burundi dwu nowych misjonarzy.

Kronika wydarzeń

3 stycznia – O. Eliaz Trybała został wybrany Wikariuszem Prowincjalnym Misji.

6 stycznia – W Mpindze pierwsze śluby zakonne złożył br. Cyryl Barutwanayo. W uroczystości wziął udział bp Joachim Ruhuna.

2 kwietnia – Bp Joachim Ruhuna został mianowany arcybiskupem w Gitedze z prawem następstwa po arcybiskupie Andrzeju Makarakizie.

17 kwietnia – O. Jan Kanty Stasiński wziął udział w pogrzebie swego Ojca w Poznaniu.

22 kwietnia – Na urlop do Polski przybywają: o. Eliaz i o. Józef Trybałowie oraz s. Lucyna Dąbrowska.

4 maja – Ojciec Święty Jan Paweł II w czasie swego pobytu w Afryce konsekruje nowego biskupa diecezji w Ruyigi. Został nim ks. bp Józef Nduhirubusa, profesor teologii moralnej w Wyższym Seminarium Duchownym w Bujumburze. Na tę uroczystość pojechał do Kinsahasy o. Kamil Ratajczak jako jeden z delegatów diecezji.

20 maja – Na zjeździe przełożonych naszych klasztorów w Polsce, który odbył się w Krakowie, sprawy naszych misji przedstawił o. Eliaz Trybała.

27 maja – Bp Ruhuna i bp Nduhirubusa odwiedzili naszą stację misyjną w Gakome.

28 maja – Bp Józef Nduhirubusa odwiedził parafię w Mpindze.

1 czerwca – W Musongati bp J. Nduhirubusa poświęcił nowo wybudowany kościół parafialny.

26 czerwca – Przyjechał do Polski o. Teofil Kapusta.

11 lipca – Na urlop do Polski przyjechała s. Zenobia Masłoń.

18 lipca – Spotkanie powizytacyjne o. Generała Filipa Sainz de Baranda z Zarządem Prowincji i Przełożonymi klasztorów karmelitańskich w Polsce. Wziął w nim udział o. Eliaz Trybała.

25 lipca – Odlecieli do Brukseli o. Eliaz i Józef oraz s. Lucyna, by po kilku dniach wyruszyć do Burundi.

31 lipca – O. Jan Kanty Stasiński wyjechał z Brukseli do Zairu, gdzie będzie pracował z Karmelitami Bosymi włoskimi w Kanandze.

2 sierpnia – Operacja o. Teofila w szpitalu Narutowicza w Krakowie.

3 sierpnia – Bp Józef Nduhirubusa objął swą diecezję.

21 września – W Mpindze - śluby zakonne br. Jana Vianneya i równocześnie oblóczyny br. Marka.

28 września – Na Madagaskarze kilkudniowy zjazd prowincjałów, których prowincje prowadzą misje w Afryce. W tym spotkaniu wzięli udział delegaci z misji oraz N.O. Generał i Sekretarz Generalny Misji. Polską Prowincję reprezentowali: o. Eugeniusz Morawski, o. Eliaz Trybała i o. Sylwan Zieliński.

23 października – Wizytacja o. Generała Filipa Sainz de Baranda w Burundi. Towarzyszył mu Generalny Sekretarz Misji o. Patrycjusz Thomas M. Mootheril.

27 października – Prowincjał Eugeniusz Morawski zgodził się na wyjazd na misje o. Emiliana Bojki i br. Ryszarda Żaka.

19 października – 2 listopada – W kaplicy M. B. Ostrobramskiej przy naszym kościele w Krakowie udostępniona została wiernym wystawa misyjna, obrazująca pracę naszych misjonarzy i zapoznająca z terenem ich pracy. Cieszyła się dużym zainteresowaniem wiernych.

23 listopada – O. Bartłomiej przyjechał na urlop do Polski.

19 grudnia – Po raz pierwszy misja w Musongati została oświetlona „własnym” prądem elektrycznym.

Co zbudowaliśmy w 1980 roku?

1. Dokończono budowę kościoła parafialnego w Musongati.
2. Trwa budowa następnego budynku ośrodka zdrowia w Musongati.
3. Budowa szkoły podstawowej w Gakome.
4. Budowa nowicjatu w Mpindze.
5. Dokończono budowę i uruchomiono turbinę wodną dostarczającą dla Musongati energię

elektryczną.

Z listów misjonarzy:

„Niech Dobry Bóg nagrodzi Wam stokrotnie.”

Musongati, Styczeń – 1980 r.

Drodzy Przyjaciele Misji!

Opisałyśmy Wam niedawno nasze uroczystości w Musongati z okazji Międzynarodowego Roku Dziecka. Były to uroczystości dla dzieci w wieku od 2-5 lat i dla niemowląt. Obecnie chcemy opisać podobną uroczystość urządzoną w dniu 18 grudnia 1979 r. dla dzieci najbiedniejszych, bo chorych na chorobę „kwashiorkor”. Głównym powodem tej choroby jest brak białka w organizmie. Na ciele dziecka występują obrzęki, które nieleczone, pękają, tworząc straszne rany, jak po ciężkim oparzeniu. Dzieci te są leczone w naszej przychodni przez s. Zygmunte. Już podleczone przychodzą razem z matkami w każdy czwartek do naszego ośrodka po przydział żywności na cały tydzień. Otrzymują mąkę pszenną, mleko w proszku, ryby suszone. Tutaj również uczymy matki, jak przyrządzać pokarm, ugotować, podać dziecku, by nie zachorowało powtórnie i wróciło do zdrowia.

Otóż, 18 grudnia ubiegłego roku, o godz. 8.00 rano, matki przyprowadziły dzieci do ośrodka i razem z nauczycielkami urządziły im kąpiel.

S. Scholastyka i ja ubrałyśmy je w nowe ubranka, szyte przez dziewczynki ze szkoły S. Immaculaty. Chłopcy otrzymali koszulki i spodenki, a dziewczynki piękne sukienki. Każde dziecko otrzymało swój przydział żywności i wszystkie poszły na dużą salę, gdzie na tle pięknej dekoracji był przygotowany Żłóbek z Dzieciątkiem.

O. Sylwan, proboszcz parafii Musongati, powitał matki i dzieci w słowach ciepłych i serdecznych. Opowiedział o świętach Bożego Narodzenia, o tej pięknej Nocy, w czasie której Bóg zstąpił na ziemię i przybrał ludzkie Ciało z Maryi-Dziewicy. Rozpoczął Swoje ziemskie życie w warunkach skrajnego ubóstwa, w warunkach tak bardzo podobnych do ich codziennych warunków życia. Wszedł w życie człowieka takie, jakie ono jest i pragnie pozostać z nimi na zawsze.

Zasłuchane matki i dzieci nie zauważyły, że na salę weszły dwa aniołki, niosąc smaczne racuszki i ciepłe mleko. Radość była wielka. Podobnie jak w poprzednich uroczystościach matki śpiewały i tańczyły. My również byłyśmy szczęśliwe i wdzięczne Wam, Drodzy Przyjaciele Misji, że swoimi darami, ofiarami pomogliście nam zorganizować te uroczystości dla dzieci i że dzięki Wam możemy ich życie uczynić trochę lepszym.

Niech Dobry Bóg nagrodzi Wam stokrotnie, niech rozlewa łaski, roztoczy nad Wami opiekę i zleje pełnię błogosławieństwa.

Z serdecznym pozdrowieniem

S. Lucyna od Dzieciątka Jezus

„Uroczystość profesji zakonnej br. Cyryla.”

JM+JT

Mpinga 12.01.80

Drogi Ojcie Bronisławie!

Śpieszę podzielić się z Tobą naszą radością, którą przeżyliśmy w ostatnią niedzielę 6 stycznia. Nasz pierwszy Czarny Brat złożył śluby zakonne. Br. Cyryl przygotowywał się do tej uroczystości przez 6 dni rekolekcji. Przez cały czas rekolekcji był skupiony i pilnie pracował. W końcu nadszedł jego wielki dzień - profesji zakonnej, dzień przymierza z

Bogiem na zawsze.

O. Bartłomiej przyjmował gości i dbał, żeby wszystko było na czas. Br. Jan Vianney przygotował pieśni i piosenki i w ogóle cały program rozrywkowy. Ks. biskup Ruhuna przyjechał już w sobotę wieczorem. Wspólnie omówiliśmy ceremonie, co kto ma robić i gdzie siedzieć w czasie ceremonii. Stało na tym, że ks. Biskup będzie głównym celebrazem, wygłosi kazanie, a ja mam odebrać profesję br. Cyryla i przeprowadzić wstępne pytania przewidziane w ceremoniach. Na tę uroczystość przyjechali trzej bracia Bene-Yozefu, ksiądz i jedna siostra z sąsiedniej parafii Rutana i oczywiście ojcowie i siostry karmelitanki z Musongati. Ostatni przyjechał o. Nazariusz z Kiguhu.

O godz. 10.30 wyrusza procesja z domu do kościoła. Ks. Biskup ubrał szaty pontyfikalne, a my ornaty. Gdy weszliśmy do kościoła, ludzi już był pełny kościół. Dziś nie spóźnili się na Mszę św., co należy raczej do wyjątku. Nie bardzo wiedziałem, gdzie mam stać: ks. Biskup jest głównym celebrazem, ale i ja jestem przełożonym i mam przyjąć profesję. W końcu wszystko dobrze poszło. Br. Cyryl stał niedaleko ołtarza, a ja stałem obok ks. Biskupa, a gdy trzeba było, to wystąpiłem przed ołtarzem, żeby przyjąć profesję br. Cyryla. Po profesji br. Cyryl ubrał biały płaszcz zakonny, wręczyłem mu krzyż profesyjny i Konstytucje. Trochę dołożyłem od siebie niektóre ceremonie, żeby podkreślić wielkość profesji.

Ks. Biskup mówił w kazaniu o łasce powołania, o gwieździe, która zaprowadziła Mędrców do Betlejem. Każdy z nas ma być taką gwiazdą Pana Jezusa, mamy naszym życiem wskazywać na Chrystusa.

Po Komunii św. dziewczęta z CHIRO zaprezentowały religijny taniec przy akompaniamencie bębna i pieśni. Po Mszy św. poszliśmy oglądać program rozrywkowy br. Jana Vianneya na boisku sportowym. Br. Jan Vianney zapowiadał cały program bardzo dowcipnie. Program nie był przeciążony, wszyscy byli zadowoleni i podziwiali zdolności artystyczne naszego Brata. Po zabawie, ks. Biskup przemówił i dziękował za ciekawy program rozrywkowy. Wspominał, że być może, iż br. Cyryl będzie kapłanem, jeżeli Bóg tego zechce.

Ledwie skończył przemawiać, musieliśmy uciekać przed deszczem. Poszliśmy do jednej z klas w foyer social, gdzie przygotowano skromny posiłek dla gości. Każdy dostał bułkę z mięsem i trochę piwa.

Potem były przemówienia: przemawiał jeden z komitetu parafialnego, ks. Biskup, i ja też musiałem przemawiać. Na koniec powiedział kilka słów podziękowania br. Cyryl. Organizacja parafialna CHIRO ofiarowała br. Cyrylowi duży koszyk pleciony i coś w rodzaju sukni dla jego matki.

I tak powoli kończy się dzisiejsza uroczystość, a była godzina czwarta po południu. Zostali jeszcze przy piwie nauczyciele i młodzież.

Po kolacji przyszły siostry Bene-Tereziya i śpiewaliśmy wspólnie piosenki na cześć br. Cyryla. Potem br. Jan Vianney i br. Marek wykonali taniec zwany „Umusambi”, czyli taniec łabędzia królewskiego. Coś wspaniałego. Oni to przeżywali. Wszystko skończyło się dość późno, ale pobożnie, bo modlitwą brewiarzową. I tak odbyła się uroczystość profesji zakonnej br. Cyryla od Dzieciątka Jezus.

Myślimy posłać br. Cyryla i br. Jana do szkoły katechistów w Mutumbie od września 1980, ale muszę to jeszcze załatwić z naszym Ojcem Prowincjałem. Dlatego proszę tego jeszcze nie rozgłaszać.

Czekamy na wiadomości z Polski, czekamy na wyniki wyborów naszych przełożonych w Burundi.

O. Teofil i o. Jan Kanty nie tracą nadziei na powrót do Burundi. Nadzieje są coraz mniejsze...

Polecamy się modlitwom naszych Braci w Prowincji i naszych Przyjaciół Misji. Ufamy opiece św. Józefa i staramy się dobrze wypełnić nasze zadanie, a o przyszłość sam Bóg się zatroszczy. Naszą troską jest wierna służba Najwyższemu tam, gdzie On nas postawił.

Oddany w Panu

O. Eliaz Trybała

„Trzeba będzie zbudować kilka nowych kościołów.”

Mpinga, 10. 02. 1980 r.

J.M.J.T.

Drogi Bronisławie!

Dziękuję Ci za ostatnie listy i przesyłki: list ze zdjęciami z Czernej, paczkę z zawartością ważną do końca tego roku, ostatnią kartkę. Były też chyba ze dwie przesyłki z ziarenkami na różańce adresowane na mnie. Przykro mi, że dotąd nie otrzymałeś ode mnie żadnego listu. Zaraz po przyjeździe wysłałem kilka kartek bożonarodzeniowych. Osobiście bardzo mi się podobały. Z tego, co piszesz wygląda, że ich nie otrzymałeś. Napisz. Jeśli nie – poślę jeszcze raz.

18 grudnia wysłałem jeszcze jeden dość obszerny list. Był tam list do Ciebie; dwie kartki na maszynie gęsto pisane, były też kopie dwóch innych listów. W sumie 6 kartek; sporo materiału do biuletynu misyjnego. Jeśli jeszcze nie dotarł, miejmy nadzieję, że w końcu dojdzie, o ile ktoś nie zainteresował się jego zawartością. Pisałem Ci tam na temat kościoła w Musongati. Otóż w tej chwili br. Marcelli kończy instalować konstrukcję dachu i wnet zabierze się do kładzenia eternitu. Jeśli chodzi o projekt kościoła zachęcaj, by zrobili. Przyda się gdzie indziej, bo w najbliższych latach trzeba będzie zbudować kilka nowych kościołów. U nas w Mpindze myślimy o Shembe, tam gdzie byliśmy w odwiedzinach u Bartka. Posłałem Ci też obrazek świętej Rodziny. Ma posłużyć za wzór dla większego obrazu do Kiguhu. Zaczynamy rekolekcje wielkopostne. Jutro Bartek jedzie do Kiharo, potem do Mutahy. Ja mam zacząć w tę środę w Nyamiyadze. Myślę, że uda się przeprowadzić je spokojnie. Pomogą nam trochę Bracia i czarne Siostry. Pomódl się w tej intencji, zwłaszcza o nawrócenie grzeszników, tych, którzy porzucili praktyki religijne (...)

W tym roku, o czym chyba już wiesz, Trybałowie wybierają się na wakacje. Zarezerwowali bilet na 21 kwietnia. Bartek pojedzie potem. Wasz „wybór” przyjąłem. Nie wypada mi nic innego, jak pogratulować Radzie... poczucia dobrego humoru! Najlepsze pozdrowienia dla Wszystkich! Z Bogiem.

O. Nazariusz

„Nigdy nie brak wielkich i szlachetnych serc.”

Musongati, 17.02.1980 r.

Droga Siostro!

W załączonym liście Siostra Lucyna opisała kolejną uroczystość „Dnia Dziecka” w Musongati i załącza kilka zdjęć. Zdjęcia przesłałam w liście, a klisze trochę później, są bardzo ładne, jak na nasze możliwości.

Dzisiaj w naszej Misji mała grupa dzieci (46) przyjęła pierwszą Komunię św. Przez 2 dni miały rekolekcje przygotowawcze do tej pięknej uroczystości. Niektóre z nich przyszły aż z odległości 30 km. Szczęśliwe były te, które przyszły wcześniej, bo zdążyłam je jeszcze ładnie ubrać (przychodzą bowiem w podartych sukienkach). Wprawdzie nie miałam białych sukieneczek, ale było trochę ładnych rzeczy w paczkach przesłanych z Austrii. Wyglądały więc czysto i świeżo. Radość ich nieopisana. Patrzyły na mnie i na piękne ubranka rozradowanymi oczkami.

Wczoraj, 16 lutego, oglądałyśmy zaćmienie słońca. Czy w Polsce też było widoczne?... U nas było bardzo dobrze widać. Chyba tak będzie przy końcu świata. Pomimo, że nie było żadnej chmurki na niebie, wokół było szarawo i chłodno, a przecież u nas o tej porze praży słońce; trwało to ponad godzinę. Rozpoczęło się przed godz. 10.00 naszego czasu. Oglądałam przez ciemne szkła – z ogromnej kuli słonecznej został tylko cieniutki sierp. Ciekawe

zjawisko...

U nas w tym roku mamy mało deszczu, choć już powinna być pora deszczowa, słońce dalej praży. Sadzonki wysychają. Mówimy, że to przez brata Marcelego, bo pracuje od świtu do nocy przy budowie nowego kościoła w Musongati. Chce koniecznie nakryć przed deszczem, a według obliczeń, to trzeba na to jeszcze kilka dni pogody, bo trzeba wykończyć pracę przy spawaniu, a potem pokryć eternitem. Jeżeli Bóg pozwoli, to może ceremonie Wielkotygodniowe odbędą się w nowym kościele. Pozostanie jeszcze wiele pracy przy ukończeniu wnętrza, ale jak na nasze warunki to bardzo szybko ten kościół powstał. Budowę rozpoczęto chyba z początkiem listopada. Bardzo trudno było zdobyć materiał. Ale przy Bożej pomocy, czasem z niczego, powstają wielkie rzeczy. Nigdy nie brak wielkich i szlachetnych serc, którym Bóg daje natchnienie, by nieść pomoc innym. I właśnie, dzięki tym wielkim i szlachetnym sercom, możemy tu żyć, pracować, budować i nieść pomoc tym biednym ludziom. Niech Bóg dobry nie szczędzi Im za to swoich łask i błogosławieństw.

Z serdecznym pozdrowieniem

S. M. Zenobia

„Jedna smutna wiadomość...”

Mpinga, 25.02.1980

Drogi Ojcie Bronisławie!

Dziękuję za list i pamięć o nas. Otrzymaliśmy kilka paczek z lekarstwami i ziarenkami do różańców. Bóg zapłać! Ostatnio przysłałeś nam mapę wschodniej Europy. Byłem u ks. Biskupa po wyborach naszych władz. Proponowaliśmy mu, żeby zmienił proboszcza do Mpingi. Trudno mi wszystkie obowiązki ciągnąć naraz. Bp Ruhuna jednak prosił, żebym dalej prowadził parafię jako proboszcz, a równocześnie był wikariuszem Misji i magistrem nowicjatu. Na razie jest więc bez zmian, jakoś muszę wszystko pogodzić. Biskup prosił, żebym postarał się o ojca w Polsce do Mpingi. Będę błagał naszego Ojca Prowincjała.

W październiku ma być kongres misjonarzy karmelitów na Madagaskarze, mam tam jechać i N.O. Prowincjał też tam będzie. We wrześniu przypada profesja br. Jana Vianneya i obłóczyny br. Marka, nie mogę więc wtedy jechać do Polski. Już zamówiłem bilet na 21 kwietnia. Będę w Warszawie dnia 22.04.80 około południa. Jedzie ze mną o. Józef i s. Lucyna. Czy aby nie za dużo naraz?

Pisał do nas o. Teofil z Rzymu. Pytają nas o zdanie odnośnie misji w Tanzanii. My ufamy Bożej Opatrzności. Zaczęliśmy nowicjat i trzeba konsekwentnie prowadzić dzieło zlecone nam przez Prowincję. A gdy nas wyrzucą to wtedy pomyślimy, co robić...

Tu, w kraju, sytuacja jest bez zmian, ta sama polityka, raczej wroga Kościołowi. Tym bardziej musimy umacniać naszych Braci w wierze, dzielić z nimi trudności i cierpienia. Ostatnio Nuncjusz Apostolski musiał opuścić kraj, bo rząd nie życzy sobie..., ma być tylko pronuncjusz.

Dziś nasz postulant Marek pojechał do Ruyigi, żeby uczyć się naprawiać samochody i zdobyć prawo jazdy.

Co do mojego leczenia, nie myślę, że będę musiał leżeć w szpitalu, nie ma jeszcze tak źle.

W Musongati już kładą dach na kościele. Dostaliśmy trochę cementu i wykańczamy foyer social w Kiguhi i katechumenat w Kiharo.

Jedna smutna wiadomość: brat Anicet z Muyange został zamordowany. Znalezione go rano, dostał jedenaście uderzeń nożem. Nie wiadomo, kto to zrobił. Może któryś z robotników wyrzuconych z pracy? Nie wiadomo. Nie chodziło o kradzież.

Myślę, że o. Nazariusz zajmie się nowicjatem w okresie mojej nieobecności.

Już zaczęliśmy rekolekcje wielkopostne w parafii. W Wielką Sobotę będzie chrzest św. dorosłych.

Niech to wystarczy na razie.

Szczęść Boże w rekolekcjach i pracy misyjnej.
Oddany w Panu

O. Eliaz k.b.

„Wiadomości z naszej misji.”

Mpinga, 22.03.1980 r.

+

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Drodzy Przyjaciele Misji Karmelitańskich w Burundi!

Za parę dni będziemy obchodzić Święta Wielkanocne. Chcę więc złożyć Wam, drodzy Przyjaciele, najlepsze życzenia. Wielkanoc to święto naszego Odkupienia, to dzień radości ze zwycięstwa Chrystusa nad złem. Pan Jezus odniósł wspaniałe zwycięstwo przez swoją Mękę i Śmierć, uwieńczone Zmartwychwstaniem. Radujemy się wszyscy z Chrystusem i całym Kościołem. Zmartwychwstanie Chrystusa jest podstawą optymizmu chrześcijańskiego w życiu. Pozorna klęska Chrystusa Pana na Krzyżu stała się początkiem nowego życia, początkiem zwycięstwa.

Bierzmy przykład z naszego Ojca św. Jana Pawła II. On zawsze z optymizmem i ufnością podchodzi do każdego człowieka. Zdobywa świat dla Chrystusa swoją dobrocią i życzliwością.

Niech Chrystus Zmartwychwstały wspiera Was, Drodzy Przyjaciele, swoją mocą płynącą z Krzyża, niech Was pociąga do Siebie, żebyście nie czuli się zagubieni ani samotni, mimo że jesteście rozproszeni po całym świecie. Niech Was łączy Chrystus i pociąga przykład Ojca św. Jana Pawła. Podczas czuwania w Wielką Sobotę będziemy z Wami na modlitwie. A teraz trochę wiadomości z naszej misji w Burundi. Mamy coraz więcej zgłoszeń do naszego nowicjatu w Mpindze. Powołania do zakonu są, trzeba tylko ukazać ideał życia zakonnego, jego wspaniały cel. Wielu księży wstydzi się swego powołania, stara się upodobnić do ludzi świeckich. Taki ideał nie odpowiada młodzieży, nie chcą takiego kapłaństwa.

Dlaczego młodzież „przepada” za naszym Papieżem? Nasz Ojciec św. jest dumny ze swego kapłaństwa, przemawia jako kapłan wszędzie – nawet w ONZ. Nie występuje jako dyplomata czy polityk, ale zawsze jako Kapłan Chrystusa. Podkreśla to przy każdej okazji.

Mamy czterech Czarnych Braci. Posłaliśmy br. Marka, postulanta, do Ruyigi, żeby zdobył prawo jazdy i nauczył się naprawiać samochody. Kiedyś wiele może nam pomóc przy budowach.

Od dwóch tygodni jest u nas nowy postulant Leon. Jest stolarzem. Dwaj starsi bracia, Cyryl i Jan Vianney, od września rozpoczną naukę w szkole katechistów w Mutumbie.

W Musongati budowa kościoła postępuje naprzód. Br. Marcelli założył już dach na kościele, pozostaje żmudna praca: wykończenie wnętrza. Na razie stoją tylko mury, wieża i dach. Nad głównym wejściem wznosi się wieża 13 m wysoka, na której ma być zawieszony dzwon. Może jednak znajdą się dobrzy ludzie, którzy ofiarują pomoc. Na budowę szkoły czy ośrodka zdrowia łatwiej zdobyć fundusz. Są organizacje międzynarodowe, które popierają oświatę, budowę szkół, szpitali, ale o fundusz na budowę kaplic, kościołów czy salek katechetycznych trzeba prosić stowarzyszenia kościelne i przyjaciół. Budujemy kaplice i katechumenaty póki jeszcze można, nigdy nie wiadomo, jaką politykę podejmie państwo wobec Kościoła.

Przeżyliśmy tragiczną śmierć Brata Misjonarza ze zgromadzenia Ojców Białych. Został zamordowany przez nieznaną sprawców. Znalezione go we krwi niedaleko misji. Zauważono ślady piętnastu uderzeń nożem w klatkę piersiową. Straszna to śmierć, ale zarazem chwalebna. Każdy misjonarz powinien być gotów na śmierć i męczeństwo. To nas nie powinno zniechęcać. Nie pracujemy, żeby się ludziom podobać. Powiedziano: Błogosławieni będziecie, gdy Was ludzie prześladować będą.

Po Wielkanocy, 21 kwietnia o. Józef, s. Lucyna i ja jedziemy do Polski na trzy miesiące odpoczynku i leczenia. Każdy wyjazd do Polski jest okazją do spotkania się z Przyjaciółmi Misji z Polski. Bezpośredniego kontaktu nie zastąpi żaden list. Przez tę podróż do Polski odnawiamy naszą łączność z rodziną zakonną. Ostatnio byłem w Polsce cztery lata temu.

Teraz często jesteśmy w terenie: głosimy rekolekcje wielkopostne na stacjach misyjnych. Pomagają nam bracia. W Wielką Sobotę będzie chrzest dorosłych w Mpindze, Kiguhi i Musongati. Polecamy Waszym modlitwom naszych katechumenów, którzy przygotowują się do chrztu św. Polecamy też Waszej pamięci naszą Misję.

Z Bogiem. Alleluja!

Oddany w Panu

O. Elias

„Centrum zdrowia.”

Musongati, 20.04.1980 r.

Droga Siostró!

Bóg zapłać za list na Święta Wielkanocne. Ja nie pisałam wcześniej, bo miałam nadzieję, że siostra Lucyna, która 22 kwietnia jedzie na urlop do Polski, wręczy go własnoręcznie i opowie wszystko.

Pytała Droga Siostra w liście o wyjaśnienie pojęcia: centrum zdrowia. Otóż postaram się wyjaśnić. Według nowego systemu służby medycznej w Burundi, ogólny zbiór budynków nazywa się: Centrum Zdrowia.

Centrum Zdrowia zawiera w sobie kilka działów, jak:

- 1) Przychodnia ogólna, gdzie przychodzą chorzy do badania i po leki, oraz udziela się pomocy sanitarnej dorosłym i dzieciom chorym.
- 2) Szpital – (tzn. łóżka), gdzie ciężkie stany pozostawiamy na miejscu.
- 3) Oddział położniczy, gdzie udziela się pomocy matkom, by dzieci przychodziły na świat w lepszych warunkach higienicznych, a tym samym, by ich śmiertelność była mniejsza.
- 4) Poradnia dziecięca, gdzie bada się i szczepi dzieci zdrowe oraz dożywia się dzieci obrzękłe z głodu albo niedożywione. Tutaj też wykorzystuje się każde spotkanie z matkami, by je nauczyć higieny osobistej oraz higieny odżywiania, tzn. dajemy lekcje, pogadanki, uczymy gotować, bo dzieci przychodzące jedzą w poradni. Tutaj też włączone są sierotki oraz dzieci, których mamy nie mogą karmić.

Te działy są bardzo o siebie zazębiane i tworzą jedną całość. Jeden bez drugiego nie może sprawnie działać.

S. Lucyna zajmuje się właśnie tą poradnią dziecięcą (szkolenie, badanie dzieci zdrowych, dożywanie) i właśnie dla tych dzieci urządzono Święto Dziecka, o którym pisała już s. Lucyna.

Z chwilą jak dziecko zachoruje, automatycznie przechodzi do poradni ogólnej, gdzie jest leczone, a w ciężkim stanie pozostawia się je na miejscu.

Jeżeli chodzi o budowę szpitalika, to na razie jest jeden budynek, w którego jednej połowie badamy chorych i udzielamy usług, a w drugiej mieści się poradnia dziecięca i dożywanie. Jeszcze jest do zbudowania według planu szpitalika: pomieszczenie na łóżka dla dorosłych i dzieci, położnictwo i pomieszczenia gospodarcze, jak pralnia, kuchnia, magazyny.

Nie są to takie budynki jak w Polsce. To wszystko jest bardzo proste, barakowe.

Jeszcze nie wspomniałam o jednym, że aby mieć co dać jeść tym dzieciom, rodzice, przychodząc na szkolenie, pomagają uprawiać pole (przez 1/2 godziny pracujemy razem). Na tym polu uczymy ich uprawiać jarzyny, zboże, soję, a w ostatnim sezonie nawet len i drzewa owocowe. Małe sadzonki zabierają do swoich domów. Już można zauważyć, że niektóre rzeczy chwytają, np. chętnie jedzą kapustę. Marchew, np. dzieci tak lubią, że nigdy nie może dojrzeć, bo wykradną przedwcześnie.

W tej pracy pomagają nam chłopcy i dziewczęta miejscowi, których uczymy „krocze po krocze” tajemnic służby medycznej.

Nasza grupa składa się obecnie z 20 osób, tzn. s. Lucyna, s. Scholastyka, s. Zygmunta i 17-osobowa grupa personelu. Pracy dla każdego jest dosyć, bylebyśmy mieli tylko najkonieczniejsze leki.

Codziennie przed rozpoczęciem pracy prosimy św. Józefa, aby natchnął ludzi dobrej woli, by nam pomagali pomagać. Wydaje mi się, że wszystko wyjaśniłam. Jeśli jest jeszcze coś niezrozumiałe, to s. Lucyna uzupełni. Cieszę się, że pójda skrzynie i składam serdeczne Bóg zapłać wszystkim Dobrodziejom Misji i Drogim Siostram.

Łączę serdeczne pozdrowienia w Bożym Dzieciatku i proszę bardzo o modlitwę.

S. Zygmunta od Jezusa

„W parafii? Nic specjalnego.”

J.M. J.T.

Mpinga, 26 kwietnia 1980

Drogi Eliaszu!

Mam nadzieję, że Bóg doprowadził Was szczęśliwie do Warszawy, do Współbraci i Najbliższych, zwłaszcza Rodziców. Życzyliśmy Wam tego z całego serca zarówno wtedy, gdy samolot unosił się nad Tanganiką, jak i potem w czasie całej podróży. Prosimy Boga i teraz, by przywiódł Was na nowo zdrowych, wypoczętych i pełnych zapału.

Tego wieczoru, gdy odlatywaliście, zostaliśmy na lotnisku do chwili, gdy światła samolotu rozplynęły się w ciemności nocy (...)

W nowicjacie po staremu. W miarę możliwości daję kursy z wszystkiego po trochu. Zmieniłem trochę zajęcia Braci. Ponieważ zbliża się koniec roku, ruch w katechumenacie większy. Ciągłe przychodzą z jakimiś sprawami. Br. Yohani – jako, że odprawia nowicjat – nie może wisieć na kłamce przy furcie. Kazałem więc, by odpowiedzialność, „dyrektorstwo”, przejął br. Cyryl. Zawsze to go odciąży. Zostało mu nauczanie w szkole i te lekcje dodatkowe w czwartki i soboty. Cyryl zaś, by nie tracił kontaktu z katechizacją, z systematycznymi lekcjami, ma uczyć dzieci, które uczył przedtem, a które wzięła s. Maria.

W Kiharo prace postępują naprzód. Skończyli tynkować kościół (została posadzka), teraz przeszli do katechumenatu. Gdy skończą Kiharo, trzeba wziąć się za Mpingę.

W Musongati prace wykończeniowe w kościele idą naprzód. Został tam teraz tylko Kamil, bo o. Sylwan przyjechał do Mpingi na rekolekcje. Przyjechał w środę.

W naszym gospodarczym światku trochę zmian. Co prawda kury już nie zdychają, choroba się skończyła, ale za to zdechło Kado. W niedzielę, czy poniedziałek, ja nie wiem dokładnie. Podobno to samo co Rex. Gabi wyje po nocach, widocznie czeka dalej na powrót starej. Może teraz się rozwinie, usamodzielnia.

Pogoda dobra. Często pada deszcz, ale też i słońca nie brakuje. Widać, jak wszystko rośnie na potęgę. Może zażegna to niebezpieczeństwo głodu. Czy deszcze będą jeszcze długo padały, nie wiadomo. Naprzeciwko foyer jest żółto; znak, że pora sucha blisko (...)

W parafii? Nic specjalnego. Musimy się z Bartkiem i zrobić jakiś uczciwy program wyjazdów na sukursale. Mam zrobiony plan na maj. Trzeba jakoś łątać dziury. Zresztą nie ma co narzekać. Wczoraj wyczytałem, że w Angoli jest diecezja o powierzchni 200 tys. km². Tamtejszy biskup ma do dyspozycji aż... jednego księdza. Jakoś sobie radzą!

Zbliża się miesiąc maj. Będziemy zachęcać wiernych, by modlili się przy przydrożnych krzyżach. Mam zamiar też powieścić pieśni różańcowe i kilka pieśni maryjnych z modlitwami. Rozda się ludziom.

Jutro niedziela. Bartek jedzie do Gitegi na jubileusz br. Stanisława. Ma wziąć przełożoną,

może pojedzie też br. Cyryl. Niech się pokaże światu. Jest to jednocześnie Niedziela Powołań. Wiem, że macie brać udział w nabożeństwie w Krakowie. Niech owoce tego spotkania będą obfite. Dostałem list od jednej dziewczyny, która wraz z koleżankami wybiera się do Krakowa aż z Suchoj.

Ciekaw jestem, czy czegoś nie zapomniałeś. Bo ja tak. Miałem podać przez Ciebie dla Bronisława kliszę z profesji br. Cyryla. Została. Wkładam więc do tego listu kilka najważniejszych klatek, by mógł wykorzystać to do akcji propagandowej. Przypomnij mu także, by zrobił i posłał mi te zdjęcia do albumu dla ks. abp. Ruhuny. Taśmę niech prześle do domu. Ty również wpadnij tam przy jakiejś nadarzającej się okazji. Jest was dwóch. Zawsze to łatwiej, niż jednemu.

Nowych biskupów jeszcze nie znamy, w każdym bądź razie tutaj. Podobno mają być w najbliższych dniach. Może Bartek przywiezie jakieś wieści z Gitegi.

Kończę już. Proszę Cię, pozdrów serdecznie wszystkich: P.N.O. Prowincjała (dzięki za wiadomości o Sł. B. O. Rafale), Współbraci w Zakonie, Twoich i moich Najbliższych. Nie zapomnij też o s. Lucynie!

Z Bogiem i Szczęść Boże!

o. Nazariusz Kwiatkowski

„Czuje, że Cię nie ma.”

Musongati, 9.06.1980

+

Drogi Józefie!

Może już się niecierpliwisz, że tak nic nie piszę. Wybacz – w tych dniach naprawdę było „gorąco”, poświęciliśmy kościół. No, już po wszystkim, jakoś poszło. Miał być biskup Ruhuna, ale był tylko nowy Józef Nduhirubusa – tak, to jest ten nowy oczekiwany Biskup (w Bubanzu jeszcze nie ma nikogo). Kiedy to było? W ostatnią niedzielę, 1 czerwca. Obecnego Biskupa powinienś znać, pochodzi z Rusengo, był profesorem w seminarium.

W sprawie turbiny rozmawiałem z s. Zygmunta, mówi, że musi mieć faktury. Więc chyba lepiej trochę poczekać. Tu jeszcze nie przyszło żadne zawiadomienie, że turbina jest w drodze.

Ci z Austrii nic nie piszą. Zapraszaliśmy też s. Matyldę, ale nie przyjechała, bo coś chora. Pisała, że zapyta ofiarodawców, czy pojedą – ale nikt na razie nie przyjechał.

Tak – oczywiście szukaj pieniędzy na kościół w Nyanzy i może też w Katakazi – póki nas nie wyrzucą trzeba o tym myśleć. Gdy chodzi o wyrzucenie – wcale to takie nie niemożliwe. W tych dniach wyrzucono „Magnifique” z naszej diecezji, ciekawa historia (nie będę używał imion własnych, ale chyba się zorientujesz). Otóż kilka dni temu przyjechali do niego, że ma podpisać cyrograf. Podpisał i pojechał do Bujumbury, by wrócić do Belgii, ale okazało się, że stary nasz Biskup się ruszył, zaczął chodzić po różnych urzędach i urzędnikach i coś wychodził. Wczoraj dowiedziałem się, że „Magnifique” jest z powrotem w swojej parafii – ale szczegółów nie znam..

Kanty i Teofil? Nic nie piszą – ciekawe, jak się to wszystko ułoży. Proście koniecznie kogoś z Polski, bo starzejemy się – jakiś brat też by się przydał. Kiedy przyjedziesz? Czuje, że Cię nie ma. Czy jesteś już zdrowy? Jak Elias? Cieszę się, że tabernakulum już w robocie. Może uda Ci się je przywieźć – gdybyś miał mało kilogramów, możesz też przywieźć dzwon. Innych rzeczy możesz nie przywozić.

Co jeszcze? – chyba wszystko na razie. Czy byłeś u mojego Taty? – Szwagra?

Z Bogiem

O. Sylwan k.b.

PS. Siostry i wszyscy przesyłają pozdrowienia.

„A teraz coś od nas.”

J.M. J.T.

Mpinga, 13.06.1980

Drogi Eliaszu!

„Ungiririr 'ikigongwe!” – chyba tak wypada mi zacząć pisać ten list, na który z utęsknieniem czekasz. Nie mam wiele na usprawiedliwienie poza tym, że pisanie listów przychodzi mi z wielkimi oporami wewnętrznymi (lenistwo) i zewnętrznymi (brak czasu).

Dziękuję Ci za wiadomości z Polski i z waszych wakacji. Serdeczne Bóg zapłać za odwiedzenie moich Rodziców i Rodzeństwa.

A teraz coś od nas. (...)

Wizyta Ojca św. na ziemi afrykańskiej była z pewnością wielkim wydarzeniem dla całego Kościoła w Afryce. My towarzyszyliśmy Mu w tej podróży w naszych modlitwach. W tych dniach w kościele umieściliśmy Jego portret, ażeby nasi wierni mogli przypominać sobie o Jego obecności. Tę podróż polecaliśmy Bogu szczególnie w naszych modlitwach różańcowych. Niestety, wiadomości mieliśmy raczej skąpe. Nasze radio skwitowało tę podróż jednym zdaniem, stacje sąsiednie trudno uchwycić, a Radio Watykan nadaje dopiero o 22.30. Nie zawsze mieliśmy kondycję, by siedzieć tak długo. Śledziliśmy więc tę wizytę „z poślizgiem”, głównie dzięki L'Osservatore Romano i naszym polskim gazetom. Mamy nadzieję otrzymać w najbliższym czasie dokumentację z tej wizyty.

O. Kamil i o. Baranton opowiedzieli nam trochę szczegółów z Kinshasy. Myślę, że sprawozdanie na ten temat przekaże o. Bronisławowi właśnie o. Kamil. Zresztą obiecał, bo go o to prosiłem.

Z dniem 1 maja (poświęcenie narzędzi pracy w Mpindze i Kiguhu) rozpoczęliśmy miesiąc Maryjny. Zachęcaliśmy chrześcijan, by gromadzili się na mihanach, przy krzyżach i odmawiali różaniec. Nie było tłumów, rzecz jasna, ale trochę ludzi przychodziło, zwłaszcza, że staraliśmy się wpaść tu i tam, by się wraz z nimi pomodlić. O. Bartłomiej odwiedził prawie wszystkie punkty. Jeździł zwłaszcza na rowerze, potem na motorze BMW.

Przygotowałem też broszurkę, o której mówiliśmy w ubiegłym roku. Znalazł się tam cały różaniec, litania do Matki Bożej, modlitwy i pieśni. W sumie 24 strony małego notesowego formatu za jedyne 5 franków. Bardzo je kupowali. Jak dotąd powieliłem 500 egzemplarzy. Więcej przygotowujemy na październik.

Maj był dosyć ciężki, jeśli chodzi o pracę duszpasterską w terenie. Obsłużyliśmy prawie wszystkie stacje, z wyjątkiem Mutahy, gdzie byłem po świętach. Tęga łamigłówka do rozwiązania: trzeba być ciągle w Mpindze, co najmniej dwa razy w Kiguhu, no i jeszcze na stacjach misyjnych. Gatara i Nunga Bartek obskoczył za jednym razem. Pojechał w środę do Gatare. Wypowiadał dzieci i dorosłych. Wrócił do Mpingi w czwartek wieczorem. Stąd na nogach do Nungi. Odprawił Mszę św. w tygodniu i pierwszą w niedzielę, by potem dalej na nogach zejść do Gatare i tam odprawić Mszę św. Zaczął, rzecz zrozumiała, koło południa. Miał też chrzest. Poranną guhimbaze wraz z Komunią św. przeprowadził br. Yohani. Po obydwu jeździłem motorem. Kolejny tydzień był zarezerwowany dla mnie. Podczas, gdy Bartłomiej został w Mpindze, pojechałem do Kiguhu. Zostałem do Wniebowstąpienia. Pozostałe dni wraz z niedzielą byłem w Nyamiyadze. Były to doprawdy dwa ciężkie dni. Najwięcej wyczerpała mnie spowiedź. Wyobraź sobie: w tym czasie wypowiadałem 310 osób. Nocowałem w Mpindze, więc mogłem trochę odetchnąć. W takiej sytuacji jazda na motorze w chłodny wieczór to doprawdy cudowny relaks.

W poniedziałek 19 maja pojechałem do Bujumbury. Chciałem dowiedzieć się, co z samochodem. Okazało się, że jeszcze nie ma. Obiecali na połowę marca, a tu już maj. Z motorem też kłopoty. Mr Philipon nie może znaleźć części. Sprawa się przeciąga.

Przy okazji skoczyłem jeszcze raz do Mutumby. Nie zastałem jednak przełożonego. Wyjechał na sukursal. Jeden z Ojców pokazał mi, gdzie ewentualnie mogliby zamieszkać. Pokój duży, można przegrodzić. Trzeba tylko doprowadzić do przyzwoitego stanu. Myślę, że

w tych dniach dostanę ostateczną odpowiedź.

W Bujumburze zrobiłem trochę zakupów. Przede wszystkim nareszcie dostałem płaskie blachy cynkowe. Objemy drzwi. Zamówiłem łożyska i zęby do młyna, smar do pasów, porządny kask i baterię do motoru BMW. Załatwiłem abonament na filmy z Ośrodka Kultury Francuskiej. Poszło 80 tysięcy. Musiałem wracać do Mpingi, bo Bartek miał wyjazd do Shembe. Pojechał motorem do Kiguhu, stamtąd piechotką na dół. Ponieważ wypadało święto Zesłania Ducha Św., niedzielne Msze odprawił w parafii. W Shembe zaś guhimbazę zrobił br. Cyryl, który pojechał w sobotę na rowerze, też przez Kiguhu. W niedzielę po południu mieli przyjechać razem na motorze, ale niestety motor się „zalał” i musiałem po nich jechać.

Od 13 maja „stary” i nowy biskup objeżdżali parafie diecezji. Program, który otrzymaliśmy przewidywał wizytę w Gakome i Kiguhu (27.05.) oraz w Mpindze i Kiharo (28.05.). Ponieważ w Kiguhu mieli być po południu, nie przewidzieliśmy bierzmowania. Mieli bierzmować w Mpindze, podczas porannej Mszy św.

Przewidywane początkowo spotkania z aktywnym parafialnym, z nauczycielami, z miejscowymi władzami – odwołano na skutek interwencji „z góry”, jako że tego rodzaju manifestacje mogą „odciągać ludzi od produkcji” (czego???!). Zalecono nam umiar w organizowaniu tego święta. Ogłosiliśmy więc tylko to, że biskupi przyjadą, pozostawiając resztę... Czarnym. No i wypadło bardzo dobrze i z udziałem wielu ludzi.

Do Kiguhu chrześcijanie ściągali ze wszystkich stron. Dopisali bardzo dobrze. Nie dopisali tylko „goście”. Ks. bp Ruhuna nie mógł przyjechać, a ks. bp Yozefu Nduhirubusa przyjechał dopiero po godz. 16.00. Wielu wróciło już do domu.

Spotkanie odbyło się na zewnątrz. Miałem wrażenie, że zbyt „sztywno”. Brakowało bp. Ruhuny. Wobec nowego trochę onieśmieleni. Myślę, że kolejne spotkanie będzie znacznie żywsze.

W następny dzień, tj. w środę, przyjechali już obaj do Mpingi. Zaczęliśmy Mszę św., w czasie której udzielili bierzmowania nowo ochrzczonego. Kościół był pełny.

Po Mszy św. dzieci z katechumenatu i ze szkoły urządziły krótkie, ale bardzo sympatyczne ibikino (przedstawienie). Trzeba przyznać, że Mama Mukuru i s. Maria przygotowały to bardzo dobrze. Rolę konferansjera przejął br. Yohani. Po obiedzie pojechałem z nowym biskupem do Kiharo. Miałem okazję porozmawiać na temat naszej pracy duszpasterskiej. W sumie odniosłem wrażenie, że będzie dobrym pasterzem, choć problemów mu nie zabraknie.

Spotkaliśmy się ponownie w Musongati, w dniu 1 czerwca z okazji poświęcenia nowego kościoła. Pojechałem po pierwszej Mszy św. (o 10.30 była guhimbaza). Zabrałem na toyotę trochę Sióstr, przedstawicieli rady parafialnej, murarzy z Mpingi i Kiguhu.

Uroczystości rozpoczęły się procesją z Najśw. Sakramentem, przechowywanym dotąd w starym kościółku. Droga wyścielona trawą, szpaler ludzi, wielu ministrantów, dziewczynki sypiące kwiaty... Nastrój modlitwy. Zmieniło się to, gdy weszliśmy do kościoła i ludzie rozpoczęli szturm do ławek. Krzyki, hałas, przepychanie.

Msza św. rozpoczęła się przemową ks. Ntawe, który przedstawił, w imieniu ks. bpa Ruhuny, nowego ordynariusza diecezji. Było trochę gości: Siostry od nas, z Gakome, z Rutany, bracia z Gitegi. Byli przedstawiciele władz miejscowych, powiatowych i wojewódzkich. Byli Polacy ze stolicy. Po Mszy św. ibikino, przemowy. Nastrój radosnego święta. Tuż obok siebie przedstawiciele władz państwowych i kościelnych. Piękne słowa o pokoju, współpracy. Pozornie nic nie wskazuje na jakieś napięcie.

A tymczasem... ks. bp Ruhuna rozpaczliwie walczy o uratowanie jeszcze jednego kapłana, któremu wręczono papiery do opuszczenia kraju. Chodzi o „Magnifique”. Jak sprawa się zakończy? Jeden Bóg to wie.

Dopiero o 15.30 zasiadamy do wspólnego posiłku. Padło sporo kur. Jak święto, to święto! Wieczorem odwożę bractwo do Mpingi. Jadę dość wcześnie. Trzeba odpocząć, bo nazajutrz zebranie w Ruyigi.

Zaczęliśmy czerwiec. Miesiąc rekolekcji, egzaminów. Podobnie jak w ubiegłym roku, I

Komunię św. zrobiliśmy w Boże Ciało, w niedzielę 8 czerwca. Przedtem jeszcze zebranie katechistów, rekolekcje dla dzieci w Mpindze i Kiguhu.

W Mpindze przez cały tydzień chrześcijanie przynoszą trawę. Abashingantahe wyznaczyli poszczególnymi wioskami. Przy okazji korzystają z sakramentu Pokuty. Bartłomiej prawie cały czas w konfesjonale.

W Kiguhu najwięcej roboty, jak zwykle w sobotę. Siedzę w konfesjonale od rana do wieczora. Całe szczęście, że nauki i tu i tam głoszą przeważnie nasi Bracia i Siostry. Co za pomoc!

Samo święto gromadzi znów bardzo dużo wiernych i pogan. Procesja ze śpiewami i tańcami. Myślę, że mogłem przeżywać je oglądając film z ubiegłego roku.

Po trudnym i męczącym tygodniu, wobec czekającego nas egzaminu katechumenów, robimy wielką rekreację. My, Bracia, Siostry. W domu została tylko s. Filomena. Dzień rekreacji – 9 czerwca, trasa – Malagarazi, Kinyinya, Musongati, Kiguhu, środek lokomocji – toyota. W sumie ok. 200 km. Wyjechaliśmy z opóźnieniem, bo dopiero o 9.00. Zatrzymywaliśmy się kolejno w Mugondo, Gatara, Kiharo, Bugondo, Rubanga, Giheko. Droga do Malagarazi to istna samba. Trawa wysoka na ponad 2 m. Siedziałem na budzie i prowadziłem Bartka. Dla Sióstr to odkrycie nowego świata. Dojechaliśmy w południe. Krótka odpocznik, posiłek. W drodze powrotnej zatrzymujemy się tu i ówdzie, by porozmawiać z pozdrawiającymi nas ludźmi. Siostry trochę speszzone. Tyle im naopowiadano o tutejszych czarownikach i trucicielach.

O godz. 15.30 dobijamy do Kinyiny. Manege jest w domu. Siedzimy prawie do wieczora. Widzieliśmy się z s. Zofią i Bernardą. W Musongati czekali na nas z dobrą kolacją. Odwieźliśmy Siostry do Kiguhu, i tak jak Bozia przykazała, jeszcze tego samego dnia, bo o godz. 23.00 zajechaliśmy do Mpingi. Zmęczeni trochę, ale zadowoleni; przede wszystkim odprężeni psychicznie. Nazajutrz rozpoczęliśmy pytanie. Na dobrą sprawę w Mpindze już po pytaniu. Jutro (tj. 14.06) zostały do pytania dzieci z pierwszego roku oraz szkolniacy, przygotowujący uroczystą Komunię św.

W przyszłym tygodniu zabierzemy się do Kiguhu. Z innych wiadomości parafialnych, godnych odnotowania, to chyba to, że do zapisów małżeńskich nie ma jak dotąd nikogo, amasaka (rodzaj uprawianego w Burundi ziarna) jeszcze nie dojrzała, nie ma więc z czego robić piwa. A cóż to za wesele bez piwa?

Budowę w Kiharo wreszcie skończyli. Kościół wyładniał, katechumenat wypiękniał. Od nowego roku dzieci będą mogły zasiąść w przyzwoitych ławkach. Chrześcijanie składali huczne deklaracje, że będą pomagać. Skończyło się na obietnicach. Przyszli może raz, czy dwa i to zawsze ci sami. Najwięcej pomogły właśnie dzieci z katechumenatu. Trzeba będzie dać im coś z tej okazji.

W Kiguhu kończą malowanie foyer i magazynu; na ukończeniu są ubikacje. Zostały jeszcze dwa stoły i dwie szafy, by wyposażać klasy i skończyć wreszcie ten interes. Ciągnie się już od dwóch lat.

Isaaki (dawny Zabuloni) rozpoczął wyrabiać cegłę w Shembe. Okazuje się, że kamień nie jest najlepszej jakości; zbyt piaszczysty. Będziemy używać przy budowie więcej cegły. Podobno glina, którą znalazł 1,5 km w kierunku Rutoke jest bardzo dobra. Zobaczymy. Zamówiliśmy 100 tys.

W Musongati Marcel przygotowuje się do budowy szkoły w Gakome.

Nasze plany – na miarę możliwości. Przede wszystkim wieża. Chcemy już zacząć, ale nie ma okazji skoczyć do Bujumbury po cement. Podobno w Transbuku można dostać. Przy okazji zbuduje się WC, gdzieś w pobliżu, aby ludzie nie paskudzili otoczenia kościoła. Jeśli będzie cement, rozpoczniemy jednocześnie budowę nowicjatu. Wszystkie te budowy są na miejscu, więc dogłądać nietrudno.

W terenie małe szkółki. Pokryć Mugondo. Podobno w Nkurye zobowiązali się zrobić suche cegły. Można będzie odstrzelić im trochę blach. Nie wiem jak w Ruhafu. Cegły, które zrobili w ubiegłym roku nie wystarczą. Muszą dorobić. W Ruhindze na razie cisza. Tym

lepiej. I tak trudno obskoczyć wszystkie sukursale.

Pytasz o sprawowanie się Braci. Nie mamy im specjalnie nic do zarzucenia. Pracy im nie brakuje. Br. Cyryl radzi sobie jakoś na „dyrektorstwie”, choć trzeba przyznać, że jest mniej rzutki niż Yohani. Yohani trochę okrągłeje, ale pora sucha chyba go trochę wyciągnie. Jest zdrowy. Cyryl jeszcze się leczy na robaki.

Na akty wspólne przychodzą sumiennie, nawet pod naszą nieobecność. Zdajesz sobie chyba sprawę, że dość często są wyjazdy lub jakieś sprawy do załatwienia. Naprawdę, przy takiej parafii, gdy jest nas tylko dwóch, życie wspólne musi ucierpieć. Lekcje dają, ale też nie zawsze. W dniach wolnych od zajęć uczą się trochę sami w czasie na to przeznaczonym.

Br. Marek jest jeszcze w Ruyigi. Mieliśmy go już przywieźć, ale nie dostał jeszcze prawa jazdy. Powiedzieli, że w tych dniach. Chyba pojedę do Ruyigi w poniedziałek. Będziemy w Mulizie na zebraniu dystryktu; stamtąd niedaleko.

Pora sucha rozpoczęła się na dobre. W maju z deszczem też było krucho. Najwięcej spadło w środku miesiąca. W inne dni bardzo marnie. Dużo zasiewów, zwłaszcza fasoli uschło. Amasaka nie najgorsza, Bartkowa, w ogrodzie naprzeciwko okna – bardzo ładna.

W kraju spokój. Maj, o dziwo, upłynął spokojnie. Podobno biskupi otrzymali zapewnienie, że każde ewentualne usunięcie misjonarzy będzie z nimi omówione. Nie bardzo w to wierzę. Gdyby tak było, to już postęp.

Pytasz, co masz przywieźć? Przede wszystkim przywieźć kogoś. Niech wezmą się w garść i przestaną biadolić tylko nad tym, jak Prowincja wymiera. W końcu jej losy są w ręku Boga i Matki Najświętszej. Jeśli kiedykolwiek, to właśnie teraz jest szansa, by zaszcześcić Karmel i w Burundi. Trzeba na to trochę wspaniałomyślności. Z rzeczy, które załatwisz, jeśli to będzie możliwe, postaraj się znaleźć, chyba za granicą, pieniądze na budowę kościoła w Nyamiyadze. Przydałoby się też trochę kadzidła do trybularzy.

Jeśli uda nam się wyrychtować kościół, trzeba będzie pomyśleć o jakimś uczciwym nagłośnieniu. Pomyśl o tym, jak będziesz w Brukseli. Nagłośnienie na stałe. Takie, jak Sylwan przywiózł do Musongati.

Przywieź trochę obrazków kolorowych. Matkę Bożą Różańcową potrzebuję na książeczkę różańcowe. Wzór załączam.

To tyle na razie. Jest okazja wysłać ten list, więc się spieszę. Pozdrów wszystkich serdecznie.

Z Bogiem.

O. Nazariusz Kwiatkowski

„Proszę, byś koniecznie znalazł innych Ojców.”

Mpinga, 16.06.1980 r.

Czcigodny Ojciec Eliaszu!

Życzę pokoju Chrystusowego! Jakie wieści w Polsce? Jesteście wszyscy zdrowi? Jeżeli zastałeś wszystkich w zdrowiu, to wspaniale. My tu w Mpindze czujemy się zdrowo, tylko bieda i braki spać nam nie dają. Wiesz sam, że Ojców jest mało.

Ojciec, Wybrańcu Boży! Byłem w mosso, po powrocie zastałem Twój list. Radość moja ogromna! To dla mnie wielki zaszczyt, że zechciałeś napisać do Jana Nsanzerugeze. Cieszę się ogromnie!

Pytałeś, czy Ojcowie zdrowi? Owszem, czują się zdrowo, ale płakałem patrząc na Ojców w czasie przygotowywania uroczystości Bożego Ciała. Tu został tylko o. Bartłomiej, który umęczył się bardzo spowiadaniem. Dopiero o godzinie 3.00 po południu mógł iść coś zjeść. O. Nazariusz był w Kigu. Proszę więc, byś koniecznie znalazł innych Ojców, którzy wspomogliby nas tu w Mpindze.

Otrzymaliśmy nowego Pasterza, Czcigodnego Józefa Nduhirubusa. Odwiedził nas 28

maja 1980. Wtedy też udzielił bierzmowania dzieciom szkolnym i uczniom chrześcijańskim z katechumenatu.

Kiharo wykończone, także kościół. Byliśmy na Mszy św. CHIRO (młodzieżowa organizacja katolicka), jak widziałem, działa, przychodzi, jest żywe i wzrasta. Donoszę, że Leonowi urodziło się dziecko.

Żegnając, życzę Ci błogosławieństwa i dziękuję, że raczyłeś mnie słuchać.

Twoje dziecko Nsanzerugeze Jan

„Chciałbym wszystkim podziękować za trud...”

JM + JT

Kraków, 17.06.1980

Drodzy Przyjaciele naszych Misji w Burundi!

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Nie tak dawno przyjechaliśmy do Polski, a już trzeba myśleć o powrocie do Burundi. Czas szybko nam zleciał, bo był bardzo zajęty. Choć wiele mamy różnych misyjnych spotkań, nabożeństw, to jednak nie czujemy się zmęczeni. Wszyscy mówią, że teraz o. Eliaz i o. Józef lepiej wyglądają, niż zaraz po przyjeździe do Polski. Choć było zimno w maju, to jednak czuję, że polski klimat mi służy. Zawsze „wilka ciągnie do lasu”. Z radością wraca się do ojczystych stron, do rodziny, ale Afryka też pociąga, te dziewięć lat pracy wśród Afrykanów swoje robi. Gdy jest się w Burundi to tęskni się czasem do Polski, a gdy się jest w Polsce nawet tylko parę miesięcy, tęskni się za „swoimi” w Burundi.

Wyjazd do Polski na kilka miesięcy jest potrzebny dla misjonarza. Gdy spotykam się z ludźmi, którzy tak ofiarnie pracują dla misji, to wtedy zdaję sobie sprawę, ile ofiary i poświęcenia zawiera mała paczka z lekarstwami wysłana do nas, do Burundi. A ile takich paczek i listów wysyła się z Biura Misyjnego, to trudno zliczyć. Poznałem ludzi, którzy regularnie w każdym miesiącu posyłają ofiary na misje. Poznałem ludzi, którzy od wielu miesięcy i lat leżą w łóżku i pogodnie znoszą swoje cierpienia, ofiarując je za misje w Burundi. Wielu z nich zawsze posyła ofiarę na misje. To oni budują nasze kaplice i szkoły i szpitale w Burundi, dzięki ich modlitwom i cierpieniom mamy trzech Czarnych Braci w naszym Zgromadzeniu. Wiele jest ludzi bardzo ofiarnych. Najczęściej są to ludzie prości, ubodzy, którzy sami są w potrzebie. Ta ich ofiarność i gorliwość w sprawie misji i nas misjonarzy mobilizuje. Widząc ich poświęcenie, sami staramy się dobrze wykorzystać ich ofiary duchowe i materialne przez gorliwą pracę na misjach. Nasi Przyjaciele Misji mają prawo wiedzieć, jak użyliśmy ich darów na misje. Naszym zaś obowiązkiem jest informować ich o pracy misyjnej.

Teraz wiem, z jakich rąk przychodzi do nas pomoc na misje. Spotkałem się z niektórymi tylko Kólkami Misyjnymi w Polsce. Podziwiałem gorliwość i wytrwałość pracy dla misji. W kazaniach i w czasie spotkań misyjnych dziękowałem tym, którzy nam pomagają, którzy są z nami.

Teraz przed wyjazdem do Burundi chciałbym w tym liście wszystkim podziękować za trud poniesiony dla misji Ojców Karmelitów w Burundi. Dziękuję serdecznie wszystkim, którzy nas wspierają modlitwą, ofiarą i poświęceniem, dziękuję tym, których spotkałem tu w Polsce i tym za granicą, tym, których nie mogłem spotkać i którym nie mogłem osobiście podziękować, czy nawet napisać osobnego listu. Przepraszam, że nie przybyłem na liczne spotkania misyjne, na które nas zapraszano w wielu miejscach.

Nie mogę Wam podać wiadomości, bo sam od dłuższego czasu czekam na list z Burundi. Wiem tylko, że otrzymaliśmy dwóch nowych biskupów do Burundi, których święcił Ojciec św. w czasie swej wizyty w Zairze. Mamy więc nowego biskupa w naszej diecezji. Jest nim Jozefu Nduhirubusa. Dawny biskup Joachim Ruhuna został arcybiskupem w sąsiedniej

diecezji Gitega.

Ciekaw jestem, jakie są nastroje w Burundi po wizycie Ojca św. w Afryce. Wszyscy biskupi z Burundi byli na spotkaniu z Ojcem św. w Kinshasie. Pilnie śledziłem wizytę Ojca św. w Afryce, żeby potem powiedzieć naszym parafianom w Mpindze o co prosił, o czym mówił Ojciec św. do Afrykanów.

W Mpindze zostało dwóch ojców i dwóch czarnych braci, dlatego musieli ograniczyć program duszpasterski i wyjazdy na stacje misyjne. Już chciałbym tam jechać, żeby im pomóc, ale muszę jednak swój program pracy w Polsce zachować. Nie mogę doczekać się wyjazdu do Burundi. Wracam tam z o. Józefem 29 lipca 1980 r.

Chciałbym dla każdego z Braci w Mpindze coś przywieźć z Polski. O. Teofil i o. Jan Kanty są nadal w Rzymie, nie wiem, jakie mają plany na przyszłość.

W Burundi jest spokój, trudno przewidzieć, jaka będzie przyszłość dla Kościoła, ale ufamy Bożej Opiece i trwamy na posterunku, budując Królestwo Boże na ziemi afrykańskiej.

Dnia 1 czerwca odbyło się poświęcenie nowego kościoła w Musongati. Na tej uroczystości był ks. biskup Joachim Ruhuna i nowy biskup Józef.

Pierwszy żegnał diecezję, a drugi obejmował w posiadanie swoją diecezję i parafie. Kościół nie jest jeszcze wykończony, ale już Msze św. odprawiają się w nim. Teraz chcemy zbudować nowicjat w Mpindze, bo zgłaszają się nowi kandydaci do Zakonu.

Żegnam Was w Polsce, polecam naszą misję w Burundi Waszym modlitwom i Waszej pamięci. Nie zniechęcajcie się tym, że nie piszemy często.

W modlitwach jesteśmy z Wami.

Niech Bóg błogosławi Waszej pracy misyjnej w Polsce i wszędzie, gdzie są nasi Przyjaciele Misji Karmelitańskich.

Oddany w Panu

O. Eliaszy Jan Trybała

„Gdy wróciłem do Mpingi...”

JM + JT

Mpinga, 20.08.80

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Drodzy Przyjaciele Misji!

Po trzech miesiącach pobytu w Polsce wróciliśmy szczęśliwie do Burundi. O. Józef wypytywał ojców o wiadomości z Musongati, a ja rozmawiałem o życiu w Mpindze. W czasie pobytu w Polsce uświadomiliśmy sobie, jak bardzo związani jesteśmy z naszymi misjami w Burundi. W Polsce wyczekiwaliśmy co dzień na listy z Burundi, tak jak Wy oczekujecie na nasze.

Mile wspominam czas spędzony w Polsce. Odnowiliśmy więź rodzinną z Ojcami w Prowincji i z naszymi Przyjaciółmi Misji. Przepraszam, że nie zawsze przyjąłem zaproszenie na spotkanie z grupą Przyjaciół Misji. Po prostu nie miałem czasu i sił. Wiele nauczyłem się w Polsce, wiele skorzystałem. Wciąż nasuwają mi się porównania między Kościołem w Polsce, a Kościołem w Burundi, między religijnością tam i tu. Staramy się wykorzystać polskie doświadczenia w Burundi. Trzeba dzielić się tym, co dobre, co pomaga lepiej służyć Kościołowi z Czarnymi Braćmi.

Dzięki Waszej ofiarności i trosce o. Bronisława Tarki przywieźliśmy do Burundi cztery duże obrazy do naszych kościołów w Mpindze i Musongati. Udało nam się przesłać samolotem tabernakulum do naszego kościoła w Musongati. Te obrazy i tabernakulum zostaną na zawsze znakiem łączności między Burundi, a Przyjaciółmi Misji w Polsce. Tabernakulum będzie poświęcone i założone w kościele w uroczystość Trzech Króli. Teraz Ojcowie przygotowują miejsce w kościele. Trzeba też przygotować parafian. Obraz św.

Rodziny będzie uroczysto wprowadzony w święto św. Rodziny w Kiguhu. I tak stopniowo będziemy wprowadzać inne obrazy.

Gdy wróciłem do Mpigi, zastałem wiele rozpoczętych robót. Rozpoczęto budowę nowicjatu i wieży, a równocześnie inna grupa robotników zakłada dach na katechumenacie w Mpindze.

Jeszcze do dziś przychodzą parafianie, żeby się ze mną widzieć po powrocie z Polski. Pytają mnie o rodzinę, o przyjaciół w Polsce. Pytają, czy przywiozłem kogoś z Polski, chodzi im o kapłana. Sami widzą, ile ojcowie mają pracy. W niedzielę na kazaniu mówiłem parafianom, jak ludzie w Polsce gorliwie pomagają misjom, przekazałem im pozdrowienia z Polski, zachęciłem do modlitwy w intencji naszych Dobrodziejów. W uroczystość Wniebowzięcia NMP ubrałem nowy ornat, który ofiarowały Siostry Karmelitanki Bose z Przemyśla. Prosiłem we Mszy, żeby nasi parafianie pamiętali o Siostrach, bo dużo się za nas modlą i pomagają. W każdą sobotę odprawia się Msza św. w Mpindze w intencji naszych Przyjaciół i Dobrodziejów Misji z Polski i z zagranicy. Ministranci z Kiguhu cieszą się, że przywiozłem im dzwonek do Mszy św. Wielu dziękowało mi za listy, które otrzymali ode mnie z Polski. Uważają to za wielki zaszczyt i wyróżnienie. Bracia przygotowują się do obłóczyn i profesji. Br. Marek otrzyma habit zakonny, a br. Jan Vianney złoży pierwsze śluby zakonne w jednym dniu: 21 września. Brat Marek już umie prowadzić samochód i wyręcza nas w niejednej sprawie.

W święto Wniebowzięcia NMP dziękowaliśmy P. Bogu za zbiory w tym roku. Zachęciłem parafian, żeby przynieśli coś ze swoich zbiorów i ofiarowali P. Bogu jako podziękowanie za szczęśliwe zbiory. Mamy za co dziękować. W Ugandzie susza, a w Polsce deszcze zniszczyły wiele upraw. Przygotowaliśmy trzy kosze na te dary. Parafianie zrozumieli zachętę i przynieśli fasolę, sorgo, kukurydzę. Kosze nie mogły wszystkiego pomieścić, więc sypano na stopnie ołtarza. O. Bartłomiej, nasz gospodarz, też przyniósł dary: ziemniaki, fasolę i owoce.

Serdecznie dziękuję za życzliwe przyjęcie i pomoc okazaną nam w Polsce. Dziękuję tym, których spotkałem i tym, którzy modlą się za misje i ofiarują swoje cierpienia za Kościół w Burundi. Trzeba dużo się modlić, bo Kościół w Burundi przechodzi ciężką próbę.

Będę się starał pisać do Was listy, na ile mi czas pozwoli. Trwajcie w modlitwie! Ojciec Święty bardzo zachęcał kapłanów, ażeby przybywali z pomocą Afryce. O to prosimy Pana żniwa.

Z serca oddany w Panu

O. Eliaz Trybała

„Co Cię może jeszcze zainteresować?”

JM+JT

Nunga, 13.09.80

Teofilu We!

Odzywa się i pozdrawia razem z Panem Bartek z Nunga. Jestem na safari. Nie wiem, gdzie Cię spotkam, czy jeszcze w szpitalu, czy w Krakowie, czy w Warszawie? Otrzymaliśmy od Ciebie kartkę z wiadomościami o „koziku”.

Pocę się jak zwykle w Nundze, dlatego nie zdziw się, że ten list będzie taki „wypocony”. Wczoraj rano zszedłem tu pieszo. Mostki w mosso popsute i do Nungi chodzimy teraz pieszo. Ostatnio ksiądz był tu 18 lipca. Obecne safari jest już powakacyjne. Z rana przyjdzie gromadka wiernych do spowiedzi, potem Msza św. Ludzie po zakupieniu tabletek przeciw malarii i grypie rozchodzą się. Zostajesz sam z Chrystusem za ścianą kaplicy. Wiesz, jak tu jest. Na odwiedziny w wioskach nie mam siły. Jest upalnie i duszno. Czekamy na pierwsze opady deszczu. W Mpindze już spadł. Zaczęto kopać pola pod uprawę fasoli i grochu.

Siedzę tu jak pustelnik w domku i w cieniu młodych cedrów obok kuchni. Mam trochę więcej czasu i spokoju na modlitwę i przemyślenie wielu spraw. W Mpindze dużo biegam i „gadam”, a mało się zastanawiam. Wolny czas w Nundze wypełniam gotowaniem stawy – posiłku. Jakby to mój Tata powiedział: „Trzeba sobie uparzyć stawę – jadło”. Zaglądam do kuchni, podkładam „patyczki” do pieca. Dzisiaj groszek nie chce się ugotować. Widocznie zebrali go z pola, po którym przepełznął pyton. Ludzie mi mówią, że z takiego pola groszek nie chce się ugotować. Radzą mi, bym dodał trochę popiołu. Nie wiem, która teraz godzina, bo zapomniałem budzika. Słońce przechyla się w stronę Musongati. Jest już chyba popołudnie. Jakies trzy dziewczątka przyniosły mi trochę młodych liści z grochu. Mówią, że to bardzo dobre ugotowane razem z grochem. Myślę, że dopiero po zachodzie słońca mój groszek z liśćmi będzie ugotowany.

Kazania na Podwyższenie Krzyża św. nie przygotowuję, bo jest list biskupa Józefa dotyczący związku małżeńskiego, zawieranego w sakramencie małżeństwa i zawieranego w gminie. Ostatnio władze państwowe położyły bardzo duży nacisk na śluby cywilne w gminie.

Znów zaglądam do kuchni. Nawet apetycznie wygląda i pachnie ten twardy groszek gotowany z liśćmi. Zaczyna mięknąć bez dodania popiołu.

Jutro po Mszy św. zamierzałem iść do Musongati, ale zaniechałem tego, bo po drodze z Nungi do Mpingi mam się spotkać z rzeźnikiem, który nam ma załatwić nogę krówki na uroczystości, jakie odbędą się w przyszłą niedzielę w Mpindze. Br. Jan Vianney będzie składał pierwsze śluby zakonne, a postulanta Marek otrzyma habit zakonny. Rekolekcje będzie głosił o. Kamil. Jak widzisz, ten nasz nowicjat, choć taki prowizoryczny, to jednak poważny. Jutro br. Cyryl jedzie na naukę do Mutumby, za tydzień dołączy do niego neoprofes br. Jan Vianney (Perełka). Niech się sami sprawdzą, czy będą kiedyś mogli podjąć studia seminaryjne.

W Mpindze zaszły małe zmiany. Ks. Biskup zgodził się, by parafią Mpinga-Kiguhu zajął się o. Nazariusz, nowicjatem i szukaniem pomocy dla misji o. Elias.

Rok katechetyczny rozpoczynamy po Podwyższeniu Krzyża św. W poniedziałek (15. 09. 1980) w parafiach ma być Msza św. z udziałem tych wszystkich, którzy chcą się uczyć religii, mają przyjść także ci z kaplic misyjnych (ze stacji). Podczas Mszy św. katechiści mają złożyć wyznanie wiary i otrzymać od proboszcza „posługę” – mandat nauczania na jeden rok. Jest to taki lokalny pomysł nowego proboszcza. Jak widzisz, projektów nie brakuje. Często jednak brakuje sił i czasu, by je „ciągnąć” do końca. Prowizorki trwają najdłużej, ale też wykańczają cię właśnie przez to, że są nieuporządkowanymi prowizorkami.

Co Cię może jeszcze zainteresować? Godeberta z Mpingi złożyła śluby zakonne. Jest już siostrą zakonną. Marcelina i Koncessa są w nowicjacie. W tym roku poumierali im ojcowie. Renata urodziła dziewczynkę. Chyba nadali jej imię chrzestne Beatrisa. „Zajaczek” trochę oddalił się od misji. Chyba szuka „zajaca”. Inne „Kaśki” jeszcze szukają miejsca po zgromadzeniach zakonnych.

Sama Mpinga rozkopana na cztery strony świata: Na katechumenacie położyliśmy dach z eternitu do końca. Przed kościołem wykopane miejsce na fundamenty pod wieżę. W ogrodzie Sióstr przygotowania pod budowę ustępu parafialnego. Obok naszego domu buduje się nowicjat.

W Shembe wybudowany piec do wypalania cegły (40 tysięcy). W Ruhindze (parafia Kiguhu) budują kaplicę i jedną klasę z cegły suszonej. W Nkurye (Kiharo) też przygotowują cegłę na małą szkołę. W poniedziałek ma przyjechać do Kiguhu wielki samochód ciężarowy wozić kamienie na szkołę podstawową.

Razem z Nazariuszem biegamy koło tego wszystkiego. Kiharo prawie wykończone. W kościele położona posadzka cementowa, pomalowane paski między kamieniami ścian. Michel zrobił ławki. Trzeba jeszcze zrobić ławki do katechumenatu i zbudować domek dla księdza i boya. W starym domu uczy się szósta klasa szkoły podstawowej. Na razie nocujemy w katechumenacie, w pomieszczeniu przeznaczonym na biuro (...)

Teofilu – Z Bogiem!

1981

„Ponadto Prowincja posiada jeszcze jedną bardzo wielkiej wagi działalność apostolską, jaką jest Misja w Burundi. (...) Bez żadnej ujemy dla innych prac duszpasterskich, śmiałym twierdzić, że misja w Burundi, gdzie również pięknie kwitnie życie zakonne i karmelitańskie, jest najwspanialszą posługą, jaką Kościół powierzył waszej Prowincji”.⁶¹

Pod koniec października 1980 roku O. Generał karmelitów bosych, Filip Sainz de Baranda, odwiedził naszą misję w Burundi. Dnia 14 grudnia napisał przytoczone wyżej słowa w liście powizytacyjnym skierowanym do Polskiej Prowincji Karmelitów Bosych.

Wprawdzie Apostoł Narodów napisał do Koryntian: „Mnie zaś najmniej zależy na tym, czy będę osądzony przez was, czy przez jakikolwiek trybunał ludzki. Co więcej, nawet sam siebie nie sądzę (...). Pan jest moim sędzią⁶²”, ale misjonarz, to także człowiek, nie może mu zatem być zupełnie obojętne, co o jego pracy sądzą przełożeni. Musimy szczerze przyznać, że oceną zawartą w słowach o. Generała nasi misjonarze ucieszyli się bardzo. Są one niejako pieczęcią na dziesięciu latach ich misyjnego trudu, są równocześnie zachętą do podejmowania dalszych wysiłków. Wysiłki te będziemy śledzić sercem i będziemy je wspierać naszą modlitwą i pomocą.

Kronika wydarzeń

6 stycznia – Z Brukseli odleciały do Burundi s. Leokadia Popławska i s. Sylwana Mankus, Karmelitanki Dzieciątka Jezus. S. Zuzanna Masłoń pozostała w Belgii. Podjęła kurs medycyny tropikalnej w Antwerpii.

31 stycznia – W kościele Ojców Karmelitów Bosych w Krakowie miało miejsce uroczyste pożegnanie o. Emiliana Bojki i br. Ryszarda Żaka, udających się na misję do Burundi.

O. Emilian Władysław Bojko, ur. 5 maja 1950 roku w Drozdowicach, śluby zakonne złożył 5 sierpnia 1969 roku w Czernej, święcenia kapłańskie otrzymał w Krakowie dnia 22 maja 1976 roku. Pracował w Czernej.

Br. Ryszard Żak ur. dnia 15 czerwca 1955 roku w Myślenicach, śluby zakonne złożył w Czernej dnia 20 lipca 1975 roku. Pracował w naszych klasztorach w Poznaniu i Czernej.

Przy okazji pożegnania misjonarzy o. Prowincjał Eugeniusz Morawski poświęcił obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej i figurę Chrystusa Ukrzyżowanego, przeznaczoną do prezbiterium naszego kościoła parafialnego w Mpindze. Obraz i figurę fundowali nasi Przyjaciele i Dobrodzieje z Polski.

2 lutego – W święto Matki Bożej Gromnicznej odbyło się w Musongati, z udziałem ks. biskupa Józefa Nduhirubusa, poświęcenie nowej domowej kaplicy u Sióstr Karmelitanek Dzieciątka Jezus.

9 marca – S. Leokadia i s. Sylwana rozpoczęły kurs języka kirundi w Muyange.

⁶¹ Z listu O. Generała Zakonu, Filipa Sainz de Baranda, 14.12.1980

⁶² 1 Kor. 4, 3-4

... marca – Historyczna data w dziejach polskich Sióstr Kanoniczek Ducha Świętego. Dzisiaj s. Terezyta, s. Ambrozja i s. Anna znalazły się nad brzegami jeziora Tanganika, w Burundi. Po kursie języka kirundi rozpoczną misyjną pracę w szpitalu w Ruyigi.

25 maja – O. Sylwan Zieliński wyjechał do Polski, by wziąć udział w Kapitułe Prowincjalnej jako delegat wspólnoty misyjnej. Towarzyszy mu br. Marcelli, który w ramach swoich wakacji musi podleczyć nadszarpnięte zdrowie.

11 czerwca – Kapituła Prowincjalna Ojców Karmelitów Bosych w Polsce udała się z pielgrzymką do maryjnego sanktuarium w Czernej, by w czasie uroczystej Mszy św. złożyć u stóp Matki Bożej kielich. Ufundowali go Przyjaciele misji w Burundi. Zrobiony został z kości słoniowej, drogich kamieni i orzecha kokosowego przywiezionych z Burundi i oprawionych w srebro i złoto. Kielich ten ma być znakiem wdzięczności za dziesięć lat opieki Maryi nad misją polskich Karmelitów w Burundi.

14 czerwca – Z wieży zbudowanej przy kościele w Mpindze odezwał się po raz pierwszy głos dzwonu. Głosić będzie chwałę Trójcy Przenajświętszej, będzie wzywać wiernych na ofiarę krzyżową, na wspólną modlitwę, na Anioł Pański. Oby głos ten dotarł do wszystkich serc!

17 czerwca – Rada Prowincjalna wybrała wikariuszem prowincjalnym misji w Burundi o. Eliasza Trybałę. „Szczęść Mu Boże!” na nowe trzechlecie.

Co zbudowaliśmy do czerwca 1981 roku?

1. Zakończono budowę szkoły podstawowej w Gakome.
2. Zbudowano 3 sale katechumenatu w Gakome.
3. Zakończono budowę nowicjatu w Mpindze.
4. Zbudowano wieżę przy kościele parafialnym w Mpindze.
5. Trwa budowa szkoły podstawowej w Kiguhi.
6. W Shandze buduje się katechumenat.
7. Na rok 1981 zaplanowano jeszcze budowę kaplicy w Shembe i drugiej w Mutaha, budowę domu dla Sióstr Karmelitanek Dzieciątka Jezus w Shandze i dalszych budynków, ośrodka zdrowia w Musongati.

Z listów misjonarzy:

Pierwsze wrażenia.

Musongati, 13.01.1981

Drogi Ojcie Teofilu!

To już Afryka, a my sobie śpiewamy: „Czy to jawa, czy sen? Co ci przypomina, co ci przypomina widok znajomy ten?” Ten widok przypomina nam nasze Podhale lub Czerne. Pięknie tu jest. Teraz rozumiemy, dlaczego Ojcu wciąż tak tęskno za Burundi.

Dnia 7 stycznia o godz. 8.00 ujrzałyśmy Afrykę. W Bujumburze czekał na nas o. Józef, M. Zenobia, s. Lucyna i s. Helena. Około godz. 17.00 byliśmy już w Musongati. Jaka radość dla nas ujrzeć swoich! Wieczorem wspólna kolacja z Ojcami. Zapomniałyśmy, że to Afryka.

Teraz powoli rozglądamy się po Burundi. Byliśmy już u ks. Biskupa w Ruyigi aż dwa razy. Wczoraj na zebraniu dla przełożonych miałyśmy okazję poznać wielu misjonarzy i wiele misjonarek.

Rozglądamy się także po naszej misji, która dzięki pracy Ojców przybiera wygląd miasteczka. Piękny kościół, ładniejszy niż katedra w Ruyigi, katechumenat, ośrodek zdrowia i wiele innych budynków. Oczywiście zwiedziłyśmy też dom Ojców i te piękne palmy w ogrodzie.

U nas w tej chwili Brat Marceli buduje nową kaplicę. Jej poświęcenie z udziałem ks. Biskupa odbędzie się 2 lutego.

Jeszcze coś ważnego: ks. Biskup zdecydował, że nasz drugi dom stanie w Shandze.

My teraz siedzimy pochylone nad skryptem do języka kirundi i wkuwamy „dzikie” słówka. W marcu idziemy na kurs języka.

Jedno, co nas tutaj przeraża – to nie robaczki, lecz bieda, straszliwa bieda tych ludzi. Bieda pod każdym względem, bieda, która wyciska łzy z oczu. Ojciec to rozumie, bo tu był i widział, ale komuś, kto tego nie widział, chyba nie sposób wytłumaczyć i opisać, jak to w rzeczywistości jest!

Liczymy na modlitwy Ojca i na list od czasu do czasu. Serdecznie pozdrawiamy, zapewniamy o naszej pamięci w modlitwie.

s. Sylwana i s. Leokadia

Parafialne troski.

Mpinga, 21.01.1981

Drodzy Przyjaciele Misji!

Wiem, że czekacie na nasze listy z Burundi. Wiem, że pamiętacie o nas. Otrzymujemy wasze listy, które mówią o waszej trosce o misję. Wybaczcie nam, że tak mało piszemy. Wiele jest spraw i pracy na każdy dzień, ale trudno to wszystko opisywać w liście. Dla nas są to sprawy zwyczajne, codzienne. Może Wam wydają się ciekawe.

Gdy piszę ten list, o. Nazariusz, jako proboszcz parafii w Mpindze, pracuje od rana w biurze parafialnym. Przychodzą do niego rodzice dzieci, które będą chrzczone na Wielkanoc 1981 roku. Chodzi o chrzest dzieci starszych. Ojciec lub matka wezwani przez proboszcza uroczyście oświadczają, że chcą, aby ich dziecko zostało ochrzczone, przyrzekają, że będą się troszczyć, by ich dziecko wiernie wypełniało religijne praktyki i zobowiązania wypływające ze chrztu. Przyrzekają, że ich syn weźmie ślub według nauki i przepisów Kościoła. Często bowiem chłopiec porzuca praktyki religijne, gdy decyduje się na małżeństwo poza Kościołem. On wie, że Kościół nie zgadza się na taki związek, dlatego przestaje chodzić do kościoła, nie posyła dzieci na religię. Dopiero po kilku lub kilkunastu latach, niektórzy wracają i pragną uregulować swoją sytuację rodzinną po chrześcijańsku.

Chrzest dorosłych jest wielkim wydarzeniem w parafii. Młodzi przygotowują się do chrztu przez cztery lata nauki religii. W ramach katechizacji dzieci i młodzież uczą się katechizmu, lecz także uczą się pisać, czytać i rachować. Otrzymują też nieco wiadomości z geografii, historii, higieny, itp. Te dzieci nie chodzą do szkoły podstawowej, dlatego otrzymują podstawowe wiadomości w katechumenacie. Dzieci ze szkoły podstawowej uczą się religii w szkole. Uczą się dużo, ale i tak niewiele wiedzą, niewiele rozumieją. W czasie wizytacji duszpasterskich kapłan uzupełnia te wiadomości, ale niestety nie może na to poświęcić wiele czasu. Dzieci mają dobrą wolę i chętnie się uczą, lecz żyją w środowisku pogańskim, dlatego ich nauka bardzo często idzie swoją drogą, a życie swoją. Rodzice decydują o losie dziecka. Jak dziecko może się przeciwstawić rodzicom, jeżeli posyłają je w niedzielę na targ lub po drzewo, zamiast na Mszę św.? Jak ma reagować, jeżeli rodzice sprowadzają do domu czarownika i dziecko musi spełniać jego polecenia? Często też dziecko widzi, że katechista wcale nie przestrzega w domu tego, czego naucza w szkole. Trzeba katechizować dzieci i ich rodziców, trzeba wychowywać całą rodzinę, ale na terenach misyjnych to wcale niełatwa sprawa. (...)

A oto kilka wiadomości z ostatnich miesięcy: ks. biskup Józef poświęcił w Kiguhu obraz

św. Rodziny, przywieziony przez nas z Polski. Dokonał tego w uroczystość odpustową dnia 28 grudnia 1979 roku. Turbina o. Józefa w Musongati już ruszyła. W każdy wieczór ojcowie i siostry mają światło „za darmo”. Czasem i w nocy zapalają się światła w domu, budząc domowników. Gdy bowiem spadnie duży deszcz, to po dwóch godzinach płynie duża woda i turbina zaczyna działać nawet o północy. Należy jeszcze sporo popracować koło tej turbiny, żeby wszystko chodziło jak należy.

O. Bronisław posłał nam ziarenka na różańce. Mamy już całe stosy gotowych różańców do sprzedania. Ogłosiłem w sąsiednich parafiach, że mamy ładne różańce. Czekamy na zamówienia. Na pewno nie braknie.

Figura św. Józefa jest już w drodze do Burundi. Jej przesyłkę załatwił w Rzymie br. Franciszek. Pisał, że będzie to dużo kosztować. Ufam, że sam św. Józef pomyśli i natchnie dobrych ludzi, którzy pomogą w tej sprawie. Chcemy tę figurę umieścić w Kiharo, na naszej stacji misyjnej, gdzie jest jeszcze bardzo dużo pogan. Świętemu Józefowi musi zależeć na chwale Bożej także w Afryce, przecież to On pierwszy zaniósł Jezusa do Afryki.

Wkrótce rozpoczną się rekolekcje wielkopostne w naszych i waszych parafiach. Prosimy o pomoc modlitewną w tej pracy. Życzymy Wam owocnych rekolekcji i duchowego postępu.

Oddany w Panu

o. Eliaz Trybała k.b.

Co u nas w domu? Co u nas w szkole?

Musongati, 25. 01.1981

Drodzy Przyjaciele Misji!

Myślę, że z listów naszych Sióstr wiadomo już, co u nas ostatnio się dzieje. S. Leokadia i s. Sylwana przyjechały szczęśliwie, przywiozły wiele ciekawych wiadomości, ale przede wszystkim siebie – młodzieńczy zapał, chęć pracy dla Chrystusa i dla naszych burundzkich braci. Czekają na trud nauczania się języka tubylczego i przygotowanie do pracy w terenie. Próbuje je wyleczyć z lęku przed różnymi robakami, których jest tu niezliczona ilość – coś w tym dziwnego, przecież to Afryka.

Za tydzień przeniesiemy się do nowej kaplicy, dobudowanej z tyłu domu. Jest duża: 9 x 6 m. Ks. biskup Józef odprawi w niej pierwszą Mszę św. Na tę uroczystość zaprosiliśmy siostry Marystki z Gakome i z Rutany. Dzisiaj po południu jedziemy do Gakome, by wspólnie przygotować śpiewy liturgiczne w języku francuskim. Cieszymy się bardzo z tej kaplicy. Bliskość P. Jezusa jest naszą mocą. W ciszy tabernakulum można odetchnąć innym życiem, uzyskać potrzebne światła, umocnić siły ducha, uczyć się miłości wszystkich ludzi bez wyjątku, miłości pełnej poświęcenia, miłości bezinteresownej.

Od lutego będziemy gościć u siebie Siostrę Karmelitanę Bosą – Burundkę z Kigali. Będzie u nas mieszkać przez cały rok. Spodziewamy się, że jej pobyt wśród nas będzie dobrodziejstwem dla jednej i drugiej strony. Przyszłość odsłoni nam Boże zamiary.

Co u nas w szkole?... Jest nas w tym roku bardzo dużo. 100 dziewcząt w Musongati i 80 w Nyanza. Dzięki ostatnim paczkom mamy na razie wszystko, co im potrzebne do nauki. Ostatnio otrzymałyśmy jeszcze nici przesłane przez Linz, za co bardzo dziękuję.

Zdaję sobie sprawę, że obecnie nasza Ojczyzna boryka się z ogromnymi trudnościami gospodarczymi, byłoby więc nawet nietaktem oglądać się na pomoc. Wiemy wszakże, że w miarę możliwości, tak nasze Siostry, jak i nasi Dobrodzieje pospieszą nam z pomocą. Proszę jednak nie martwić się, jeżeli nic nie będzie można przesłać – my to rozumiemy...

Modlimy się bardzo o skuteczną pomoc, o moc przetrwania, o życie w wolności Dzieci Bożych i w dobroczynnym pokoju. Widzę, że wszelkie dobro musi człowiek okupić ofiarą, tak jest, niestety, zawsze.

Może teraz opiszę nasz dzień w szkole, bo byłam o to kiedyś pytana, a do tej pory nie spełniłam prośby.

O godz. 7.30 wychodzimy z kościoła po Mszy św. Wyje syrena zainstalowana przez br.

Marcelego, obwieszczając początek pracy. Otwieram klasy. Dwie nauczycielki – obydwie Krystyny – składają podpisy na liście obecności, zaznaczając czas przyjsia. Teraz jest czas na przygotowanie maszyn, zaopatrzenie się w materiał, nici, guziki, kredę i inne pomoce potrzebne do lekcji. W międzyczasie drogami i drózkami zbiegają się uczniowie.

O godz. 7.50 na placu przed szkołą otaczamy kołem maszt i przy śpiewie narodowego hymnu wciągamy sztandar państwowy, a następnie udajemy się do dużej sali, gdzie odmawiamy wspólnie modlitwę i śpiewamy pieśń ku czci Maryi, królującej nam tutaj w szkole. Młodzież podzielona na odpowiednie grupy zajmuje swoje sale i rozpoczyna zajęcia.

Do godz. 10.00 szyjemy i to im sprawia wielką radość – chłopcom też. Pierwsze klasy szyją tylko ręcznie, drugie na maszynach ręcznych, trzecie i czwarte na maszynach pedałowach. Miło patrzeć, z jakim zapalem, zainteresowaniem i dokładnością wykonują swoje prace. Szycia nigdy im dosyć! Ale mimo, to trzeba przerwać, bo trzeba wykonać wiele innych zajęć.

O godz. 10.00 półgodzinna przerwa. Na boisku idą w ruch piłki. Nieraz patrzę ze strachem, czy nie polecą szyby lub eternit na dachu, bo gra jest bardzo żywa.

Po przerwie zabieramy się do nauki czytania, pisania i rachunków. Są również wykłady z zakresu higieny, anatomii, żywienia, rolnictwa, hodowli. Odpowiednie lekcje mają też przygotować naszą młodzież do życia w rodzinie, społeczeństwie i Kościele.

O godz. 12.00 syrena brata Marcelego obwieszcza południowy odpoczynek. Jest upał, mimo to, dziewczęta lubią ten czas spędzać na słońcu. Chłopcy kopią zawzięcie piłkę. Kto mieszka blisko, biegnie do siebie, by zjeść coś, co zostało od wieczora. Większość je tylko raz dziennie – wieczorem i to zwykle fasolę z bananami.

Dziewczęta tutejsze są bardzo zgrabne, miłe i jak wszystkie dziewczęta świata – radosne. Lubią tańczyć, śpiewać i dużo, dużo opowiadać. Jednak w czasie zajęć szkolnych zachowują ciszę.

O godz. 15.30 koniec zajęć. Uroczyste opuszczenie sztandaru, modlitwa i rozejście się do domów. Zostają tylko ci, którzy mają dyżury. Z początku bardzo niezgrabnie szło im mycie posadzki, okien, bo tego w domu nie robią. W ich domach nie ma podłóg ani okien.

O godz. 17.00 opuszczam z nauczycielkami szkołę, zamykając starannie drzwi i okna, bo zdarzyło się, że ktoś wziął drzwi na plecy i zaniósł do siebie, a my miałyśmy kłopot z zamknięciem.

Wśród młodych sama czuję się młodsza. Kocham ich prawdziwie. Cieszę się, że mogę im pomóc w przygotowaniu się do życia, opatrzyć rany na nogach, liczne – zwłaszcza w porze suszy. Bywa jednak, że trzeba ukarać. Spóźnialskich nigdzie nie brak – u nas też. Za spóźnienie się na lekcję stosujemy taką karę: stawiam u drzwi wejściowych puste wiadro, kto się spóźni musi najpierw przynieść wody z dosyć odległego źródła, podlać w ogrodzie rośliny, bo deszczu tutaj nigdy dosyć. O! jak się wtedy spieszą, żeby zdążyć na czas. Trochę rygoru nie zaszkodzi, chociaż rozumiem ich, że nieraz muszą pokonać wiele przeszkód, by móc uczęszczać do szkoły. Od szkoły dzielą ich nieraz wielkie odległości. Na ogólną ilość dzieci, do szkoły uczęszcza tylko znikomy procent. Cieszę się jednak, bo w tym roku z liczby stu, podniosła się liczba uczniów do dwustu.

Służba drugim daje wiele radości, ubogaca człowieka osobiście, wiele uczy, pomaga samemu stawać się w pełni człowiekiem i upodobnić się do Chrystusa, który przyszedł na ziemię, aby służyć, leczyć, pomagać, a nawet życie oddać na „okup za wielu”.

Kończę, bo rozpisałam się i mogę zanudzić. Serdecznie pozdrawiam, życzę błogosławieństwa Bożego na każdą chwilę dnia. Wdzięczność moją będę nadal wyrażać w modlitwie.

Z Bogiem

s. Immakulata

Żyję jeszcze odwiedzinami w kraju.

Mutaha, 21.03.1981

Teofilu We!

Widzę Cię i ndaguhaye amahoro ya Kristu (życzę pokoju Chrystusowego). Od wtorku siedzę sobie w małym domku w Mutaha. Przyjechałem tu przygotować naszą małą grupkę chrześcijan na Święta Wielkanocne. Dzisiaj zakończyły rekolekcje kobiety i dziewczęta. Kobiet przyszło tylko 21, dziewcząt 6. Mężczyzn było 18, młodzieńców 12. Jak wiesz, są to chrześcijanie zamiejscowi. Miejscowi ludzie nie garną się do Kościoła. Różne na to złożyły się przyczyny. Teren tu naprawdę misyjny.

Dzisiaj szybko się ściemniło, bo zaczął padać deszcz i tak sobie pada powoli, powoli – buhoro-buhoro. Wydaje mi się, że to wiosenny. Dzisiaj pierwszy dzień wiosny. Może podobnie pada dziś u Was, w Ojczyźnie. U nas wiosna już od dawna, w całej krasie. Burundi zazieleniło się młodymi trawami. Dojrzewają słodkie pomarańcze. Ludzie sadzą groch. Lubię na to patrzeć i na ludzi, którzy kopią ziemię. Dla mnie to sielanka. Ja nie muszę kopać, bo żywność przywiezie się ze stolicy. Boli mnie to, że moje życie jest bogate, a powinno być ubogie – przez wybór, przez ślubowanie. Żywo stoi mi przed oczyma życie moich Rodziców, kłopoty siostry Eli. Wygodnie żyje się mi na misjach. Cieszę się, że przez te kilka dni w prawdziwym buszu moja koszula może trochę przesiąknąć potem i dymem, kiedy klęcząc na ziemi dmucham pod dno od becзки, by się zapalił ogień.

Żyję jeszcze bardzo odwiedzinami w domu, w klasztorze i w kraju. Jak nigdy tak teraz śnię o domu, o Rodzicach, o Eli. Tak mi się wydaje, że w któryś wieczór wpadnę do Nich. Wyrzucam sobie, że podczas tych wspólnych chwil mało Im okazałem serdeczności, mało się Nimi nacieszyłem. Chyba za dużo było innych spraw, a potem zmęczenie. Kiedy się dobrze wyspałem na miejscu, w Burundi, to sobie dopiero jasno uświadomiłem, że byłem w Polsce i to prawie cztery miesiące. (...)

W Musongati zastałem nowe Siostry: Leokadię i Sylwanę. Obecnie są na kursie języka. Dużo dobrego zapachu. Na razie jeszcze nie podkasały rękawów, uczą się. Raczej trzeba powiedzieć, że już podkasały do kirundi.

O. Jan Kanty pisał do nas. Planował odwiedzić nas w czasie wakacji, ale biskup odradził mu. Jeszcze nie czas na to.

Po przyjeździe do Mpingi wielu się pytało o Ciebie, czy widziałem się z Tobą, jak Twoje zdrowie? S. Filomena przeniesiona do Gitegi. „Odebrało jej nogi”. Szkoda i brak jej w Kiguhu.

Teofilu! Dochodzi godzina 9.00 wieczór. Apel Jasnogórski. Nafta w lampie się dopala. Komary zaczynają swoją robotę, trzeba się schować pod koc.

Niech Pan Zmartwychwstały da Ci zdrowie, zapach i siły do wszelkiej pracy. Będę pamiętał o Tobie szczególnie w czasie Drogi Krzyżowej w piątek. Jeżeli można prosić o małe słówko, to napisz. Może napiszę jeszcze do Bronisława. Pozdrów Go, jak również Panie z Biura Misyjnego. Za prawdziwe śledzie jeszcze raz dziękuję.

Z afrykańskim pocałunkiem pokoju

Twój brat Bartek

Po Wielkanocy.

Mpinga, 21.04.1981

Drogi o. Bronisławie!

U nas już po Świętach. W Wielką Sobotę ochrzcziliśmy 135 katechumenów w Mpindze i 84 w Kiguhu. Ta uroczystość zachęca do pracy i gorliwości. Ja chrzcilem w Kiguhu, a o. Nazariusz i o. Bartłomiej w Mpindze. W czasie ceremonii mówiłem nowym chrześcijanom, że Przyjaciele misji z Polski wiedzą o tej uroczystości i modlą się za nich. Otrzymujemy listy z obrazkami od Rodziców Chrzestnych z Polski. Przez chrzest powstaje pokrewieństwo

duchowe. Neofici otrzymali obrazki Serca Jezusowego, które mają zawiesić w domu. Liczymy na modlitwy Rodziców chrzestnych z Polski. Od czasu do czasu napiszę, jak się sprawują nowi chrześcijanie. Założyliśmy księgę, gdzie są wpisani neofici i ich rodzice chrzestni z Polski wraz z adresem. Trudno każdemu odpisać na pytanie o sprawowanie się jego dziecka duchowego, ale nie wiadomo...

Br. Marceli przywiózł naszych dwóch Braci na ferie świąteczne do Mpingi. Br. Cyryl jakiś czas poważnie chorował w Mutumbie. Wczoraj więc o. Nazariusz pojechał z nim do lekarza. Z braćmi przyjechał nowy kandydat na brata z Mutumby. Nazywa się Godfryd. Widać, że nasi bracia apostołują. Jest z nami dopiero tydzień, trudno więc na razie osądzić czy się nadaje.

O. Sylwan przygotowuje się do wyjazdu na Kapitułę Prowincjalną. Teraz zbiera różne materiały o naszej działalności misyjnej. Brat Marceli ma mu towarzyszyć. (...)

Serdecznie pozdrawiam Ciebie, o. Teofila i p. Zofię.

Oddany w Panu

o. Eliasz k.b.

Kilka bieżących wiadomości.

Mpinga, 6.05.1981

Drodzy Przyjaciele Misji!

Ostatnio otrzymaliśmy dużo listów z Polski. Przyszło też sporo paczek z lekarstwami i ziarenkami na różańce. Chciałbym w jednym liście odpisać i podziękować wszystkim za pamięć, za modlitwy, za listy i za pomoc. (...)

A oto kilka bieżących wiadomości. Przyjechały do Burundi Siostry Kanoniczki Ducha Świętego. Będą pracować w naszej diecezji w Ruyigi. Są to pierwsze siostry tego zgromadzenia w Burundi, dlatego muszą wszystko zaczynać od zera. Wiemy, że nie jest to łatwe, bo i my przeżyliśmy to samo 10 lat temu. Liczą jednak na Bożą Opatrzność i na dobroć Przyjaciół Misji.

Dwaj nowi karmelitańscy misjonarze, o. Emilian i br. Ryszard, przygotowują się do pracy misyjnej ucząc się języka francuskiego w Paryżu. Liczymy, że dołączą do nas we wrześniu.

Teraz w porze deszczowej jest zimno (14°C), wiele ludzi choruje, zwłaszcza dzieci. Umiera też wiele. S. Zygmunta ma pełne ręce roboty we dnie i w nocy. Tu w Mpindze jest mniejszy ruch w ośrodku zdrowia, bo nie ma lekarstw. Ludzie ratują się czym mogą. W ostateczności udają się do czarownika, który uważa, że na wszystko ma lekarstwo.

Br. Marceli buduje w Mpindze wieżę przy naszym kościele. Dzwon leżał na ziemi od wielu lat, od czasu kiedy to o. Teofil spadł z drzewa. Za dwa tygodnie dzwon znowu odezwie się w naszej parafii.

Czekamy na obraz M. Bożej Ostrobramskiej i figurę Chrystusa Ukrzyżowanego oraz na figurę św. Józefa. Jakoś długo trwa ta podróż z Polski do Burundi, nawet samolotem.

Nasi bracia Cyryl i Jan Vianney byli w Mpindze na Święta Wielkanocne. Po dwóch tygodniach wrócili do szkoły katechistów. Uczą się dobrze, chociaż br. Cyryl przez jakiś czas chorował.

Na koniec wszystkich naszych Przyjaciół serdecznie pozdrawiam i zapewniam o naszej modlitwie we Mszy św. w każdą sobotę i każdą niedzielę.

Oddany w Panu

o. Eliasz Trybała OCD

Czuję się naprawdę Waszym misjonarzem.

Ntambwe, 2.02.1981

Kochane moje Rodzeństwo i cała Rodzino,

Współbracia i Siostry w mojej Rodzinie Zakonnej i wszyscy Przyjaciele!

Mfumu ikale nenu = Pan (niech będzie) z Wami. W tych słowach, w języku tshiluba (czyt. „Cziluba”), którymi od pół roku pozdrawiam w Liturgii mych Czarnych Braci i Siostry, pozdrawiam także i Was Wszystkich, po bardzo długiej przerwie w mej korespondencji z Afryki.

Zapytacie: dlaczego „Mfumu ikale nenu” w tshiluba, a nie „Horan’Umukama” w kirundi?
A więc po kolei.

.....

Najmilsi, listem niniejszym pragnę zapoczątkować korespondencję, która miałaby na celu dzielenie się z Wami może nie tyle wrażeniami, ile radością (i troskami) mojego życia misjonarskiego, oraz służyłaby odświeżeniu i pogłębieniu tej więzi, która mimo odległości, mimo mojego, (a czasem i Waszego) milczenia istnieje przecież między nami.

Postanowiłem przynajmniej co kwartał napisać do Was. Od początku mojego życia misjonarskiego byłem przekonany, i coraz bardziej w przekonaniu tym się utwierdzam, że działalność misjonarska nie jest inicjatywą prywatną poszczególnych misjonarzy, ale jest „posłannictwem” społeczności wiernych, tego Kościoła, który nas posyła.

Wszyscy ludzie, z którymi spotkałem się w życiu na płaszczyźnie naszej wspólnej wiary, mają udział w moim posługiwaniu. I wobec Was Wszystkich mam dług.

Czuję się naprawdę Waszym misjonarzem: Waszym, tzn. mojej Rodziny, w której Pan Bóg zechciał dać mi nie tylko życie naturalne, ale w ramach której dał mi także łaskę wiary; mojej Rodziny Zakonnej – Karmelu, w którym danym mi jest realizować łaskę powołania do życia poświęconego Bogu.

W nie mniejszym stopniu czuję się „uwarunkowany” poprzez życzliwość i modlitwę tych Wszystkich, którzy poprzez Przyjaźń w Panu są mi nie mniej drodzy, niż moja własna Rodzina „krwi”, czy Rodzina Zakonna.

Najmilsi, ostatni „ogólny” list z Burundi pisałem – jeśli się nie mylę – w roku 1975, po powrocie z mych pierwszych wakacji w kraju, dokąd się udałem w listopadzie 1974 roku po śmierci mojej Mamy i w czasie których to wakacji pochowałem moją siostrę Marysię.

Wielu z Was zna „koleje mego losu” od tego czasu.

Do czerwca 1979 roku przebywałem i pracowałem w Burundi, w naszej misji Musongati, która w tych latach bardzo się „rozrosła”. Jesienią 1978 roku byłem na drugim urlopie i w Polsce przeżywałem wybór obecnego Ojca Świętego.

.....

Jak Wam wiadomo, sytuacja polityczna w Burundi zawsze była „niewyraźna”, nacechowana, mówiąc najogólniej, brakiem równowagi etnicznej w administracji kraju.

Wiosną 1979 r. napięcia te zdawały się doprowadzać do nowego rozlewu krwi. Władze kraju traciły głowę i (może w dobrej wierze) niefortunnymi pociągnięciami pogarszały sytuację.

Miejscowi biskupi, wszyscy czarni obywatele swego kraju, z wielką dyskrecją i lojalnością, ale i z wielką dojrzałością i trzeźwością zwrócili uwagę prezydentowi w poufnym liście, wyrażając także niepokój z ciągle rosnącego ograniczania swobody działalności miejscowego Kościoła.

Nieoczekiwaną reakcją na ten akt biskupów był niepohamowany atak „wściekłości” władz państwowych i jako represja: nagłe wyrzucenie około 70 misjonarzy. W ich liczbie znaleźliśmy się także my, dwaj polscy karmelici: o. Teofil Kapusta i ja.

Jak wszyscy inni, zostaliśmy bez żadnego dochodzenia oskarżeni, że nasza „obecność, nastawienie i zachowanie zagrażają porządkowi, bezpieczeństwu i pokojowi kraju” i dlatego uznani za niepożądanych”, zostaliśmy zobowiązani do opuszczenia kraju w ciągu 48 godzin (i opuszczenia Misji w ciągu 24 godzin), z zakazem kontaktowania (a więc i pożegnania) się z ludnością.

Opuściliśmy Burundi w dniu, w którym Ojciec Św. opuszczał Polskę, w czerwcu 1979 r.

Na lotnisku w Bujumburze zebrał się tłum misjonarzy, księży miejscowych, sióstr zakonnych i innych naszych przyjaciół z całego Burundi, którzy przybyli, by wyrazić swą życzliwość i solidarność z nami, którzy w tak nagły i niespodziewany sposób musieliśmy „wynieść się” z naszej „drugiej Ojczyzny”. Opuszczaliśmy kraj w nastroju prawie świątecznym, wszyscy pogodni, żegnani przez Nuncjusza Apostolskiego i cały niemal Korpus Dyplomatyczny. Ci, którzy zostali zazdrościli nam prawie tak uroczystego i honorowego „ukoronowania” pracy misyjnej. Zresztą byli świadomi, że czeka ich teraz podwójna ilość pracy, z męczącą świadomością bardzo niepewnego jutra. Byliśmy wszyscy, i ci, którzy zostali w kraju, i ci, którzy go opuszczali, naprawdę pogodni i może nawet radośni. Niemniej jednak w sercach wielu (a może wszystkich?)... panowała noc.

Osobiście przyznam się, że miałem wrażenie jakiegoś jakby absolutnego „końca”. Wszystko jakby przestało istnieć, wszystko, co było treścią mego życia przez te osiem lat. Trzeba mi było wiele czasu, by się „pozbierać”, a i teraz jeszcze niekiedy zdaje mi się, że pozostaję zawieszony w próżni, albo z kolei, że męczy mnie jakiś koszmarny sen...

Zatrzymaliśmy się parę dni w Brukseli. Radio, telewizja, prasa komentowały wydarzenie. (Zdecydowana większość wyrzuconych to Belgowie!). Ojciec Święty w czasie pierwszej po powrocie z Polski audiencji ogólnej na Placu św. Piotra w Watykanie, w wielu wymownych słowach wyraził swoją boleść. – Przypuszcza się, że skutkiem tej bezpośredniej, osobistej i publicznej reakcji Ojca Świętego było wstrzymanie dalszych zaplanowanych (?) masowych wydażeń.

W Burundi doszło do spotkania biskupów z prezydentem kraju, który „uznał” pomyłkę i „widział” możliwość powrotu przynajmniej niektórych misjonarzy. Wyglądało na to, że jeżeli nie dojdzie do wyrzucenia wszystkich misjonarzy z kraju, to niebawem znaczna część wyrzuconych będzie mogła powrócić. W tej sytuacji, w Brukseli, na zebraniu większości wyrzuconych postanowiono „przeczekać”, nie angażując się definitywnie w inną pracę i wykorzystując czas na doksztalcenie się, ewentualnie leczenie i odpoczynek.

W takich układach, za zgodą o. Prowincjała i naszego o. Generała, o. Teofil i ja po wakacjach w kraju udaliśmy się do Rzymu, do Międzynarodowego Kolegium Karmelitów Bosych. W Rzymie pozostaliśmy do czerwca 1980 roku, korzystając ze specjalnych wykładów z całego świata (Włochów i nie – Włochów) na Uniwersytecie Kongregacji Rozkrzewienia Wiary „Urbanianum”, oraz z wykładów teologii życia wewnętrznego na Instytucie Papieskim Karmelitów Bosych „Teresianum”.

Po ośmiu latach w afrykańskim buszu ten kontakt z „Kościołem Myślącym” był bardzo interesujący i pożyteczny. Z drugiej strony bardzo „ubogacający” był kontakt z duchownymi, karmelitami i misjonarzami z całego świata i pracującymi na wszystkich kontynentach!

Myślę, że jak nigdzie indziej na świecie, w Rzymie „dotyka się” powszechności Kościoła. W Rzymie także w szczególnie sposób przeżywa się aktualne problemy Kościoła Powszechnego.

Liczne możliwości spotkań z Ojcem Świętym (i to TAKIM Ojcem Świętym) na środowych audiencjach ogólnych i w innych okazjach, kilkakrotne spotkania „osobiste” w czasie audiencji sprawiły, że czasem czuliśmy wdzięczność dla władz burundzkich za ten prezent. A zawsze byliśmy i jesteśmy wdzięczni Panu Bogu za tę łaskę!

Dokuczała nam tylko i „psuła krew” niewyraźna sytuacja w Burundi i nasza niepewna przyszłość. Ojcu Teofilowi dokuczała jeszcze na dodatek konieczność ciągłego kontaktu ze skalpelem rzymskich chirurgów! Trzykrotny pobyt w szpitalu i trzy poważne i bardzo bolesne operacje!

W czasie pierwszego pobytu o. Teofila w szpitalu rozmawiałem „przypadkowo” (po raz pierwszy) z Ojcem Świętym i poprosiłem Go o błogosławieństwo dla chorego.

Zapytacie: jak to w Rzymie „przypadkowo” rozmawia się z Papieżem?

Każdej środy odbywa się ogólna audiencja. Poza zimą, jeżeli jest pogoda, audiencja ma miejsce na Placu św. Piotra przed Bazyliką. Powiedziano mi, że Polacy mają zarezerwowany sektor, gdzie mogą wejść na podstawie... paszportu PRL (lub innego dokumentu

stwierdzającego narodowość polską).

Gdy przybyłem na Plac, miejsca w sektorze polskim były już zajęte. Nie wiedziałem, że trzeba przyjść co najmniej godzinę przed rozpoczęciem audiencji! Zrezygowany stanąłem za plecami niezliczonego tłumu. Po chwili jakiś pan podszedł do mnie i po angielsku zapytał, czy znam ten język. Odpowiedziałem, że przez wiele lat uczono mnie angielskiego w szkole, ale nie mam żadnej praktyki.

– O co chodzi?

– Jestem Polakiem, lekarzem, profesorem na uniwersytecie w G. w Afryce. Z Ojcem Świętym studiowałem w Krakowie. Powiedziano mi, że...

– A język polski pan zna?

– A jakże!

– (już po polsku) To po co do Polaka zwraca się Pan w obcym języku?!

Serdeczne i radosne powitanie.

– Powiedziano mi, że mam to wyjaśnić Szwajcarom z Gwardii Papieskiej, by mnie wpuścili w pobliże Ojca Świętego, a nie znam włoskiego.

Szwajcarzy potraktowali nas bardzo uprzejmie i wprowadzili do specjalnego sektora zarezerwowanego dla kalek i chorych, do których Ojciec Święty zawsze podchodził na koniec audiencji, do każdego z osobna.

Gdy Ojciec Święty zbliżył się i do nas, p. Profesor podał Mu swój bilet wizytowy. Ojciec Święty szukał w pamięci kolegi sprzed czterdziestu lat. Pytał się, co robi, itd. Ponieważ byłem obok, zapytał mnie czy także jestem w Afryce. Odpowiedziałem, że byłem, ale wyrzucili z Burundi! Ojciec Święty powiedział, że zna dobrze tę sprawę. Kilka słów zachęty i pytanie, co robię obecnie. Odpowiedziałem, że wraz z o. Teofilem jesteśmy w Rzymie, czekamy na możliwość powrotu do Burundi i odświeżamy wiadomości z teologii. Miałem nadzieję, że Ojciec Święty może pamiętać o. Teofila i rzeczywiście, gdy powiedziałem, że jest poważnie chory w szpitalu, miałem wrażenie, że wie, o kim mowa. Powiedział, że mu bardzo chętnie całym sercem błogosławi.

W ciągu owego roku, jeszcze kilka razy miałem szczęście być w pobliżu Ojca Świętego, zamienić z Nim kilka słów, a także przed wyjazdem otrzymać Jego specjalne „osobiste” błogosławieństwo na dalszą pracę misyjną.

Na Boże Narodzenie 1979 roku o. Teofil był także i rozmawiał z Ojcem Świętym na specjalnym „Opłatku” w Watykanie dla Polaków z Rzymu. Mnie minęła ta radość, gdyż ani na Boże Narodzenie 1979, ani na Wielkanoc ubiegłego roku nie było mnie w Wiecznym Mieście. Na życzenie ks. Kardynała Rubina i Kongregacji Kościoła Wschodniego, Przełożeni nasi w Rzymie (o. Generał i o. Rektor Kolegium) zaproponowali mi podróż do Iraku. Tak więc na trzy tygodnie zimą (tydzień przed i dwa tygodnie po Gwiazdce) oraz na trzy tygodnie wiosną (dwa tygodnie przed i jeden po Wielkanocy) udałem się do Mezopotamii z posługą duszpasterską, do pracujących tam kilku tysięcy Polaków.

Najmilsi, aby list ten nie stał się zbyt długi i żebym nie zwlekał zbyt długo z jego wysyłką, skończę go w tym miejscu. O Iraku itd. aż do przybycia mego tutaj napiszę Wam w następnym liście. Będzie on znacznie krótszy – mam nadzieję – od niniejszego. I w trzecim z kolei pragnę Wam już opisać sprawy „miejscowe”, tutejsze. Obydwa te listy pragnę napisać niezwłocznie i ufam, że mi się to uda. Obawiam się nawet, że jak raz się rozpisalem, to trudno będzie mnie zatrzymać.

Tymczasem wiedźcie, że jestem tu od pół roku z karmelitami włoskimi z prowincji rzymskiej (na obiad codziennie makaron!). Że jestem zdrow, że tęsknię za Polską i za Burundi. Że jestem tutaj „niemiłosiernie” zagoniony, zwłaszcza pracą w buszu, utrudnioną słabą znajomością języka tshiluba!

Módlcie się za mnie naprawdę bardzo!

Z Bogiem!

Wasz brat Jan Kanty

Najmilsi!

Wysyłając ostatni (pierwszy! z Zairu) list do Was, zamierzałem natychmiast zacząć następny. Tymczasem dziś już przeszło dwa miesiące! Zamierzałem pisać o Iraku, o moim zeszłorocznym dwukrotnym pobycie w tym kraju. Zacząłem już to czynić pisząc w czasie przeszłym o obecności i pracy Polaków w Iraku. Byłem przekonany, i ktoś nie lepiej ode mnie poinformowany utwierdził mnie w tym przekonaniu, że wszyscy Polacy wrócili do kraju, do Polski, opuszczając Irak z powodu trwającej tam wojny. Tymczasem od naszych ojców karmelitów francuskich z Bagdadu otrzymałem list z serdecznymi pozdrowieniami od naszych Rodaków, którzy prawie wszyscy, mimo wojny w Iraku, pracują tam nadal. Napisałem więc list do nich, a na czas teraźniejszy muszę „przerobić” list do Was i skończyć go. Nie robię tego tym razem. Chcę podzielić się z Wami radością chwili obecnej.

Muszę walczyć z pokusą „syntetycznego”, zbyt ogólnego pisania o tutejszej rzeczywistości. Dlatego zrobię wprost przeciwnie: opiszę Wam radość, której doznałem dziś rano, w Wielką Sobotę 1981.

Przedwczoraj, w Wielki Czwartek i wczoraj, w Wielki Piątek odprawiałem liturgiczne nabożeństwa w kościele większej stacji misyjnej Tshisenga (czyt. Czisenga. Zawsze „tshi” = czy). Takich stacji większych, „centralnych” mam w swoim „rewirze” trzy: Tshisenga, Kalomba i Nkono Tshiela. (Domyślcie się, że czyta się Nkono Cziela).

Dziś rano przybyłem do Kalomby na Wielką Sobotę i Wielkanoc rano, by wrócić do Tshisengi ze Mszą św. wielkanocną jutro przed południem.

Stąd, z Kalomby udałem się do małej, o 5,5 km odległej stacji misyjnej Tshikandy, by słuchać tam spowiedzi wiernych, którzy jutro rano przyjdą do Kalomby na Mszę świętą.

Rano jechałem ze strachem i bardzo serdecznie polecałem się Panu Bogu.

Czego się bałem?

Obok Tshikandy, w sąsiedniej wiosce Tshimbu, chrześcijanie tejże wioski wybudowali „sobie” własny kościół (czytaj: duży szałas z trzciny) w odległości (dokładnie) 800 metrów od kościoła (także szałas) w Tshikandzie i odseparowali się. Powód: zastarzała nienawiść dwóch sąsiadujących ze sobą plemion. Korzystając z tego, że jestem „mupiamupia” (znaczy: nowy) prosili mnie o poświęcenie szałas, a więc zalegalizowanie sytuacji. Powiedzieli mi, że już dawno mieli pozwolenie poprzedniego księdza. Zaskoczony zwłaszcza bliskością dwóch wiosek, zbadałem sprawę dokładniej i stwierdziłem oczywiste kłamstwo: otrzymali parokrotnie stanowczą odmowną odpowiedź poprzedniego misjonarza.

Na burzliwym zebraniu (było to w styczniu) odpowiedziałem, że Kościół może błogosławić tylko miłość, a nigdy nienawiść, że ich chrześcijańskim obowiązkiem jest zgoda i życzliwość wobec wszystkich ludzi, także tych z sąsiedniej Tshikandy, i żeby uczynić zadość obowiązkowi niedzielnego nabożeństwa, mają przychodzić do Tshikandy. Skutek: odizolowali się zupełnie, chcieli pobić głównego katechistę z Kalomby. Przestali zupełnie uczestniczyć w nabożeństwach w Tshikandzie i przyjmować sakramenty święte. Przewodził im niejaki Kabisekele, samowwający katechista, człowiek około czterdziestki.

Otóż w Niedzielę Palmową rano przed Mszą świętą tutaj w Kalombie tenże Kabisekele przyszedł do mnie prosząc o spowiedź. Nie poznałem go. Jednak ponieważ w piątek i sobotę przed Niedzielą Palmową miałem tutaj rekolekcje, spytałem dlaczego w te dwa dni nie wyspowiadał się. Odpowiedział, że jest z innej wioski. Skąd? Z Tshimbu. Nie poznałem go, nie wiedziałem, że to sam Kabisekele: czarny jak każdy afrykańczyk!

Zapytałem, gdzie uczestniczy w nabożeństwach niedzielnych? We „własnym” kościele w Tshimbu. Odpowiedziałem, że musi się zdecydować bezwzględnie i publicznie zerwać ze schizmą pochodzącą z pogańskiej postawy, inaczej nie może się spowiadać. Roześmiał się i odszedł.

Działo się to przed moim domkiem. Główny katechista z Kalomby, zapytany, czy zna tego człowieka, mówi mi, że to przecież sam Kabisekele!

Po chwili zawołałem go stojącego w pobliżu i wraz z dwoma starszymi katechistami poprosiłem do mojego mieszkania. Zaklinałem go na miłość Chrystusa i na Jego Mękę, by nie robił rozłamu wśród wiernych, rozłamu, którego źródłem jest nienawiść. Starłem się łagodnie, ale bardzo, bardzo stanowczo przedstawić mu zło, któremu przewodzi i odpowiedzialność, która ciążyć będzie na nim zwłaszcza w chwili, gdy będzie sądzony przez Chrystusa po swojej śmierci. Powiedziałem, że niech się dobrze zastanowi i przyjdzie w sobotę (dzisiaj) do Tshikandy, ażeby kudilengeja (czyt. kudilengeża = nawrócić się). Odszedł poważny.

Dzisiaj rano, mimo, że miałem nadzieję na „pozytywne” zakończenie sprawy, jednakże miałem także wielką obawę, że może dojść do nowych objawów nienawiści.

Kabisekele przyszedł do Tshikandy. Przywitał się przed wejściem do kościoła. Gdy ludzie zebrali się w kościele (około stu osób), przed spowiedzią, w przygotowaniu przeszło półgodzinnym mocno podkreśliłem, co zresztą zwykle czynię, konieczność prawdziwego nawrócenia się, jako bezwzględного warunku spowiedzi.

Także Kabisekele podszedł do „konfesjonału”. „Konfesjonał” piszę w cudzysłowie, gdyż nie przypomina „to” w niczym tego, co jesteście przyzwyczajeni nazywać konfesjonałem. Jest to po prostu płaski kamień, na którym może klęknąć penitent i „rozrylotana ryczka” dla spowiednika. To ostatnie wyrażenie to nie w języku tshiluba, tylko w moim rodzinnym poznańskim „narzeczu” znaczy: chwiejący się stołek!

Nim Kabisekele zaczął cokolwiek mówić, zapytałem go, czy jest zdecydowany ogłosić teraz wszystkim ludziom obecnym w kościele, że zrywa ze schizmą.

– Tak!

– A więc zrób to i potem wróć się wypowiadać!

Poszedł, stanął przed ołtarzem, dał znać ręką, by przerwano śpiew. Pozdrowił wszystkich i powiedział:

– Moi drodzy Bracia i Siostry, wiecie, że przez nienawiść do was zbudowałem osobny kościół i zbuntowałem siebie i innych, chcę stanowczo wrócić do Jednego Kościoła, zerwać całkowicie z rozłamem i naprawić go i wrócić do sakramentów Kościoła Powszechnego. Pragnę żyć w zgodzie z wami.

Skończył i pozdrowił wszystkich. Wszyscy w kościele bili mu gorące brawa!

Wrócił do konfesjonału. Po spowiedzi i rozgrzeszeniu uściskałem go serdecznie. Bez trudu, bo „konfesjonał” nie ma kratek.

Najmilsi! To zdarzenie dzisiejszego przedpołudnia jest dla mnie naprawdę źródłem wielkiej radości. Cieszy mnie nawrócenie Kabisekele. Zdaniem głównego katechisty z Kalomby, będzie ono miało bezpośredni dobry wpływ na pozostałych. Cieszy mnie także niezmiernie reakcja wiernych w kościele, „nieprzyjaciół” Kabisekele.

Módlcie się ze mną, by łaska dzisiejszego poranka była trwała!!!

W tutejszej sytuacji, gdzie prawdziwą plagą są różne sekty, ma to naprawdę jak największe znaczenie!

Kochani, niech Chrystus Zmartwychwstały żyje w nas wszystkich, byśmy mogli być świadkami Jego życia, Jego Zmartwychwstania!

Wasz brat

Jan Kanty

ZAKOŃCZENIE

„Uwielbiajcie Boga i wysławiajcie Go przed wszystkimi żyjącymi za dobrodziejstwa, jakie wyświadczył wam – w celu uwielbienia i wysławiania

Jego imienia. Ogłaszajcie przed wszystkimi ludźmi dzieła Boże, jak są godne uwielbienia, i nie wahajcie się wyrażać Mu wdzięczności. Ukrywać tajemnice królewskie jest rzeczą piękną, ale godną pochwały jest rozgłaszać i wysławiać dzieła Boże.⁶³

Nie inny cel mają te nieudolnie skreślone stronice, które oddajemy w ręce czytelników. Chcemy przez nie wielbić Boga, chcemy wyrazić Mu wdzięczność za dzieła, których dokonać raczył przez pośrednictwo słabych sług swoich, których dokonać raczył wspólnym wysiłkiem wszystkich Przyjaciół i Dobrodziejów misji w Burundi.

W czasie spisywania tych stron pytano mnie z troską i życzliwością: Czy to nie za wcześnie? Czy nie należy z podobną książką zaczekać np. do 25-lecia? Czy wypada już pisać o pracy misjonarzy, którzy dopiero pierwsze kroki stawiają na misyjnej roli? Czy sądy, wrażenia i opinie wyrażone w ich listach nie będą zbyt niedojrzałe?

Sam podzielałem te obawy i przyznaję szczerze, że z wielkimi oporami zabierałem się do tej pracy. Pamiętałem jednak, że rzeczą „godną pochwały jest rozgłaszać i wysławiać dzieła Boże”. To zaś, co dokonało się w Burundi w ciągu dziesięciu lat działalności polskich Karmelitów Bosych muszę uznać za dzieło Boże.

Pamiętałem także, że kiedy z okazji setnej rocznicy powstania styczniowego umieszczano na frontonie kościoła Karmelitów Bosych w Krakowie tablicę pamiątkową ku czci o. Rafała Kalinowskiego i br. Alberta Chmielowskiego, zwróciły się do mnie podeszłe już w latach osoby i żaliły się tymi mniej więcej słowami:

„Jaka szkoda, że dzisiaj dopiero dowiadujemy się bliżej o działalności Brata Alberta w Krakowie! Przecież niemal ocieraliśmy się o osoby z jego dziełem związane, a nie wiedzieliśmy o tym. Wykazaliśmy w tym samym czasie wiele młodzieńczego zapału w niesieniu pomocy biednym. Nasza działalność była jednak dorywcza, niekierowana. Nie zawsze wiedzieliśmy, jak działać. Szkoda, że nasze dobre chęci i zapał nie zostały wówczas włączone w nurt działalności brata Alberta. Szkoda, że wówczas nie informowano nas na bieżąco o tym, co dzieje się w Krakowie. Do nas przynajmniej to nie docierało. Na pewno wiele osób z naszego grona wspomogłoby skutecznie Jego dzieło. Szkoda, że Kościół dopiero z okazji wielkich jubileuszów mówi o działalności swoich dzieci. Czy katolicy współcześni nie mają prawa wiedzieć o tym, co dzieje się aktualnie w Kościele?”

Właśnie, czy nie mają prawa wiedzieć? Mają to prawo zwłaszcza ci, którzy włączyli się szczerze i ofiarnie w działalność Karmelu. Mają prawo wiedzieć i inni, bo przecież od samego początku tej działalności nie była to sprawa prywatna Karmelitów Bosych. Była to sprawa katolickiego Kościoła w Polsce.

Nasi misjonarze otrzymali misyjne krzyże i posłanie z rąk J. E. ks. bpa Jana Wosińskiego. Otrzymali błogosławieństwo wraz z wierną kopią Obrazu Jasnogórskiego z rąk J. Em. ks. kard. Stefana Wyszyńskiego. Zawsze też czuli się misjonarzami Kościoła Św. i misjonarzami polskimi. Tak ich także widziano. Tak widział ich papież Paweł VI, który 25 sierpnia 1971 roku błogosławił im na misyjną pracę. Tak widział ich ks. Kard. Bernardin Gantin, ówczesny Sekretarz Kongregacji Wiary i ks. kard. Władysław Rubin, którzy ich podejmowali u siebie w Rzymie. Tak widzieli ich różni dostojnicy Kościoła w Paryżu i Wiecznym Mieście. Także i przełożeni generalni Karmelitów Bosych, którzy żywo interesują się misją w Burundi (odwiedziny sekretarzy generalnych misji o. Adeodata Micaleff i o. Patrycjusza Thomasa Moortheril oraz generała zakonu o. Filipa Sainz de Baranda), zawsze widzieli i widzą misję karmelitów w Burundi jako dzieło polskiej Prowincji i Kościoła Katolickiego w Polsce.

Była to i jest sprawa Kościoła Katolickiego w Polsce także i dlatego, że za polskimi karmelitami stanęły całe rzesze Rodaków z Polski i całego świata. To oni sprawili, że misja w Burundi trwa i rozwija się. Na wieść o potrzebach misji w Burundi powstały niektóre ośrodki

pomocy misjom. Wspomnę tu dla przykładu chociażby Komitet Pomocy Polskim Misjom w Ottawie, który zrodził się na „Apel o lekarstwa dla Burundi” drukowany w Tygodniku Powszechnym w czerwcu 1974 roku. Komitet ten wspiera dzisiaj misje nie tylko w Burundi, lecz także w Kamerunie, Rwandzie, na Madagaskarze i w innych krajach.

Grupy polskich Karmelitów Bosych użył też Bóg do nawiązania więzi między nie znającymi się dotychczas kościołami lokalnymi Polski i Burundi. W roku 1971 przybył do Polski ks. bp Józef Martin, ordynariusz diecezji Bururi w Burundi. Później ten znany misjonarz wyrażał się wszędzie z wielkim entuzjazmem o Kościele w Polsce.

W czasie dwukrotnej wizyty (1974 i 1978) w Polsce ks. bp Joachim Ruhuna spotkał się z ks. kard. Stefanem Wyszyńskim z ks. kard. Karolem Wojtyłą, z ordynariuszami diecezji w Poznaniu, Lublinie, Łodzi, Częstochowie oraz z innymi księżmi biskupami. Przemawiał do studentów KUL-u i ATK, do alumnów seminariów duchownych w Krakowie, Poznaniu, Lublinie i alumnów seminarium śląskiego oraz do młodzieży akademickiej w Krakowie, Warszawie i Łodzi. W ten sposób Kościół w Polsce poznawał Kościół Burundi. Odwiedził też ks. bp Ruhuna KIK w Krakowie, Redakcję Tygodnika Powszechnego i Redakcję Przewodnika Katolickiego. Spotkał się z przełożonymi prowincjalnymi Ojców Karmelitów Bosych, Ojców Redemptorystów i Ojców Pallotynów oraz z licznymi zgromadzeniami sióstr zakonnych. Niektóre z nawiązanych wówczas kontaktów pozostały do dzisiaj bardzo żywe.

Można także wspomnieć, że pojawienie się licznej grupy polskich karmelitów w Burundi skłoniło Konferencję (jedną wówczas) Episkopatu Burundi-Rwanda do wysłania do Polski ze specjalną misją ks. bpa Gahamanyi. „Zdobyl” on przy okazji dla swej diecezji (a później dla całej Rwandy) liczną grupę polskich misjonarzy, księży Pallotynów i Sióstr Służebniczek Niepokalanej.

Kontakty dwu lokalnych kościołów poszerzają się. Do Burundi przyjeżdżają w 1974 polskie Siostry Karmelitanki Dzieciątka Jezus, a w roku 1981 Siostry Kanoniczki Ducha Świętego.

Wzajemnemu poznaniu służą także odwiedziny. Odwiedzili karmelitów w Burundi dwaj prowincjałowie (o. Otto Filek i o. Eugeniusz Morawski), dwaj sekretarze prowincjalni misji (o. Bogusław Woźnicki i o. Bronisław Tarka). Odwiedził Burundi ks. prof. Feliks Zapłata, p. dr Wanda Błęńska i kilku księży pallotynów z sąsiedniej Rwandy, oraz przełożone generalne Sióstr Karmelitanek Dzieciątka Jezus.

Ukazały się listy polskich karmelitów, artykuły i różne wzmianki o ich pracy w prasie Anglii, Francji, Włoch, Kanady, USA i Australii. Zawsze przy tej okazji mówiło się o Kościele w Polsce, szczególnie od czasu, gdy ster Łodzi Piotrowej powierzyła Opatrzność papieżowi Janowi Pawłowi II.

Ponadto polscy karmelici nawiązali przyjaźń z Ojcami Białymi, z księżmi Ksawerianami i Kombonianami oraz z siostrami Marystkami. Spotkania także z innymi misjonarzami pozwalały bogacić się duchowo nie tylko karmelitom, ale pozwalały innym lepiej rozumieć specyfikę katolicyzmu w Polsce. Ich zainteresowanie Kościołem w Polsce wzrasta. Kilku Ojców Białych już odwiedziło nasz kraj.

Sądzę zatem, że katolicy w Polsce i nasi Rodacy na świecie mają prawo już coś wiedzieć o losach tej misji, która jest wprawdzie maleńką cegielką, ale cegielką w dziele misyjnym katolickiego Kościoła w Polsce. Mają prawo wiedzieć, by mogli włączyć się w nasze dziękczynienie za dzieła Boże, które „są godne uwielbienia”. Dlatego też o nich ośmielamy się pisać.

Czyż zresztą nie tak postępował wielki Apostoł Narodów? Czy nie informował swoich uczniów o tym, co się dzieje w innych kościołach, co się dzieje w Achai i Macedonii? Chłubił się gorliwością jednych kościołów, by drugie do gorliwości pobudzić. Mówił także o ofiarności jednych lokalnych kościołów, by inne pobudzić do darów na rzecz ewangelicznego posługiwania.⁶⁴

Niech zatem strony tej książki będą dziękczynieniem i uwielbieniem Boga za „wielkie rzeczy, które nam uczynił⁶⁵”, albowiem to On „posłał nas, abyśmy ubogim nieśli dobrą nowinę.⁶⁶” Tym, którzy 23 czerwca 1971 żegnali nas łzami i kwiatami, niech strony tej książki powiedzą, że nasz misyjny trud nie pozostaje daremny⁶⁷. Niech strony te będą hołdem wdzięczności dla tych, którzy przez dziesięć lat byli zawsze z nami. Niech wreszcie pobudzą innych do misyjnej gorliwości, aby wszyscy mieli udział w dziękczynieniu⁶⁸, aby wreszcie – zgodnie z życzeniem Jana Pawła II – „Kościół w Polsce trwał w świadomości swojej misji i żeby coraz bardziej stawał się również Kościołem misjonarskim, gotowym służyć sobą, kapłanami, siostrami zakonnymi, świeckimi – Kościołowi na misjach”.⁶⁹

Przez Maryję, Matkę i Królową Karmelu, Bogu niech będą dzięki za Jego dar niewypowiedziany.⁷⁰

Kraków, 23 czerwca 1981.

KARMELICI BOSI

„Karmel jest jak niebo: trzeba się oderwać od wszystkiego, aby posiąść Tego, który jest wszystkim⁷¹.”

Rys historyczny.

Zakon Najświętszej Maryi Panny z Góry Karmel (Karmelici Bosi) wywodzi się z Palestyny. Jego kolebką jest Góra Karmel. Miejsce to zostało uświęcone życiem i działalnością proroka Eliasza, który prowadził surowe życie pokutne, oddane modlitwie i walce z bałwochwalstwem. Kult św. Eliasza na Karmelu pozostał bardzo żywy przez wszystkie wieki i jest takim do dnia dzisiejszego. Historyczne początki Zakonu sięgają wojen krzyżowych w XII w. Do pustelników na Karmelu przyłączyli się rycerze krzyżowi. Św. Brokard, przełożony już zorganizowanej wspólnoty zakonnej, wyprosił od patriarchy jerozolimskiego, Św. Alberta, regułę dla pustelników Karmelu. Dla zatwierdzenia Zakonu i nadania Regule mocy obowiązującej, zwrócono się do Stolicy Apostolskiej. Regułę pierwotną zatwierdził w 1226 r. papież Honoriusz III. Z powodu najazdu tureckiego na Palestynę, życie pustelników uległo zagrożeniu. Musieli oni emigrować do Europy, gdzie doświadczyli wielu niepowodzeń. Wykorzenieni ze swego środowiska i sposobu życia, znaleźli się w nowych warunkach, co wpłynęło na złagodzenie Reguły pierwotnej i spowodowało zmianę charakteru Zakonu z pustelniczego na pustelniczo-czynny. Centralną postacią w Zakonie jest Matka Boża. Do Niej w trudnych czasach zwracali się zakonnicy o ratunek, a szczególnie św. Szymon Stock, generał Zakonu. Matka Boża odpowiedziała swoim darem Szkaplerza św. (1251 r.). Karmelici widzieli w Maryi Matkę dającą życie. Pod koniec XIV w. dynamiczny rozwój Zakonu, także pod względem duchowym, został zahamowany z powodu wielkiej zarazy, wojny stuletniej, a zwłaszcza schizmy zachodniej. Reformy Zakonu w XVI w.

⁶⁵ Por. Łk 1,49

⁶⁶ Por. Łk. 4, 18

⁶⁷ Por. 1 Kor. 15, 58

⁶⁸ Por. 2 Kor. 9, 10-14

⁶⁹ Jasna Góra 6. 06. 1979

⁷⁰ 2 Kor. 9,15

⁷¹ Św. Elżbieta od Trójcy Przenajświętszej

dokonali św. Teresa od Jezusa i św. Jan od Krzyża, oboje obdarzeni tytułem doktora Kościoła. Był to powrót do pierwotnego ideału karmelitańskiego.

Do Polski Karmelici Bosi przybyli w 1605 r. Nabożeństwo do Matki Bożej, styl życia i gorliwość apostołska przyczyniły się do szybkiego rozrostu Zakonu w Polsce. W kraju naszym przed rozbiorami były dwie prowincje Karmelitów Bosych i liczyły 28 klasztorów. Rozbiory zniszczyły prawie zupełnie Karmel na naszych ziemiach. Odrodzenie Zakonu nastąpiło w okresie porozbiorowym. Chlubą Karmelu polskiego jest błogosławiony O. Rafał Kalinowski. Obecnie polska prowincja Zakonu liczy 15 klasztorów. W czerwcu 1971 roku grupa polskich misjonarzy karmelitańskich wyjechała do Burundi w Afryce. Wszystko to stwarza wielkie zapotrzebowanie na nowe i liczne powołania.

Przyjmujemy kandydatów:

- po szkole podstawowej do Niższego Seminarium (posiadającego pełne prawa państwowe),
- po maturze do Nowicjatu,
- po zasadniczej szkole zawodowej lub szkole podstawowej (do lat 40) na braci zakonnych, do Nowicjatu.

Informacji udzielają:

– Niższe Seminarium OO. Karmelitów Bosych
ul. Obrońców Stalingradu 22
34-100 W a d o w i c e

– Nowicjat OO. Karmelitów Bosych
32-063 C z e r n a 79
woj. krakowskie

– Prowincjalny Referent Powołań
ul. Kościelna 1
28-111 Piotrkowice k. Buska Zdroju

Prośmy Ojca wszelkich darów, by wzbudził w sercach młodych umiłowanie modlitwy i pragnienie służenia Mu w Karmelu.

Aktualny adres, pod którym można kontaktować się w sprawie przyjęcia do Zakonu:

Karmelitański Ośrodek Powołaniowy
Krzeszowice 79,
32 – 065 Krzeszowice

LISTY MISJONARZY WEDŁUG AUTORÓW

1. s. Scholastyka Bareła

- Szczęśliwie przyjechałam do Burundi

- „Współpracownicy misji mają prawo”

2. s. Lucyna Dąbrowska

- „Niech dobry Bóg nagrodzi Wam stokrotnie”

3. s. Immakulata Front

- Wrażenia po czterech miesiącach w Burundi
- Co u nas w domu? Co u nas w szkole?

4. o. Teofil Stanisław Kapusta

- „Bóg zapłać!” za pomoc
- „Oto nasze życzenia”. „Aby ciemności nie były zupełne”
- Rok kapłaństwa
- „Spadłem z drzewa”. Niedziela s. Zygmunt. Plany
- „Czy ludzie w Burundi czczą Matkę Bożą?”
- Życzenia i wdzięczność za współpracę
- W obliczu śmierci
- „Czarownicy są na świecie!”
- Czarowanie
- Jeden z planów
- Boże Dzieciątko w postaci tysięcy dzieci
- Wyrazy wdzięczności i wieści
- „Może w moim życiu tylko o to chodzi...”
- Po powrocie
- „To Międzynarodowy Rok Dziecka”
- „Dlaczego tyle dzieci?”
- „To Bóg tak zdecydował”
- „Czekając na otwarcie się bram Burundi”

5. s. Zygmunta Kaszuba

- „Pragnę podziękować za współpracę”
- „Doświadczenia”. „Trudno wyleczyć tutejszych ludzi”
- Wdzięczność Burundi dla swoich ofiarodawców
- „Centrum zdrowia”

6. o. Bartłomiej Kurzyniec

- „Bym nie zawiódł ani Boga, ani ludzi”
- „Z darem życzliwych serc”
- „Tak przemija pierwszy dzień maja”
- „Matka – ta sama w Afryce, ta sama w Polsce”
- „Nie mogę zagrozić miejsca w domu”
- „Habemus Papam” – mamy Papieża
- „Już drugi tydzień jestem poza domem”
- „Kiedy przyjedziesz?”
- „Teofilu We!”
- „Co Cię może jeszcze zainteresować?”
- Żyję jeszcze odwiedzinami w kraju

7. o. Nazariusz Kwiatkowski

- „Garść szczegółów z podróży”
- Kurs języka kirundi w Muyange

- „Co u mnie słyszeć?”
- W odpowiedzi na pytania
- Wielki Post już minął
- Z wędrówki misjonarza
- „Trzeba będzie zbudować kilka nowych kościołów”
- „W parafii? Nic specjalnego”
- „A teraz coś od nas”

8. s. Sylwana Mankus

- Pierwsze wrażenia

9. s. Zenobia Masłoń

- „Nigdy nie brak wielkich szlachetnych serc”

10. Jan Nsanzerugeze

- „Proszę, byś koniecznie znalazł innych Ojców”

11. o. Jan Kanty Stasiński

- Czuję się naprawdę Waszym misjonarzem
- Radość, której doznałem dziś rano

12. o. Eliaz Trybała

- Wieści z misyjnego podwórka
- Oblóczyny br. Cyryla
- „Czekamy na Ciebie”
- „Wydaje się, że kryzys minął”
- Rozrachunek z przeszłością i nadzieje na przyszłość
- „Uroczystość profesji zakonnej br. Cyryla”
- „Jedna smutna wiadomość”
- „Wiadomości z naszej misji”
- „Chciałbym wszystkim podziękować za trud”
- „Gdy wróciłem do Mpingi”
- Parafialne troski
- Po Wielkanocy
- Kilka bieżących wiadomości

13. o. Józef Trybała

- Zegar, język i „najważniejsze”
- Wielki tydzień, chrzest i bierzmowanie
- Przygotowanie do ślubu i jego ceremonie
- Święto św. Józefa Robotnika

14. o. Sylwan Zieliński

- „Czuję, że Cię nie ma...”

15. Siostry Karmelitanki Dzieciątka Jezus

- „Małe Seminarium Duchowne”
- Pielgrzymka do Mugeru
- „Pragniemy podzielić się z Wami radością...”

SPIS TREŚCI

Wstęp

1971

Zanim nadszedł rok 1971

Pierwszy rok dziesięciolecia (kronika wydarzeń)

1972

Kronika wydarzeń

Geografia Burundi

Ludność Burundi i historia kraju

1973

Kronika wydarzeń

Co zbudowaliśmy w 1973 roku?

1974

Kronika wydarzeń

Parafia, proboszcz

Co zbudowaliśmy w 1974 roku?

1975

Kronika wydarzeń

Co zbudowaliśmy w 1975 roku?

Z listów misjonarzy:

Zegar, język i „najważniejsze” (o. Józef)

Wielki tydzień, chrzest i bierzmowanie (o. Józef)

„Bóg zapłać!” za pomoc (o. Teofil)

„Pragnę podziękować za współpracę” (s. Zygmunta)

„Oto nasze życzenia”. „Aby ciemności nie były zupełne” (o. Teofil)

1976

Kronika wydarzeń

Co zbudowaliśmy w 1976 roku?

Z listów misjonarzy:

Rok kapłaństwa (o. Teofil)

„Doświadczenia”. „Trudno wyleczyć tutejszych ludzi” (s. Zygmunta)

„Spadłem z drzewa”. Niedziela s. Zygmunty. Plany (o. Teofil)

„Małe Seminarium Duchowne” (Siostry Karmelitanki Dz. J.)

„Czy ludzie w Burundi czczą Matkę Bożą?” (o. Teofil)

„Garść szczegółów z podróży” (o. Nazariusz)

Przygotowanie do ślubu i jego ceremonie (o. Józef)

Życzenia i wdzięczność za współpracę (o. Teofil)

Pielgrzymka do Mugeru (Siostry Karmelitanki Dz. J.)

„Bym nie zawiódł ani Boga ani ludzi” (o. Bartłomiej)

1977

Kronika wydarzeń

Co zbudowaliśmy w 1977 roku?

Z listów misjonarzy:

Kurs języka kirundi w Muyange (o. Nazariusz)
W obliczu śmierci (o. Teofil)
„Czarownicy są na świecie!” (o. Teofil)
„Co u mnie słyszeć?” (o. Nazariusz)
Czarowanie (o. Teofil)
Jeden z planów (o. Teofil)
Boże Dzieciątko w postaci tysięcy dzieci (o. Teofil)
„Z darem życzliwych serc” (o. Bartłomiej)

1978

Kronika wydarzeń

Co zbudowaliśmy w 1978 roku?

Z listów misjonarzy:

Wyrazy wdzięczności i wieści (o. Teofil)
W odpowiedzi na pytania (o. Nazariusz)
Wrażenia po czterech miesiącach w Burundi (s. Immakulata)
Wielki Post już minął (o. Nazariusz)
Szczęśliwie przyjechałam do Burundi (s. Scholastyka)
„Tak przemija pierwszy dzień maja” (o. Bartłomiej)
„Matka – ta sama w Afryce, ta sama w Polsce” (o. Bartłomiej)
Z wędrówki misjonarza (o. Nazariusz)
„Nie mogę zagrażać miejsca w domu” (o. Bartłomiej)
„Może w moim życiu tylko o to chodzi” (o. Teofil)
Wieści z misyjnego podwórka (o. Eliaz)

„Habemus Papam – mamy Papieża” (o. Bartłomiej)
Wdzięczność Burundi dla swoich ofiarodawców (s. Zygmunta)
Oblóczyny br. Cyryla (o. Eliaz)

1979

Kronika wydarzeń

Co zbudowaliśmy w 1979 roku?

Z listów misjonarzy:

Po powrocie (o. Teofil)
„Współpracownicy misji mają prawo” (s. Scholastyka)
„To Międzynarodowy Rok Dziecka” (o. Teofil)
„Czekamy na Ciebie” (o. Eliaz)
„Już drugi tydzień jestem poza domem” (o. Bartłomiej)
„Kiedy przyjedziesz?” (o. Bartłomiej)
Święto św. Józefa Robotnika (o. Józef)
„Dlaczego... tyle dzieci?” (o. Teofil)

Po wyrzuceniu misjonarzy

„Teofilu We!” (o. Bartłomiej)
„Wydaje się, że kryzys minął...” (o. Eliaz)
„To Bóg tak zdecydował” (o. Teofil)
Rozrachunek z przeszłością i nadzieje na przyszłość (o. Eliaz)
„Pragniemy podzielić się z Wami radością” (Siostry Karmelitanki Dziec. Jezus)
„Czekając na otwarcie się bram Burundi” (o. Teofil)

1980

Kronika wydarzeń

Co zbudowaliśmy w 1980 roku?

Z listów misjonarzy:

- „Niech dobry Bóg nagrodzi Wam stokrotnie” (s. Lucyna)
- „Uroczystość profesji zakonnej br. Cyryla” (o. Eliaz)
- „Trzeba będzie zbudować kilka nowych kościołów” (o. Nazariusz)
- „Nigdy nie brak wielkich i szlachetnych serc” (s. Zenobia)
- „Jedna smutna wiadomość” (o. Eliaz)
- „Wiadomości z naszej misji” (o. Eliaz)
- „Centrum zdrowia” (s. Zygmunta)
- „W parafii? Nic specjalnego” (o. Nazariusz)
- „Czuję, że Cię nie ma” (o. Sylwan)
- „A teraz coś od nas” (o. Nazariusz)
- „Proszę, byś koniecznie znalazł innych Ojców” (Jan Nsanzerugeze)
- „Chciałbym wszystkim podziękować za trud” (o. Eliaz)
- „Gdy wróciłem do Mpingi” (o. Eliaz)
- „Co Cię może jeszcze zainteresować?” (o. Bartłomiej)

1981

Kronika wydarzeń

Co zbudowaliśmy do czerwca 1981 roku?

Z listów misjonarzy:

- Pierwsze wrażenia (s. Sylwana)
- Parafialne troski (o. Eliaz)
- Co u nas w domu? Co u nas w szkole? (s. Immakulata)
- Żyję jeszcze odwiedzinami w kraju (o. Bartłomiej)
- Po Wielkanocy (o. Eliaz)
- Kilka bieżących wiadomości (o. Eliaz)
- Czuję się naprawdę Waszym misjonarzem (o. Jan Kanty)
- Radość, której doznałem dziś rano (o. Jan Kanty)

Zakończenie

Karmelici Bosi- historia i kontakt.

Listy Misjonarzy według autora.

Spis treści.